

T H R I L L E R

SZEPTACZ

ALEX NORTH



Na początku jest dziwnie, potem strasznie, następnie przerażająco, a na końcu...
Ciągle chodzą mi ciarki po plecach.

A.J. Finn, autor *Kobiety w oknie*

Najbardziej niepokojący thriller, jaki przeczytałem od czasu *Pierwszego śniegu* Jo Nesbø.

Alex Michaelides, autor *Pacjentki*

SZEPTACZ

ALEX NORTH



przełożył

PAWEŁ WOLAK



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: ***The Whisper Man***

Projekt okładki: *Tomasz Majewski*

Redakcja: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczkańska, Monika Paduch*

Original English language edition first published
by Penguin Books Ltd, London

© Alex North, 2019

The author has asserted his moral rights

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2019

© for the Polish translation by Paweł Wolak

ISBN 978-83-287-1247-8

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2019

Niepokojący i złowieszczy klimat, atmosfera rodzącej się paranoi i zbrodnie przyprawiające o dreszcze. Nie wierzysz w duchy? Po lekturze *Szeptacza* zaczniesz.

Asia Wójciak, [instagram.com/zupa.czyta](https://www.instagram.com/zupa.czyta)

Nigdy jeszcze nie czytałam żadnej książki z taką fascynacją i przerażeniem jednocześnie. *Szeptacz* to absolutny majstersztyk. Ciarki na ciele i przyspieszone bicie serca gwarantowane!

Milka Awgul, [instagram.com/maw_reads](https://www.instagram.com/maw_reads)

Historia, której nie czyta się po zmroku. Wywołuje gęsią skórkę, niepokoi i intryguje jednocześnie. Przeczytaj, a nie odważysz się podejść nocą do okna.

Natalia Golis, [instagram.com/prostymislowami](https://www.instagram.com/prostymislowami)

Alex North stworzył w swojej powieści niesamowity klimat niepokoju, który wciąga od pierwszej strony. Kiedy dodamy do tego małe dzieci i szeptanie, powstanie opowieść, która dostarczy wam wielu mocnych wrażeń.

Diana Chmiel, [instagram.com/bardziejlubieksiazki](https://www.instagram.com/bardziejlubieksiazki)

Od teraz każdy szept będzie wprowadzał mnie w stan niepokoju. Thriller przepełniony napięciem, z przerażającą niewiadomą i inteligentnie poprowadzonym wątkiem śledztwa. Polecam!

Maja Kłodawska, [instagram.com/jestemmaja.k](https://www.instagram.com/jestemmaja.k)

Ależ to jest powieść! Nie odłożysz tej książki, dopóki nie poznasz wszystkich tajemnic *Szeptacza*. Czytelnicze emocje na najwyższym poziomie – gwarantowane.

Tomasz Radochoński, www.nowalijki.com

Szeptacz to majstersztyk w swoim gatunku. Niepokoi, wywołuje dreszcze, przeraża, a jednocześnie uzależnia i fascynuje. Fabuła porywa i pędzi jak szalona, uniemożliwiając czytelnikowi odłożenie książki choć na krótką chwilę. Z wypiekami na twarzy czekam na kolejną powieść autora. Chcę więcej! Mistrzostwo!

Małgorzata Tinc, www.ladymargot.pl

Po przeczytaniu *Szeptacza* już zawsze będę sprawdzać, czy moje drzwi są zamknięte. Ta książka jest przerażająco dobra!

Kasia Jarosińska, [instagram.com/kejti.reads](https://www.instagram.com/kejti.reads)

Szeptacz sprawi, że w cieniach roślin doszukiwać się będziesz ludzkich twarzy, a każdy nieprzewidziany dźwięk przyprawi cię o gęsią skórkę. Oby wszystkie czające się tam strachy były jedynie wytworem twojej wyobraźni.

Paula Siczko, [instagram.com/ruderecenzuje](https://www.instagram.com/ruderecenzuje)

Dla Lynn i Zacka

Spis treści

* * *

Część pierwsza Lipiec

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Część druga Wrzesień

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20
Rozdział 21
Część trzecia
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Część czwarta
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46

Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Część piąta
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Część szósta
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Podziękowania

* * *

Jake.

Jest tak wiele spraw, o których chciałbym ci powiedzieć, ale chyba zgodzisz się ze mną, że rozmawianie zawsze przychodziło nam z trudem.

Postanowiłem więc do ciebie napisać.

Pamiętam, jak zabraliśmy cię z Rebeccą ze szpitala i przywieźliśmy do domu. Było ciemno i padał śnieg. Nigdy wcześniej nie prowadziłem auta tak ostrożnie. Urodziłeś się zaledwie dwa dni wcześniej i leżałeś na tylnym siedzeniu w specjalnym foteliku. Obok drzemała Rebecca. Od czasu do czasu patrzyłem w lusterko, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Wiesz dlaczego? Ponieważ umierałem ze strachu. Jestem jedynakiem i nie miałem wcześniej żadnego doświadczenia w opiece nad dziećmi. Tymczasem musiałem się zająć noworodkiem. Byłeś mały i bezbronny, a ja czułem się zupełnie nieprzygotowany do roli, którą miałem odegrać. Wydawało mi się, że ktoś, kto pozwolił, żebym zabrał cię ze szpitala, popełnił ogromny błąd. Od samego początku nie za bardzo do siebie pasowaliśmy. Rebecca nie miała problemu z trzymaniem cię na rękach. Było to dla niej coś naturalnego. Zachowywała się jak prawdziwa matka, a ja, biorąc cię w ramiona, spinałem się i bałem, że zrobię ci krzywdę. Kiedy wybuchasz płaczem, nie miałem pojęcia, czego ci brakuje. Chyba tak naprawdę cię nie rozumiałem.

I to się nigdy nie zmieniło.

Kiedy trochę podrosłeś, Rebecca powiedziała mi, że nie potrafimy się dogadać, ponieważ jesteśmy do siebie za bardzo podobni. Mam nadzieję, że tak nie jest. W końcu zawsze chciałem, żebyś skończył lepiej ode mnie.

Wyszło, jak wyszło, i teraz nie możemy ze sobą rozmawiać. Muszę więc spróbować wyjaśnić ci wszystko na piśmie. Mam zamiar ujawnić całą prawdę o tym, co się stało w Featherbank.

Opowiem ci o panu Nocy, o chłopcu mieszkającym w podłodze, o motylach i małej dziewczynce ubranej w dziwną sukienkę.

No i, rzecz jasna, o Szeptaczu.

To nie będzie łatwe i zdaję sobie sprawę, że powinienem zacząć od przeprosin. Przez te wszystkie lata twierdziłem, że nie ma się czego bać. Próbowałem ci wmówić, że nie istnieją żadne potwory.

Wybacz, ale kłamałem.

Część pierwsza

Lipiec

Rozdział 1

Porwanie dziecka to najgorszy koszmar każdego rodzica, jednak statystycznie takie wydarzenie jest mało prawdopodobne. Największe zagrożenia czyhają w domu, za zamkniętymi drzwiami, a krzywdy zazwyczaj nie wyrządzają obcy ludzie, ale członkowie rodziny. Chociaż świat zewnętrzny wydaje się najeżony różnymi niebezpieczeństwami, to na ulicach spotykamy najczęściej przyzwoitych ludzi. Ryzyko czai się w domu.

Mężczyzna, który chodził za sześciolatkiem Neilem, doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Szedł spokojnie po drugiej stronie ścieżki, chowając się za krzakami. Starał się ani na chwilę nie stracić chłopca z oczu. Neil snuł się noga za nogą, zupełnie nieświadomy zagrożenia. Od czasu do czasu trącał czubkiem adidasa pylistą ziemię, głośno szurając stopami i wznecając kłęby kurzu. Nieznajomy wszystko słyszał, sam jednak stawiał kroki ostrożnie, żeby nie zrobić niepotrzebnego hałasu.

Chociaż zbliżał się wieczór, wciąż było ciepło. Przez większą część dnia żar lał się z nieba, ale dochodziła już szósta i niebo zrobiło się lekko zamglone. Temperatura nieco spadła i wszystko nabrało złocistego blasku. W taki wieczór przyjemnie usiąść na tarasie z kieliszkiem schłodzonego białego wina i patrzeć na zachód słońca. Na razie nie trzeba zabierać ze sobą swetra, a kiedy zapadnie zmrok i zrobi się chłodniej, nie będzie się już chciało wracać do domu po jakieś okrycie.

W taką pogodę nawet skąpane w bursztynowym świetle pustkowie wydawało się piękne. Porośnięte krzakami nieużytki rozciągały się od granic miasteczka Featherbank aż do opuszczonego kamieniołomu. Pofałdowany teren był spękany z powodu suszy i pozbawiony roślinności z wyjątkiem rosnących w skupiskach chaszczki, które sprawiały, że okolica przypominała ogromny labirynt. Dzieciaki mieszkające w okolicy czasami się tutaj bawiły,

choć wiadomo było, że mogą zrobić sobie krzywdę. Dość często zdarzało się, że wchodziły na teren starego kamieniołomu i wspinały się po stromych zboczach, które groziły osunięciem. Władze samorządowe wybudowały ogrodzenie i postawiły odpowiednie znaki, ale wiadomo było, że to nie wystarczy. Dzieci potrafią przecież przechodzić przez płoty.

I nie zwracają uwagi na ostrzeżenia.

Nieznajomy mężczyzna wiedział dużo na temat Neila Spencera. Gruntownie prześwietlił nie tylko chłopca, lecz także jego rodzinę. Neil słabo radził sobie w szkole: miał kiepskie oceny i problemy z kontaktami społecznymi. Jeśli chodzi o pisanie, czytanie i matematykę, był wyraźnie gorszy od rówieśników. Nosił używane ubrania po innych dzieciach i jak na swój wiek zachowywał się dość dziwnie. Łatwo wpadał w złość i darzył świat wyraźną niechęcią. Istniało spore ryzyko, że za kilka lat zostanie rozrabiaką, który dręczy młodszych. Na razie był jednak małym chłopcem i ludzie z łatwością wybacжали mu agresywne zachowanie. „Nie robi tego celowo”, mówili. „To nie jego wina”. Neil nie osiągnął jeszcze wieku, w którym można mu było przypisywać pełną odpowiedzialność. Szukano więc winnych gdzie indziej.

Mężczyzna znał jego sytuację rodzinną, która nie była zresztą dla nikogo tajemnicą.

Neil spędził dzisiejsze popołudnie z ojcem. Rodzice żyli w separacji. Oboje byli alkoholikami, którzy raz lepiej, a raz gorzej radzili sobie z codziennym życiem. Nie potrafili zajmować się synem i woleli, kiedy dziecko przebywało u ekspartnera. Ogólnie rzecz biorąc, Neil mógł liczyć tylko na samego siebie, co w dużym stopniu wyjaśniało jego trudny charakter. Przyszedł na świat, gdy rodzice mieli już swoje lata i na pewno nie obdarzyli go miłością.

Nie pierwszy raz ojciec był zbyt pijany, żeby odwieźć Neila do matki. Nie chciało mu się również wychodzić z domu i odprowadzać go na piechotę. Chłopiec miał prawie siedem lat i ojciec najprawdopodobniej doszedł do wniosku, że sam świetnie da sobie radę. Neil ruszył więc w drogę bez opieki.

Nie miał pojęcia, że wieczorem znajdzie się w zupełnie innym miejscu, niż planował. Mężczyzna rozmyślał o przygotowanym zawczasu pokoju, z trudem powstrzymując narastające podniecenie.

W połowie drogi Neil nagle się zatrzymał.

Mężczyzna również przystanął i rozchylił gałęzie, żeby zobaczyć, co przyciągnęło uwagę chłopca.

Obok jednego z krzaków leżał porzucony przez kogoś stary telewizor. Na szarym wybrzuszonym ekranie nie widać było żadnych pęknięć. Neil lekko trącił telewizor czubkiem adidasa, ale ciężkie urządzenie ani drgnęło. Ten wiekowy odbiornik pewnie wydawał się chłopcu pamiątką dawno minionej epoki: na obudowie znajdowały się guziki i suwaki, a lampowy kineskop wyglądał jak ogromny bęben. Po drugiej stronie ścieżki leżało trochę pokruszonych skał. Mężczyzna patrzył zafascynowanym wzrokiem, jak Neil bierze do ręki jeden z odłamków i z całej siły ciska nim w szklany ekran.

Łup!

Rozległo się głośne brzdęknięcie, ale szkło nie rozbiło się w drobny mak. Pocisk przeleciał na wylot, a w ekranie pojawiła się jedynie mała dziura. Neil sięgnął po drugi kamień, lecz tym razem nie trafił. Kolejny rzut był celniejszy i kineskop znowu ucierpiał.

Neilowi chyba spodobała się ta zabawa.

Mężczyzna wiedział dlaczego. Ten przypadkowy akt bezsensownego wandalizmu był jak wybuch agresji, którą chłopiec przejawiał w szkole coraz częściej. Chodziło o to, żeby wyrzucić jakiś wpływ na otaczającą rzeczywistość. Świat wydawał się przecież całkowicie obojętny na kogoś takiego jak Neil. A chłopiec chciał, żeby go zauważono. Pragnął, żeby ktoś go pokochał.

O tym samym marzyło każde dziecko.

Mężczyzna poczuł ukłucie w bijącym coraz szybciej sercu. Wyszedł zza krzaków i stanął za chłopcem, po czym wyszeptał jego imię.

Rozdział 2

Neil. Neil. Neil.

Komisarz Pete Willis szedł ostrożnie przez pustkowie, słysząc, jak inni policjanci wykrzykują w regularnych odstępach imię zaginionego chłopca. Między okrzykami zalegała kompletna cisza. Pete podniósł głowę i wyobraził sobie, że skandowane słowa znikają w ciemności, tak samo jak Neil Spencer zniknął bez śladu z powierzchni ziemi.

Komisarz skierował latarkę na zakurzony grunt, żeby sprawdzić, gdzie stoi, i poszukać jakichś tropów. Chłopiec miał na sobie niebieskie spodnie od dresu, koszulkę z logo Minecrafta, czarne adidasy; zabrał też wojskowy chlebak i butelkę wody. Pete dostał informację o jego zaginięciu, kiedy siadał do obiadu, który sam przygotował. Na myśl, że jedzenie stoi teraz na stole i stygnie, ścisnęło go w żołądku.

Zapodział się gdzieś mały chłopiec i zadaniem Pete'a było go odnaleźć.

W panujących ciemnościach nie dało się dostrzec pozostałych policjantów, ale można się było zorientować, gdzie są, ponieważ z ich latarek padały snopy światła przeczesujące pustkowie otaczające miasteczko. Pete rzucił okiem na zegarek: była dwudziesta pięćdziesiąt trzy. Dzień prawie się skończył i chociaż po południu panował jeszcze upał, teraz temperatura znacznie spadła i zrobiło się chłodno. Tak bardzo spieszył się do wyjścia, że zapomniał kurtki. Był ubrany jedynie w cieką koszulkę, która nie zapewniała należytej ochrony przed zimnem. Poza tym miał już pięćdziesiąt sześć lat i jego stare kości lubiły ciepło. Zresztą taka temperatura dokuczałaby także komuś młodszemu, szczególnie jeśli się zgubił i był sam jak palec. I najprawdopodobniej stała mu się jakaś krzywda.

Neil. Neil. Neil.

– Neil! – krzyknął Pete razem z innymi.

Nic.

Najważniejsze jest pierwsze czterdzieści osiem godzin. Zaginięcie chłopca zgłoszono o dziewiętnastej trzydzieści dziewięć, mniej więcej półtorej godziny po wyjściu od ojca. Powinien dotrzeć do domu około osiemnastej dwadzieścia, rodzice nie ustalili jednak między sobą dokładnej godziny powrotu, więc nieobecność syna została odkryta dopiero, gdy matka zadzwoniła do swojego eks. Policja przybyła na miejsce o dziewiętnastej pięćdziesiąt jeden. Słońce chyliło się ku zachodowi, a cienie zrobiły się długie i cienkie. Już na samym początku stracili prawie dwie godziny cennego czasu. Teraz już prawie trzy.

Pete wiedział, że w znakomitej większości przypadków zaginione dzieci szybko się odnajdują i bezpiecznie wracają do swoich rodzin. Zniknięcia nieletnich można było podzielić na pięć kategorii: wyrzucenie z domu, ucieczka z domu, nieszczęśliwy wypadek, porwanie przez członka rodziny i porwanie przez nieznanego. Rachunek prawdopodobieństwa wskazywał, że w tej sytuacji mają do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem i że chłopiec wkrótce się odnajdzie. Jednak im dłużej przeczesywał pustkowie, tym bardziej instynkt podpowiadał mu, że może się mylić. Poczł w sercu dziwny ucisk, który pojawiał się niemal zawsze, gdy ginęło dziecko. Zdawał sobie sprawę, że to nic nie znaczy. Chodziło o złe wspomnienia sprzed dwudziestu lat i powiązane z nimi nieprzyjemne emocje.

Nagle snop światła rzucanego przez latarkę przesunął się po czymś szarym.

Pete od razu się zatrzymał, żeby sprawdzić co to. Obok jednego z krzaków stał stary telewizor z podziurawionym kineskopem. Wyglądało to tak, jakby ktoś trenował rzucanie kamieniami do celu. Komisarz przez dłuższą chwilę wpatrywał się w odbiornik.

– Coś ciekawego? – spytał gdzieś z boku anonimowy głos.

– Nie! – odkrzyknął w odpowiedzi Pete i ruszył w dalszą drogę.

Dotarł na drugą stronę pustkowie w tym samym czasie co inni policjanci. Niczego nie udało im się znaleźć. Pete zdążył się przyzwyczaić do ciemności i błada poświata ulicznych latarni wprawiła go w dziwny niepokój. Otaczał go przytłumiony gwar, który wyraźnie kontrastował z ciszą porośniętego krzakami pola nieużytków.

Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Po kilku chwilach spojrzał gdzieś w dal i ruszył przed siebie.

Miał wrażenie, że nogi same go niosą, i nie wiedział, dokąd idzie. Po jakimś czasie zorientował się, że zbliża się do opuszczonego kamieniołomu. W ciemności było tu naprawdę niebezpiecznie, więc skierował się w stronę skupiska latarek rozświetlających mrok. Kolejna grupa policjantów miała właśnie rozpocząć poszukiwania. Niektórzy zaczęli już maszerować wzdłuż skraju kamieniołomu, oświetlając urwiste zbocze i wykrzykując imię zaginionego chłopca. Pozostali przeglądali jeszcze mapy i przygotowywali się do zejścia stromą ścieżką na samo dno. Kiedy zobaczyli mężczyznę wyłaniającego się z ciemności, podnieśli głowy. Jeden z nich rozpoznał komisarza.

– Nie wiedziałem, że jest pan dziś wieczorem na służbie – powiedział.

– Bo nie jestem. – Pete odgiął kawałek siatki z ogrodzenia i prześlizgnął się na drugą stronę, żeby dołączyć do kolegów. – Po prostu mieszkam w okolicy.

– Aha, nie wiedziałem – mruknął policjant z wyraźną wątpliwością w głosie.

Komisarze rzadko brali udział w akcjach terenowych. Amanda Beck koordynowała operację, siedząc za biurkiem, a grupa poszukiwawcza składała się z funkcjonariuszy niższych stopniem. Pete zdał sobie sprawę, że jest w tym gronie najstarszy, ale dzisiaj w nocy czuł się częścią zespołu. Zaginął mały chłopiec i musiał go odnaleźć. Młodszy kolega z pewnością nie pamiętał okoliczności, w jakich dwie dekady wcześniej zniknął Frank Carter. W przeciwnym razie nie byłby zdziwiony, że widzi przed sobą komisarza.

– Proszę iść ostrożnie. Grunt łatwo się tutaj osuwa.

– Wiem.

Co gorsza, ten gołowąs uważał Pete'a za niedołęznego staruszka. Chyba nigdy go nie widział w policyjnej siłowni, gdzie ćwiczył codziennie rano przed rozpoczęciem służby. Chociaż dzieliła ich spora różnica wieku, Pete był przekonany, że na każdym urządzeniu byłby w stanie wycisnąć więcej niż ten młokos. Poza tym zawsze zachowywał ostrożność. To była jego druga natura.

– Okay, za chwilę będziemy schodzić. Chciałem tylko skoordynować działania.

– Ale ja nie wydaję teraz rozkazów. – Pete oświetlił ścieżkę, żeby przygotować się na pokonanie ewentualnych nierówności terenu. Latarka była jednak zbyt słaba, a rzucony przez nią snop światła za krótki. Dno kamieniołomu wyglądało jak wielka czarna dziura. – Pana przełożonym jest komisarz Beck.

– Tak jest.

Pete wpatrywał się w ciemność, rozmyślając o Neilu Spencerze. Sprawdzono dokładnie wszystkie trasy, którymi chłopiec mógł wrócić do domu. Przeszukano ulice i skontaktowano się z większością kolegów. Bez skutku. Na pustkowiu również niczego nie znaleziono. Jeśli zniknięcie chłopca było związane z wypadkiem albo nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, kamieniołom był ostatnim miejscem, które należało spenetrować.

Pete miał jednak wrażenie, że ziejąca w dole otchłań nie kryje w sobie żadnych tajemnic.

Nie wiedział tego na pewno, ale miał bardzo mocne przeczucie, że nie znajdą tam Neila Spencera.

Być może w ogóle nie uda się go odszukać.

Rozdział 3

– Pamiętasz, co ci powiedziałam? – spytała dziewczynka.

Pamiętał, ale teraz robił wszystko, żeby nie zwracać na nią uwagi. Pozostałe dzieci wyszły na dwór i bawiły się na słońcu. Jake słyszał ich okrzyki i odgłos toczącej się po asfalcie piłki, która od czasu do czasu odbijała się z hukiem od ściany budynku. Sam siedział w świetlicy i rysował. Bardzo chciał skończyć obrazek i wolałby, żeby koleżanka zostawiła go w spokoju.

Nie chodziło o to, że jej nie lubił. Jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność, a poza tym była jedynym dzieckiem, które chciało się z nim bawić. Zazwyczaj bardzo się cieszył, gdy do niego podchodziła, tego popołudnia jednak była w jakimś dziwnym nastroju. Zachowywała się wyjątkowo poważnie i nie miała ochoty na żarty. Wcale mu się to nie podobało.

– Pamiętasz?

– Chyba tak.

– W takim razie powtórz.

Głośno westchnął, odłożył ołówek i podniósł wzrok. Koleżanka była ubrana tak jak zwykle. Miała na sobie sukienkę w biało-niebieską kratę, a na kolanie widać było ranę po zadrapaniu, która nie chciała się zagoić. Inne dziewczynki miały ładnie uczesane włosy, które albo luźno opadały na ramiona, albo były spięte w ciasny kucyk. Jej bujne loki od dawna nie widziały grzebienia i sterczały w nieładzie w jedną stronę.

Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że łatwo się nie podda, więc powtórzył słowa, które wcześniej usłyszał:

– „Jeśli drzwi nie zamkniesz w porę...”.

Dziwne, że tak dobrze wszystko zapamiętał, chociaż szczególnie mu na

tym nie zależało. Z jakiegoś jednak powodu te słowa utkwily mu w pamieci. Chodzilo chyba o rytm. Czasami slyszal na CBBC jakas piosenke i potem przez wiele godzin mial w glowie powtarzajacy sie refren. W takich sytuacjach tata mowil, ze cos za nim chodzi. Jake wyobrazal sobie wtedy, ze jakaś tajemnicza postac stoi za jego plecami i nie odstepuje go na krok.

Kiedy skonczyl, dziewczynka z zadowoleniem skinela glową, a Jake znowu wzial do ręki ołówki.

– Co to właściwie znaczy? – spytal.

– To ostrzezenie – wyjasnila, marszczac nos. – W kazdym razie cos w tym stylu. Kiedy bylam mala, powtarzaly to wszystkie dzieciaki.

– Okay, ale o co w tym chodzi?

– Potraktuj to jak dobra rade – oznajmila. – Po swiecie chodzi wielu zlých ludzi i zdarza sie mnóstwo niemiłych sytuacji. Warto o tym pamietac.

Jake zrobil zdziwiona mine i zabral sie do rysowania. Zli ludzie. Znal jednego z nich. To byl Carl, troche starszy chlopiec, z ktorym Jake chodzil do swietlicy. W zeszlym tygodniu Carl bez zadnego powodu sie do niego przyczepil. Jake budowal fortece z klockow lego, gdy nagle obok pojawil sie Carl. Stanal bardzo blisko, rzucajac na podloge wielki cień.

– Dlaczego zawsze przychodzi po ciebie ojciec? – zapytal, chociaz doskonale znal odpowiedz. – To dlatego, ze twoja mama nie zyje?

Jake uznal, ze lepiej milczec.

– Jak wygladala, kiedy ja znalazles?

Nie mial zamiaru odpowiadac na takie pytania. Ta straszna scena pojawiala sie tylko w najgorszych koszmarach. Staral sie w ogole do tego nie wracac. Na sama mysl sciskalo go w gardle i mial problemy ze zlapaniem oddechu. Nie byl jednak w stanie pozbyc sie swiadomosci, ze mama na zawsze zniknela z jego zycia.

Pamietal dawno minione czasy, kiedy zagladal ukradkiem do kuchni i patrzyl, jak przepolawia nozem wielka czerwona papryke, a potem wykrawa pestki.

– Cześć, przystojniaku.

Zawsze tak do niego mowila, kiedy zauwazyła, ze ja obserwuje. Za

każdym razem, gdy przypominał sobie, że umarła, słyszał dźwięk podobny do odgłosu powstającego przy wykrawaniu nasion z papryki. Miał wrażenie, że ktoś wydrąży go od środka i zostawia ziejącą pustkę.

– Lubię, kiedy ryczysz jak niemowlak – oznajmił Carl i odszedł od Jake’a, jak gdyby ten w ogóle nie istniał.

Naprawdę wolałby, żeby na świecie nie było takich ludzi. Miał nadzieję, że dziewczynka wszystko zmyśliła. Zaczął rysować kółka, które miały przedstawiać pole siłowe chroniące małe ludziki toczące bitwę.

– Wszystko w porządku, Jake?

Podniósł głowę znad papieru. Zobaczył Sharon, jedną z opiekunek w świetlicy. Wcześniej była w innej części sali i zmywała naczynia. Teraz pochyliła się nad chłopcem z rękami wciśniętymi między kolana.

– Tak – odpowiedział.

– Ładny rysunek.

– Jeszcze nie skończyłem.

– A co to będzie?

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, jak opowiedzieć o bitwie. Brało w niej udział kilka różnych armii oddzielonych od siebie kolorowymi liniami. Nad przegranymi widniały nieczytelne gryzmoły. Było to naprawdę skomplikowane.

– Po prostu bitwa.

– Na pewno nie chcesz wyjść na dwór i pobawić się z innymi dziećmi? Jest piękna pogoda.

– Nie, dziękuję.

– Mam jeszcze trochę kremu do opalania. – Rozejrzała się po sali. – Powinien tu też być kapelusz przeciwsłoneczny.

– Najpierw muszę skończyć rysunek.

Sharon wyprostowała się i cicho westchnęła, ale wciąż patrzyła na niego z sympatią. Martwiła się o Jake’a, chociaż nie było takiej potrzeby. Pomyślał, że to miłe z jej strony. Zawsze potrafił wyczuć, kiedy ktoś się o niego troszczył. Tak zazwyczaj obchodził się z nim tata, chyba że akurat tracił cierpliwość. Czasami głośno krzyczał, powtarzając: „Ja tylko chcę, żebyś ze

mną porozmawiał! Jestem ciekaw, co myślisz i co czujesz!”. W takich chwilach Jake zaczynał się bać. Wydawało mu się, że znowu sprawił ojcu zawód i przysparza mu samych zmartwień. Nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób mógłby zmienić swoje zachowanie.

Z zapalem zabrał się do pracy. Wykonywał określone ruchy ręką, rysując kolejne pole siłowe. A może to były wrota do teleportacji? Wtedy mali żołnierze mogliby po prostu zniknąć i znaleźć schronienie w jakimś lepszym miejscu. Odwrócił ołówek i zaczął ostrożnie ścierać gumką jedną z postaci.

Okay, zrobione.

Teraz jesteś bezpieczny niezależnie od tego, dokąd cię wysłałem.

Pewnego razu, kiedy tata się wkurzył, Jake znalazł na swoim łóżku wiadomość. Na kartce papieru widniał naprawdę udany obrazek przedstawiający uśmiechniętych ojca i syna z podpisem:

Przepraszam. Pamiętaj, że nawet podczas kłótni bardzo się kochamy. Buziaki!

Jake schował wiadomość do Teczki z Bardzo Ważnymi Rzeczami, w której trzymał wszystko, co zasługiwało na specjalną ochronę.

Poczuł, że musi sprawdzić, czy teczka jest na swoim miejscu. Leżała na stoliku, tuż obok rysunku.

– Niedługo przeprowadzisz się do nowego domu – powiedziała mała dziewczynka.

– Naprawdę?

– Twój tata poszedł dzisiaj do banku.

– Wiem, ale jego zdaniem nic nie jest jeszcze pewne. Możliwe, że nie dostanie pieniędzy.

– Chciałeś powiedzieć: nie udzielą mu kredytu – wyjaśniła cierpliwie dziewczynka. – Nie ma powodów do obaw.

– Skąd wiesz?

– Jest przecież słynnym pisarzem i potrafi wymyślać różne rzeczy. – Spojrzała na rysunek Jake’a i uśmiechnęła się sama do siebie. – Tak jak ty.

Nie wiedział, jak zareagować. W jej uśmiechu było coś dziwnego, tak jakby jednocześnie odczuwała zadowolenie i smutek. W gruncie rzeczy

w taki sam sposób myślał o przeprowadzce. Chciał zmiany, ponieważ zdawał sobie sprawę, że w ich obecnym domu tata pogrąża się w coraz głębszej rozpacz. Razem przeglądali oferty na iPadzie i to właśnie Jake wybrał nowe lokum. Jednocześnie coś podpowiadało mu, że to jednak zła decyzja.

– Czy nadal będziemy się widywać, kiedy się wyprowadzę? – zapytał.

– Oczywiście. Przecież sam dobrze wiesz. – Dziewczynka przysunęła się bliżej i dodała rozgorączkowanym tonem: – Niezależnie od tego, co się stanie, pamiętaj o moich słowach. To bardzo ważne. Musisz mi obiecać, że nie zapomnisz.

– Obiecuję. Tylko nadal nie wiem, o co chodzi.

Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczynka wszystko wyjaśni, lecz wtedy w drugim końcu sali rozległ się dzwonek domofonu.

– Za późno – szepnęła. – Przyszedł twój tata.

Rozdział 4

Kiedy parkowałem samochód, większość dzieci bawiła się na świeżym powietrzu. Słyszałem stłumione śmiechy i przez chwilę przyglądałem się rozbawionej gromadce, szukając wzrokiem Jake'a. Miałem nadzieję, że go zobaczę. Dzieciaki naprawdę wyglądały na szczęśliwe. Ich życie wydawało się takie normalne.

Rzecz jasna, mojego syna tam nie było.

Siedział w środku, pochylony nad rysunkiem, z plecami zwróconymi do wejścia. Kiedy go zobaczyłem, poczułem ukłucie w sercu. Jake był jak na swój wiek niezwykle drobny, a skulony przy stole sprawiał wrażenie jeszcze bardziej kruchego i bezbronniego. Wyglądał tak, jakby chciał wejść do leżącego na blacie obrazka.

Trudno było go za to winić. Zdawałem sobie sprawę, że nienawidzi tej świetlicy, chociaż nigdy nie narzekał. Ani razu nie powiedział, że nie chce tu przychodzić. Chyba po prostu wiedział, że nie mamy wyboru. Od śmierci Rebekki przeżyliśmy wiele trudnych momentów: pierwsza wizyta u fryzjera, kupowanie ubrań do szkoły, pakowanie prezentów gwiazdkowych, które strasznie się przeciągało, ponieważ trudno to robić ze łzami w oczach. Mógłbym dalej ciągnąć tę listę. Z jakiegoś powodu najgorsze były jednak wakacje. Chociaż bardzo kocham Jake'a, nie jestem w stanie spędzać z nim całych dni od rana do wieczora. Mam wrażenie, że nie zostaje wtedy nic dla mnie. Brzydzę się samym sobą, że nie jestem perfekcyjnym ojcem. Muszę mieć jednak trochę czasu dla siebie. Chcę zapomnieć o pogłębiającej się między nami przepaści i o tym, że coraz gorzej radzę sobie ze wszystkim. Potrzebuję chwili wytchnienia, żeby uklęknąć na podłodze i wybuchnąć płaczem bez obawy, że Jake wejdzie do pokoju i mnie nakryje.

– Cześć, kolego!

Położyłem rękę na jego ramieniu, ale on nie podniósł wzroku.

– Cześć, tato.

– Co dzisiaj robiłeś?

– Nic ciekawego.

Poczułem, że lekko wzruszył ramionami, jednak w ogóle nie było tego widać. Jego ciało wydawało się lżejsze i delikatniejsze od materiału, z którego zrobiony był T-shirt.

– Trochę się bawiłem.

– Z kim? – spytałem.

– Z jedną dziewczynką.

– To fajnie. – Pochyliłem się i spojrzałem na leżącą na stoliku kartkę papieru. – Widzę, że również trochę rysowałeś.

– Podoba ci się?

– Oczywiście. Bardzo ładne.

W gruncie rzeczy nie miałem pojęcia, co to miało być: chyba bitwa, ale nie mogłem się zorientować, kto z kim walczy i o co w tym wszystkim chodzi. Jake rzadko rysował statyczne sceny. Jego obrazki zawsze tętniły życiem i rozgrywała się na nich jakaś historia przypominająca film, w którym wszystkie sceny przedstawione są jednocześnie, jak gdyby nałożone na siebie.

Trzeba przyznać, że Jake miał bujną wyobraźnię, co mi się nawet podobało. Sam miałem zapędy artystyczne i widziałem w tym coś, co nas łączy. Zdawałem sobie jednak sprawę, że od śmierci Rebekki minęło już dziesięć miesięcy, a ja prawie niczego nie napisałem.

– Przeprowadzimy się do nowego domu, tato?

– Tak.

– Pan z banku cię wysłuchał?

– Powiedzmy, że w wystarczająco kreatywny sposób przedstawiłem opłakany stan moich finansów.

– Co to znaczy „opłakany”?

Zdziwiłem się, że nie znał tego słowa. Niemal od zawsze staraliśmy się z Rebeccą mówić do niego jak do dorosłego i wszystko mu objaśnialiśmy.

Łatwo przyswajał nowe wyrazy i później często wyskakiwał z czymś dziwnym. Tym razem nie miałem jednak ochoty na tłumaczenie.

– To coś związanego ze sprawą, którą załatwiałem w banku – powiedziałem. – Nie zwracaj sobie tym głowy.

– Kiedy się wyprowadzamy?

– Jak najszybciej.

– Uda nam się wszystko zabrać?

– Wynajmiemy ciężarówkę. – Pomyślałem o pieniądzach i obleciał mnie strach. – Albo załadujemy się do naszego samochodu. Kilka kursów powinno wystarczyć. Możliwe, że coś trzeba będzie zostawić, ale najpierw przejrzymy twoje rzeczy i sam zdecydujesz.

– Nie chcę niczego wyrzucać.

– Zobaczymy, dobrze? Do niczego nie będę cię zmuszać, ale na niektóre zabawki jesteś już za duży. Może bardziej przydadzą się jakiemuś młodszemu dziecku.

Jake milczał. Z pewnością wyrósł już z wielu zabawek, ale z każdą był przecież emocjonalnie związany. Rebecca lepiej radziła sobie w takich sytuacjach. Potrafiła bawić się z synem i nadal wyobrażałem sobie, jak klęczy na podłodze i przesuwając jakieś figurki. Zawsze wykazywała bezgraniczną cierpliwość, szczególnie w chwilach, w których ja nie byłem w stanie zachować spokoju. Dotykała jego zabawek i na tych najstarszych pozostawiała najwięcej śladów. W ten niewidoczny sposób wciąż była obecna w życiu Jake'a.

– Pamiętaj, że na pewno nie będziesz musiał pozbywać się niczego, z czym nie chcesz się rozstawać.

Przypomniałem sobie o Teczce z Bardzo Ważnymi Rzeczami. Leżała na stoliku obok rysunku: był to zniszczony skórzany pokrowiec wielkości książki w twardej oprawie, zamykany z trzech stron na suwak. Nie miałem pojęcia, do czego służył w poprzednim życiu. Przypominał trochę duży organizer z wyjętymi kartkami. Do czego był potrzebny Rebecce?

Kilka miesięcy po tym, jak umarła, zabrałem się do przeglądania jej rzeczy. Lubiała wszystko zbierać, ale zachowywała przy tym zdrowy rozsądek. Wiele z jej starych gratów leżało w garażu popakowanych

w pudełka. Pewnego dnia przyniosłem część tych kartonów do domu i zacząłem je otwierać. Znalazłem pamiątki z dzieciństwa, całkowicie niezwiązane z naszym wspólnym życiem. Wydawało się, że dlatego będzie mi łatwiej je przeglądać, ale się myliłem. Dzieciństwo jest, albo przynajmniej powinno być, szczęśliwym czasem, lecz, niestety, miałem świadomość, że te trywialne, Bogu ducha winne przedmioty w jakiś sposób związane były z tragicznym losem mojej żony. Rozpłakałem się. Jake wszedł do pokoju i położył mi rękę na ramieniu. Nie zareagowałem, więc mocno mnie objął swoimi drobnymi ramionami. Potem wspólnie przejrzelśmy zawartość paru pudełek i znaleźliśmy dziwny pokrowiec, który później stał się Teczka. Jake zapytał, czy może go zatrzymać. Oczywiście się zgodziłem. Mógł wziąć, co tylko chciał.

Na początku Teczka była pusta, ale stopniowo zaczęła wypełniać się różnymi rzeczami. Niektóre należały wcześniej do Rebekki, na przykład listy, zdjęcia i jakieś drobiazgi. Jake wkładał tam również swoje rysunki i rozmaite przedmioty, które z jakiegoś powodu były dla niego ważne. Teczka była jak różdżka czarnoksiężnika. Jake prawie w ogóle się z nią nie rozstawał i miałem blade pojęcie na temat jej rosnącej zawartości. Jednak nawet gdyby nadarzyła się okazja, nie zajrzałbym do środka. To były w końcu jego Ważne Rzeczy. Jake miał prawo do swoich tajemnic.

– Okay, kolego – powiedziałem. – Zbieramy się do wyjścia.

Podał mi starannie złożony rysunek. Niezależnie od tego, co przedstawiał, nie był wystarczająco ważny, żeby wylądować w Teczce. Jake zebrał swoje rzeczy ze stołu i poszedł na drugą stronę sali, gdzie na haczyku wisiał jego bidon. Nacisnąłem zielony guzik, żeby otworzyć drzwi, i obejrzałem się przez ramię. Sharon stała przy zlewie i zmywała naczynia.

– Nie chcesz się pożegnać? – zapytałem Jake’a.

Odwrócił się w drzwiach i przez chwilę patrzył na coś smutnym wzrokiem. Spodziewałem się, że powie Sharon do widzenia, ale zamiast tego zaczął machać w stronę pustego stolika, przy którym wcześniej siedział.

– Cześć! – zawołał. – Obiecuję, że nie zapomnę.

Zanim zdążyłem w jakikolwiek sposób zareagować, wybiegł na zewnątrz.

Rozdział 5

W dniu, w którym umarła Rebecca, sam odebrałem Jake'a ze szkoły.

Zgodnie z umową powinienem przeznaczyć popołudnie na pisanie, więc kiedy Rebecca poprosiła mnie o pomoc, zareagowałem rozdrażnieniem. Za kilka miesięcy miałem oddać do wydawnictwa nową książkę, a przez cały ranek, mimo szczerych chęci, nie udało mi się wyprodukować niczego sensownego. Liczyłem, że jakimś cudem nadrobię zaległości w ciągu ostatnich trzydziestu minut pracy. Rebecca nie wyglądała jednak najlepiej – była blada i trzęsły jej się ręce – więc zgodziłem się pojechać po syna.

Kiedy wracałem do domu, starałem się wykazać zainteresowanie tym, co robił przez cały dzień, ale Jake prawie się nie odzywał. To było dla niego dość typowe: nie miał ochoty na rozmowę albo po prostu niczego nie pamiętał. Jak zwykle miałem wrażenie, że w obecności Rebekki zachowywałby się zupełnie inaczej. Cały czas myślałem też o swoich nieudanych zmaganiach z książką, co sprawiło, że byłem jeszcze bardziej podenerwowany i sfrustrowany. Kiedy zaparkowałem przed domem, otworzył drzwi i szybko wyskoczył z samochodu, pytając, czy może zobaczyć się z mamą. Zgodziłem się, ponieważ byłem pewien, że Rebecca się ucieszy. Wiedziałem jednak, że nie czuje się najlepiej. Poprosiłem więc Jake'a, żeby był grzeczny i zdjął buty, bo mama nie lubi bałaganu.

Potem niespiesznie grzebałem jeszcze chwilę przy samochodzie. Nic mi nie wychodziło i czułem się jak ostatni nieudacznik. Powoli wszedłem do domu i zaniósłem rzeczy do kuchni. Przy okazji zauważyłem, że Jake nie zdjął butów i nie zostawił ich w korytarzu, tak jak prosiłem. Jak zwykle w ogóle mnie nie słuchał. W domu panowała cisza. Podejrzywałem, że Rebecca poszła na górę, by się położyć, i Jake do niej dołączył. Na pewno wszystko u nich w porządku.

Niestety, ze mną było gorzej.

Dopiero kiedy poszedłem do salonu, zobaczyłem Jake'a na końcu korytarza. Stał przy wejściu na schody i gapił się na coś leżącego na podłodze. Nie miałem pojęcia, co to może być. W ogóle się nie ruszał i wyglądał, jak gdyby ktoś go zahipnotyzował. Powoli się do niego zbliżyłem. W pewnym momencie zorientowałem się, że ten bezruch jest pozorny. Jake trząsał się jak osika. Właśnie wtedy zauważyłem Rebecę. Leżała na dywanie, tuż przy schodach.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami i od tamtego momentu niewiele pamiętam. Wiem tylko, że zabrałem Jake'a i zadzwoniłem po pogotowie. Zrobiłem, co do mnie należało, ale nie jestem sobie w stanie przypomnieć żadnych szczegółów.

Najgorsze jest to, że chociaż Jake nigdy ze mną o tym nie rozmawiał, na pewno wszystko doskonale pamiętał.

Dziesięć miesięcy później staliśmy razem w kuchni, w której niemal każdą wolną przestrzeń zajmowały kubki, szklanki i inne naczynia. Jedyne wolne kawałek blatu lepił się od brudu i był pokryty okruchami. W salonie leżały porozrzucone zabawki, o których nikt już chyba nie pamiętał. Chociaż przed wyprawką chciałem gruntownie przejrzeć nasze rzeczy, wyglądało na to, że już podjęliśmy decyzję, co ze sobą zabierzemy, a reszta wałała się w różnych miejscach jak jakieś odpadki. Od wielu miesięcy nad domem unosił się złowrogi cień, który z czasem robił się coraz ciemniejszy. Przypominało to dzień chylący się ku końcowi. Czułem, że od kiedy Rebecca od nas odeszła, wszystko zaczęło się powoli rozpadać. Nic dziwnego: przecież to ona od zawsze była duszą tego miejsca.

– Dasz mi mój rysunek, tato?

Jake klęczał na podłodze, zbierając z różnych zakamarków kolorowe kredki, które rano rozsypały się na parkiecie.

– Magiczne słowo?

– Proszę.

– Oczywiście. – Położyłem rysunek obok niego. – Chcesz kanapkę z szynką?

- Wolałbym coś słodkiego.
- Później.
- Dobrze.

Zrobiłem więcej miejsca na blacie i posmarowałem masłem dwie kromki chleba, po czym dołożyłem trzy plasterki szynki i pokroiłem kanapkę na cztery części. Z całych sił starałem się walczyć z depresją. Wiedziałem, że muszę po prostu iść do przodu. Krok za krokiem.

Nie mogłem przestać myśleć o tym, co się stało w świetlicy. Jake pomachał ręką do pustego stolika. Od kiedy pamiętam, mój syn miał wymyślonych przyjaciół. Zawsze był typem samotnika. Zamykał się w sobie i pograżał we własnych myślach, co zniechęcało do niego rówieśników. Kiedy miałem lepszy nastrój, próbowałem sobie wmówić, że jest samodzielny i po prostu nie potrzebuje towarzystwa. Najczęściej jednak bardzo się o niego martwiłem.

Dlaczego nie mógł być taki jak inne dzieci?

Bardziej normalny?

Wiedziałem, że nie wolno mi tak myśleć, ale musiałem go jakoś ochronić. Świat potrafi być okrutny dla ludzi, którzy są cisi i spokojni. Nie chciałem, żeby przechodził przez to samo co ja w jego wieku.

Niezależnie od wszystkiego, do tej pory wyimaginowani przyjaciele pojawiali się w jego życiu w subtelniejszy sposób. Zazwyczaj prowadził z nimi cichą dyskusję. Nie byłem pewien, czy podobało mi się to, co dzisiaj zobaczyłem. Nie miałem wątpliwości, że dziewczynka, z którą rzekomo bawił się przez cały dzień, istniała tylko w jego wyobraźni. Po raz pierwszy jednoznacznie potwierdził, że rozmawia z kimś wymyślonym. To mnie lekko niepokoiło.

Rzecz jasna, Rebecce w ogóle to nie przeszkadzało. „Nic mu nie jest. Zostaw go w spokoju”. Doskonale wiedziałem, że lepiej się na tym zna, i dlatego starałem się postępować według jej wskazówek. Ale teraz? Może Jake potrzebował pomocy specjalisty?

Albo po prostu już taki był.

To kolejna rzecz, z którą powinienem sobie poradzić, lecz zupełnie nie wiedziałem jak. Nie miałem pojęcia, co należy zrobić. Nie potrafiłem być

dobrym ojcem. O Boże, dlaczego nie ma przy mnie Rebekki!?

Tęsknię za tobą...

Zdałem sobie sprawę, że za chwilę się rozplaczę, więc spróbowałem opanować emocje i sięgnąłem po talerz. W tym samym momencie usłyszałem Jake'a szepczącego w salonie do samego siebie.

– Tak – mruknął pod nosem, a potem dodał coś, czego nie byłem w stanie zrozumieć. – Tak, wiem.

Przeszły mnie dreszcze.

Zakradłem się do drzwi i zatrzymałem w progu. Chciałem sprawdzić, co będzie dalej. Nie widziałem Jake'a, ale przez okno wpadały do pokoju promienie słońca i na kanapie widać było cień: amorficzny kształt, który nie za bardzo przypominał człowieka, ale ruszał się rytmicznie w przód i w tył, jak gdyby ktoś się kołysał.

– Pamiętam.

Na kilka sekund zaległa cisza. Słyszałem tylko bicie własnego serca. Z wrażenia bezwiednie wstrzymałem oddech. Jake znowu się odezwał, tym razem głośniej. Był chyba czymś zdenerwowany.

– Nie chcę tego powtarzać!

W tym momencie zrobiłem krok do przodu.

Na początku nie byłem pewien, co zobaczę, ale Jake klęczał na podłodze dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawiłem. Na parkiecie leżał porzucony rysunek. Mój syn przekrzywił głowę i spoglądał gdzieś w bok. Wbiłem wzrok w miejsce, w które patrzył. Nikogo tam nie było, lecz Jake miał w oczach takie skupienie, jakby rzeczywiście widział przed sobą żywego człowieka.

– Jake? – odezwałem się cichym głosem.

Nie odwrócił się.

– Z kim rozmawiałeś?

– Z nikim.

– Słyszałem, jak coś mówisz.

– Nic nie mówiłem.

Wziął do ręki kredkę i zaczął rysować. Zrobiłem kolejny krok w jego kierunku.

– Możesz przestać i odpowiedzieć na moje pytanie?

– Dlaczego?

– Bo to ważne.

– Z nikim nie rozmawiałem.

– W takim razie zrób, co ci każę, i odłóż kredkę.

Zignorował mnie i nadal mazał po kartce, wykonując okrężne ruchy dłonią. Z zapalem rysował kółka otaczające małe ludziki.

Moja frustracja przerodziła się w złość. Bardzo często Jake był dla mnie jak zadanie, którego nie potrafiłem rozwiązać. Czułem się wtedy nieudolny i całkowicie bezużyteczny. Wkurzało mnie jednak, że mój syn nie daje mi żadnych wskazówek. Nigdy nie starał się niczego mi ułatwić, a ja chciałem mu przecież pomóc i sprawić, żeby wszystko było dobrze. Bałem się, że nie dam rady w pojedynkę.

W pewnym momencie zorientowałem się, że zbyt mocno ściskam talerz.

– Przyniosłem ci jedzenie.

Postawiłem talerz na kanapie i od razu wróciłem do kuchni, żeby nie sprawdzać, czy Jake przerwie rysowanie, czy nie. Oparłem się o blat i zamknąłem oczy. Poczulem, że serce wali mi jak szalone.

Tak bardzo za tobą tęsknię, Rebecca, pomyślałem. Szkoda, że cię tu nie ma. Boję się, że bez ciebie nie jestem w stanie poradzić sobie z tym wszystkim.

Wybuchłem płaczem. Teraz już mogłem sobie na to pozwolić. Jake był zajęty rysowaniem albo zjadał właśnie podwieczorek. Na pewno nie przyszedłby w tej chwili do kuchni. Nie miał żadnych powodów, żeby gadać z własnym ojcem. Trudno. Najwyraźniej wolał towarzystwo wyimaginowanych przyjaciół. W takiej sytuacji ja również mogłem porozmawiać z kimś, kogo nie było już wśród żywych, pod warunkiem, że zrobię to w miarę cicho.

Tęsknię za tobą.

Wieczorem, jak zawsze, zaniósłem Jake'a do łóżka. Robiłem tak, od kiedy umarła Rebecca. Nie chciał patrzeć na miejsce, w którym zobaczył jej ciało. Przytulał się do mnie, wstrzymywał oddech i chował twarz pod moim ramieniem. Zachowywał się tak za każdym razem, gdy musiał skorzystać z łazienki, niezależnie od pory. Rozumiałem jego zachowanie, ale z czasem robił się coraz cięższy, a ja coraz trudniej to znosiłem.

Miałem nadzieję, że wkrótce nastąpi zmiana.

Kiedy zasypiał, schodziłem na dół i siadałem na kanapie z iPadem i kieliszkiem wina, żeby pooglądać zdjęcia naszego nowego domu. Sprawiało mi to przyjemność, ale jednocześnie czułem jakiś niepokój.

Można śmiało powiedzieć, że to Jake wybrał dla nas nowe lokum. Na początku nie byłem w stanie się przekonać: mały piętrowy dom wyglądał trochę jak rozpadająca się wiejska chata. Na dodatek miał w sobie coś dziwnego. Okna zamontowano w nietypowych miejscach i nie mogłem wywnioskować, jaki jest układ pomieszczeń. Dach był lekko przekrzywiony, co zaburzało proporcje i sprawiało, że fasada przypominała zaciekawioną, a może nawet rozgniewaną ludzką twarz. Za każdym razem, gdy na nią patrzyłem, pojawiało się nieprzyjemne uczucie, jakby mrowienie z tyłu czaszki. Krótko mówiąc, ten dom wytrącał mnie z równowagi.

Jednak kiedy tylko Jake go zobaczył, od razu podjął decyzję, że chce w nim zamieszkać. Był nim całkowicie urzeczony i nie miał zamiaru przeglądać innych ofert.

Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy obejrzeć dom z bliska, Jake sprawiał wrażenie zafascynowanego. Ja nie podzielałem jego entuzjazmu. W środku było dość dużo miejsca, ale panował straszny bałagan. Szczególnie odpychały mnie zakurzone szafki i krzesła, sterty starych gazet i sfatygowany materac w pokoju gościnnym. Właścicielką okazała się starsza kobieta, pani Shearing. Przepraszała za kiepski stan nieruchomości, wyjaśniając, że zniszczone wyposażenie należy do poprzedniego lokatora i zniknie, kiedy dom zostanie sprzedany.

Jake nie miał zamiaru zmieniać zdania, więc pojechałem tam jeszcze raz, tym razem bez niego. Wtedy spojrzałem na wszystko z innej perspektywy.

To prawda, dom wyglądał dziwnie, ale bez wątpienia miał w sobie pewien urok. Mroczna fasada sprawiała teraz nieco przyjaźniejsze wrażenie. Pomyślałem sobie, że ten dom traktował przybyszów z rezerwą, jakby został kiedyś skrzywdzony i trzeba było się postarać, by zaskarbić sobie jego zaufanie.

Przyznałem sam przed sobą, że to miejsce miało swój charakter.

Jednak na samą myśl o przeprowadzce ogarniał mnie strach. Kiedy poszedłem do banku, w głębi serca liczyłem, że nie dadzą się nabrać i bez większych ceregieli odrzucą wniosek kredytowy. Decyzja była jednak pozytywna i tak naprawdę poczułem ulgę.

Teraz stałem w salonie i widziałem zakurzone, przez nikogo niechciane resztki naszego starego życia. Było oczywiste, że musimy coś zmienić. Niezależnie od czekających nas trudności należało się stąd wyprowadzić. Wiedziałem, że nadchodzące miesiące mogą być dla mnie wyjątkowo nieprzyjemne, lecz mój syn potrzebował jakiegoś przełomu. Ja zresztą też.

Musieliśmy zacząć wszystko od początku, w miejscu, w którym Jake nie będzie się bał chodzić po schodach. Powinien znaleźć prawdziwych przyjaciół i nie otaczać się wytworami własnej wyobraźni. Ja również łaknąłem świeżego powietrza. Nie chciałem spotykać na każdym kroku duchów przeszłości.

Kiedy znowu tam pojechałem, doszedłem do wniosku, że w jakiś dziwny sposób ten dom do nas pasuje. Był jak outsider, który ma problemy z dopasowaniem się do świata. Uznałem, że będzie nam razem dobrze. Nawet nazwa miejscowości brzmiała przyjemnie.

Featherbank.

Czułem, że będziemy tu bezpieczni.

Rozdział 6

Komisarz Amanda Beck, tak samo jak Pete Willis, doskonale zdawała sobie sprawę, jak ważne jest pierwsze czterdzieści osiem godzin. W ciągu dwunastu godzin jej zespół gruntownie przeczesał różne trasy, którymi Neil Spencer mógł wracać do domu. Przesłuchano też członków rodziny i sporządzono profil zaginionego chłopca. W ręce policji trafiły fotografie, na których był Neil, i przystąpiono do analizy rozmaitych scenariuszy przebiegu zdarzeń. O dziewiątej rano następnego dnia zorganizowana została konferencja prasowa, na której przekazano mediom rysopis dziecka.

Rodzice siedzieli w milczeniu po obu stronach pani komisarz, która wygłosiła stosowne apele i zachęciła świadków do kontaktowania się z policją. Od czasu do czasu błyskały flesze. Amanda starała się nie zwracać na to uwagi, ale czuła, że ojciec i matka Neila wszystko rejestrują i za każdym razem lekko się wzdrygają, jak gdyby dziennikarze mieli do nich pretensje o to, co się stało.

– Prosimy mieszkańców o sprawdzenie znajdujących się na terenie ich posesji garaży i komórek ogrodowych.

Starała się mówić spokojnym głosem i zachować powściągliwość. Jej głównym celem, rzecz jasna, poza odnalezieniem Neila Spencera, było niedopuszczenie do wybuchu paniki. Chociaż nie mogła z całą stanowczością stwierdzić, że chłopiec nie został porwany, była jednak w stanie skierować uwagę na to, jakim torem biegło obecnie śledztwo.

– Najprawdopodobniej doszło do jakiegoś wypadku – powiedziała. – Chociaż Neil zaginął przed piętnastoma godzinami, wciąż żywimy nadzieję, że wkrótce odnajdzie się cały i zdrowy.

W głębi duszy wcale nie była tego taka pewna.

Po zakończeniu konferencji jedną z pierwszych decyzji Amandy było zlokalizowanie kilku mieszkających w okolicy mężczyzn skazanych za przestępstwa na tle seksualnym, dyskretne przewiezienie ich na komendę i przesłuchanie.

W ciągu dnia poszerzono teren poszukiwań. Sprawdzono dno biegnącego w okolicy kanału. Zrobiono to dla świętego spokoju, ponieważ mało kto wierzył, że znajdą tam chłopca. Rozpoczęto również zakrojoną na szeroką skalę akcję polegającą na chodzeniu od domu do domu i rozmawianiu z mieszkańcami. Amanda sama zabrała się do analizy nagrań z monitoringu. Kamery zarejestrowały początek drogi powrotnej Neila, ale ślad urywał się, w momencie gdy chłopiec wyszedł z miasteczka i dotarł na pustkowie. Potem nie pojawił się już na żadnym nagraniu, więc wiadomo było przynajmniej, gdzie zniknął.

Pani komisarz była wyczerpana i zaczęła rozmasowywać twarz, żeby jakoś przegonić senność.

Policjanci jeszcze raz przeczesali porośnięte krzakami odludzie, tym razem przy dziennym świetle, a potem ponownie sprawdzili kamieniołom.

Nie natrafiono na żaden ślad chłopca.

W mediach zaczęły się pojawiać jego zdjęcia. Wieczorem było ich naprawdę dużo. Najczęściej wykorzystywano to, na którym Neil miał na sobie sportową koszulkę i lekko się uśmiechał. To była jedna z niewielu fotografii znajdujących się w posiadaniu rodziców, na których sprawiał wrażenie szczęśliwego. W serwisach informacyjnych pokazano też mapkę z zakreślonymi na czerwono najważniejszymi miejscami i zaznaczonymi na żółto możliwymi trasami powrotu Neila do domu.

Retransmitowano również poranną konferencję prasową. Amanda obejrzała ją wieczorem na tablecie, leżąc w łóżku, i pomyślała, że rodzice chłopca wyglądają przed kamerami na jeszcze bardziej przygnębionych, niż zapamiętała. Wydawało jej się, że czują się winni, i nawet jeśli na razie tak nie było, już wkrótce spadnie na nich ciężar odpowiedzialności. Nie da się tego uniknąć. Podczas popołudniowej odprawy ostrzegła swoich podwładnych – wielu z nich miało przecież dzieci – że chociaż okoliczności zaginięcia Neila Spencera są kontrowersyjne, należy traktować jego matkę i ojca z wyrozumiałością. Na pewno nie byli idealnymi rodzicami, ale

Amanda nie podejrzewała ich o bezpośredni udział w zaginięciu chłopca. Ojciec miał na koncie jakieś drobne wykroczenia – głównie bójki pod wpływem alkoholu – nie budziły one jednak niepokoju o bezpieczeństwo dziecka. Matka w ogóle nie była notowana. Co więcej, oboje sprawiali wrażenie kompletnie załamanych tym, co się stało. Trudno w to uwierzyć, lecz nie pojawiły się żadne wzajemne oskarżenia.

Oboje chcieli tylko, żeby ich syn jak najszybciej wrócił do domu.

Amanda źle spała i przyszła do komendy z samego rana. Od zniknięcia chłopca minęło już ponad trzydzieści sześć godzin, z których zaledwie kilka przeznaczyła na wypoczynek. Usiadła w swoim biurze i jeszcze raz przeanalizowała pięć głównych przyczyn zaginięć nieletnich. Niestety, coraz bardziej skłaniała się ku najgorszemu scenariuszowi. Nie wierzyła, że Neil został porzucony lub skrzywdzony przez rodziców. Gdyby w drodze do domu wydarzył się wypadek, policja z pewnością już by chłopca odnalazła, żywego lub martwego. Porwanie przez innego członka rodziny również wydawało się niezwykle mało prawdopodobne. Nie dało się wykluczyć ucieczki z domu, lecz Amanda uważała, że przez tak długi czas sześciolatek nie byłby w stanie wodzić za nos doświadczonych funkcjonariuszy. Nie miał przecież ze sobą pieniędzy ani zapasów jedzenia.

Spojrzała na wiszące na ścianie zdjęcia Neila, rozważając jedyną możliwość, która wchodziła jeszcze w grę.

Porwanie przez nieznanego.

W takich przypadkach opinia publiczna zwykle podejrzewała całkowicie obce osoby, należało jednak opierać się na faktach. Dzieci rzadko były porwane przez kogoś, z kim nigdy wcześniej nie miały do czynienia. Porywacz zazwyczaj najpierw zaprzyjaźniał się ze swoją ofiarą i przez jakiś czas funkcjonował na peryferiach jej życia. Należało więc zmienić charakter śledztwa i zająć się wątkami, które przez ostatnie półtora dnia wydawały się drugorzędne. Przyjaciele rodziny i rodziny przyjaciół. Trzeba też jeszcze gruntowniej prześwietlić notowanych przestępców i zbadać strony internetowe odwiedzane ostatnio przez rodzinę Neila. Amanda ponownie uruchomiła nagrania z kamer miejskiego monitoringu i zaczęła je przeglądać

z innej perspektywy, koncentrując się mniej na ofierze, a bardziej na czających się w tle drapieżnikach.

Po raz drugi wezwano na przesłuchanie rodziców chłopca.

– Czy Neil skarżył się na jakieś nieprzyjemne zaczepki? – zapytała Amanda. – A może wspominał coś o nowych znajomościach z dorosłymi?

– Nie. – Ojciec wydawał się urażony taką sugestią. – Cholera jasna! Gdyby tak było, na pewno coś bym z tym zrobił. Już o tym rozmawialiśmy, pamięta pani?

Amanda grzecznie się uśmiechnęła.

– Nie – odpowiedziała matka, ale z mniejszą pewnością siebie.

Pani komisarz trochę ją przycisnęła i okazało się, że kobieta rzeczywiście coś sobie przypomina. Wcześniej nie wydawało jej się to szczególnie istotne. Tłumaczyła, że to, co się stało, było bardzo dziwne i trudne do zrozumienia. Na dodatek naprawdę niewiele pamięta, ponieważ już prawie spała.

Amanda znowu grzecznie się uśmiechnęła, pohamowując chęć urwania jej głowy.

Dziesięć minut później siedziała w gabinecie swojego przełożonego inspektora Colina Lyonsa. Była tak przemęczona, a może zdenerwowana, że z trudem powstrzymywała drżenie nóg. Lyons patrzył na nią ze zboląłą miną. Był czynnie zaangażowany w śledztwo i doskonale rozumiał sytuację, w której się znaleźli. Niestety, okazało się, że właśnie spełnia się najczarniejszy scenariusz, i z trudem przychodziło mu się z tym pogodzić.

– To nie może przedostać się do mediów – powiedział cichym głosem.

– Oczywiście.

– A co z matką? – Spojrzał zaniepokojony na Amandę. – Czy została poinformowana, że z nikim nie powinna się dzielić tą informacją?

Odpowiedź była oczywista. Pani komisarz miała ochotę siarczyście przekląć.

– Ma się rozumieć.

Czy ten zakaz był jednak rzeczywiście konieczny? W wielu relacjach prasowych pojawił się oskarżycielski ton. Rodzice Neila mieli już wystarczająco dużo powodów, żeby czuć się winnymi. Nie trzeba im było

dokładać kolejnego.

– Dobrze – stwierdził Lyons. – Jeśli to wypłynie... O, mój Boże...

– Jestem świadoma konsekwencji.

Odchylił się na krzesło, wziął głęboki oddech i na kilka sekund zamknął oczy.

– Znasz tę sprawę?

Wzruszyła ramionami. Wszyscy ją znali, co nie oznaczało, że orientowała się w szczegółach.

– W ogólnym zarysie – powiedziała.

Lyons otworzył oczy i wbił wzrok w sufit.

– Będziemy potrzebowali pomocy – oznajmił.

Na chwilę zamarła z przerażenia. Przez ostatnie dwa dni tyrała w pocie czoła i była u kresu sił. Nie miała zamiaru dzielić się z kimś owocami swojej ciężkiej pracy. Ale zrozumiała, że trzeba będzie stanąć oko w oko z mrocznym widmem z odległej przeszłości.

Frank Carter.

Znany również jako Szeptacz.

Uspokojenie opinii publicznej będzie teraz o wiele trudniejsze. Być może w ogóle nie uda się zapobiec panice, szczególnie jeśli niektóre fakty wyjdą na jaw. Musieli zachować daleko idącą ostrożność.

– Tak.

Lyons podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

Właśnie w ten sposób komisarz Pete Willis został ponownie zaangażowany w śledztwo. Od czasu zniknięcia Neila Spencera upłynęło prawie czterdzieści osiem godzin.

Rozdział 7

Pete Willis wcale nie chciał się w to mieszać.

Jego życiowa filozofia była stosunkowo prosta. Przez wiele lat służby wyrobił sobie zdanie na temat tego, jak działa świat. Zbudował na tej opinii całe swoje życie.

Ręce próżniaka kuszą diabła.

Bezczynność prowadzi do złego.

Zawsze starał się mieć ręce pełne roboty i nie zaprzętał sobie głowy wydumanymi problemami. Porządek i dyscyplina były dla niego ważne. Poszukiwania chłopca na pustkowiu zakończyły się fiaskiem i Pete spędził większość ostatnich czterdziestu kilku godzin, robiąc to, co zwykle.

Z samego rana poszedł do policyjnej siłowni, żeby powyciskać sztangę i poćwiczyć mięśnie naramienne. Każdego dnia pracował nad inną częścią ciała. Nie robił tego z próżności ani dla zdrowia. Po prostu lubił trening w pojedynkę, a niezbędne przy ćwiczeniach skupienie pozwalało mu oderwać myśli od codziennych kłopotów. Po trzech kwadransach wysiłku był często zdziwiony, że przez większość tego czasu nie skupiał się na niczym konkretnym.

Na przykład dziś rano nie pomyślał ani razu o Neilu Spencerze.

Potem siedział na piętrze w swoim biurze i zajmował się pomniejszych sprawami, których zawsze miał na tyle dużo, żeby się nie nudzić. Kiedy był młodszy i bardziej impulsywny, potrzebował silniejszych bodźców niż banalne wykroczenia, ale teraz doceniał spokój związany z rutyną. Uważał, że w pracy policjanta należy unikać nadmiernego rozgorączkowania. Stan podniecenia wiązał się zwykle z jakąś tragedią. Jeśli komuś brakowało mocnych wrażeń, to znaczy, że szukał guza. Pete wiele już przeżył i nie potrzebował dodatkowych emocji. W zupełności wystarczały mu włamanie

do samochodów i kradzieże w sklepach. Regularnie pojawiał się w sądzie w związku z różnymi drobnymi przestępstwami. Dawało mu to pewien komfort psychiczny. Miał poczucie, że świat jakoś się kręci i chociaż nie wszystko układało się idealnie, to panowała na nim względna równowaga.

Mimo że nie był bezpośrednio zaangażowany w śledztwo dotyczące Neila Spencera, nie mógł się z niego całkowicie wyłączyć. Zaginięcie małego chłopca odbiło się szerokim echem i rozwiązanie tej sprawy bardzo szybko stało się priorytetem dla policji. Funkcjonariusze często poruszali ten temat w prywatnych rozmowach. Zastanawiali się, gdzie może przebywać chłopiec, co się z nim stało i jaką rolę odegrali w tym wszystkim rodzice. Ostatnią kwestię omawiano ściszym głosem, ponieważ oficjalnie nie wolno było prowadzić takich dywagacji. Jednak Pete często słyszał, jak koledzy rozwodzą się o nieodpowiedzialności ojca i matki, którzy pozwolili, żeby dziecko samo wracało wieczorem do domu. W takich momentach przypominał sobie podobne dyskusje prowadzone dwadzieścia lat wcześniej, wtedy odwracał się na pięcie i szybkim krokiem szedł do swojego gabinetu. Nic się nie zmieniło: nadal nie miał zamiaru brać udziału w tego rodzaju rozmowach.

Kilka minut przed siedemnastą siedział spokojnie za biurkiem, zastanawiając się, co będzie robił wieczorem. Mieszkał sam i nie prowadził życia towarzyskiego. Po powrocie do domu często przeglądał książki kucharskie i przygotowywał wymyślne dania, które później jadł w samotności. Potem oglądał film albo czytał.

Oraz odprawiał swój rytuał.

Wystarczyła do tego butelka alkoholu i zdjęcie.

Kiedy zaczął zbierać rzeczy i był prawie gotowy do wyjścia, poczuł, że jego serce zaczyna bić szybciej. Wczoraj w nocy, po raz pierwszy od wielu miesięcy, powrócił stary koszmar. Przyśniła mu się Jane Carter szepcząca przez telefon: „Musisz się pospieszyć”. Wychodziło na to, że chociaż bardzo chciał, nie mógł uciec od sprawy Neila Spencera. Czarne myśli i nieprzyjemne wspomnienia nie ukryły się tak głęboko, jak by chciał. Włożył kurtkę i właśnie w tym momencie zadzwonił stojący na biurku telefon. Pete nie był zaskoczony. Rzecz jasna, nie mógł wiedzieć, w jakiej sprawie ktoś się z nim kontaktuje, ale podskórnie czuł, co się święci.

Podniósł słuchawkę i zorientował się, że lekko drży mu ręka.

– Pete – odezwał się Colin Lyons. – Cieszę się, że jeszcze cię złapałem. Mógłbyś zajrzeć do mnie na górę? Chciałbym z tobą pogadać.

Jego przypuszczenia potwierdziły się, w momencie gdy wszedł do gabinetu inspektora. Co prawda, Lyons nie wyjaśnił, o co chodzi, ale za biurkiem stojącym najbliżej drzwi siedziała komisarz Amanda Beck. Obecnie zajmowała się tylko jednym śledztwem, co oznaczało, że Pete musiał zostać wezwany właśnie w tej sprawie.

Zamknął drzwi i starał się zapanować nad nerwami. W szczególności nie chciał przypominać sobie tego, co zobaczył, gdy dwadzieścia lat temu udało mu się wreszcie wejść do przybudówki Franka Cartera.

Lyons szeroko się uśmiechnął. Bił od niego zaraźliwy entuzjizm.

– Świetnie, że mogłeś do nas dołączyć. Siadaj.

– Dziękuję. – Pete zajął miejsce obok Amandy.

Komisarz Beck skinęła głową na powitanie, a na jej ustach pojawił się cień uśmiechu. Chyba chciała być miła, ale trudno to porównać z energią tryskającą od inspektora Lyonsa. Pete nie znał jej zbyt dobrze. Była od niego dwadzieścia lat młodsza, ale dzisiaj sprawiała wrażenie dużo starszej niż w rzeczywistości. Wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną. Może bała się, że szef odbierze jej nadzór nad śledztwem i w ten sposób pozbawi ją autorytetu. Pete słyszał, że jest bardzo ambitna. Nie powinna się jednak niepokoić. Lyons był wystarczająco bezwzględny, żeby traktować ludzi jak pionki, jeśli akurat tak mu pasowało, ale na pewno nie oddałby dochodzenia w ręce Pete'a.

Byli niemal równoletkami. Lyons dosłużył się wyższej rangi, jednak to Pete rozpoczął pracę w policji rok wcześniej i pod wieloma względami jego kariera była bardziej spektakularna. Na dobrą sprawę powinni urzędować w tym samym gabinecie, ale ten świat nie należał do sprawiedliwych. Lyons zawsze był ambitny, a Pete nie miał ochoty zabiegać o kolejne awanse, ponieważ zdawał sobie sprawę, że wiąże się z tym konflikty i niepotrzebna szarpanina. Lyons, co jest w sumie zrozumiałe, miał mu to za złe. Kiedy

bardzo o coś zabiegasz, najbardziej wkurzający jest ktoś, kto z łatwością mógłby to mieć, lecz z jakiegoś powodu wcale tego nie chce.

– Wiesz, że prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia Neila Spencera? – zapytał inspektor.

– Tak. Brałem udział w akcji poszukiwawczej pierwszego dnia na pustkowiu.

Lyons przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, jak gdyby zastanawiał się, czy w tych słowach nie kryją się jakieś wyrzuty.

– Mieszkam niedaleko – wyjaśnił Pete.

Lyons również miał dom w okolicy, jednak nie przeczesywał w środku nocy porośniętego krzakami odludzia. Po kilku sekundach namysłu skinął głową. Wiedział, że Pete miał szczególne powody, żeby interesować się sprawami zaginionych dzieci.

– Śledziłeś na bieżąco postępy śledztwa?

Raczej ich brak, pomyślał, ale ugryzł się w język. Wiedział, że taki komentarz zostanie potraktowany jak krytyka Amandy Beck. Pani komisarz na to nie zasługiwała. Z tego, co zdążył się zorientować, radziła sobie całkiem nieźle i zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Poza tym to właśnie ona zabroniła podwładnym krytykować rodziców, co bardzo mu się spodobało.

– Wiem, że mimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań chłopiec nie został jeszcze odnaleziony – powiedział.

– Masz jakąś teorię?

– Za mało wiem, żeby spekulować.

– Naprawdę? – Lyons obrzucił go zdziwionym wzrokiem. – Wydawało mi się, że brałeś czynny udział w poszukiwaniach prowadzonych tuż po zgłoszeniu zaginięcia?

– Wtedy myślałem, że wszystko dobrze się skończy.

– Teraz już tak nie myślisz?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że Neil się odnajdzie.

– Sądziłem, że biorąc pod uwagę przeszłość, uważnie śledziłeś tę sprawę. Pierwsza delikatna aluzja. Wiadomo było, do czego to zmierza.

- Być może właśnie dlatego lepiej trzymać się z boku.
- W porządku, rozumiem. To był dla nas wszystkich trudny czas.

Lyons sprawiał wrażenie zatroskanego, lecz Pete dobrze wiedział, że wydarzenia sprzed dwudziestu lat są jednym z powodów ich animozji. Chociaż to komisarz Willis doprowadził do końca najbardziej spektakularne śledztwo ostatniego półwiecza, awans i kierownicze stanowisko przypadły w udziale Lyonsowi. Z różnych powodów sytuacja była więc dla obu niekomfortowa.

Pete miał wrażenie, że Lyons powoli zbliża się do meritum.

– Podejrzewam, że jesteś jedyną osobą, z którą będzie chciał rozmawiać Frank Carter.

I wszystko jasne.

Od dłuższego czasu nie słyszał, żeby ktoś wypowiedział na głos to nazwisko. Bał się swojej reakcji, ale poczuł jedynie dziwny dreszcz. Frank Carter. Mężczyzna, który dwadzieścia lat temu porwał i zamordował pięciu chłopców z Featherbank. Pete w końcu go złapał, ale sprawa ta wciąż budziła przerażenie. Wolałby, żeby już nigdy więcej nie wspomniano o tym w jego obecności. Bał się, że imię mordercy jest niczym przekleństwo, które przywołuje z mroku najgorsze potwory. Gazety nadały Carterowi przydomek Szeptacz. Najpierw zaprzyjaźniał się ze swoimi ofiarami, bezbronnymi i zaniedbanymi dziećmi, a dopiero potem je porywał. W nocy miał w zwyczaju siadać pod ich oknami i prowadzić z nimi długie rozmowy ściszym głosem. Pete nigdy nie użył określenia ukutego przez prasę.

Kiedy usłyszał komentarz Lyonsa, miał ochotę rzucić wszystko w diabły i iść do domu.

„Jesteś jedyną osobą, z którą będzie chciał rozmawiać”.

- Masz rację.
- Jak sądzisz, dlaczego? – zapytał Lyons.
- Carter lubi mi dokuczać.
- Z jakiego powodu?
- Drażni się ze mną na temat swoich dokonań, sugerując różne rzeczy, o których rzekomo nie mam pojęcia.

– Ale nigdy ci o tym nie mówi?

– Nie.

– W takim razie czemu z nim rozmawiasz?

Chwilę się zawahał. Przez te wszystkie lata sam wiele razy zadawał sobie to pytanie. Bał się tych spotkań. Za każdym razem, gdy szedł do więzienia i siadał w prywatnym pokoju widzeń, miał dreszcze. Po tych spotkaniach czuł się zdruzgotany, czasami przez kilka tygodni. Zdarzało się, że w ciągu dnia zaczynał się trząść w niekontrolowany sposób, a wieczorami musiał się nieźle namęczyć, żeby nie sięgnąć po butelkę z alkoholem. W nocy nawiedzały go koszmary, w których wielki złowrogi cień Cartera sprawiał, że budził się z wrzaskiem. Każda wyprawa do więzienia powoli go wykańczała.

Lecz mimo to ciągle tam chodził.

– Chyba mam nadzieję, że pewnego dnia się pomyli i wyjawi mi jakiś sekret – wyjaśnił, starannie dobierając słowa. – Albo przypadkiem coś chlapnie.

– Na przykład powie, gdzie ukrył ciało małego Smitha?

– Tak.

– Lub wspomni coś o swoim współniku?

Pete milczał.

Trudno było nie przyznać Lyonsowi racji.

Dwadzieścia lat temu w domu Cartera natrafiono na zwłoki czterech chłopców. Niestety, nie odnaleziono ciała piątej ofiary, Tony'ego Smitha. Nikt nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że Carter odpowiada za wszystkie zbrodnie. On sam również nigdy temu nie zaprzeczał. Mimo to nie dało się ukryć, że w sprawie były pewne nieścisłości. Wina Cartera była oczywista i nie chodziło o kwestie, których wyjaśnienie mogłoby doprowadzić do oczyszczenia go z zarzutów. Chodziło raczej o niedokończone wątki, które sprawiały, że w śledztwie wciąż pozostawało kilka luk. Carter na jakiś czas wyjechał i miał na ten okres mocne alibi. Pech chciał, że właśnie wtedy dokonano jednego z porwań. Rzecz jasna, nie wykluczało to całkowicie udziału Cartera, ale czyniło sprawę bardziej skomplikowaną. Co więcej, niektórzy świadkowie podawali rysopis nie do końca odpowiadający wyglądowi Cartera. Zebrane w jego domu dowody

i wyniki ekspertyzy sądowej były jednoznaczne, ale niewykluczone, że morderca miał współnika.

Pete nie był pewien, co o tym wszystkim sądzić. Najczęściej starał się odganiać złe myśli i nie brał pod uwagę możliwości, że sprawa nie została do końca wyjaśniona. Jednak właśnie dlatego wezwano go do gabinetu Lyonsa. Jeśli w mroku czaił się jakiś cień, najlepiej wywlec go na światło dzienne i raz na zawsze się z nim rozprawić. Komisarz uznał, że należy zignorować pytanie szefa i od razu przejść do konkretów.

– Po co zostałem tu zaproszony?

Lyons przez chwilę się zawahał.

– Tematy dzisiejszej rozmowy nie mają prawa wyjść poza ściany tego pokoju. Czy to jasne?

– Oczywiście.

– Z monitoringu wynika, że Neil Spencer wyszedł z miasteczka i skierował się w stronę pustkowia, tam jednak ślad się urywa. Jak na razie poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Przeczesał wszystkie miejsca, do których chłopiec mógł trafić, gdyby zabłądził. Na pewno nie przebywa u znajomych ani u członków dalszej rodziny. W takiej sytuacji jesteśmy zmuszeni rozważyć inne możliwości. Pani komisarz?

Amanda Beck nagle się ożywiła, jednak w jej głosie pobrzmiwał obronny ton.

– Rzecz jasna, od samego początku braliśmy pod uwagę inne wersje przebiegu wydarzeń. Chodziliśmy od domu do domu i rozmawialiśmy z podejrzanymi. Niestety, nic z tego nie wyniknęło.

Musi chodzić o coś zupełnie innego, pomyślał Pete.

– A potem?

Beck wzięła głęboki oddech.

– Godzinę temu jeszcze raz przesłuchałam rodziców. Liczyłam na to, że pojawi się coś, na co wcześniej nie zwróciłam uwagi. Jakakolwiek wskazówka. W pewnym momencie matka wspomniała o jednym szczególe, który do tej pory wydawał jej się czymś trywialnym, a nawet głupim.

– Co to było?

Zanim postawił to pytanie, znał już odpowiedź. Być może nie dokładne słowa, ale ogólny przekaz. Podczas spotkania pojawiały się kolejne elementy, które wyraźnie układały się w nowy koszmar.

Zaginiony chłopiec.

Frank Carter.

Jego wspólnik.

Beck miała właśnie dodać brakujący kawałek układanki.

– Kilka tygodni temu Neil obudził matkę w środku nocy i powiedział, że pod jego oknem czai się potwór. W sypialni były rozsunięte zasłony, jak gdyby chłopiec rzeczywiście wyglądał na zewnątrz, ale nikogo tam nie było...

Beck zrobiła znaczącą pauzę.

– Neil twierdził, że ktoś do niego szeptał...

Część druga

Wrzesień

Rozdział 8

Kiedy pojechaliśmy do Featherbank, żeby spotkać się z agentem nieruchomości i odebrać klucze, Jake był bardzo podniecony, ale ja czułem niepokój. Bałem się, że z jakiegoś powodu nasze nowe lokum nie będzie przypominało domu, który wcześniej oglądaliśmy. Co się stanie, jeżeli wejdę do środka i uznam, że nie dam rady tam mieszkać? Albo, co chyba jeszcze gorsze, do takich samych wniosków dojdzie Jake?

Wtedy okaże się, że cały wysiłek poszedł na marne.

– Przestań kopać w fotel, Jake.

Spełnił moją prośbę i irytujące stukanie na chwilę ustało. Niestety, nie minęło kilka sekund i znowu zaczął to robić. Cicho westchnąłem. Jake był naprawdę podekscytowany, co nie zdarzało się zbyt często, więc chyba lepiej zignorować jego zachowanie. Najważniejsze, że się cieszy.

Był piękny dzień i chociaż z trudem panowałem nad zdenerwowaniem, nie mogłem nie zauważyć, że w blasku popołudniowego słońca Featherbank prezentowało się naprawdę ładnie. W zasadzie były to peryferie wielkiego miasta. Odległość do centrum wynosiła jedynie osiem kilometrów. Mimo to panowała tu wiejska atmosfera. Nad rzeką, na południowym skraju miasteczka, wciąż można było natrafić na brukowane ulice i stare gospodarstwa. Nieco dalej na północ, w pewnej odległości od małego centrum handlowego, okolica robiła się pagórkowata i na pochyłych zboczach stały urokliwe domy z piaskowca, a wzdłuż chodników rosły drzewa pokryte gęstymi liśćmi. Jechaliśmy z otwartymi oknami, powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą. W oddali słychać było muzykę i bawiące się dzieci. Życie płynęło tu wolno i spokojnie jak w niedzielny poranek.

Wreszcie dotarliśmy na naszą ulicę: po jednej stronie ciągnęło się pole, a po drugiej osiedle domków jednorodzinnych. Było tutaj dużo zieleni, a słońce prześwitywało przez liście, rzucając na trawę jasne plamy.

Wyobraziłem sobie, jak ubrany w jasny T-shirt Jake biegnie po trawniku w moją stronę, tak samo radosny jak teraz.

Nasz nowy dom.

Dojechaliśmy na miejsce.

Zaparkowałem na podjeździe. Rzecz jasna, to był ciągle ten sam budynek, ale miałem wrażenie, że dziwna elewacja wygląda trochę inaczej. Za pierwszym razem przypominała złowrogą, wręcz przerażającą twarz. Musiałem przyznać, że wtedy obleciał mnie strach. Podczas następnej wizyty wydawało mi się, że dom po prostu ma charakter. Teraz dziwny układ okien budził skojarzenia z pobitą facjatą: wyraźnie widziałem wykrzywione oko, spuchnięty policzek i poranione czoło. Pokręciłem głową i ten niepokojący obraz szybko zniknął.

– Chodźmy – powiedziałem.

Wysiedliśmy z samochodu. Na zewnątrz panowała cisza. Nie wiał nawet słaby wiaterek, który mógłby poruszyć rozgrzane powietrze. Czuję, jakby zamknięto nas w jakiejś kapsule, kiedy jednak zrobiliśmy kilka kroków do przodu, świat wyraźnie się ożywił i usłyszeliśmy brzęczenie owadów. Wydawało mi się, że dom nas obserwuje. W pewnej chwili byłem niemal pewien, że widzę jakiś ruch za szybą. Przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi. Uderzył w nas zapach stęchłego powietrza. Miałem wrażenie, że dom był zamknięty znacznie dłużej, niż nam mówiono, i być może coś zaczęło gnić. Jednak po chwili byłem w stanie wyczuć jedynie charakterystyczną woń detergentów.

Zaczęliśmy chodzić po pokojach. Otwieraliśmy drzwi i szafki, zapalaliśmy i gasiliśmy światła, zasłanialiśmy i odsłanialiśmy zasłony. Nasze kroki odbijały się głośnym echem, lecz poza tym panowała całkowita cisza. Nawet kiedy zajrzeliśmy w każdy kąt, nie mogłem pozbyć się dziwnego wrażenia, że nie jesteśmy sami. Wydawało mi się, że ktoś nam towarzyszy, sprytnie ukrywając się przed naszym wzrokiem. Gdybym tylko wystarczająco szybko się odwrócił, zobaczyłbym twarz wyglądającą zza framugi. To było głupie, całkowicie nieracjonalne uczucie, ale nie mogłem nad nim zapanować. Zachowanie Jake'a wcale nie pomagało: biegał jak opętany z jednego pomieszczenia do drugiego i od czasu do czasu widziałem jego zdzwioną minę, jak gdyby nie mógł znaleźć tego, czego szukał.

– Tato, czy to jest mój pokój?

Jego sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze, obok schodów, w miejscu, w którym fasada przypominała opuchnięty policzek. Okno było mniejsze od pozostałych i rozciągał się z niego widok na pole.

– Tak. – Zmierziłem mu włosy. – Podoba ci się?

Nie odpowiedział, więc spojrzałem na niego z niepokojem. Rozglądał się dookoła, pogrążony we własnych myślach.

– Jake?

Podniósł głowę.

– Jest naprawdę nasz?

– Tak. Nasz.

Wtedy rzucił się na podłogę i z radości złapał mnie za nogi. Zrobił to tak niespodziewanie, że prawie straciłem równowagę. To był najlepszy prezent, jaki mogłem mu sprawić, i chciał się upewnić, że rzeczywiście się przeprowadzamy. Przykucnąłem, żebyśmy mogli się objąć. Poczułem ogromną ulgę i w tym momencie nic innego nie miało znaczenia. Mój syn był szczęśliwy, a ja zrobiłem dla niego coś dobrego. Patrzyłem przez jego ramię na otwarte drzwi i ciągnący się za nimi korytarz. Cały czas miałem wrażenie, że coś czai się za rogiem, chociaż zdawałem sobie sprawę, że to tylko wytwory mojej wyobraźni.

Będziemy tutaj bezpieczni.

Będziemy tutaj szczęśliwi.

I przez pierwszy tydzień rzeczywiście tak było.

Stałem nad samodzielnie zmontowanym regałem na książki i podziwiałem efekt swojej pracy. Nigdy nie byłem złotą rączką, lecz wiedziałem, że majsterkując, spełniam oczekiwania Rebekki. Wyobraziłem sobie, że stoi teraz za mną, przytulając twarz do moich pleców i obejmując mnie ramionami. W pewnym momencie uśmiecha się i szepcze: „Widzisz? Jak się postarasz, całkiem nieźle ci wychodzi”. Chociaż to niewielki sukces, jednak rozpierała mnie duma. Ostatnio rzadko się to zdarzało.

Niestety, cały czas byłem sam.

Zacząłem stawiać książki na półkach.

To również spodobałoby się Rebecce. Wiedziałem, że urządzam ten dom dla siebie i Jake'a, ale jednocześnie chciałem sprostać jej oczekiwaniom. „Po przeprowadzce zawsze należy starannie ułożyć książki”, powiedziała mi kiedyś. „W ten sposób szybciej przyzwyczaisz się do nowego miejsca”. Czytanie zawsze sprawiało jej ogromną przyjemność. Spędziliśmy razem wiele miłych wieczorów, wylegając się na dwóch końcach kanapy. Ja pisałem na laptopie, a ona czytała kolejną powieść. Przez te wszystkie lata zgromadziliśmy potężny księgozbiór, który starałem się rozpakować i starannie poustawiać we właściwych miejscach.

Potem przyszedł czas na moje publikacje. Półki znajdujące się najbliżej biurka z komputerem były zarezerwowane na autorskie egzemplarze moich czterech powieści i ich zagraniczne tłumaczenia. Nie do końca podobała mi się taka ostentacja, ale Rebecca była ze mnie dumna i bardzo jej na tym zależało. Postanowiłem trzymać się starych zasad i zostawiłem trochę wolnego miejsca na książki, które dopiero zamierzałem napisać.

Spojrzałem nieufnie na komputer. W ciągu ostatniego tygodnia włączyłem go tylko raz, żeby sprawdzić, czy działa internet. Od prawie roku niczego nowego nie napisałem. To również wkrótce się zmieni. Nowy początek, nowe...

Nagle usłyszałem skrzypienie podłogi.

Dźwięk dochodził z góry. Czyżby ktoś tam chodził? Podniosłem głowę. Bezpośrednio nade mną znajdował się pokój Jake'a, ale mój syn powinien być w salonie na parterze. Zostawiłem go tam, żeby się pobawił, a sam zająłem się montażem mebli i rozpakowywaniem rzeczy.

Podszedłem do drzwi i spojrzałem na schody. Na półpiętrze nikogo nie było. W całym domu zrobiło się tak cicho i spokojnie, że aż zaczęło mi dzwonić w uszach.

– Jake? – krzyknąłem.

Nic.

– Jake?

– Tato?

Niemal podskoczyłem z wrażenia. Jego głos dochodził z salonu, bezpośrednio zza moich pleców. Starając się wciąż mieć na oku schody, zrobiłem krok do tyłu i zająłem do wnętrza pokoju. Jake klęczał na podłodze i coś rysował. Był zwrócony tyłem do mnie.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Tak. Coś się stało?

– Nic takiego.

Wróciłem na korytarz i przez kilka sekund patrzyłem na schody. Wciąż panowała cisza, ale znowu czułem w powietrzu dziwne napięcie, jak gdyby ktoś chował się poza zasięgiem mojego wzroku. Zdawałem sobie sprawę, że to absurdalne, ponieważ nikt nie mógł wejść niezauważony na piętro. Stare domy wydają z siebie różne dźwięki i potrzeba czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Nic więcej.

Lecz mimo wszystko coś było nie tak.

Wszedłem po schodach, ostrożnie stawiając kroki, żeby nie narobić hałasu. Podniosłem lewą rękę, gotowy do obrony, gdyby coś na mnie zniecka wyskoczyło. Kiedy dotarłem na górę, zgodnie z przewidywaniami korytarz był pusty. W pokoju Jake'a też nikogo nie było. Przez okno wpadały do środka promienie popołudniowego słońca, oświetlając unoszące się spokojnie w powietrzu drobinki kurzu.

Miałem rację: stare domy po prostu trzeszczą.

Zszedłem na parter znacznie pewniejszym krokiem. Zrobiło mi się trochę głupio, ale jednocześnie poczułem ogromną ulgę, znacznie większą, niż byłem skłonny przyznać. Musiałem jeszcze wyminąć leżące na dwóch najniższych stopniach stosy listów i różnych papierów. Ostatnio często odwiedzał nas listonosz. Przynosił głównie korespondencję związaną z przeprowadzką, ale do skrzynki trafiało też bardzo dużo reklam i ulotek miejscowych lokali oferujących jedzenie na wynos. Co ciekawe, przyszły też trzy prawdziwe listy adresowane do niejakiego Dominica Barnetta. Na kopertach napisane było *Tylko do rąk własnych*.

Pamiętałem, że poprzednia właścicielka, pani Shearing, przez wiele lat wynajmowała dom, więc pod wpływem impulsu rozdarłem jeden z listów. W środku znajdował się szczegółowy wykaz długów przesłany przez firmę

windykacyjną. Poczujęm się nieswojo. Niezależnie od tego, kim był Dominic Barnett, miał niezapłacone rachunki telefoniczne na kwotę ponad tysiąca funtów. Otworzyłem pozostałe koperty i znalazłem to samo: wezwania do zapłaty. Zacząłem wczytywać się w szczegóły, marszcząc czoło. Nie chodziło o jakieś ogromne pieniądze, ale z listów wycierał dość agresywny ton i pełno w nich było pogroźek. Wiedziałem, że łatwo rozwiązać ten problem: wystarczyłoby kilka telefonów. Przeprowadzka miała być jednak dla mnie i dla Jake'a nowym początkiem. Nie chciałem zмагаć się z kolejnymi przeszkodami.

– Tato?

Jake stanął w drzwiach do salonu, trzymając w jednej ręce Teczkę z Bardzo Ważnymi Rzeczami, a w drugiej kartkę papieru.

– Mogę się pobawić na górze?

Pomyślałem o dziwnych hałasach i przez ułamek sekundy chciałem odmówić, lecz szybko zdałem sobie sprawę, jak bardzo byłoby to absurdalne. Jake miał prawo bawić się w swoim pokoju. Nie czało się tam przecież żadne niebezpieczeństwo. Jednak tego dnia nie spędziliśmy ze sobą zbyt dużo czasu i bałem się, że jeśli mój syn zniknie na piętrze, zostanę na dole sam jak palec.

– Chyba tak – powiedziałem. – Ale pokażesz mi najpierw swój rysunek?

Przez chwilę się zawahał.

– Po co?

– Bo jestem ciekaw, czym się zajmujesz.

Naprawdę się staram, Jake.

– To własność prywatna.

Całkowicie rozumiałem jego wahanie i chciałem uszanować prywatność Jake'a, ale jednocześnie nie podobało mi się, że ma przede mną tajemnice. Nie zaglądałem do jego Teczki, ale właśnie okazało się, że nie mam również prawa patrzeć na jego rysunki. Czułem, że dzielący nas dystans jeszcze bardziej się powiększa.

– Jake... – jęknąłem błagalnym tonem.

– No dobra.

Zrobił zniechęconą minę i podał mi kartkę. Od razu przeszła mi ochota na oglądanie jego gryzmołów, ale było już za późno i musiałem spojrzeć.

Jake nie lubił rysować prostych scenek rodzajowych. Wolał skomplikowane bitwy toczone przez kilka armii naraz. Dzisiaj postawił jednak na realizm. To tylko szkic, ale wyraźnie widać było na nim nasz dom przedstawiony podobnie jak na fotografii, która przykuła uwagę Jake'a w ogłoszeniu internetowym. Trzeba przyznać, że dość dobrze uchwycił dziwny wygląd tego miejsca. Trochę nieporadne, dziecięce kreski układały się w przypominającą ludzką twarz fasadę z wydłużonymi oknami. Otwarte drzwi wejściowe wyglądały jak usta, z których wydobywał się złowieszczy jęk.

Moją uwagę przyciągnęło piętro. W oknie po prawej stronie zobaczyłem, jak stoję samotnie we własnej sypialni. Na lewo widać było Jake'a. Narysował całą postać: uśmiechniętą twarz, dżinsy i pokolorowany kredką T-shirt, taki sam, jaki właśnie miał na sobie.

Obok niego znajdowała się jeszcze jedna postać: mała dziewczynka z czarnymi włosami sterczącymi w jedną stronę. Miała na sobie niebiesko-białą sukienkę.

Na jednym kolanie widać było czerwone zadrapania.

Dziewczynka dziwnie się uśmiechała.

Rozdział 9

Po wieczornej kąpieli usiadłem koło jego łóżka, żebyśmy mogli razem poczytać. Jake lubił wspólną lekturę i tamtego wieczoru mieliśmy kontynuować *Power of Three* Diany Wynne Jones. To była ukochana książka mojego dzieciństwa i zaproponowałem ją Jake'owi bez żadnego wahania. Dopiero później zrozumiałem przerażającą ironię zawartą w tytułowej „trójce”.

Kiedy skończyliśmy rozdział, odłożyłem książkę na półkę.

– Chcesz się przytulić? – zapytałem.

Bez słowa wygrzebał się spod kołdry, wdrapał na moje kolana i mocno objął mnie ramionami.

– Kocham cię, Jake.

– Nawet wtedy, kiedy się kłócimy?

– Oczywiście. Zwłaszcza wtedy. W takich sytuacjach ma to największe znaczenie.

Przypomniałem sobie o obrazku, który dla niego namalowałem. Wiedziałem, że go zatrzymał. Teczka z *Bardzo Ważnymi Rzeczami* leżała pod łóżkiem i wyobraziłem sobie, jak w nocy mój syn wyciąga rękę, żeby dotknąć prezentu. Niestety, ciągle pamiętałem też o rysunku, który pokazał mi dziś po południu. Zrobił to niechętnie, więc uznałem, że lepiej nie drążyć tematu. Jednak kilka godzin później, siedząc w jego przytulnej sypialni, doszedłem do wniosku, że mimo wszystko warto zaryzykować.

– Bardzo ładnie narysowałeś dzisiaj nasz nowy dom – oznajmiłem.

– Dziękuję, tato.

– Coś mnie jednak zastanawia. Kim była dziewczynka stojąca obok ciebie przy oknie?

Zagryzł dolną wargę i milczał.

– Nie bój się. Możesz mi powiedzieć – zachęciłem go łagodnym głosem.

Wciąż się nie odzywał. Było dla mnie oczywiste, że to właśnie z powodu dziewczynki nie chciał pokazać mi obrazka, a teraz odmawiał odpowiedzi na moje pytanie. Dlaczego?

Po chwili mnie olśniło.

– To twoja koleżanka ze świetlicy?

Zawahał się, ale skinął głową.

Usiadłem koło niego. Starąłem się ukryć rosnącą frustrację i rozczarowanie. Przez ostatni tydzień wszystko szło jak po maśle. Byliśmy szczęśliwi, Jake szybko przyzwyczajał się do nowego miejsca, a ja zacząłem myśleć o przyszłości z ostrożnym optymizmem. Niestety, okazało się, że jego wyimaginowana przyjaciółka nie odstępowała nas ani na krok. Przeszedł mnie dreszcz: wydawało mi się, że zostawiliśmy ją w starym domu, ale ona jak na złość ruszyła naszym śladem i pokonała te wszystkie kilometry, żeby być z nami.

– Nadal z nią rozmawiasz? – zapytałem.

Pokręcił głową.

– Nie ma jej tutaj.

Zrobił zawiedzioną minę i było dla mnie jasne, że jest mu smutno. Znowu poczułem się nieswojo. Obsesja na punkcie nieistniejącej osoby wydawała mi się czymś niezdrowym. Jake wyglądał jednak na samotnego i przygnębionego. Miałem wrażenie, że to ja pozbawiłem go kontaktów z koleżanką. Było mi jednocześnie przykro: po raz kolejny okazało się, że mu nie wystarczam.

– No cóż, jutro zaczynasz szkołę – powiedziałem spokojnie. – Jestem pewien, że spotkasz tam wielu fajnych kolegów. Poza tym zawsze możesz liczyć na mnie. W końcu łączy nas szczególna więź. Pamiętaj: nowy dom, nowy początek.

– Czy tutaj jest bezpiecznie?

– Bezpiecznie? – Dlaczego o to pytał? – Oczywiście, że tak.

– Drzwi są zamknięte na klucz?

– Tak – skłamałem bez zastanowienia.

Nie przekręciłem klucza w zamku. Prawdę mówiąc, nawet nie zapiąłem łańcucha. Featherbank to przecież spokojne miasteczko. Poza tym dopiero się ściemniało i wszędzie paliły się światła. Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby się do nas zakradać.

Jednak Jake wyglądał na przestraszonego i od razu pomyślałem o odległości, która dzieliła nas od drzwi wejściowych. Gdyby leciała woda w łazience, czy w ogóle usłyszałbym, że ktoś wchodzi do środka?

– Nie musisz się martwić. – Z całej siły starałem się zachować stanowczy ton głosu. – Nie pozwolę, żeby stała ci się jakakolwiek krzywda. Czego się boisz?

– Musisz zamykać drzwi na klucz – powiedział.

– O co ci chodzi?

– Nie mogą być otwarte.

– Jake...

– „Jeśli drzwi nie zamkniesz w porę, szeptać zaczniesz ktoś wieczorem”.

Przeszedł mnie zimny dreszcz, a Jake spojrzał na mnie z lękiem. Byłem pewien, że sam tego nie wymyślił.

– Co to znaczy? – zapytałem.

– Nie wiem.

– Gdzie to usłyszałeś?

Nie odpowiedział, ale niemal od razu domyśliłem się, o co chodzi.

– Mała dziewczynka?

Przytaknął, a ja pokręciłem głową, całkowicie zbity z tropu. Jake nie mógł nauczyć się tej dziwnej rymowanki od kogoś, kto nie istnieje. Być może się pomyliłem i mała dziewczynka nie była wcale wytworem jego wyobraźni. Jake mógł się z nią pożegnać, ponieważ nie zorientował się, że wcześniej wyszła na zewnątrz. Ale przecież kiedy pojawiłem się w świetlicy, siedział sam przy stole. Pewnie jakieś dziecko robiło sobie z niego żarty i starało się go wystraszyć. Sądząc po jego przerażonej minie, całkiem skutecznie.

– Jake, przysięgam, nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

– Ale ktoś musi pilnować drzwi!

– Zgadza się – przyznałem mu rację. – To moje zadanie i nie musisz się niczego obawiać. Nie wiem, kto ci nagadał tych głupot. Posłuchaj uważnie. Nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego. Nigdy.

Patrzył na mnie z uwagą, ale nie miałem pojęcia, czy udało mi się go przekonać.

– Przysięgam! Wiesz, dlaczego nie dam cię skrzywdzić? Bo bardzo cię kocham. Nawet kiedy się kłócimy.

Leciutko się uśmiechnął.

– Wierzysz mi? – zapytałem.

Skinął głową i trochę się uspokoił.

– To dobrze. – Zmierwiłem mu włosy i wstałem z podłogi. – Dobranoc, skarbie.

– Dobranoc, tato.

– Zajrzę do ciebie jeszcze raz za pięć minut.

Zgasilem światło i zszedłem na dół, starając się nie robić hałasu. Jednak zamiast usiąść wygodnie na kanapie, zatrzymałem się w korytarzu.

„Jeśli drzwi nie zamkniesz w porę, szeptać zaczniesz ktoś wieczorem”.

Straszne bzdury. Nie miałem bladego pojęcia, kto mu to powiedział. W słowach tych kryło się coś niepokojącego. Na dodatek nie mogłem zapomnieć o rysunku, na którym mała dziewczynka z włosami sterczącymi w jedną stronę i dziwnym uśmiechem na twarzy siedzi razem z Jakiem w jego pokoju i szepcze mu do ucha jakieś przerażające głupoty.

Tego wieczoru zamknąłem drzwi na łańcuch.

Rozdział 10

Komisarz Pete Willis spędził weekend w okolicach Featherbank. Przechadzał się po otaczających miasteczko polach i grzebał kijem w rosnących gdzieniegdzie zaroślach. Sprawdzał też żywopłoty, a kiedy miał pewność, że nikt go nie widzi, kładł się na ziemi i przeczesywał palcami trawę.

Miejscowi brali go zapewne za włóczęgę, ale nie miał nic przeciwko temu. Sam również tak o sobie myślał. Ostatnio traktował te ekspedycje jak zwykłe spacer, które miały być jednym ze sposobów na zabicie czasu. Czuł się starym człowiekiem. W końcu od tragicznych wydarzeń minęło już dwadzieścia lat, a on ciągle starał się zachować czujność. Zamiast cieszyć się pięknem otaczającego go krajobrazu, niestrudzenie wpatrywał się w ziemię w poszukiwaniu kawałków kości albo skrawków starego materiału.

Niebieskie spodnie od dresu i czarna koszulka polo.

Z jakiegoś powodu zawsze zwracał uwagę na ubrania.

Mimo upływu czasu nie był jednak w stanie wymazać z pamięci przerażających obrazów, które zobaczył w przybudówce Franka Cartera. Kiedy już po wszystkim wracał do biura, wciąż nie mógł przestać o nich myśleć. Dopiero przechodząc przez rozsuwane drzwi komisariatu, poczuł ulgę. Zginęło czterech chłopców i chociaż morderca wciąż pozostawał na wolności, wiadomo było, z kim mają do czynienia. Znali jego prawdziwą tożsamość i nie musieli posługiwać się pseudonimem ukutym przez media. Pete był pewien, że Carter zostanie wkrótce aresztowany i więcej ofiar nie będzie.

Wtedy wydawało się, że wszystko szybko się skończy.

W recepcji czekali Miranda i Alan Smith. Nawet teraz miał tę scenę przed oczami. Alan był ubrany w garnitur i siedział sztywny, jakby połknął kij.

Patrzył przed siebie pustym wzrokiem i trzymał ręce na kolanach. Miranda wcisnęła dłonie między uda i opierała głowę na ramieniu męża. Jej długie brązowe włosy opadały luźno na jego pierś. Było późne popołudnie. Oboje wyglądali na bardzo zmęczonych; przypominali parę podróżników, którzy przyjechali z daleka i za wszelką cenę starają się nie zasnąć.

Chcieli zgłosić zaginięcie swojego syna, Tony'ego.

Chociaż minęło już dwadzieścia lat, Tony do dzisiaj się nie odnalazł.

Frank Carter ukrywał się jeszcze przez półtora dnia, a potem został aresztowany. Policjanci zatrzymali jego furgonetkę na wiejskiej drodze, prawie sto pięćdziesiąt kilometrów od Featherbank. Ekspertyza sądowa wykryła ślady potwierdzające, że Tony Smith był przetrzymywany w aucie Cartera, ciała jednak nie znaleziono. Carter przyznał się do morderstwa, ale odmówił wskazania miejsca, w którym ukrył zwłoki chłopca.

Przez kolejne tygodnie przeszukano dokładnie wszystkie trasy, które mógł pokonać Carter. Nadaremnie, nie zostawił żadnych śladów. Pete osobiście brał udział w części poszukiwań. Z czasem akcja straciła rozpęd i dwie dekady później na placu boju pozostał jedynie komisarz Willis. Nawet rodzice chłopca postanowili pogodzić się z tragedią. Mieszkali teraz daleko od Featherbank. Gdyby Tony żył, miałby teraz dwadzieścia siedem lat. Pete wiedział, że jakiś czas po dramatycznych wydarzeniach Miranda urodziła córkę. Claire właśnie skończyła szesnaście lat. Trudno było winić Smithów za to, że po śmierci syna zaczęli wszystko od początku, jednak Pete wciąż nie potrafił odpuścić.

Zapodział się gdzieś mały chłopiec i zadaniem policji było go odnaleźć.

Kiedy wracał samochodem do Featherbank, mijane po drodze domy wyglądały wyjątkowo spokojnie. W oknach paliło się światło i można było sobie wyobrazić, że w środku toczą się rozmowy i co chwilę ktoś wybucha śmiechem.

Ludzie spędzali razem czas. Tak właśnie powinno być.

Ta myśl sprawiła, że Pete poczuł się samotny. Zdawał sobie jednak sprawę, że praktycznie we wszystkim można znaleźć przyjemność, nawet

w życiu w pojedynkę. Wzdłuż drogi rosły ogromne drzewa. Liście skrywała ciemność, ale w niektórych miejscach uliczne latarnie podświetlały zielony baldachim, sprawiając, że nad samochodem pojawiały się żółtoszmaragdowe eksplozje kolorów, lekko falujące w delikatnym wietrze. W miasteczku panowały wyjątkowa cisza i spokój. Trudno uwierzyć, że właśnie tutaj Frank Carter popełnił serię krwawych zbrodni.

Na końcu ulicy, przy której mieszkał Pete, stał słup z przyczepioną ulotką informującą o zaginięciu małego chłopca. Było to jedno z wielu ogłoszeń, które rodzina Neila Spencera rozwiesiła w okolicy w poprzednich tygodniach. Znajdowało się na nich zdjęcie, szczegółowy opis ubrania i apel do świadków o przekazywanie policji informacji związanych ze sprawą. Zarówno fotografia, jak i tekst zdążyły już wyblaknąć na słońcu. Przejeżdżając obok ogłoszenia, Pete pomyślał o przywiedłych kwiatkach przyniesionych na miejsce tragicznego wypadku. Można było odnieść wrażenie, że mały chłopiec znika po raz drugi, tym razem z ludzkiej pamięci.

Od jego zaginięcia minęły prawie dwa miesiące i chociaż w akcję poszukiwawczą zaangażowano ogromne środki, a funkcjonariusze wkładali w swoją pracę serca i dusze, nie doszło w śledztwie do żadnego przełomu. Policja miała niewiele więcej informacji niż w dniu, gdy Neil nie wrócił wieczorem do domu. Pete był przekonany, że Amanda Beck zrobiła wszystko, jak należy. O jej kompetencjach świadczył choćby fakt, że inspektor Lyons, człowiek, który bardzo dbał o swoją reputację, nie wydał jej na pożarcie mediom i pozwolił, by nadal prowadziła dochodzenie. Ostatnim razem, kiedy Pete natknął się na nią w korytarzu, wyglądała na tak przemęczoną, że zaczął się zastanawiać, czy dalsze nadzorowanie tej sprawy nie jest przypadkiem dla niej rodzajem kary.

Chciałby powiedzieć, że z czasem będzie łatwiej, ale nie był w stanie zmusić się do kłamstwa.

Po rozmowie w gabinecie szefa Pete szczegółowo opowiedział Amandzie o sprawie Franka Cartera. Szybko okazało się jednak, że wbrew swoim przypuszczeniom komisarz nie musi się za bardzo angażować w obecnie prowadzone śledztwo. Początkowo bał się kolejnego spotkania z mordercą. Wyobrażał sobie, że znowu siada przy stole naprzeciwko tego potwora i pozwala się traktować jak zabawkę. Zastanawiał się, czy ma w sobie wystarczająco dużo siły, żeby ponownie przez to przechodzić. Całe szczęście,

nie było to konieczne. Chyba po raz pierwszy Carter odmówił. Wychodziło na to, że w zaistniałej sytuacji Szeptacz wybrał milczenie.

W przeszłości Pete widział się z nim kilka razy i chociaż przygotował się, że znowu stawi mu czoło, to bardzo mu ulżyło, kiedy Carter nie zgodził się na spotkanie. Rzecz jasna, czuł lekki wstyd i miał poczucie winy, ale szybko zdusił w sobie niepotrzebne emocje. Wizyta w więzieniu na pewno odbiłaby się na jego zdrowiu. Poza tym, jedyną rzeczą łączącą Cartera ze sprawą było zeznanie matki chłopca, który jakoby widział i słyszał kogoś przez okno sypialni. Mało prawdopodobne, by spotkanie z Szeptaczem rzuciło na to wszystko nowe światło.

Pete nie powinien mieć do siebie pretensji. Ulga to była właściwa reakcja.

Po powrocie do domu rzucił klucze na stół i zaczął się zastanawiać, co przyrządzić na kolację i jakie programy obejrzeć w telewizji, zanim za kilka godzin pójdzie do łóżka. Jutro rano czeka go siłownia, a potem praca papierkowa i sprawy administracyjne. Dzień jak co dzień.

Jednak na razie musiał odprawić swój rytuał.

Otworzył kuchenną szafkę i wyjął z niej butelkę wódki, po czym zaczął obracać flaszkę w dłoniach, jak gdyby ją ważył i sprawdzał grubość szkła. Od znajdującego się w środku jedwabistego płynu oddzielała go solidna bariera. Bardzo dawno nie otwierał takiej butelki, ale wciąż pamiętał charakterystyczny dźwięk powstający w momencie odkręcania metalowej nakrętki.

Potem wyciągnął z szuflady fotografię, usiadł przy stole i zadał sobie podstawowe pytanie:

Czy na pewno chcę to zrobić?

Z upływem lat ochota była raz większa, raz mniejsza, ale zawsze czuł pociąg do alkoholu. Rzecz jasna, zdawał sobie sprawę, że niektóre wydarzenia mogą być czymś w rodzaju zapalnika. Czasem chęć sięgnięcia po kieliszek pojawiała się jednak zupełnie niespodziewanie, jakby kierując się sobie tylko znanym harmonogramem. Całe szczęście, przez większość czasu butelka nie budziła w nim żadnych emocji. Była pozbawiona mocy jak

nienaładowany telefon komórkowy. Niestety, sporadycznie zapalało się światełko ostrzegawcze. Teraz świeciło naprawdę mocno – nie pamiętał, żeby pragnienie, by się napić, było aż tak silne. Miał wrażenie, że przez ostatnie dwa miesiące schowana w szafce butelka coraz głośniejsze do niego mówi:

Tylko odsuwasz w czasie to, co nieuniknione.

Dlaczego sobie nie ulżysz? Po co się tak męczyć?

Butelka powinna być pełna. To naprawdę ważne. Picie z napoczętej flaszki nie podnosiło tak bardzo na duchu jak raczenie się alkoholem zaraz po otwarciu nowej. Tylko wtedy można było mieć pewność, że wódki będzie tyle, ile trzeba.

Walcząc z pokusą, delikatnie pogładził szyjkę butelki, po czym objął palcami metalową nakrętkę. Wiedział, że wystarczy trochę więcej siły, żeby blokada ustąpiła.

Podдай się. Opór nie ma sensu.

Będiesz się czuł jak bezwartościowy śmieć, ale przecież dobrze wiem, że jesteś bezwartościowym śmieciem.

Głos bywał przyjazny, a po chwili stawał się bardzo okrutny. Z łatwością przechodził z jednego tonu w zupełnie inny.

Jesteś zerem. Do niczego się nie nadajesz.

Otwieraj butelkę!

Zazwyczaj był to głos ojca. Umarł dawno temu, ale nawet czterdzieści lat później Pete z łatwością go sobie wyobrażał: gruby facet z wyrazem pogardy na twarzy, siedzący w salonie na wysłużonym fotelu. Nic, co zrobił jego syn, nie było wystarczająco dobre. Pete często słyszał, że do niczego się nie nadaje i jest kimś całkowicie bezwartościowym. Nauczył się tych określeń już w bardzo wczesnym dzieciństwie.

Z czasem zrozumiał, że ojciec to słaby człowiek, całkowicie rozczarowany każdym aspektem swojego życia. Syn był dla niego workiem treningowym, na którym mógł wyładowywać własne frustracje. Niestety, świadomość tego, kim jest jego ojciec, przyszła za późno. Pete zdążył nasłuchać się obelg, które wryły się mocno w jego psychikę. Chociaż zdawał sobie sprawę, że nie jest zerem, często tak właśnie się czuł. Potrafił

racjonalnie wyjaśnić stojący za tym mechanizm psychologiczny, lecz na niewiele się to zdawało.

Wziął do ręki zdjęcie Sally. Zostało zrobione wiele lat temu; kolory zdążyły już wyblaknąć, jak gdyby papier chciał usunąć wywołany na nim obraz i wrócić do swojego pierwotnego stanu. Sally i Pete stali obok siebie przytuleni i naprawdę wyglądali na szczęśliwych. Fotografia została zrobiona latem. Sally szeroko się uśmiechała, była pełna radości, a Pete lekko mrużył oczy oślepiiony blaskiem słońca.

Właśnie to straciłeś przez alkohol.

Naprawdę nie warto.

Przez kilka minut siedział przy stole, powoli oddychając. Wreszcie odstawił butelkę i zdjęcie, po czym zabrał się do przygotowania kolacji. Łatwo mógł się domyślić, dlaczego w ciągu ostatnich tygodni miał większą ochotę na kieliszek. Dobrze, że nie musiał angażować się w nowe śledztwo. Należało uzbroić się w cierpliwość. Wiedział, że pociąg do alkoholu zacznie stopniowo słabnąć.

A potem minie.

Rozdział 11

Tego wieczoru, tak jak zawsze, miałem problemy z zaśnięciem.

Trudno w to uwierzyć, ale dawno temu, kiedy wychodziła moja nowa powieść, jeździłem na spotkania promocyjne i podpisywałem książki. Zwykle wybierałem się w podróż sam i leżałem potem w pokoju hotelowym, tęskniąc za rodziną. Kiedy nie było przy mnie Rebekki, często cierpiałem na bezsenność.

Teraz sprawy miały się jeszcze gorzej, ponieważ wiedziałem, że moja żona już nigdy więcej nie będzie mi towarzyszyć. W przeszłości mogłem wyciągnąć ramię na pustym hotelowym łóżku i wyobrazić sobie, że ona robi to samo, leżąc w naszym domu. W takich chwilach wydawało mi się, że czuję jej obecność. Kiedy umarła, pod palcami zostało mi tylko zimne prześcieradło. Liczyłem, że w nowym domu wszystko się zmieni, ale wcale tak się nie stało. W starym łóżku było mi lepiej, ponieważ wiedziałem, że Rebecca naprawdę w nim kiedyś spała.

Przewracałem się więc z boku na bok, zżerany przez tęsknotę. Chociaż nie żałowałem decyzji o przeprowadzce, zdawałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej Rebecca nie była ode mnie tak daleko. To okropne, że ją zostawiłem. Wyobrażałem sobie jej ducha błakającego się po naszym starym domu. Wyglądała przez okna, zastanawiając się, gdzie podziła się jej rodzina.

Przypomniałem sobie o małej dziewczynce, wyimaginowanej koleżance Jake'a. Wciąż miałem przed oczami jego rysunek. Z całej siły starałem się o nim zapomnieć, skupiając się na tym, jak spokojnym miasteczkiem jest Featherbank. Za zasłoniętymi oknami panowała cisza i nie czaiło się niebezpieczeństwo. Z innych pokoi nie dochodziły żadne niepokojące odgłosy.

Trochę się uspokoiłem i po pewnym czasie udało mi się w końcu zapaść

w sen.

Roztrzaskujące się szkło.

Wrzask mojej matki.

Czyjś krzyk.

– Tato!

Obudziłem się nagle z koszmarnego snu. Byłem zdezorientowany i dopiero po chwili dotarło do mnie, że woła mnie Jake. Musiałem coś zrobić.

– Poczekaj! – zawołałem.

Stojący obok łóżka cień poruszył się, a mnie ze strachu serce podeszło do gardła. Błyskawicznie usiadłem.

– Jake, to ty?

Ciemny kształt przesunął się trochę w bok. Zawahałem się, czy to na pewno mój syn, ale po chwili rozpoznałem kształt jego fryzury. Nie widziałem jednak twarzy, która była całkowicie ukryta w mroku.

– Dlaczego tu przyszedłeś? – Serce ciągle waliło mi jak młotem. W głowie miałem pozostałości koszmaru i byłem całkowicie otumaniony. – Jeszcze za wcześnie, żeby wstawać. Dużo za wcześnie.

– Mogę z tobą spać?

– Co takiego?

Nigdy wcześniej nie przychodził do naszego łóżka. Zdarzało mu się sugerować, że ma na to ochotę, ale ja i Rebecca zawsze stanowczo mu odmawialiśmy. Uważaliśmy bowiem, że jednorazowa zgoda stanie się niebezpiecznym precedensem.

– Dobrze wiesz, że to wykluczone.

– Proszę.

Zorientowałem się, że celowo mówi ściszym głosem, jak gdyby w pokoju obok ktoś siedział i mógł nas podsłuchiwać.

– Coś się stało? – zapytałem.

– Słyszałem hałas.

– Hałas?

– Za moim oknem jest potwór.

Na chwilę zaległa cisza. Przypomniałem sobie rymowaną, którą wyrecytowałem przed pójściem do łóżka. Była w niej mowa o drzwiach. Poza tym to niemożliwe, żeby ktoś czał się za oknem. Przecież nasze sypialnie znajdowały się na pierwszym piętrze.

– Musiało ci się przyśnić.

Pokręcił głową.

– Obudziłem się. Podeszedłem do okna i wtedy hałas zrobił się głośniejszy. Chciałem rozsunąć zasłony, ale za bardzo się bałem.

Zobaczyłbyś ciemne pole po drugiej stronie drogi, pomyślałem. Nic więcej. Był jednak tak przestraszony, że nie mogłem mu tak odpowiedzieć.

– W porządku. – Wstałem z łóżka. – Chodźmy sprawdzić.

– Lepiej tego nie róbmy, tato.

– Jake, nie boję się potworów.

Wyszliśmy razem na korytarz i zapaliłem światło przy schodach. W sypialni Jake'a nie nacisnąłem jednak włącznika, tylko po ciemku zbliżyłem się do okna.

– A co, jeśli tam ktoś będzie? – spytał.

– Nie będzie.

– Ale gdyby?

– Jakoś sobie poradzę.

– Walniesz go pięścią w twarz?

– Właśnie tak. Ale nikogo tam nie ma.

Niestety, nie czułem się wcale taki pewny siebie. Zasłonięte okno wyglądało naprawdę złowieszczo. Zacząłem nasłuchiwać, ale panowała kompletna cisza. Wykluczone, żeby ktoś czał się po drugiej stronie.

Szarpnąłem za zasłonę.

Nic. Tylko niewyraźnie rysująca się w ciemnościach ścieżka i kawałek ogrodu, a dalej pusta droga i czarne pole ciągnące się aż po horyzont. W szybie zobaczyłem też niewyraźne odbicie własnej twarzy z niepokojem

wpatrującej się we wnętrze pokoju. Nie zauważyłem niczego podejrzanego. W odróżnieniu ode mnie cały świat wydawał się pogrążony w spokojnym śnie.

– Sam widzisz. – Starłem się zapanować nad nerwami i mówić bez emocji. – Nikogo tu nie ma.

– Ale był.

Zasunąłem zasłony i uklęknąłem na podłodze.

– Czasami sny mogą się wydawać bardzo realistyczne, ale w jaki sposób ktoś znalazł się za twoim oknem, skoro masz sypialnię na piętrze?

– Mógł wspiąć się po rynnie.

Już miałem mu odpowiedzieć, ale przypomniałem sobie, jak wygląda fasada domu i że obok pokoju Jake’a rzeczywiście biegnie rynna. Przyszła mi do głowy zupełnie absurdalna myśl. Jeżeli drzwi będą zamknięte na klucz i łańcuch, potwór będzie szukał innego sposobu, by dostać się do środka.

Co za bzdury!

– Nikogo tam nie ma, Jake.

– Mogę dzisiaj spać z tobą w łóżku? Bardzo cię proszę.

Cicho westchnąłem. Wiedziałem, że nie zostawię Jake’a samego. Było już za późno na dyskusję. A może za wcześnie. Trudno powiedzieć. Uznałem, że łatwiej będzie po prostu ustąpić.

– Zgoda, ale tylko przez tę jedną noc. I żadnego wiercenia.

– Dziękuję! – Wziął Teczke z Bardzo Ważnymi Rzeczami i ruszył w kierunku mojej sypialni. – Obiecuję, że nie będę się wiercił.

– Trzymam cię za słowo. A co z zabieraniem kołdry?

– Też nie będę tego robił.

Wyłączyłem światło w korytarzu i położyliśmy się do łóżka. Jake usadowił się po stronie, którą zajmowała kiedyś Rebecca.

– Tato? – zapytał. – Czy wcześniej miałeś koszmar?

Roztrzaskujące się szkło.

Wrzask mojej matki.

Czyjś krzyk.

– Tak – powiedziałem. – Tak mi się wydaje.

– Co ci się śniło?

Nie pamiętałem dokładnie, ale koszmar był ściśle związany z konkretnymi wydarzeniami z dzieciństwa. W pamięć wryła mi się następująca scena: powoli skradam się do drzwi prowadzących do kuchni w domu, w którym dorastałem. We śnie było już późno i obudził mnie hałas dochodzący z parteru. Zaciągnąłem kołdrę na głowę i leżałem w łóżku, udając, że nic się nie dzieje. Serce waliło mi jak młotem i zdawałem sobie sprawę, że staram się oszukać samego siebie. W końcu zszedłem po schodach, stawiając ostrożnie każdy krok. Bałem się i wołałem nie znać prawdy, ale jednocześnie coś mnie przyciągało i nie byłem w stanie oprzeć się pokusie. Czułem się mały i bezbronny.

Szedłem ciemnym korytarzem i powoli zbliżałem się do rozświetlonej kuchni. Słyszałem rozmowę. Moja mama była zdenerwowana, ale zachowywała się cicho, jak gdyby myślała, że wciąż śpię. Najwyraźniej starała się mnie nie obudzić. Ojciec niczym się nie przejmował i perorował coś podniesionym głosem. Nie mogłem nic zrozumieć, ponieważ mówili jednocześnie. Wiedziałem jednak, że to kłótnia, wyraźnie zmierzająca do punktu kulminacyjnego. Czułem, że za chwilę stanie się coś złego.

Podszedłem do drzwi.

Szarpnąłem za klamkę i zobaczyłem wykrzywioną twarz ojca, który z wściekłością chwyta szklankę i rzuca nią z całej siły w moją mamę. Ona próbuje zrobić unik, ale jest za późno i słyszę przerażający krzyk.

Nigdy więcej nie zobaczyłem swojego taty.

Minęło wiele lat, a ja wciąż nie mogłem o tym zapomnieć. Miałem wrażenie, że złe wspomnienia od czasu do czasu wyciągają szpony i chwytają mnie mocno za serce.

– Stare sprawy – powiedziałem Jake’owi. – Może kiedyś ci opowiem, ale nie ma się czym przejmować. Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło.

– A co się stało?

– Pojawili się ty.

– Ja?

– Tak. – Zmierziłem mu włosy. – I idziesz teraz spać.

Zamknąłem oczy i leżeliśmy obok siebie tak długo, aż nabrałem pewności, że Jake zapadł w sen. W pewnym momencie wyprostowałem rękę i położyłem ją na kołdrze na jego brzuchu. Chciałem mieć pewność, że mój syn ciągle tam jest. Byliśmy razem. Moja mała poraniona rodzina.

– Słyszałem szeptanie – wymamrotał nagle.

– Co takiego?

– Szeptanie.

Miał niewyraźny głos, zupełnie jakby mówił z oddali. Byłem niemal pewien, że majaczy.

– Ktoś szeptał pod moim oknem.

Rozdział 12

– Musisz się pospieszyć.

Właśnie te słowa wyszeptała przez telefon Jane Carter. Mówiła cichym, ale stanowczym głosem, jak gdyby to, co miała do przekazania, było najstraszniejszą rzeczą na świecie.

Mimo wszystko zdecydowała się mówić.

Pete siedział przy biurku i czuł, że puls wyraźnie mu przyspieszył. Podczas śledztwa wielokrotnie rozmawiał z żoną Franka Cartera. Celowo kręcił się w okolicach jej miejsca pracy albo, niby przypadkiem, wpadał na nią na ruchliwej ulicy. Zawsze starał się wybierać odpowiedni moment. Nie chciał, żeby ktoś poinformował o tych spotkaniach jej męża. Wyglądało to trochę tak, jak gdyby starał się zwerbować agenta.

Jane zapewniała Frankowi alibi i zawsze stawiała w jego obronie. Po prostu panicznie się go bała. Pete dość szybko to odkrył. Miała ku temu ważne powody i musiał się nieźle natrudzić, żeby zmieniła zdanie. Za wszelką cenę usiłował ją przekonać, że może mu zaufać. Chciał, żeby wycofała zeznania i powiedziała prawdę o swoim mężu: „Porozmawiaj ze mną, Jane. Zrobię wszystko, żeby Frank już nigdy więcej nie skrzywdził ani ciebie, ani twojego syna”.

Wreszcie się udało. Przez te wszystkie lata była tak bardzo zastraszona, że kiedy w końcu zadzwoniła na policję, potrafiła jedynie szeptać do słuchawki. Pete wiedział, że prawdziwa odwaga polega na przełamywaniu własnych lęków. Nie jest to łatwe nawet pod wpływem adrenaliny. W pełni docenił heroizm Jane dopiero wtedy, kiedy śledztwo zbliżyło się do tragicznego finału.

– Wpuszczę cię do środka – wymamrotała pod nosem – ale musisz się pospieszyć. Nie mam pojęcia, kiedy wróci do domu.

Okazało się, że nie wrócił już nigdy. Po godzinie na miejscu zaroilo się od policjantów i techników kryminalistyki. Ogłoszono stan pogotowia i rozpoczęto gorączkowe poszukiwania Cartera i jego furgonetki.

Zaraz po telefonie Pete wiedział, że nie ma ani chwili do stracenia. Dotarł do domu Carterów w ciągu zaledwie trzech minut. Wydawało mu się, że to najdłuższe trzy minuty jego życia. Chociaż na zewnątrz czekały posiłki, czuł się zdany sam na siebie i ogarnął go strach. Miał wrażenie, że jest postacią z bajki, która przybyła do jaskini potwora. Jaskinia jest pusta, ale lokator może w każdej chwili wrócić.

Patrzył, jak Jane ukradzionym kluczem próbuje otworzyć drzwi do przybudówki. Drżały jej ręce, ale w końcu się udało. W całym domu panowała cisza, a na wszystkim spoczywał złowrogi cień.

– Odsuńcie się, proszę.

Jane stała na środku kuchni, a syn chował się za nią. Pete założył rękawiczki i z całej siły pchnął drzwi.

Nie.

Od razu poczuł smród gnijącego mięsa. Włączył latarkę i wtedy zobaczył serię obrazów, które miały go potem długo prześladować. Z mroku wyłoniły się kadry rozświetlone na chwilę, jak gdyby ktoś włączył lampę błyskową.

Nie.

Jeszcze nie teraz.

Potem podniósł rękę i przesunął snop światła po ścianach. Były pomalowane na biało, ale Carter ozdobił je dość prymitywnymi rysunkami przedstawiającymi zielone źdźbła trawy i latające wśród nich motyle. Bliżej sufitu znajdowała się żółta plama. To było zapewne słońce, na którym Carter naszkicował twarz z czarnymi martwymi oczami spoglądającymi złowieszczo na podłogę.

Pete podążył za tym spojrzeniem i skierował latarkę w dół.

Było mu coraz trudniej oddychać.

Od trzech miesięcy szukał zaginionych dzieci i chociaż dopuszczał możliwość, że wszystko skończy się właśnie w takim miejscu, nigdy nie stracił nadziei na bardziej optymistyczny finał. Niestety, stał teraz w ciemnym śmierdzącym pomieszczeniu i miał przed sobą cztery ciała, które

wyglądały jednocześnie zupełnie abstrakcyjnie i bardzo realnie. Duże lalki ludzkich rozmiarów, które ktoś popsuł i poukładał na podłodze. Siedziały nieruchomo w ubraniach. Ich twarze były zasłonięte podciągniętymi do góry T-shirtami.

Najgorsze w dręczącym go koszmarze było to, że przez te wszystkie lata Pete zdążył się do niego przyzwyczaić i wcale nie zrywał się z łóżka zlany potem.

Zadzwonił budzik.

Przez kilka sekund Pete leżał, żeby się uspokoić. Odpędzenie złych wspomnień było jak próba rozproszenia gęstej mgły. Doskonale wiedział, że koszmar powrócił za sprawą ostatnich wydarzeń. Miał nadzieję, że z czasem wszystko się uspokoi i znowu będzie mógł beztrudnie spać. Wyłączył budzik.

Siłownia, pomyślał. A potem praca papierkowa i sprawy administracyjne. Codzienna rutyna.

Wziął prysznic, ubrał się, spakował torbę treningową, a kiedy schodził do kuchni, żeby zrobić kawę i zjeść lekkie śniadanie, nie pamiętał już o nocnych majakach i znowu miał wszystko pod kontrolą. To był tylko niemiły przerywnik, nic więcej. Rozgrzebywanie starych spraw uwolniło duchy przeszłości, lecz sytuacja wkrótce się uspokoi, a chęć sięgnięcia po kieliszek osłabnie. Krótko mówiąc, wszystko wróci do normy.

Dopiero kiedy zaniósł do salonu talerz ze śniadaniem, zobaczył, że na telefonie mruga czerwone światełko. Nieodebrane połączenie. Ktoś zostawił wiadomość.

Wybrał numer poczty głosowej i zaczął powoli przeżuwać jedzenie.

Kiedy usłyszał nagranie, ścisnęło go w gardle i z trudem przełykał kolejne kęsy.

Po dwóch miesiącach Frank Carter zgodził się spotkać z komisarzem Pete'em Willisem.

Rozdział 13

– Stań przy ścianie – powiedziałem. – Trochę na prawo. Nie! Na moje prawo! Jeszcze. Teraz dobrze. Proszę o uśmiech.

To był pierwszy dzień w nowej szkole. Miałem wrażenie, że jestem bardziej zdenerwowany niż Jake. Ile razy można sprawdzać szuflady? Chciałem mieć pewność, że ubrania leżą na swoim miejscu, a przybory są podpisane. Gdzie jest plecak na książki i bidon? Trzeba pamiętać o tylu różnych rzeczach. Bardzo mi zależało, żeby wszystko poszło perfekcyjnie.

– Mogę się już ruszyć, tato?

– Poczekaj.

Trzymałem w górze telefon, a Jake stał przed jedyną pustą ścianą w swojej sypialni. Miał na sobie szkolny mundurek: szare spodnie, białą koszulę i niebieski pulower, rzecz jasna, podpisane imieniem i nazwiskiem. Zrobił słodką minę i niepewnie się uśmiechnął. W tym stroju wyglądał wyjątkowo dojrzałe, ale wciąż było w nim coś delikatnego i bezbronnego.

Kilka razy stuknąłem palcem w ekran.

– Gotowe.

– Mogę zobaczyć?

– Oczywiście.

Przyklęknałem, a Jake pochylił się nad moim ramieniem, żeby obejrzeć zrobione przed chwilą zdjęcia.

– Nieźle wyszło – powiedział lekko zdziwiony.

– Wyglądasz godnie – oznajmiłem.

I tak właśnie było. Starłem się cieszyć chwilą, chociaż jednocześnie czułem smutek, ponieważ brakowało mi Rebekki. Jak większość rodziców zawsze robiliśmy zdjęcia pierwszego dnia nowego roku szkolnego, ale

ostatnio zmieniłem telefon i dopiero na początku tygodnia zdałem sobie sprawę, co to oznaczało. Straciłem wszystkie fotografie. Niczego nie dało się odzyskać. Co gorsza, wiedziałem, że Rebecca również robiła zdjęcia swoim telefonem, nie potrafiłem jednak uzyskać do nich dostępu. Wpatrywałem się w jej starą komórkę, starając się jakoś pogodzić z sytuacją. Rebecca zniknęła z mojego życia i tak samo stało się z naszymi wspomnieniami.

Próbowałem wmówić sobie, że nie ma to większego znaczenia. Dostałem wiele kopniaków od losu i w ostatecznym rozrachunku ten nie wydawał się szczególnie nieprzyjemny. Mimo to bolało. Czułem, że znowu zawiodłem.

Nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Zbieramy się, Jake.

Zanim wyszliśmy, zgrałem zdjęcia na chmurę.

Szkoła podstawowa Rose Terrace mieściła się w dużym niskim gmachu oddzielnym od ulicy metalowym ogrodzeniem. Główna część była stara i całkiem ładna: parterowy budynek pokryty spiczastym dachem. Nad oddzielnymi drzwiami wejściowymi wyryto w czarnym kamieniu napisy: *Chłopcy* i *Dziewczęta*. Nowsze znaki unieważniały jednak ten konserwatywny podział z czasów wiktoriańskich i wskazywały na wejścia dla dzieci w różnym wieku. Przed zapisaniem Jake'a zostałem oprowadzony po całym terenie. W środku znajdował się przestronny korytarz z drewnianą podłogą, z którego wchodziło się do poszczególnych klas. Na ścianach pomiędzy drzwiami wisiały kolorowe odciski dłoni byłych uczniów z zapisanymi poniżej datami ukończenia przez nich szkoły.

Podeszliśmy razem z Jakiem do ogrodzenia.

– Podoba ci się?

– Jeszcze nie wiem.

Trudno go winić za brak zdecydowania. Na dziedzińcu roilo się od dzieci. Obok stali rodzice podzieleni na małe grupy. Był pierwszy dzień nowego roku szkolnego, ale wszyscy świetnie się znali z poprzednich dwóch lat. Za chwilę mieliśmy wejść na całkowicie obcy teren. Stara szkoła była znacznie większa i było się w niej bardziej anonimowym. Miałem wrażenie, że tutaj

uczniów i rodziców łączą o wiele bliższe więzi. Bałem się, że już zawsze będziemy się czuć jak outsiderzy. Obym się mylił. Bardzo mi zależało, żeby Jake szybko odnalazł się w nowym środowisku.

Lekko ścisnąłem go za rękę.

– Chodźmy – powiedziałem. – Trzeba być odważnym.

– Ale ja się nie boję, tato.

– Mówiłem o sobie.

To był żart, ale tylko w połowie. Za pięć minut miały się otworzyć drzwi i wiedziałem, że powinienem porozmawiać z innymi rodzicami, żeby nawiązać jakieś kontakty. Niestety, obleciał mnie strach i stałem nieruchomo, opierając się o ścianę.

Jake lekko zagryzł wargi i nie odstępował mnie ani na krok. Patrzyłem, jak inne dzieci radośnie biegają po dziedzińcu. Chciałem, żeby do nich dołączył i również dobrze się bawił.

Do niczego go nie zmuszaj. Niech będzie sobą, skarciłem się w myślach.

To powinno wystarczyć, prawda?

W końcu w drzwiach podpisanych *Klasy I–III* stanęła uśmiechnięta nauczycielka. Dzieci zaczęły się ustawiać i zakładać puste plecaki. Był pierwszy dzień zajęć, więc uczniowie nie mieli jeszcze podręczników. Jake wziął jednak ze sobą Teczka z *Bardzo Ważnymi Rzeczami*. Nie mogłem wybić mu tego pomysłu z głowy.

Podąłem mu plecak i bidon.

– Będziesz pilnował swoich rzeczy, dobrze?

– Tak.

Boże, oby niczego nie zgubił. Na samą myśl, że mógłby utracić swój skarb, zrobiło mi się słabo. Teczka dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Zdawałem sobie sprawę, że za nic w świecie nie zostawiłby jej w domu.

Ruszył w stronę dzieci ustawiających się w kolejkę.

– Kocham cię – wyszeptałem.

– Ja ciebie też, tato.

Stałem przed szkołą i patrzyłem, jak uczniowie po kolei wchodzą do

środku. Miałem nadzieję, że w pewnym momencie Jake odwróci się i do mnie pomacha. Nie zrobił tego. To chyba dobry znak. Nie starał się mnie kurczowo trzymać i pokazał, że nie boi się nowych sytuacji. Był w stanie sam stawić czoło wyzwaniu. Nie potrzebował otuchy.

Szkoda, że nie mogłem tego powiedzieć o sobie.

Błagam! Tylko się teraz nie rozklej.

– Nowy chłopak?

– Przepraszam?

Odwróciłem się. Obok mnie stała kobieta. Chociaż było dość ciepło, miała na sobie długi płaszcz i trzymała ręce w kieszeniach, jak gdyby chroniła się przed zimnym wiatrem. Jej długie opadające na ramiona włosy były ufarbowane na czarno, a po twarzy błąkał się delikatny uśmiech.

Nowy chłopak.

– Aha – powiedziałem. – Ma pani na myśli Jake’a? Tak, to mój syn.

– W zasadzie chodziło mi o was obu. Wyglądał pan na zaniepokojonego. Szczerze mówiąc, jestem pewna, że Jake świetnie sobie poradzi.

– To prawda. Też mi się tak wydaje. Kiedy wchodził do szkoły, nawet się nie odwrócił.

– Mój już od dawna tak nie robi. Teraz, jak już wejdziemy za ogrodzenie, przestaje zwracać na mnie uwagę. Na początku było mi przykro, ale po jakimś czasie się przyzwyczaiłam. To chyba dobrze. – Wzruszyła ramionami.

– Mam na imię Karen. A mój syn to Adam.

– Tom – przedstawiłem się. – Miło cię poznać. Karen i Adam? Muszę nauczyć się tych wszystkich nowych imion.

Szeroko się uśmiechnęła.

– Zajmie to trochę czasu, ale Jake z pewnością nie będzie miał z tym żadnych problemów. Przeprowadzka zawsze jest trudna, jednak do tej szkoły chodzą fajne dzieciaki. Adam zaczął w połowie roku szkolnego. To naprawdę dobra podstawówka.

Kiedy ruszyła w stronę bramy, starałem się zapamiętać imiona: Karen i Adam. Ta kobieta zrobiła na mnie dobre wrażenie i chciałem jej się jakoś odwdziżyć. Chociaż niewiele na to wskazywało, być może istniała szansa,

że zostanę jednym z normalnych rodziców, którzy ucinają sobie pogawędki na szkolnym dziedzińcu.

Wyciągnąłem telefon i włożyłem na głowę słuchawki. Wiedziałem, że podczas krótkiego spaceru do domu będę się denerwował czymś zupełnie innym. Przed śmiercią Rebekki napisałem mniej więcej jedną trzecią nowej powieści. W obliczu tragedii niektórzy pisarze szukają zapomnienia w pracy, ale ja od tamtej pory nawet nie zajrzałem do tekstu. Stary pomysł na książkę wydawał mi się teraz zupełnie nieciekawym i podejrzewałem, że będę musiał rzucić wszystko w diabły. Liczenie na to, że wrócę do pliku, którego od wieków nie ruszałem, byłoby z mojej strony czystym szaleństwem.

O czym mam jednak w takim razie pisać?

Po powrocie do domu włączyłem komputer, otworzyłem nowy dokument w Wordzie i zapisałem go pod nazwą *Złe pomysły*. Właśnie od tego zawsze zaczynałem. Dzięki świadomości, że biorę się do pracy od początku, poczułem się trochę lepiej, a napięcie psychiczne osłabło. Zawsze uważałem, że zrobienie sobie kawy nie jest oznaką kunktatorstwa. Poszedłem więc do kuchni i włączyłem czajnik, po czym oparłem się o blat i wyjrzałem przez okno wychodzące na ogródek za domem.

Stał tam jakiś facet.

Był do mnie odwrócony plecami i wydawało mi się, że grzebie przy kłódce zawieszanej na drzwiach garażu.

Co on, do cholery, wyprawiał?

Zacząłem stukać w szybę.

Mężczyzna podskoczył jak oparzony i błyskawicznie się odwrócił. Był niski, korpulentny, około pięćdziesiątki, z rzadkimi włosami okalającymi jego łysą głowę. Wyglądał bardzo schludnie: miał na sobie garnitur, szary płaszcz i szalik. Musiałem przyznać, że w niczym nie przypominał typowego włamywacza.

Zacząłem wymachiwać rękami i zrobiłem groźną minę. Przez chwilę na mnie patrzył. Był wyraźnie zaskoczony. Wreszcie odwrócił się i zniknął na podjeździe.

Zawahałem się, ciągle nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczyłem. Ruszyłem w stronę drzwi wejściowych, gotowy na konfrontację. Musiałem

się dowiedzieć, co jest grane.

Kiedy stanąłem w korytarzu, zadzwonił dzwonek.

Rozdział 14

Otworzyłem drzwi zdecydowanym ruchem. Mężczyzna stał w progu, na jego twarzy malowała się skrucha. Był jeszcze niższy, niż mi się wydawało, gdy obserwowałem go przez okno.

– Bardzo pana przepraszam za najście. – Mówił oficjalnym językiem, co pasowało do staroświeckiego garnituru. – Nie byłem pewien, czy ktoś jest w domu.

Istnieje prosty sposób, żeby to sprawdzić, pomyślałem. Wystarczy użyć dzwonka.

– Rozumiem. – Założyłem ręce na piersi. – Co mógłbym dla pana zrobić?

Mężczyzna, zakłopotany, przestępował z nogi na nogę.

– No cóż, mam do pana dość nietypową prośbę. Chodzi o ten dom. Spędziłem tutaj dzieciństwo. To było, rzecz jasna, wiele lat temu, ale wiążą się z tym miejscem bardzo miłe wspomnienia...

Na chwilę zamilkł.

– Okay – mruknąłem.

Podejrzewałem, że będzie kontynuował, ale on stał bez ruchu z wyczekującą miną, jak gdyby wszystko wyjaśnił. Czyżby uważał, że jasne sformułowanie prośby będzie czymś niezręcznym, a może nawet impertynenckim?

Wreszcie nie wytrzymałem i spytałem wprost:

– Chciałby pan wejść do środka i się rozejrzeć?

Z wdzięcznością skinął głową.

– Zdaję sobie sprawę, że strasznie się narzucam, ale będę panu za to niezmiernie wdzięczny. Przeżyłem w tych murach wiele wspaniałych momentów.

Posługiwał się tak formalnym słownictwem, że miałem ochotę wybuchnąć śmiechem. Powstrzymałem się jednak, ponieważ na samą myśl, że ten facet miałby łązić po moim domu, obleciał mnie strach. Był tak elegancko ubrany i zachowywał się w tak ostentacyjnie grzeczny sposób, że sprawiał wrażenie przebranego. Chociaż nie stanowił bezpośredniego zagrożenia, czułem jednak, że może być niebezpieczny. Od razu wyobraziłem sobie, jak wbija we mnie ostrze noża, patrząc mi prosto w oczy i oblizując usta.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

Kiedy wypowiedziałem te słowa, mężczyzna od razu zmienił wyraz twarzy i zniknęła gdzieś jego denerwująca przymilność. Wyglądał na lekko poirytowanego. Najwyraźniej był przyzwyczajony, że zawsze stawia na swoim.

– Wielka szkoda – jęknął zawiedziony. – Mogę się dowiedzieć dlaczego?

– Dopiero się wprowadziliśmy i wszędzie stoją pudła z naszymi rzeczami.

– Rozumiem. – Leciutko się uśmiechnął. – W takim razie może przy następnej okazji?

– Raczej nie. Nie mam ochoty, żeby po moim domu kręcili się obcy ludzie.

– Bardzo mi przykro.

– Dlaczego próbował pan dostać się do mojego garażu?

– Nic takiego nie miało miejsca. – Zrobił krok do tyłu. Tym razem wyglądał na wyraźnie urażonego. – Po prostu pana szukałem.

– W zamkniętym na kłódkę garażu?

– Nie mam pojęcia, co pan widział, ale to nie tak... – Pokręcił głową i zrobił smutną minę. – Doszło do niefortunnej pomyłki. Naprawdę szkoda. Może jeszcze zmieni pan zdanie.

– Nie sądzę.

– W takim razie przepraszam za kłopot.

Odwrócił się i zaczął iść ścieżką w stronę furtki.

Wyszedłem za nim, ponieważ przypomniałem sobie o listach, które przychodziły na nasz nowy adres.

– Pan Barnett?

Przez chwilę się wahał, po czym obejrzał się przez ramię. Stał jak wryty. Miał teraz zupełnie inny wyraz twarzy. Wbił we mnie groźny wzrok i chociaż górowałem nad nim wzrostem, wydawało mi się, że gdyby zrobił krok do przodu, musiałbym się cofnąć.

– Pomylił mnie pan z kimś innym – powiedział. – Do widzenia.

Ruszył przed siebie i wyszedł na ulicę, nie odzywając się ani słowem. Otworzyłem furtkę i zatrzymałem się na chodniku, nie wiedząc, co dalej robić. Mimo że świeciło słońce i było całkiem ciepło, cały się trząsałem.

Do tej pory byłem tak zajęty porządkowaniem domu, że nie miałem czasu zajrzeć do garażu. Z pewnością nie była to najatrakcyjniejsza część posesji: niebieskie drzwi z blachy falistej, z szeroką szparą pośrodku, oraz krzywe białe ściany z pękniętym oknem. Wokół rosła dawno niekoszona trawa. Agent nieruchomości powiedział, że dach pokryty jest azbestem i jeśli będę chciał rozebrać garaż, muszę znaleźć specjalistyczną ekipę. Miałem jednak wrażenie, że cała konstrukcja może się w każdej chwili sama z siebie zawalić. Garaż przypominał chowającego się za domem starego pijaka, który ledwo stoi na nogach i za wszelką cenę stara się utrzymać pion.

Na bramie wisiała kłódka, ale pośrednik dał mi do niej klucz. Kiedy ją otworzyłem i pociągnąłem za uchwyt, metalowe skrzydła zachrobotyły na asfalcie. Schyliłem się i wszedłem do środka.

Rozejrzałem się dookoła, nie dowierzając własnym oczom. W garażu pełno było śmieci i starych gratów.

Wydawało mi się, że po mojej pierwszej wizycie pani Shearing wynajęła specjalną firmę do przeprowadzek i dawno nieużywane meble zostały wywiezione. Okazało się jednak, że poprzednia właścicielka postanowiła zaoszczędzić sobie wydatków i upchnęła wszystko w garażu, wśród pleśni i kurzu. Na środku stała wieża z kartonowych pudeł. Te położone najniżej rozpadały się pod ciężarem tych z góry. Przy ścianie piętrzyła się sterta zdezelowanych stołów i krzesel. Rzucono je jedno na drugie, tak że wyglądały jak zestaw drewnianych puzzli. Z tyłu walał się wysłużony materac pokryty brązowymi plamami, które układały się w mapę

krajobrazową jakiegoś nieznanego świata. Moją uwagę przykuł też zapach spalenizny: obok drzwi stał czarny od sadzy grill.

Na podłodze leżało pełno suchych liści. Ostrożnie trąciłem stopą starą puszkę po farbie i moim oczom ukazał się największy pająk, jakiego w życiu widziałem. Stworzenie najpierw podskoczyło, a potem zamarło w bezruchu, zupełnie niezrażone moją obecnością.

No cóż, pomyślałem, rozglądając się dookoła. Bardzo dziękuję, pani Shearing.

Garaż był tak zagracony, że z trudem się po nim poruszałem. Mimo to podszedłem do stosu kartonów i otworzyłem ten na samej górze. Papier był wilgotny i nieprzyjemny w dotyku. Zajrzałem do środka i zobaczyłem stare dekoracje świąteczne: wyblakłe lamety, zmatowiałe bombki i coś, co wyglądało jak zabawki na choinkę.

Nagle jedna z nich wystrzeliła prosto w moją twarz.

– Jezu Chryste!

Poślizgnąłem się na liściach i prawie straciłem równowagę. Zacząłem wymachiwać rękami, żeby odgonić intruza. Dziwny przedmiot pofrunął w górę, odbił się od dachu i zawirował w powietrzu, po czym poleciał w stronę szarego okna i zaczął miarowo uderzać w szybę.

Puk, puk, puk. Seria delikatnych postukiwań.

Zdałem sobie sprawę, że to motyl. Nie byłem w stanie rozpoznać gatunku, moja wiedza nie wykraczała poza orientację, jak wyglądają bielinek kapustnik i rusalka.

Ostrożnie podszedłem do okna i przez kilka sekund przyglądałem się owadowi próbującemu wydostać się na zewnątrz. Wreszcie dał za wygraną i przysiadł na obskurnym parapecie. Wielkością dorównywał pająkowi, którego znalazłem pod puszką po farbie. Nie był jednak brudnoszary, lecz zadziwiająco kolorowy. Jego skrzydełka zdobiły żółto-zielone zawijasy, z końcówkami w fioletowe kropeczki. Prezentował się naprawdę pięknie.

Podszedłem z powrotem do pudełka i zobaczyłem w środku jeszcze trzy motyle, które siedziały na kawałkach lamety. Nie ruszały się jednak i nie wiedziałem, czy w ogóle żyją. Zajrzałem głębiej i okazało się, że na ścianie przycupnął jeszcze jeden. Ruszały mu się lekko skrzydełka, jakby trącał je

delikatny wiaterek.

Nie miałem pojęcia, jak długo tutaj przebywają i jak wygląda ich cykl życiowy, jednak zamknięte w garażu nie miały chyba większych szans na przeżycie. Mogły co najwyżej zostać karmą dla pająka. Uznałem, że należy coś zrobić. Oderwałem kawałek wilgotnego kartonu i próbowałem wygonić motyla z pudełka, by skierować go w stronę uchylonych drzwi. Niestety, bez skutku. Zająłem się jego kolegą siedzącym przy oknie, ale ten był równie uparty. Zauważyłem, że chociaż są całkiem duże, to z bliska wyglądają tak krucho, jak gdyby przy najlżejszym dotknięciu miały rozpaść się w pył.

Trudno. Nie da rady.

– No cóż. – Rzuciłem karton na podłogę i wytarłem rękę o dzinsy. – Zrobiłem, co mogłem.

Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu dłużej siedzieć w garażu. Nie było tu nic do roboty. Sprzątnięcie całego bałaganu dodałem do długiej listy zadań do wykonania. Na szczęście, niespecjalnie pilnych.

Zastanawiałem się jednak, czego mógł tutaj szukać ten nieznajomy. Przecież garaż wypełniały same bezużyteczne śmieci. Kiedy trochę się uspokoilem, zacząłem dopuszczać możliwość, że rzeczywiście doszło do nieporozumienia. A może pomyliłem się w ocenie sytuacji i mężczyzna mówił prawdę?

Wyszedłem z garażu i zamknąłem drzwi na kłódkę, zatraskując w środku motyle. To niesamowite, że udało im się przetrwać w tak trudnych warunkach. Idąc w stronę domu, myślałem o sobie i o Jake'u. Przyszło mi na myśl, że nasza sytuacja wygląda bardzo podobnie.

Motyle nie miały przecież żadnego wyboru.

W ten sposób zachowują się wszystkie żywe stworzenia. Nawet w najmniej sprzyjających okolicznościach starają się przeżyć.

Rozdział 15

Pokój był mały, ale ponieważ pomalowano go na biało, to siedząc w środku, miało się wrażenie niczym nieograniczonej przestrzeni. To miejsce wydawało się poza czasem. Dla kogoś oglądającego nagranie z monitoringu przypominało scenę z filmu science fiction: jakiś człowiek przebywa w pustym pomieszczeniu i czeka, aż komputery wygenerują wirtualną rzeczywistość.

Pete przesunął palcem po blacie stołu przedzielającego pokój na pół. Rozległ się cichy pisk świadczący o tym, że wszystko było sterylnie czyste.

Znowu zaległa cisza.

Wiedział, że musi czekać.

Kiedy trzeba stanąć w obliczu czegoś okropnego, najlepiej zrobić to jak najszybciej, bez żadnej zwłoki. Jeśli nie można tego uniknąć, należy przynajmniej skrócić mękę związaną z oczekiwaniem. Frank Carter doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Od kiedy trafił do więzienia, Pete odwiedzał go przynajmniej raz w roku i zawsze musiał swoje odczekać. Drobne opóźnienia związane były z nieprzewidzianymi wydarzeniami, które miały miejsce w bloku więziennym. Pete nie wątpił, że było to starannie zaplanowane. Carter chciał udowodnić swoją przewagę i pokazać, kto tu naprawdę rządzi. Nawet fakt, że po zakończeniu spotkania komisarz mógł wyjść na zewnątrz, nie stanowił wielkiego pocieszenia. Wiedział, że nie ma Carterowi nic do zaoferowania i w gruncie rzeczy był dla niego tylko rozrywką. To policjant czegoś chciał od niego i obaj mieli tego pełną świadomość.

Czekał więc jak grzeczny chłopiec.

Kilka minut później usłyszał, jak zgrzyta zamek w drzwiach naprzeciwko, do środka weszli dwaj strażnicy i zajęli miejsca pod ścianą. Nikt się jednak za

nimi nie pojawił. Potwór został jak zwykle zatrzymany przez ważne sprawy.

Zbliżał się moment spotkania i Pete zaczął się niepokoić. Czuł, jak przyspiesza mu puls. Już dawno temu zrezygnował z przygotowywania pytań do rozmowy z Carterem, ponieważ potem wszystko mu się mieszało i słowa ulatywały z głowy jak ptaki zrywające się nagle do lotu. Zmusił się jednak do zachowania kamiennej twarzy. Wiedział, że nie może dać się wytrącić z równowagi. Czuł, że po porannym treningu bolą go mięśnie górnej połowy ciała.

Wreszcie w progu stanął Frank Carter.

Był ubrany w jasnoniebieski kombinezon i miał skute ręce i nogi. Wciąż golił głowę na zero i nosił rudą bródkę. Przechodząc przez drzwi, lekko schylił głowę, chociaż wcale nie musiał tego robić. Był ogromnym facetem – sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i grubo ponad sto kilogramów wagi – i nigdy nie przepuszczał okazji, żeby to podkreślić.

Weszło za nim jeszcze dwóch strażników i zaprowadzili go do krzesła stojącego przy przeciwległym końcu stołu. Potem wartownicy wyszli. Trzask zamykanych drzwi wydał się Pete'owi jednym z najgłośniejszych dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszał. Został z Carterem sam na sam.

Morderca wpatrywał się w niego z rozbawieniem na twarzy.

– Dzień dobry, Peter.

– Nieźle wyglądasz, Frank.

– Dobrze mi się tutaj żyje. – Carter poklepał się po brzuchu i rozległ się brzęk łańcuchów skuwających nadgarstki. – Naprawdę, nie mam na co narzekać.

Pete skinął głową. Podczas każdej wizyty dziwił się, że Carter doskonale znosi więzienny reżim, a nawet czerpie z niego przyjemność. Spędzał dużo czasu na siłowni i nadal był w równie wyśmienitej formie jak w chwili, gdy został aresztowany. Lata spędzone za kratkami sprawiły także, że w jakimś sensie złagodniał i sprawiał wrażenie kogoś zadowolonego z życia. Siedział z rozstawionymi szeroko nogami i trzymał muskularną rękę na oparciu krzesła. Wyglądał jak sprawujący władzę król, który przeprowadza rozmowę ze swoim dworzaninem. Poza murami więzienia był naprawdę groźnym przestępcą. Kipiał złością i toczył swoją prywatną wojnę ze światem.

W pewnych kręgach zyskał status gwiazdy, a kiedy wreszcie trafił do paki, spotkał tłum wielbicieli i szybko otoczył się gronem zaufanych podkomendnych. Znalazł dla siebie wygodne miejsce i dobrze mu się żyło.

– Ty też nieźle wyglądasz, Peter – oznajmił. – Widać, że właściwie się odżywasz i dbasz o formę. Co słychać u rodziny?

– Nie wiem – odpowiedział policjant. – A u twojej?

Carter od razu spowaźniał, a z jego oczu zniknął radosny błysk. Pete wiedział, że popełnia błąd, wbijając mu szpilę, ale czasami nie mógł się powstrzymać. Żona i syn byli naprawdę łatwym celem. Komisarz wciąż pamiętał minę Cartera, gdy ten słuchał zeznań składanych przed sądem przez Jane za pośrednictwem łącza wideo. Pewnie wyobrażał sobie, że kobieta została raz na zawsze złamana i jest zbyt przerażona, żeby zwrócić się przeciwko niemu. Jednak w końcu to ona wpuściła Pete'a do przybudówki i wycofała swoje wcześniejsze oświadczenia, które przez kilka miesięcy zapewniały mężowi mocne alibi. Carter zrobił wtedy prawie taką samą minę jak teraz. Czuł się w więzieniu całkiem komfortowo, ale nienawiść do rodziny wcale w nim nie osłabła.

Nagle nachylił się w stronę Pete'a.

– Wczoraj w nocy miałem niesamowity sen – powiedział.

Pete zmusił się do uśmiechu.

– Naprawdę? Jezu Chryste, nie wiem, czy chcę, żebyś mi o tym opowiadał.

– Uwierz mi, chcesz. – Carter znowu wygodnie się rozsiadł i zaczął chichotać. – Śnił mi się ten chłopak. Synalek Smithów. Na początku nie byłem pewien, czy to on, bo wszyscy gówniarze wyglądają dokładnie tak samo, prawda? Nie ma między nimi większej różnicy. Każdy się nadaje. Poza tym miał twarz zasłoniętą koszulką. Dokładnie tak jak lubię. Po jakimś czasie nabrałem jednak pewności. W końcu zawsze pamiętam ich ubrania.

Niebieskie spodnie od dresu i czarna koszulka polo.

– Usłyszałem czyjś płacz – kontynuował Carter. – Wiedziałem jednak, że to nie on. Chłopak był już na zupełnie innym etapie i dawno temu przestał zalewać się łzami. Zorientowałem się, z której strony dochodzi szlochanie, i odwróciłem głowę. Zobaczyłem ich oboje: matkę i ojca. Zdawali sobie

sprawę z tego, co zrobiłem, i zaczęli rozpaczać. Pogrzebałem wszelkie nadzieje i marzenia związane z ich dzieckiem. – Zmarszczył czoło. – Jak oni się nazywali?

Pete milczał.

– Miranda i Alan. – Carter pokiwał głową. – Przypomniałem sobie. Byli przecież w sądzie, prawda? Siedziałeś obok nich.

– Tak.

– No właśnie. Tak więc Miranda i Alan toną we łzach, wpatrując się we mnie błagalnym wzrokiem. „Powiedz nam, gdzie on jest”. Dosłownie skomla, rozumiesz? To trochę żałosne, ale wtedy przypomniałem sobie o koledze. Przecież Peter również chciałby to wiedzieć. Niewykluczone, że wkrótce znowu złoży mi wizytę. – Na twarzy Cartera pojawił się szeroki uśmiech. – W końcu jesteśmy przyjaciółmi. Powinienem jakoś mu pomóc. Rozglądam się więc uważnie dookoła, żeby zorientować się, gdzie jestem. Nigdy nie mogłem sobie tego przypomnieć, prawda?

– Owszem, nie mogłeś.

– I wtedy wydarzyło się coś naprawdę niesamowitego.

– Ciekawe.

– Samemu trudno mi w to uwierzyć. Może się domyślasz?

– Obudziłeś się – powiedział Pete.

Carter odchylił głowę i wybuchnął śmiechem, a potem zaczął z całej siły bić brawo. Kajdanki głośno zagrzechotały. Kiedy skończył, odezwał się normalnym głosem, a w jego oczach znowu pojawił się charakterystyczny błysk.

– Świetnie mnie znasz, Peter. Masz rację. Obudziłem się. Wielka szkoda, nie? Wychodzi na to, że ty, Miranda i Alan jeszcze trochę popłaczecie.

Pete nie miał zamiaru połknąć haczyka.

– Widziałeś we śnie jakieś inne osoby? – zapytał.

– Na przykład kogo?

– Nie wiem. Był tam ktoś jeszcze? Ktoś, kto ci pomagał?

Zapytał wprost, nie spodziewając się jednoznacznej odpowiedzi. Bardziej interesowała go reakcja. Jeśli chodzi o kwestię ewentualnego współnika,

Carter zawsze świetnie to rozgrywał: czasami go to bawiło, czasami nudziło, ale nigdy jednoznacznie nie zaprzeczył ani nie potwierdził, że jakaś inna osoba była zaangażowana w porwania i morderstwa. Tym razem lekko się uśmiechnął, ale inaczej niż zwykle. W jego zachowaniu pojawiło się coś nowego.

On wie, dlaczego tutaj przyszedłem.

– Zastanawiałem się, jak długo będę musiał czekać na twoją wizytę – oznajmił. – W końcu znowu zaginał mały chłopiec. Dziwne, że zajęło ci to aż tyle czasu.

– Prosiłem wcześniej o spotkanie, ale odmówiłeś.

– Co takiego? Ja nie chciałem zobaczyć się z moim przyjacielem Peterem?
– Carter dobrze udawał wybuch złości. – Podejrzewam, że twoja prośba po prostu do mnie nie dotarła. Znowu doszło do pomyłki administracyjnej. Te urzędaszy do niczego się nie nadają.

Pete wzruszył ramionami.

– W porządku, Frank. Nie odgrywasz w tej sprawie najważniejszej roli. Już od pewnego czasu siedzisz w więzieniu, więc, rzecz jasna, nie znalazłeś się na liście podejrzanych.

Na twarzy Cartera znowu pojawił się szeroki uśmiech.

– Domyślam się, ale ty po raz kolejny do mnie przychodzisz. Znowu jestem w centrum wydarzeń. Wszystko zawsze kończy się tam, gdzie się zaczęło.

– Co masz na myśli?

– Nieważne. O co chciałeś mnie spytać?

– O twój sen, Frank. Czy był tam ktoś jeszcze?

– Niewykluczone. Wiesz jednak, jakie są sny. Szybko się o nich zapomina. To naprawdę przykre.

Pete przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Cartera, starając się go rozgryźć. Z pewnością dotarła do niego wiadomość o zaginięciu Neila Spencera. W końcu od jakiegoś czasu media o tym trąbiły. Czy wiedział jednak coś więcej? Z nieskrywaną przyjemnością sugerował, że tak właśnie jest, ale mogła to być z jego strony kolejna gierka. Zrobiłby wszystko, żeby

sprawiać wrażenie kogoś bardziej wpływowego i ważniejszego niż w rzeczywistości.

– O wielu rzeczach szybko się zapomina – powiedział Pete. – Na przykład o przestępczej sławie.

– Nie tutaj.

– Ale na zewnątrz owszem. Ludzie już o tobie nie pamiętają.

– Czyżby? Na pewno nie.

– Od dłuższego czasu gazety nic o tobie nie piszą. Jesteś jak zeszłoroczny śnieg. Kilka miesięcy temu zniknął chłopiec. Wiesz, ile razy wspomniały o tobie media?

– Nie mam pojęcia. Może ty mi powiesz?

– Ani razu.

– No cóż, chyba powinienem wreszcie zgodzić się na wywiady, o które proszą mnie różni dziennikarze i naukowcy. Trzeba to dobrze przemyśleć.

Kwaśno się uśmiechnął; Pete uświadomił sobie daremność swoich wysiłków. Wszystkie starania poszły na marne. Carter nic nie wiedział. Łatwo było przewidzieć, jak to się skończy. Po wizytach w więzieniu przeszłość wracała ze zdwojoną siłą, a chęć sięgnięcia po kieliszek była jeszcze trudniejsza do opanowania.

– Tak, zastanów się nad tym. – Wstał z krzesła i skierował się w stronę drzwi. – Do zobaczenia, Frank.

– Myślę, że zainteresują ich szeptki.

Pete zatrzymał się w pół kroku, trzymając już rękę na klamce. Poczul na plecach dreszcz, który rozszedł się po całym ciele.

Szeptki.

Neil Spencer powiedział matce o potworze, który szeptał coś pod jego oknem. Ta informacja nie została jednak upubliczniona i z pewnością nie przedostała się do mediów. Rzecz jasna, Carter mógł blefować, ale w jego głosie brzmiał triumfalny ton. To była jego karta przetargowa.

Pete powoli się odwrócił.

Carter wciąż siedział nonszalancko rozwalony na krześle i wyglądał na wyjątkowo zadowolonego z siebie. Założył na haczyk właściwą przynętę

i wiedział, że ofiara już mu się nie wywinie. Tymczasem komisarz nabrał pewności, że coś musi być na rzeczy.

Ten sukinsyn wiedział.

Tylko skąd?

Zdawał sobie sprawę, że w tym momencie należy za wszelką cenę zachować spokój. Carter nie powinien wyczuć, że śledztwo utknęło w martwym punkcie i policja potrzebuje nowych tropów. Pete nie miał już ochoty na kolejne gierki.

Myślę, że zainteresują ich szeptaki.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Frank?

– Chłopiec zobaczył pod swoim oknem potwora, prawda? Co więcej, potwór coś do niego mówił. – Carter znowu pochylił się nad stołem. – Bardzo cichym głosem.

Pete starał się zapanować nad narastającą frustracją, ale przychodziło mu to z trudem. Zaginął mały chłopiec i trzeba go było odnaleźć. Pech chciał, że kryminalista siedzący po drugiej stronie stołu miał na ten temat jakieś ważne informacje.

– Skąd wiesz o szeptach? – zapytał komisarz.

– Mmm... Chciałbyś, żebym ci powiedział, co?

– Tak.

Carter szeroko się uśmiechnął. Wyglądał jak ktoś, kto nie ma nic do stracenia i przyjemność może czerpać tylko z ranienia i upokarzania innych.

– Dobrze – oznajmił. – Ale musisz dać mi coś w zamian.

– Czego chcesz?

Odchylił się na krześle i zrobił poważną minę. Miał pusty wzrok, ale już po chwili w jego oczach zapłonęła nienawiść.

– Przyrowadź tu moją rodzinę – powiedział.

– Twoją rodzinę?

– Tak. Chcę się zobaczyć z tą suką i jej szczeniakiem. Przyrowadź ich do więzienia i zostaw ze mną na pięć minut.

Pete przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Cartera. Zaskoczył go bijący

od niego ogrom złości i frustracji. W pewnym momencie morderca odrzucił do tyłu głowę i zagrzechotał kajdankami, po czym zaniósł się przerażającym śmiechem, który wypełnił niewielką salę widzeń.

Rozdział 16

– Mamy mu dać pięć minut na spotkanie z rodziną? – Amanda głośno myślała. – Czy to jest w ogóle wykonalne?

W pewnym momencie zauważyła jednak minę Pete’a Willisa.

– Oczywiście żartuję – oznajmiła.

– Wiem.

Pete rozparł się w fotelu stojącym po drugiej stronie biurka i zamknął oczy.

Amanda przez dłuższą chwilę uważnie mu się przypatrywała. W porównaniu z tym, jak wyglądał podczas ich pierwszego spotkania, teraz sprawiał wrażenie zmęczonego i osłabionego. Rzecz jasna, nie znała go zbyt dobrze, a ich kontakty w ciągu ostatnich dwóch miesięcy nie były szczególnie intensywne, lecz wyrobiła już sobie zdanie na jego temat. Wydawało jej się, że to mężczyzna, który trzyma emocje na wodzy. W świetnej formie, oczywiście jak na swój wiek. Spokojny i kompetentny. Kiedy opowiadał o starym śledztwie, starannie dobierał każde słowo i zachowywał pełen profesjonalizm. Nie dał się wyprowadzić z równowagi nawet w momencie pokazywania zdjęć zrobionych w przybudówce Franka Cartera, a w końcu widział te przerażające sceny na własne oczy. Sama poczuła się przytłoczona. Zaczęła się martwić, jak sobie poradzi, gdy spełni się najgorszy scenariusz.

To się nie wydarzy.

Rozsądni gliniarze potrafią odpuścić. Tak robił inspektor Lyons. To był jedyny sposób na to, żeby piąć się po szczeblach kariery. Nic nie powinno ciągnąć nas w dół. Przed zaginięciem Neila Spencera również wyznawała podobną filozofię, ale ostatnio jej stosunek do pracy zaczął się zmieniać. Na początku myślała, że Pete Willis to zimny profesjonalista, lecz patrząc na

niego w tej chwili, musiała zmodyfikować swoją opinię. Potrafił trzymać ludzi na dystans, ale Frank Carter znalazł sposób, żeby się do niego zbliżyć i zależeć mu za skórę.

W sumie nic dziwnego, biorąc pod uwagę historię, w którą obaj byli zamieszani, i fakt, że jedna z ofiar Cartera nigdy nie została odnaleziona. Co więcej, chłopiec zniknął w czasie, gdy Willis był na służbie. Amanda spojrzała na ekran komputera, na którym miała dobrze znane zdjęcie Neila Spencera ubranego w sportową koszulkę. Neil zaginął ponad dwa miesiące temu i świadomość, że do tej pory nie udało się mu pomóc, była dla Amandy naprawdę bolesna. Niezależnie od tego, jak bardzo starała się o tym nie myśleć, poczucie klęski pogłębiało się z każdym dniem. Trudno sobie wyobrazić, jak to wygląda po dwudziestu latach. Nie chciała skończyć tak jak siedzący przed nią kolega.

Wykluczone. Nie może do tego dopuścić.

– Opowiedz mi jeszcze raz o hipotezie ze współnikiem.

– Nie ma tego zbyt wiele. – Pete otworzył oczy. – Według jednego ze świadków z Tonym Smithem rozmawiał jakiś starszy facet z siwymi włosami. Ten opis zupełnie nie pasuje do Franka Cartera. No i nakładają się na siebie ustalone przez nas ramy czasowe, w których dokonano niektórych porwań.

– Trochę mało.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Czasem ludzie chcą, żeby świat był bardziej skomplikowany niż w rzeczywistości.

– Nie da się wykluczyć, że Carter dokonał wszystkich zbrodni w pojedynkę. Poza tym zgodnie z zasadą brzytwy Ockhama...

– Wiem, co to jest brzytwa Ockhama. – Pete przeczesał palcami włosy. – „Nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę”. Warto wybrać najprostsze rozwiązanie, za którym przemawiają fakty.

– Zgadza się.

– I właśnie tym się zajmujemy. Namierzamy delikwenta i udowadniamy, że jest winny, a potem zamykamy sprawę. Teczka z materiałami ląduje w szafie. Tutaj kończy się nasza robota. Przechodzimy do następnego śledztwa.

Amanda znowu pomyślała o Lyonsie. I o wspinaniu się.

– Ale przecież na tym polega praca policjanta – powiedziała.

– Czasami to nie wystarczy. – Pete pokręcił głową. – Bywa, że pozornie proste rzeczy okazują się o wiele bardziej skomplikowane, i wtedy coś nam umyka.

– Próbujesz mi powiedzieć, że tak jest właśnie w tym przypadku? Uważasz, że czegoś nie zauważyliśmy i groźny przestępca pozostaje na wolności?

– Być może. Przez te wszystkie lata starałem się o tym nie myśleć.

– Rozsądne podejście.

– Jednak teraz zniknął Neil Spencer. Na dodatek jego matka słyszała coś o szepczącym potworze, a ten sukinsyn Frank Carter siedzi za kratami i coś o tym wie.

Amanda milczała.

– Nie mam pojęcia, co robić – kontynuował Pete. – Carter nic nam nie powie. Zresztą sto razy dokładnie sprawdzałem jego znajomych i współpracowników. Są czyści.

Amanda na chwilę się zamyśliła.

– A może chodzi o naśladowcę?

– Niewykluczone. Tylko że podczas spotkania Carter nie blefował. Wiadomość o szepkach nie przedostała się do prasy. Oprócz mnie nikt inny go nie odwiedził, a cała korespondencja jest starannie prześwietlana. W takim razie skąd mógł to wiedzieć?

Jego frustracja sięgnęła zenitu. Amanda była zdziwiona, że nie zaczął walić pięścią w stół. Zamiast tego jeszcze raz pokręcił głową i odwrócił wzrok. Przynajmniej trochę się ożywił, pomyślała. To dobrze. Niech szlag trafi spokój. Zawsze uważała, że złość motywuje najlepiej. Czasami, żeby wziąć się w garść, potrzebujemy mocnego kopa. Jednak zauważyła też, że duża część gniewu komisarza Willisa skierowana jest do środka: najwyraźniej obwinił siebie za to, że nie udało mu się odkryć prawdy. To źle. Amanda była głęboko przekonana, że poczucie winy jest wyjątkowo bezużyteczne. Jeśli tylko pozwolisz, żeby tobą zawładnęło, już nigdy nie da ci spokoju.

– Carter nie ma zamiaru nam pomagać – powiedziała. – Na pewno nie z własnej woli.

– Zgoda.

– A ten sen o Tonym Smicie...?

Pete zbył temat machnięciem ręki.

– Standardowa zagrywka. Już wcześniej to słyszałem. Nie mam wątpliwości, że zabił Tony’ego i doskonale pamięta, gdzie ukrył zwłoki, jednak nigdy tego nie powie. Chce dyktować warunki. I lubi się nade mną pastwić.

Widać było, ile nerwów kosztują Pete’a wizyty w więzieniu. Mimo to ciągle spotykał się z Carterem i za każdym razem przechodził mękę. Zaciskał zęby i robił swoje, ponieważ zakończenie sprawy Tony’ego Smitha było dla niego priorytetem. Carter znalazł sobie jednak nową zabawę i coś musieli z tym zrobić. Amanda rozumiała narastającą frustrację Pete’a. Nie należało jednak zapominać, że Tony Smith został zamordowany dawno temu, a Neil Spencer najprawdopodobniej jeszcze żyje.

Nie mogli tracić nadziei.

– No cóż, Carter ma nad nami kolejną przewagę – powiedziała. – Nie zapominaj jednak, że chodzisz do niego, licząc, że przypadkiem się wygada. Sam tak twierdziłeś.

– Zgadza się.

– On coś wie, prawda? Pytanie brzmi: skąd? Przecież to nie czary. Musimy go rozpracować.

Pete milczał, więc sama zaczęła się zastanawiać.

Żadnych gości i zero korespondencji.

– Ma za kratami jakichś kumpli? – zapytała.

– Całe mnóstwo.

– Trochę dziwne, biorąc pod uwagę, że mordował dzieci.

– W jego zbrodniach nigdy nie było elementu seksualnego, co w pewnym stopniu zmienia postać rzeczy. Poza tym wygląda jak prawdziwe monstrum i żyje w blasku wykreowanej przez media legendy Szeptacza. Siedzi w więzieniu, które stało się jego małym królestwem.

– Okay. Kto jest jego najbliższym kumplem?

– Nie mam pojęcia.

– Ale możemy się tego dowiedzieć, prawda? – Amanda nachyliła się do niego. – Niewykluczone, że dostaje informacje z drugiej ręki. Jego znajomi przyjmują gości i przekazują mu najświeższe wiadomości ze świata.

Pete pogрузzył się w myślach. Po kilku sekundach zrobił zirytowaną minę. Był zły sam na siebie, że wcześniej nie wpadł na taki pomysł.

Amanda poczuła przyływ dumy. Nie chodziło o to, żeby zrobić wrażenie na komisarzu Willisie, ale o to, żeby go zmotywować. Nie mógł wyjść z tego spotkania ze spuszczoną głową.

– Tak – oznajmił. – To brzmi prawdopodobnie.

– A więc... – wyraźnie się zawahała. – Nie jestem kimś, kto może ci wydawać polecenia, ale moim zdaniem rozpracowanie tej zagadki byłoby dla nas sporym krokiem naprzód. Rzecz jasna, nie wiem, czy masz czas...

– Mam.

Zatrzymał się przy drzwiach.

– Jest coś jeszcze – powiedział. – Carter dał mi do zrozumienia, że wie o szeptach.

– Uhm.

– Zastanawia mnie, dlaczego zrobił to akurat teraz. Przez dwa miesiące nie chciał się ze mną zobaczyć. Nigdy wcześniej tak się nie zdarzyło. Potem nagle zmienił zdanie.

– No właśnie, czemu?

– Nie wiem, ale musimy być przygotowani na to, że wkrótce poznamy powody.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, co Pete miał na myśli. Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie Neila Spencera. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że może ich czekać najgorsze.

Nie wolno do tego dopuścić.

Niestety, Pete miał rację. Od dwóch miesięcy śledztwo nie ruszyło z miejsca i nie doszło do żadnego przełomu. Być może fakt, że Carter zaczął

mówić, oznaczał zmiany.

Rozdział 17

W czasie przerwy obiadowej Jake wyszedł na dziedziniec i usiadł na ławce. Patrzył, jak koledzy biegają i dokazują. Panował straszny harmider. Dzieci szybko się zgrzały i spociły. Nikt nie zwracał uwagi na nowego ucznia. Chociaż rok szkolny dopiero się zaczął, wszyscy dobrze się znali sprzed wakacji i widać było, że nie są szczególnie zainteresowani zawieraniem kolejnych znajomości. Jake'owi to nie przeszkadzało. Co prawda, wolałby zostać w klasie i rysować, ale wiedział, że to zabronione. Siedział więc na świeżym powietrzu obok jakichś krzaków, wymachiwał nogami i czekał na dzwonek.

„Jutro zaczynasz szkołę. Jestem pewien, że spotkasz tam wielu fajnych znajomych”.

Dość często tata nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się myli. Czasami można było odnieść wrażenie, że mimo wszystko wie, co mówi, ponieważ w jego głosie pełno było nadziei. Być może w głębi serca nie miał złudzeń, że wyraża tylko pobożne życzenia, które nie mają szansy się spełnić. Mama na pewno uważałaby, że brak kontaktów z rówieśnikami nie ma znaczenia. Co więcej, powiedziałałaby to w niezwykle przekonujący sposób. Niestety, Jake wiedział, że dla taty takie rzeczy się liczą i że często swoim zachowaniem sprawia mu ogromny zawód.

Na całe szczęście dzisiejszy poranek przebiegł dość bezproblemowo. Ćwiczyli tabliczkę mnożenia, co było naprawdę łatwe. Na ścianie w klasie wisały plansze z sygnalizatorami świetlnymi, które miały być wykorzystane do oceny zachowania. Na razie wszyscy uczniowie byli na zielonym, na samym dole. Asystent nauczyciela, George, był miły, ale wychowawczyni, pani Shelley, sprawiała wrażenie bardzo surowej. Jake nie chciał jej podpaść i już pierwszego dnia wylądować na żółtym. Nie potrafił nawiązywać znajomości, lecz miał nadzieję, że przynajmniej będzie miał dobre

zachowanie. W końcu na tym to polegało: trzeba wykonywać polecenia i zaznaczać właściwe odpowiedzi podczas klasówek, a nie wychodzić przed szereg i zadawać zbyt dużo pytań.

Łup!

W rosnące obok krzaki wpadła piłka. Jake aż się wzdrygnął. Zapamiętał już imiona wszystkich dzieci w klasie i wiedział, że chłopiec, który podbiegł, żeby wyciągnąć ją z zarośli, to Owen. Kiedy się zbliżył, rzucił w kierunku Jake'a gniewne spojrzenie. Czyżby specjalnie rzucił piłkę? A może po prostu nie potrafił dobrze wycelować?

– Przepraszam!

– W porządku. Nic się nie stało.

– Wiem, że nic się nie stało.

Owen zanurkował między gałęzie i wyciągnął swoją własność, ciągle gapiąc się na Jake'a nieprzyjaznym wzrokiem, jak gdyby to on zawinił, po czym wrócił do swoich kolegów. To było dziwne. Czyżby Owen był głupi? Chyba lepiej po prostu odejść na bok.

– Cześć, Jake.

Jake spojrział w bok i zobaczył, że obok krzaków kuca mała dziewczynka. Serce podskoczyło mu z radości i zerwał się na równe nogi.

– Szszsz... – Przyłożyła palec do ust. – Zostań na miejscu.

Usiadł, chociaż z trudem powstrzymywał chęć skakania po ławce. Dziewczynka wyglądała dokładnie tak samo jak zawsze. Miała na sobie biało-niebieską sukienkę, na kolanie widać było ranę po zadrapaniu, a włosy sterczały w nieładzie w jedną stronę.

– Lepiej się nie ruszaj – powiedziała. – Nie chcę, żeby inne dzieci zobaczyły, że ze mną rozmawiasz.

– Dlaczego?

– Bo nie powinno mnie tu być.

– No tak, nie założyłaś szkolnego mundurka.

– Między innymi. – Na chwilę się zamyśliła. – Cieszę się, że znowu się widzimy. Brakowało mi ciebie. A ty za mną tęskniłeś?

Zaczął energicznie przytakiwać, ale szybko się zreflektował. Wokół wciąż

kręciło się dużo dzieci i często przelatywała piłka. Nie chciał, żeby ktoś dowiedział się o istnieniu małej dziewczynki. Naprawdę nie posiadał się z radości, że wróciła! W nowym domu czuł się samotny. Kilka razy bawił się z nim tata, ale wyraźnie nie miał do tego serca. Klękali razem na podłodze, ale po dziesięciu minutach ojciec wstawał i mówił, że jego nogi potrzebują odpoczynku. Widać było, że w gruncie rzeczy wolałby zająć się czymś innym. Dziewczynka potrafiła bawić się tak długo, jak miał na to ochotę. Spodziewał się, że w nowym domu będzie ją widywał cały czas, lecz jak do tej pory w ogóle go nie odwiedziła.

Aż do teraz.

– Masz już nowych kolegów? – zapytała.

– Nie. Wydaje mi się, że Adam, Josh i Hassan są w porządku. Nie za bardzo lubię Owena.

– Owen to niezły dupek – oznajmiła.

Jake spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem.

– Niestety, dotyczy to wielu ludzi – dodała. – Nie każdy, kto zachowuje się jak twój przyjaciel, naprawdę nim jest.

– Ale ty jesteś?

– Oczywiście, że tak.

– Przyjdiesz do mnie, żeby się pobawić?

– Bardzo bym chciała, ale to nie takie proste.

Jake od razu posmutniał, ponieważ trudno mu było uwierzyć w takie tłumaczenie. Chciał się z nią widywać jak najczęściej, chociaż zdawał sobie sprawę, że tata nie lubi, kiedy ze sobą rozmawiają. „Jesteśmy tutaj razem. Nowy dom, nowy początek”, mówił w takich sytuacjach.

Fajnie byłoby się z nią spotykać, gdyby tylko nie patrzyła na niego tak poważnym wzrokiem jak teraz.

– Powtórz rymowanekę – powiedziała.

– Nie mam ochoty.

– Dawaj!

– „Jeśli drzwi nie zamkniesz w porę, szeptać zacznie ktoś wieczorem”.

– A reszta?

Jake zamknął oczy.

– „Jeśli na dwór wyjdiesz sam, złego pana spotkasz tam”.

– Dalej.

Dziewczynka mówiła coraz ciszej.

– „Jeśli okno uchylisz choć trochę, pukanie w szybę usłyszysz przed zmrokiem”.

– I?

Ostatnie słowo wyszeptała. Można było odnieść wrażenie, że to jedynie delikatny powiew wiatru. Jake przełknął ślinę. Nie chciał kończyć wierszyka, ale się zmusił.

– „Jeśli jesteś sam i miewasz się źle, pan Szeptacz na pewno odwiedzi cię”
– wymamrotał tak cicho jak dziewczynka.

Zabrzmiał dzwonek.

Jake otworzył oczy i zobaczył tłum dzieci. Między nimi Owena w towarzystwie starszych kolegów, których Jake nie znał. Patrzyli na niego. Obok stał George i miał zatroskany wyraz twarzy. Po chwili chłopcy wybuchnęli śmiechem i ruszyli w stronę głównego wejścia do szkoły, zerkając czasami przez ramię.

Jake spojrzał w bok.

Mała dziewczynka znowu zniknęła.

– Z kim rozmawiałeś na przerwie?

Jake starał się nie zwracać uwagi na Owena. Uczniowie mieli kaligrafować litery w zeszytach ćwiczeń i trzeba było się skupić. W końcu takie było polecenie nauczycielki. Rzecz jasna, Owen miał to gdzieś. Pochylił się nad ławką i patrzył na Jake'a. Był jednym z chłopaków, którzy nie bali się reprimendy. Jake zdawał sobie sprawę, że nie powinien opowiadać mu o małej dziewczynce. Czuł, że to bardzo zły pomysł. Tata nie lubił, kiedy z nią rozmawiał, ale nie robił sobie z niego żartów. Owen na pewno nie przepuściłby takiej okazji.

Jake wzruszył ramionami.

– Z nikim.

– Nieprawda.

– Ja nikogo nie widziałem, a ty?

Owen na chwilę się zamyślił, a potem odsunął.

– Siedzisz na miejscu Neila.

– Co takiego?

– Czego nie rozumiesz? To krzesło Neila.

Owen sprawiał wrażenie rozzłoszczonego, chociaż po raz kolejny Jake nie miał pojęcia, co zrobił źle. Na początku lekcji pani Shelley wskazała, gdzie mają usiąść, więc trudno było go oskarżać o to, że celowo zajął miejsce innego ucznia.

– Kto to jest Neil?

– Był z nami w ubiegłym roku – wytłumaczył Owen – ale już go nie ma. Teraz siedzisz na jego krześle.

Coś się w tym wszystkim nie zgadzało.

– Ale przed wakacjami mieliście lekcje w innej klasie – powiedział Jake – więc to raczej niemożliwe.

– Siedziałyby tutaj, gdyby go nie zabrali.

– Dokąd się wyprowadził?

– Nigdzie. Po prostu ktoś go zabrał.

Jake nie wiedział, jak zareagować, ale niewiele z tego rozumiał. Rodzice Neila dokądś go zabrali, ale nie była to przeprowadzka. Spojrzał na Owena i zobaczył, że jego oczy pałają niezdrowym podnieceniem. Ten chłopak wyraźnie chciał się podzielić jakimiś pikantnymi szczegółami.

– Dostał się w łapy złego człowieka – wyjaśnił Owen.

– I dokąd trafił?

– Nikt tego nie wie, ale Neil na pewno już nie żyje, a ty zajmujesz jego krzesło.

Obok nich siedziała jeszcze dziewczynka, która miała na imię Tabby.

– To straszne – ciężko westchnęła. – Skąd możesz wiedzieć, że Neil nie żyje? Rozmawiałam o tym z mamą i jej zdaniem nie należy tak myśleć.

– On nie żyje – stwierdził kategorycznie Owen i odwrócił się do Jake’a, po czym wskazał na krzesło. – A ty będziesz następny.

Jego rozumowanie nie miało większego sensu. Owen nie za dobrze to przemyślał. Po pierwsze, niezależnie od wszystkiego, Neil nigdy nie siedział na tym konkretnym krześle, więc nie mogło być przeklęte. Po drugie, istniał o wiele bardziej prawdopodobny scenariusz rozwoju wypadków. Jake zdawał sobie sprawę, że nie powinien o tym mówić i przez kilka sekund milczał. Jednak w pewnym momencie przypomniał sobie, co powiedziała mu podczas przerwy mała dziewczynka i jak bardzo czuł się samotny. Jeśli Owen mógł go traktować tak okropnie, to dlaczego on nie miał prawa odpłacić mu tym samym?

– A może to oznacza, że będę ostatni – oznajmił.

Owen zmrużył oczy.

– Co masz na myśli?

– Moim zdaniem zły człowiek zabierze po kolei wszystkich uczniów z klasy i na ich miejsce pojawią się nowi chłopcy i nowe dziewczynki. A to oznacza, że wy pierwsi traficie w ręce Szeptacza.

Tabby wydała z siebie stłumiony okrzyk i zalała się łzami.

– To przez ciebie się rozpłakała – stwierdził Owen rzeczowym tonem. Do ich ławki podeszła nauczycielka. – Proszę pani, Jake powiedział Tabby, że Szeptacz ją zabije tak samo jak Neila, i zrobiło jej się przykro.

Tym sposobem już pierwszego dnia Jake dostał uwagę i wylądował na żółtym świetle.

Tata na pewno nie będzie zadowolony.

Rozdział 18

Dzień minął lepiej, niż się spodziewałem.

Osiemset słów to nie było szczególnie imponujące osiągnięcie, ale od miesiący niczego nie napisałem, więc należało to uznać za dobry początek.

Jeszcze raz przeczytałem swoje wycieczki.

Rebecca.

Na razie skupiałem się tylko na niej. Nie była to jednak historia ani nawet jej załączek, ale coś w rodzaju listu, na dodatek niezbyt przyjemnego w lekturze. Rzecz jasna, przeżyłem z Rebeccą wiele pięknych chwil i wiedziałem, że na pewno o nich nie zapomnę. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo ją kochałem i jak bardzo za nią tęskniłem, miałem do niej żal. Byłem sfrustrowany tym, że zostawiła mnie samego z Jakiem. Dręczyła mnie również samotność i konieczność zmagania się ze sprawami, z którymi nie dawałem sobie rady. Oczywiście byłem świadomy, że to nie wina Rebekki, ale żal to skomplikowane uczucie i nie zawsze łatwo sobie z nim poradzić. To, co napisałem, wydawało się szczerze wyrażać pewien aspekt moich uczuć.

Potraktowałem to jako prace przygotowawcze. Miałem już pomysł na książkę: chciałem napisać historię mężczyzny podobnego do mnie, który stracił kobietę podobną do Rebekki. Zdawałem sobie sprawę, że ten temat będzie dla mnie bolesny. Byłem jednak przekonany, że podołam zadaniu. Zacznę od tego, co złe i brzydkie, a potem dojdę do dobra i piękna. Miałem nadzieję, że na końcu bohater rozwiąże swoje problemy i pogodzi się ze światem. Czasami proces twórczy może pomóc uleczyć rany. Nie miałem pojęcia, czy tym razem właśnie tak się stanie, ale miałem na to nadzieję.

Zapisałem plik i poszedłem odebrać Jake'a ze szkoły.

Kiedy dotarłem na miejsce, rodzice stali już pod murem i czekali.

Podejrzewałem, że obowiązuje jakaś niepisana etykieta dotycząca tego, gdzie należy zająć miejsce. Miałem jednak męczący dzień i uznałem, że nie będę się tym przejmował. W pewnym momencie zauważyłem Karen. Kręciła się sama przy bramie, więc do niej podszedłem. Popołudnie było nawet cieplejsze niż poranek, ale ona wciąż była ubrana tak, jakby za chwilę miał zacząć padać śnieg.

– Cześć – powiedziała. – Myślisz, że przeżył?

– Tak mi się wydaje. Inaczej na pewno ktoś by do mnie zadzwonił.

– Pewnie masz rację. A tak w ogóle to jak ci minął dzień? Wiem, że jest dość wcześnie, więc może zapytam: jak spędziłeś sześć godzin wolności?

– Było całkiem interesująco. W końcu udało mi się zajrzeć do naszego nowego garażu i odkryłem, że poprzednia właścicielka upchnęła tam wszystkie graty, które obiecała zabrać z domu.

– Ach, to dość wkurzające, ale jednocześnie pokazuje, że niezła z niej cwaniara.

Lekko się uśmiechnąłem. Pisanie sprawiło, że zapomniałem o dziwnym facecie, który kręcił się po mojej posesji, ale teraz znowu poczułem narastające zdenerwowanie.

– Po podwórku myszkował też jakiś podejrzany koleś.

– Hmm, to już mniej zabawne.

– No właśnie. Powiedział, że dorastał w tym domu i chciał się po nim rozejrzeć. Chyba mu nie uwierzyłem.

– Nie wpuściłeś go do środka?

– Dzięki Bogu, nie.

– A gdzie konkretnie mieszkacie?

– Na Garholt Street.

– Niedaleko nas. Zaraz za rogiem. – Kiwnęła głową. – Wprowadziliście się do straszego domu?

Straszny dom. Kiedy to usłyszałem, od razu poczułem się nieswojo.

– Chyba tak, chociaż dla mnie to raczej miejsce z charakterem.

– Niewątpliwie. – Znowu przytaknęła. – Czekał na kupca przez całe lato.

Wcale nie jest straszny. Według Adama tylko dziwnie wygląda.

– Czyli idealna siedziba dla mnie i dla Jake’a.

– Nieprawda. Tylko sobie żartujesz. – Uśmiechnęła się, a kiedy otworzyły się jedne z drzwi wejściowych do szkoły, zrobiła krok do przodu. – Zaczęło się. Wypuszczają bestie.

W progu stanęła wychowawczyni klasy Jake’a. Zaczęła przypatrywać się rodzicom i wywoływać poszczególne dzieci, które wybiegały z budynku z tornistrami i przyczepionymi do nich bidonami. Jeśli dobrze sobie przypominałem, to była pani Shelley. Sprawiała wrażenie raczej srogiej. Kilka razy spojrzała w moim kierunku, ale szybko odwracała wzrok i nie miałem szansy, żeby poinformować ją, czyim jestem ojcem. W pewnym momencie dołączył do nas Adam. Karen zmierzwiła mu włosy i zapytała:

– Jak leci, mały? Wszystko w porządku?

– Tak, mamó.

– Zbieramy się. – Odwróciła się do mnie. – Do zobaczenia jutro.

– Do zobaczenia.

Kiedy odeszli, czekałem jeszcze przez dłuższą chwilę, aż okazało się, że jestem ostatnim rodzicem stojącym pod szkołą. Wreszcie pani Shelley przywołała mnie skinieniem ręki.

– Jest pan ojcem Jake’a?

– Tak.

Zza jej pleców wyszedł mój syn. Wbijał wzrok w ziemię i wyglądał na przygnębionego. O Boże, pomyślałem. Coś się musiało stać.

To właśnie dlatego nauczycielka zostawiła nas na sam koniec.

– Jest jakiś problem?

– Nic poważnego – stwierdziła pani Shelley. – Chciałam jednak z panem porozmawiać. Jake, wyjaśnij tacie, co się dziś wydarzyło?

– Pani przesunęła mnie na żółte światło.

– Co takiego?

– Do oceny zachowania używamy wiszących na ścianie papierowych sygnalizatorów świetlnych – wytłumaczyła nauczycielka. – Jake został

pierwszym uczniem ukaranym przesunięciem na żółte światło. Nie było to więc idealne rozpoczęcie roku szkolnego.

– Co takiego zrobił?

– Powiedziałem Tabby, że wkrótce umrze – oznajmił Jake.

– I Owenowi też – dodała pani Shelley.

– Tak, Owenowi też.

– No cóż... – westchnąłem. Nie miałem pojęcia, jak należy zareagować, więc powiedziałem pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy: – Wszyscy kiedyś umrzemy.

Nauczycielka zachowała kamienną twarz.

– To nie jest śmieszne, panie Kennedy.

– Wiem.

– W zeszłym roku mieliśmy w szkole jeszcze jednego ucznia, Neila Spencera. Na pewno coś pan o nim słyszał.

Nazwisko rzeczywiście wydawało mi się znajome.

– Chłopiec zaginął.

– Aha.

Przypomniałem sobie szczegóły. Rodzice pozwolili, żeby wracał wieczorem sam do domu.

– To wydarzenie było dla nas bardzo przykre... – Pani Shelley spojrzała na Jake'a i przez chwilę się wahała. – Wolimy unikać tego tematu. Pana syn zasugerował, że już wkrótce zaczną znikać kolejne dzieci.

– Uhm. I dlatego znalazł się na żółtym świetle?

– Tak, zostanie tam przez następny tydzień. Jeśli znowu coś przeskrobie, będzie musiał się spotkać z panią dyrektorką.

Zerknąłem na Jake'a. Wyglądał na całkowicie załamane. Nie podobało mi się, że został publicznie napiętnowany, lecz jego zachowanie było rzeczywiście trudne do zaakceptowania. Jak mógł powiedzieć coś tak okropnego? Co mu strzeliło do głowy?

– W porządku – stwierdziłem. – Przykro mi, że doszło do tego incydentu. Jestem naprawdę zawiedziony twoim postępowaniem, Jake.

Jeszcze bardziej zapadł się w siebie.

– Porozmawiamy o tym w drodze do domu. – Odwróciłem się do pani Shelley. – Obiecuję, że to się już nigdy więcej nie powtórzy.

– Też mam taką nadzieję. Jest jednak coś jeszcze. – Podeszła do mnie bliżej i zaczęła mówić szeptem, chociaż było oczywiste, że Jake i tak wszystko słyszy. – Nasz asystent obserwował pana syna w czasie przerwy obiadowej i był naprawdę zaniepokojony. Twierdził, że Jake mówi sam do siebie.

Zamknąłem oczy i poczułem, że robi mi się słabo. O Boże, tylko nie to!
Czy on musi to robić przy obcych ludziach?

Dlaczego nic nie może być proste?

Dlaczego zawsze odstajemy od normy?

– Pogadam z nim – zapewniłem ponownie nauczycielkę.

Niestety, Jake nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę.

Podczas drogi do domu próbowałem wydobyć z niego jakieś informacje. Na początku starałem się być delikatny, ale kiedy jedyną reakcją była głucha cisza, straciłem panowanie nad sobą. Wiedziałem, że źle robię, lecz nie potrafiłem się powstrzymać. Jednak tak naprawdę nie byłem zdenerwowany z powodu Jake'a. Chodziło o całą sytuację. Wkurzało mnie, że nic nie układa się tak, jak planowałem. Byłem zawiedziony, że powrócili jego wyimaginowani przyjaciele. Bałem się, co pomyślą o tym inne dzieci i jak będą go traktować. W końcu przestałem zadawać pytania i maszerowaliśmy w stronę domu w całkowitym milczeniu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zajrzałem do jego plecaka. Była tam Teczka z Bardzo Ważnymi Rzeczami. Dobrze, że jej nie zgubił. Poza tym znalazłem jakąś czytanekę, która wydawała mi się wyjątkowo prosta jak na poziom Jake'a.

– Wszystko psuję, prawda? – powiedział cichutkim głosem.

Odłożyłem papiery i spojrzałem na swojego syna. Stał ze spuszczoną głową obok kanapy i wyglądał na jeszcze mniejszego niż zazwyczaj.

– Co ty wygadujesz? Oczywiście, że nie.

– Ale tak właśnie myślisz.

– Nieprawda. Jestem z ciebie bardzo dumny.

– Nie zasłużyłem na to. Zachowuję się okropnie i sam siebie nienawidzę.

Te słowa były dla mnie jak dźgnięcie nożem.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytałem stanowczym tonem, po czym uklęknąłem i spróbowałem go przytulić, jednak pozostał całkowicie obojętny. – Nie wolno mówić takich rzeczy.

– Mogę porysować? – poprosił.

Wzięłem głęboki oddech i trochę się odsunąłem. Za wszelką cenę starałem się z nim porozumieć, ale czułem, że teraz się nie uda. Może później. Nie należy się poddawać.

– Dobrze.

Wróciłem do swojego gabinetu i uruchomiłem komputer, żeby jeszcze raz rzucić okiem na to, co dzisiaj napisałem. Nienawidzę samego siebie. Skarciłem Jake'a za te słowa, ale przez ostatni rok zdarzało mi się żywić do siebie dokładnie takie same uczucia. Teraz znowu tak było. Dlaczego nic mi się w życiu nie udawało? Czemu nie byłem w stanie robić i mówić tego, co należy? Rebecca zawsze powtarzała, że ja i Jake jesteśmy do siebie bardzo podobni, i być może dlatego przychodziły nam do głowy podobne myśli. Chociaż nawet podczas kłótni bardzo się kochaliśmy, to jednak sami nie szanowaliśmy siebie.

Dlaczego Jake opowiadał w szkole takie straszne rzeczy? Mówił sam do siebie, ale przecież nie na tym w gruncie rzeczy polegał problem. Nie miałem wątpliwości, że znowu rozmawiał z małą dziewczynką. Najwyraźniej musiała nas odnaleźć. Zupełnie nie wiedziałem, co z tym zrobić. Mój syn nie potrafił nawiązywać normalnych znajomości, więc otaczał się wyimaginowanymi przyjaciółmi, którzy kazali mu zachowywać się w nieodpowiedni sposób. Czy potrzebował pomocy?

– Pobaw się ze mną.

Podniosłem głowę znad ekranu.

Zaległa cisza i słyszałem tylko przyspieszone bicie własnego serca.

Nie miałem wątpliwości, że w salonie ktoś właśnie odezwał się zachrypniętym, nieprzyjemnym głosem. Z pewnością nie był to Jake.

– Nie mam ochoty – odpowiedział mój syn.

Podszedłem do drzwi i zacząłem nasłuchiwać.

– Jeszcze raz powtórzę: pobaw się ze mną.

– Nie.

Głosy bardzo się od siebie różniły i łatwo można było uwierzyć, że w pokoju jest jeszcze jedno dziecko. Czyżby Jake kogoś naśladował? To było jedyne rozsądne wytłumaczenie. Tylko dlaczego głos tej drugiej osoby przypominał jakiegoś starego charczącego faceta? Spojrzałem na drzwi wejściowe do domu. Nie zamknąłem ich na klucz i nie zasunąłem łańcucha. Czy ktoś mógł wślizgnąć się niepostrzeżenie do środka? Wykluczone: przecież siedziałem w pokoju obok i na pewno coś bym usłyszał.

– Ależ owszem. Będziesz się ze mną bawił.

W zachrypniętym głosie wyraźnie słychać było radość.

– Boję się ciebie – powiedział Jake.

– I o to chodzi. Masz się mnie bać!

Nie wytrzymałem i szybkim krokiem wszedłem do salonu. Jake klęczał na podłodze obok swoich rysunków i wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

Był całkiem sam. Moje serce ciągle waliło jak młotem. Po raz kolejny od momentu przeprowadzki czułem w tym domu czyjąś dziwną obecność. Wydawało mi się, że ktoś wybiegł z pokoju dosłownie sekundę przed moim wejściem.

– Jake? – zagadnąłem po cichu.

Głośno przełknął ślinę. Wyglądał, jakby miał się rozpłakać.

– Jake, z kim rozmawiałeś?

– Z nikim.

– Ale przecież wyraźnie słyszałem. Naśladowałeś jakiś dziwny głos. Ktoś mówił, że chce się z tobą bawić.

– Nieprawda! – Nagle złość przeważała nad strachem. Miałem wrażenie,

że znowu go zawiodłem. – Ciągłe powtarzasz to samo. Mam już dość!

Byłem tak zdziwiony jego reakcją, że zacząłem nerwowo mrugać. Jake wstał z podłogi i wsadził rysunki do Teczki z Bardzo Ważnymi Rzeczami. O co mu chodziło? Naprawdę ciągle mówiłem to samo? Na pewno zdawał sobie sprawę, że nie lubiłem, kiedy rozmawia sam ze sobą, ale jak do tej pory nigdy go za to otwarcie nie skrytykowałem.

Podszedłem bliżej i usiadłem na kanapie.

– Jake...

– Idę do swojego pokoju!

– Proszę, zostań. Martwię się o ciebie.

– W ogóle się mną nie interesujesz.

– Nieprawda.

Nie zwracał na mnie uwagi i ruszył w stronę korytarza. Instykt podpowiadał mi, żeby na razie odpuścić i wrócić do tematu, kiedy emocje opadną. Jednocześnie czułem, że Jake potrzebuje mojego wsparcia. Przez chwilę szukałem właściwych słów.

– Wydawało mi się, że lubisz tę dziewczynkę – powiedziałem. – Chyba chciałeś znowu ją zobaczyć.

– To nie była ona!

– W takim razie kto?

– Chłopiec mieszkający w podłodze.

Zanim zdążyłem zareagować, Jake zniknął w korytarzu.

Przez dłuższą chwilę siedziałem nieruchomo, zastanawiając się, co powinienem zrobić. Chłopiec mieszkający w podłodze. Przypomniałem sobie zachrypnięte dźwięki, które wydobywał z siebie Jake, najwyraźniej kogoś naśladować. Jak inaczej można to było wytłumaczyć? Mimo to przebiegł mnie zimny dreszcz. Ten głos w niczym nie przypominał głosu mojego syna.

„Masz się mnie bać!”

Spojrzałem w dół. Jake zabrał prawie wszystkie swoje rzeczy, ale zapomniał o pojedynczej kartce papieru i kilku kredkach: żółtej, zielonej i fioletowej.

Zerknąłem na obrazek. Jake narysował motyle. Kreska była dziecięca i bardzo nieprecyzyjna, ale od razu rozpoznałem owady, które widziałem rano w garażu. Jak to możliwe? Przecież Jake nigdy tam nie był. Chciałem podnieść kartkę i przyjrzeć się uważnie każdemu szczegółowi, ale nagle usłyszałem, że mój syn wybuchą płaczem.

Zerwałem się na równe nogi i wybiegłem na korytarz. Jake wychodził właśnie z mojego gabinetu zalany łzami. Minał mnie bez słowa i wbiegł na górę po schodach.

– Jake...

– Zostaw mnie w spokoju! Nienawidzę cię!

Patrzyłem na niego w osłupieniu. Czułem się całkowicie bezradny. Nie miałem pojęcia, o co chodzi i jak powinienem zareagować.

Jake trzasnął drzwiami.

Otumaniony wróciłem do swojego pokoju i zobaczyłem na ekranie komputera okropne słowa adresowane do Rebekki. Pisałem o tym, że bez niej wszystko jest strasznie trudne. Wspominałem też, że zostawiła mnie samego i jakaś część mnie czuje do niej z tego powodu żal. Jake musiał to przeczytać. Zamknąłem oczy i wszystko stało się jasne.

Rozdział 19

Pete siedział przy stole i walczył z chęcią sięgnięcia po kieliszek. Powinien zająć się gotowaniem albo włączyć telewizor, ale w kuchni było ciemno i zimno, a w salonie panowała grobowa cisza. Tak jak zawsze gapił się na butelkę wódki i zdjęcie.

Trwało to już dość długo.

Miał naprawdę trudny dzień. Rozmowy z Carterem zawsze dużo go kosztowały, ale tym razem było znacznie gorzej niż zwykle. Chociaż starał się tego nie okazywać w obecności Amandy, opowieść o śnie, w którym pojawił się Tony Smith, zrobiła na nim ogromne wrażenie. To był dla niego punkt zwrotny. Wczoraj wieczorem postanowił nie przejmować się zaginięciem Neila Spencera, ale teraz wszystko się zmieniło. Sprawy były ze sobą powiązane, a Pete nie mógł pozostać na uboczu.

Ale do czego miałyby się przydać? Spędził całe popołudnie, prześwietlając gości, którzy odwiedzali w więzieniu kumpli Cartera. Na razie nie wpadł na żaden trop, jednak zostało jeszcze kilku delikwentów. Przykre było to, że ten sukinsyn Carter miał więcej znajomych za kratami niż Pete na wolności.

W takim razie się napij.

Przecież jesteś bezwartościowym śmieciem. Nie ma na co czekać.

Pokusa była silniejsza niż zazwyczaj, ale czuł, że jest w stanie się jej oprzeć. W końcu miał spore doświadczenie. Mimo to na samą myśl, że schowa nienapoczętą butelkę do szafki, ogarnęła go rozpacz. Miał wrażenie, że picie jest w jego wypadku czymś nieuniknionym.

Zaczął rozmasowywać palcami podbródek, cały czas patrząc na fotografię, na której przytulał się do Sally.

Wiele lat temu usiłowała walczyć z nienawiścią, którą darzył samego siebie. Nakłoniła go do zrobienia dwóch list: na jednej zapisał pozytywne

cechy swojego charakteru, a na drugiej negatywne. Wyraźnie widać było, że wcale nie jest z nim źle. Niestety, poczucie klęski zakorzeniło się tak głęboko w jego psychice, że matematyczne wyliczenia nie były w stanie niczego zmienić. Sally bardzo chciała mu pomóc, ale zawsze w końcu sięgał po kieliszek.

Zbliżającą się katastrofę można było dostrzec na zdjęciu. Chociaż oboje wyglądali na szczęśliwych, wprawne oko zauważyłoby pierwsze oznaki tego, że coś jest nie tak. Sally wystawiała twarz do słońca, szeroko otwierała oczy i miała świetlistą cerę. Pete sprawiał wrażenie lekko przestraszonego, jak gdyby chował się przed światłem. Bardzo się kochali, ale język miłości był dla niego czymś obcym i niezrozumiałym. Co więcej, uważał, że nie zasługuje na uczucie, a alkohol powoli zmienił go w człowieka, którym był teraz. Tak samo jak w przypadku relacji z ojcem zrozumiał wszystko, dopiero gdy nabrał odpowiedniego dystansu. Czasami bitwy mają więcej sensu, kiedy ogląda się je z lotu ptaka.

Było już za późno.

Minęło zbyt wiele lat. Zastanawiał się, gdzie mieszka teraz Sally i czym się zajmuje. Jedyne pocieszenie to świadomość, że na pewno jest szczęśliwa, a rozstanie oszczędziło jej udręki przebywania w jego towarzystwie. Miał nadzieję, że wiedzie życie, na które zawsze zasługiwała, i ta myśl podtrzymywała go na duchu.

Zobacz, ile straciłeś przez alkohol.

Naprawdę, nie warto.

Rzecz jasna, głos potrafił poradzić sobie z takimi argumentami. W końcu znał odpowiedź na każde pytanie. Przecież Pete już zaprzepaścił to, co najcenniejsze w życiu, więc jaki sens miało narażanie się na takie katusze?

Dlaczego się dręczył?

Wbił wzrok w butelkę i w tym momencie poczuł, jak wibruje mu w kieszeni telefon.

„Znowu jestem w centrum wydarzeń. Wszystko zawsze kończy się tam, gdzie się zaczęło”.

Szedł powoli przez pustkowie, ostrożnie stawiając kroki, i właśnie wtedy przypomniał sobie słowa Franka Cartera. Oświetlał grunt latarką i wchodził w coraz gęstszą ciemność. Było mu niedobrze i miał jak najgorsze przeczucia. Wewnętrzny głos mówił mu, że wszystko skończy się klęską. Był tego niemal pewien. Carter rzucił te słowa od niechcienia, ale nie należało ich wtedy lekceważyć. Ten sukinsyn we wszystkim, co robił lub mówił, miał jakiś ukryty cel. Pete powinien rozpoznać wieloznaczny wymiar przekazanej wiadomości, która miała być rozumiana dopiero z perspektywy czasu.

Zobaczył namiot i stojące wokół reflektory, obok których poruszały się sylwetki policjantów. Ogarnęły go mdłości i prawie się przewrócił. Powoli. Krok za krokiem. Dwa miesiące temu szukał w tej okolicy zaginionego chłopca. Dzisiaj trafił tu ponownie, ponieważ coś znaleziono.

Pamiętał, jak tamtej lipcowej nocy zostawił w kuchni stygnącą kolację. Dziś na stole czekała na niego butelka wódki. Jeśli spełni się najgorszy scenariusz, po powrocie do domu na pewno ją otworzy.

Odsunął połę namiotu i wyłączył latarkę. Nie potrzebował dodatkowego światła, ponieważ w blasku reflektorów wszystko widać było jak na dłoni. Kątem oka zobaczył znalezisko i uznał, że wolałby, gdyby było ciemniej. Nie spodziewał się tego widoku. Odwrócił się i dostrzegł stojącego obok inspektora Lyonsa, który patrzył na niego pustym wzrokiem. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi w oczach przełożonego błysk pogardy – powinieneś był temu zapobiec – więc szybko spojrzął na leżący na ziemi telewizor z podziurawionym ekranem. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że podeszła do niego Amanda.

– To właśnie tutaj zniknął chłopiec – powiedział Pete.

– Nie możemy mieć absolutnej pewności.

– Ja mam.

Wbiła wzrok w otaczającą ich ciemność. Blask reflektorów i krzątania policjantów tylko podkreślały panujące na pustkowiu ciszę i mrok.

– Wszystko zawsze kończy się tam, gdzie się zaczęło – stwierdziła Amanda. – Usłyszałeś te słowa od Cartera, prawda?

– Tak. Powinienem jakoś zareagować.

– Ja też. To nie twoja wina.

– W takim razie również nie twoja.

– Być może. – Smutno się uśmiechnęła. – Jednak wydaje mi się, że ty masz z tym większy problem.

Wiedział, że to nieprawda. Amanda była blada jak ściana i wyglądała na bardzo przemęczoną. Przez ostatnich kilka miesięcy zdążył się zorientować, że jest zdolną i kompetentną funkcjonariuszką. Podejrzewał również, że kieruje się ambicją i wybrała sprawę zaginięcia Neila Spencera, żeby w przyszłości ułatwić sobie awans. Nie przemyślała jednak do końca tego, w co się pakuje. Poczł, że łączy ich dziwne pokrewieństwo. Moment, kiedy znalazł w domu Cartera ciała martwych chłopców, był dla niego przełomem i wpłynął na całe późniejsze życie. Zdawał sobie sprawę, że Amanda pracowała równie ciężko jak on i teraz, niezależnie od oczekiwań, na pewno czuła, jak gdyby ktoś grzebał jej w otwartej ranie.

Pete wiedział jednak, że nie może o tym mówić na głos. Sam przeszedł podobną drogę w pojedynkę. Albo się przetrwa, albo nie. Wóz albo przewóz.

Amanda powoli wypuściła powietrze przez usta.

– Ten sukinsyn o wszystkim wiedział – oznajmiła.

– Owszem.

– Pytanie brzmi zatem: skąd miał te informacje?

– Jeszcze nie wiem. Na razie nic nie udało mi się ustalić, jednak na liście kumpli Cartera jest jeszcze sporo niesprawdzonych nazwisk.

Przez chwilę się wahała.

– Chcesz zobaczyć zwłoki?

Po powrocie do domu będziesz mógł się napić.

Masz moje pozwolenie.

– Tak – odparł.

Razem weszli do namiotu i stanęli przy starym telewizorze, obok którego spoczywał martwy chłopiec z rozrzuconymi rękami i nogami. Przy jego boku leżał sfatygowany wojskowy plecak. Pete starał się zachować zimną krew i zapamiętać wszystkie szczegóły, przede wszystkim ubranie: niebieskie spodnie od dresu i podwinięty biały T-shirt, który zasłaniał twarz ofiary. Wzór na koszulce był odwrócony do góry nogami.

– Nigdy nie ujawnialiśmy takich informacji – powiedział Pete.

Kolejny dowód na to, że Carter musiał dostać jakiś cynk.

– Bardzo mało krwi. – Przyjrzał się uważnie martwemu ciału. – Zbyt mało jak na odniesione obrażenia. Chłopiec prawdopodobnie został zamordowany gdzie indziej.

– Na to wygląda.

– To odróżnia Cartera od jego naśladowcy. Carter zabijał chłopców tam, gdzie ich znalazłem, czyli u siebie w domu. Nigdy nie próbował podrzucać zwłok w inne miejsca.

– Oprócz Tony’ego Smitha.

– Tak, ale zmusiły go do tego okoliczności. Ta informacja została zresztą podana do wiadomości publicznej. Tym razem morderca chciał, żebyśmy znaleźli ciało, i to w konkretnym miejscu. Tam, gdzie wszystko się zaczęło, używając słów Cartera.

Po powrocie do domu możesz sobie strzelić kielicha.

– Chłopiec ma na sobie te same ubrania, w których wyszedł z domu. Wszystko wskazuje na to, że był stosunkowo dobrze traktowany. Nie wygląda na szczególnie wychudzonego.

– To kolejna różnica – powiedziała Amanda.

– Zgadza się.

Pete zamknął oczy, by w skupieniu przeanalizować sytuację. Neil Spencer był gdzieś przetrzymywany przez dwa miesiące i dopiero potem został zamordowany. Chłopca utrzymywano przy życiu, ale z jakiegoś powodu ktoś postanowił to jednak zmienić. Ciało pozostawiono dokładnie w tym samym miejscu, w którym dokonano porwania.

Dziecko było jak prezent, pomyślał.

Prezent, który się znudził obdarowanemu, więc zdecydował się go zwrócić.

– Plecak. – Pete otworzył oczy. – Czy w środku jest bidon?

– Tak. Zaraz ci pokażę.

Stanęli jeszcze bliżej ciała. Amanda założyła gumowe rękawiczki i otworzyła plecak. W środku znajdował się bidon wypełniony do połowy

wodą i coś jeszcze: niebieski pluszowy króliczek. Zabawka nie widniała na liście rzeczy, które Neil miał przy sobie w momencie porwania.

– Skąd to się wzięło?

– Próbujemy ustalić. Podejrzewam, że Neil zabrał pluszaka z domu, ale jego rodzice o tym nie wiedzieli.

Pete powoli skinął głową. Teraz miał już pełny obraz. Chłopiec sprawiał kłopoty w szkole i zachowywał się agresywnie. Był jak na swój wiek wyjątkowo zgorzkniały. Tak często dzieje się z ludźmi, którym los nie szczędzi ciosów.

Jednak przede wszystkim był zwykłym sześciolatkiem.

Zmusił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na zwłoki bez emocji i wspomnień, które wywoływała w nim ta tragiczna sytuacja. Wiedział, że kiedy wróci do domu, będzie mógł się napić.

„Dorwiemy osobę, która to zrobiła”.

Odwrócił się i włączył latarkę, po czym wszedł w ciemność otaczającą namiot.

– Będziesz mi potrzebny do rozwikłania tej sprawy – zawołała Amanda.

– Wiem. – Myślał już jednak o czekającej na niego butelce i przyspieszył kroku. – Na pewno nie zostawię cię samej.

Rozdział 20

Mężczyzna stał w ciemności i dygotał.

Nad jego głową rozpościerało się czyste rozgwieżdżone niebo. Zrobiło się znacznie chłodniej w porównaniu z panującym za dnia upałem, ale to nie niska temperatura sprawiała, że nie mógł zapanować nad drżeniem. Chociaż starał się nie myśleć o tym, co zrobił dziś po południu, to przecież zdawał sobie sprawę z wagi swojego czynu i podświadomie czuł niepokój.

Jak do tej pory nikogo nie zabił.

Wcześniej wydawało mu się, że jest do tego dobrze przygotowany. W decydującym momencie pomogły mu wściekłość i nienawiść. Jednak potem był rozbity i nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Na zmianę płakał i wybuchał histerycznym śmiechem. Targały nim sprzeczne emocje. Trząsał się ze wstydu i wypełniała go pogarda dla samego siebie, a potem siadał na podłodze w łazience i kołysał się w przód i w tył. Trudno to opisać, ale wcale nie był zdziwiony taką reakcją. W końcu otworzył drzwi, których już nigdy nie da się zamknąć. Przeżył coś, czego doświadczyła zaledwie garstka ludzi. Teraz czekała go wyjątkowa podróż, do której nie mógł wcześniej się przygotować. Nie istniały żadne przewodniki ani mapy wytyczające właściwy szlak. Dokonanie zabójstwa było jak wypłynięcie na nieznaną dotąd wody.

Powoli zrobił wdech i przytrzymał zimne powietrze w płucach. Jego ciało nie przestawało drżeć. Otaczała go cisza i słyszał jedynie delikatny szum wiatru. Miał wrażenie, że świat szepcze mu do ucha jakieś tajemnice. W oddali świeciły jasno uliczne latarnie, on jednak stał daleko od nich i się nie ruszał. Gdyby ktoś przechodził kilka metrów obok, pewnie w ogóle by go nie zauważył, natomiast on obserwował wszystko uważnie i wyczułby obecność intruza. Jego zmysły były idealnie zsynchronizowane z otaczającą go przyrodą. Była późna noc i wiedział, że w najbliższej okolicy nie ma

nikogo.

Na razie czekał.

Jedna po drugiej przechodziły go fale dreszczy.

Złość, która zawładnęła nim po południu, była ogromna. Tak bardzo się wściekł, że zupełnie stracił nad sobą kontrolę. W jego piersi płonął gniew, a ciało podrygiwało jak marionetka, którą ktoś mocno pociąga za sznurki. Przed oczami miał oślepiający blask i chyba nie byłby w stanie dokładnie odtworzyć tego, co się stało, nawet gdyby bardzo się postarał. Miał wrażenie, że na jakiś czas wyszedł z siebie i pozwolił, żeby zawładnęła nim nieznana mu mroczna siła. Gdyby był człowiekiem religijnym, mógłby uznać, że opętał go zły duch. Wiara nie miała jednak dla niego większego znaczenia i doskonale zdawał sobie sprawę, że to, co zniewoliło go przez tych kilka strasznych minut, pochodziło z jego własnego wnętrza.

Teraz to coś zniknęło albo przynajmniej ukryło się w zakamarkach świadomości. Kiedy wrócił pamięcią do wydarzeń minionego popołudnia, uświadomił sobie, że przegrał, i ogarnęło go poczucie winy. Neil Spencer był w końcu dzieckiem, które potrzebowało ratunku. Wydawało mu się, że to właśnie on jest odpowiednią osobą, żeby zatroszczyć się o chłopca. Chciał się nim zająć, zapewnić mu dach nad głową i należytą opiekę.

Wcale nie miał zamiaru robić mu krzywdy.

Przez dwa miesiące wszystko dobrze się układało. Mężczyzna wreszcie zaznał spokoju. Obecność chłopca i jego pozorne zadowolenie były balsamem na jego skołataną duszę. Pierwszy raz, od kiedy pamiętał, miał wrażenie, że świat jest dobrze urządzonym miejscem. Wydawało mu się, że rana jątrząca się w jego wnętrzu wreszcie zaczęła się goić.

Niestety, to wszystko było jedynie iluzją.

Neil od samego początku go oszukiwał. Marnował jego czas i tylko udawał, że jest szczęśliwy. Mężczyzna musiał wreszcie pogodzić się z faktem, że iskierka dobra, którą zobaczył w oczach chłopca, zwiodła go na manowce. Był zbyt naiwny i łatwowierny. Neil Spencer go okłamał, okazał się wężem w skórze małego dziecka. Ten naciągacz zasługiwał na to, co w końcu go spotkało.

Mężczyzna poczuł, że jego puls niebezpiecznie przyspiesza.

Potrząsnął głową i uznał, że musi się uspokoić. Wyrównał oddech i usiłował skupić uwagę na czymś innym. To, co zrobił, było wstrętne. Jeśli wśród wielu emocji, które kłębiły się w jego sercu, były również satysfakcja i zadowolenie, należało zdecydowanie je potępić i zwalczyć. Powinien skupić się na tym, co dobre. Przecież przez kilka ostatnich tygodni jego życie wypełniał spokój. Później okazało się, że popełnił błąd, ale to jeszcze nie był koniec świata. Po prostu dokonał złego wyboru. Neil okazał się pomyłką, ale to już nigdy więcej się nie powtórzy.

Następny chłopiec będzie chodzącym ideałem.

Rozdział 21

W nocy miałem jeszcze większe problemy z zaśnięciem niż zwykle.

Pokłóciłem się z Jakiem i nie udało nam się wszystkiego sobie wyjaśnić. Chociaż sam przed sobą potrafiłem uzasadnić to, co napisałem o Rebecce, nie umiałem tego wytłumaczyć siedmiolatkowi. On uznał to za bezpodstawny atak na ukochaną mamę. Nie chciał ze mną rozmawiać i podejrzewałem, że w ogóle nie słuchał, co do niego mówię. Przed pójściem spać nie miał ochoty na bajkę. Stałem bezradnie na środku pokoju, czując jednocześnie frustrację i nienawiść do samego siebie. Za wszelką cenę chciałem, żeby chociaż spróbował mnie zrozumieć. W końcu pocałowałem go delikatnie w skroń, przytuliłem na dobranoc i wyszeptalem, że go kocham. Miałem nadzieję, że rano wszystko się ułoży. Naiwnie wierzyłem, że to możliwe. Po nocy zawsze przychodzi dzień, ale nie ma przecież żadnych powodów, aby uważać, że będzie lepszy od poprzedniego.

Potem leżałem w sypialni, przewracając się z boku na bok i starając się uspokoić. Nie byłem w stanie znieść tego, że dystans dzielący mnie od syna ciągle się powiększa. Najgorsze, że nie miałem pojęcia, w jaki sposób mógłbym zatrzymać ten proces, nie mówiąc już o jego cofnięciu. Przypomniałem sobie również chrapliwy głos, który Jake naśladował, rozmawiając sam ze sobą. Od razu przebiegł mnie dreszcz.

„Masz się mnie bać!”

Chłopiec mieszkający w podłodze.

Niezależnie od tego, jak bardzo wytrąciło mnie to z równowagi, z jakiegoś powodu gorszy był rysunek z motylami. Garaż przecież zamknąłem na kłódkę i Jake nie mógł wejść do środka bez mojej wiedzy. Uważnie przyjrzałem się obrazkowi i nie miałem wątpliwości, co przedstawia. Jake musiał zobaczyć te owady. Pytanie tylko jak i gdzie.

To na pewno zbieg okoliczności. Nie istniało przecież inne rozsądne wytłumaczenie. Być może ten gatunek był bardziej pospolity, niż mi się wydawało. W końcu motyle żyjące w garażu jakoś się tam znalazły. Rzecz jasna, próbowałem poruszyć z Jakiem ten temat, ale zgodnie z przewidywaniami nie odpowiadał na moje pytania. Przewracałem się więc z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Zrozumiałem, że sprawa motyli w gruncie rzeczy miała coś wspólnego z naszą kłótnią. W obu przypadkach mogłem jedynie liczyć na to, że rano będzie lepiej.

Roztrzaskujące się szkło.

Krzyk ojca.

Wrzask mojej matki.

Obudź się, Tom.

Obudź się natychmiast.

Ktoś trącił moją stopę.

Poderwałem się jak oparzony. Byłem zlany potem, a serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Otaczał mnie mrok i panowała kompletna cisza. Był środek nocy. Jake stał obok łóżka: jego ciemna sylwetka wyraźnie rysowała się na jeszcze ciemniejszym tle. Przetarłem oczy i zapytałem cichym głosem:

– Jake?

Nic nie odpowiedział. Nie widziałem jego twarzy, ale zauważyłem, że kołysze się lekko z boku na bok. Przypominało to ruch metronomu. Zmarszczyłem brwi.

– Śpisz?

Ciągle milczał. Usiadłem na łóżku, zastanawiając się, co należy zrobić. Jeśli lunatykował, mogłem albo delikatnie go obudzić, albo zaprowadzić z powrotem do jego pokoju. W pewnym momencie mój wzrok przyzwyczał się do ciemności i stojąca przede mną sylwetka stała się wyraźniejsza. Coś było nie tak z włosami Jake'a. Były znacznie dłuższe, niż powinny, i sterczały dziwnie w jedną stronę.

To jednak nie wszystko.

Ktoś jeszcze szeptał.

Kołysząca się na boki postać nie wydawała z siebie żadnego dźwięku.

Szept dochodził z zupełnie innej części domu.

Spojrzałem w lewo. Przez otwarte drzwi sypialni widziałem fragment ciemnego korytarza. Wydawało mi się, że odgłosy dochodzą właśnie stamtąd.

– Jake...

Kiedy się odwróciłem, tajemnicza postać zniknęła i pokój znowu był pusty.

Jeszcze raz przetarłem oczy, ześlizgnąłem się z łóżka i podreptałem w stronę przedpokoju. Szeptanie było tutaj nieco głośniejsze. Choć nie byłem w stanie zrozumieć poszczególnych słów, wyraźnie słyszałem dwa głosy prowadzące cichą rozmowę. Jeden był wyraźnie niższy i bardziej szorstki od drugiego. Jake znowu mówił sam do siebie. Instyktownie zacząłem iść w kierunku jego pokoju. Po drodze zerknąłem na schody i stanąłem jak wryty.

Jake był na parterze i opierał się o drzwi wejściowe. Zza lekko rozsuniętej zasłony w moim gabinecie wpadał do środka wąski pasek światła ulicznej latarni i rzucał blask na potargane włosy mojego syna, sprawiając, że nabierały pomarańczowego odcienia. Jake siedział z plecami przyciśniętymi do drzwi, miał podkulone nogi, a jedną rękę trzymał na framudze. W drugiej ścisnął pęk zapasowych kluczy, które zwykle chowałem w biurku.

Zamieniłem się w słuch.

– Nie jestem pewien – szepnął Jake.

– Będę się tobą opiekował. Obiecuję – odpowiedział drugi głos.

– Sam nie wiem.

– Wpuść mnie, Jake.

Mój syn przesunął dłoń w stronę skrzynki na listy. Wtedy zauważyłem, że kłapka jest uchylona i ktoś wpycha przez szczelinę swoje palce. Serce podeszło mi do gardła. Cztery cienkie blade paluchy przeciskające się między czarnymi pajęczynami.

– Wpuść mnie do środka.

Jake przysunął dłoń do palców nieznajomego i pozwolił, żeby ten go pogłaskał.

– Otwórz, proszę.

Sięgnął do łańcucha.

– Nie ruszaj się! – wrzasnąłem.

To była instynktowna reakcja, a krzyk pochodził nie tylko z gardła, lecz także z głębi mojego serca. Palce błyskawicznie się cofnęły, a klapka opadła. Jake odwrócił się w moją stronę i podniósł głowę. Zbiegłem na dół ile sił w nogach i wyrwałem mu klucze z ręki. Krew pulsowała mi w skroniach.

Jake nie zmienił pozycji i blokował drzwi.

– Przesuń się – warknąłem. – Szybko.

Usunął się z drogi i poszedł na czworakach do mojego gabinetu. Zdjąłem łańcuch i nacisnąłem klamkę. Drzwi były otwarte. Trudno było w to uwierzyć, ale Jake zdążył już przekręcić klucz w zamku. Wybiegłem przed dom i zacząłem wpatrywać się w ciemność.

Na pierwszy rzut oka na ulicy nikogo nie dostrzegłem. Pod latarniami unosiła się bursztynowa mgiełka, a chodniki były puste. Ale kiedy spojrzałem na pole rozciągające się po drugiej stronie drogi, zauważyłem jakiś niewyraźny kształt: wydawało mi się, że ktoś ucieka i widzę szybko poruszające się nogi.

Postać była już jednak za daleko, żebym zdołał ją dogonić.

Ruszyłem przed siebie, ale zatrzymałem się na środku jezdni. Z ust buchały mi drobne chmurki pary. Co ja, do cholery, wyrabiam? Nie mogłem przecież zostawić otwartego domu i uganiać się po polu za jakimś wariatem. Porzuciłem Jake'a samego. Musiałem wracać.

Przez kilka sekund stałem bez ruchu, gapiąc się w ciemność. Uciekająca postać zniknęła. Jeśli w ogóle wcześniej tam była.

Nie, tym razem nic mi się nie przywidziało. Ktoś biegł przez pole.

Po dłuższej chwili wróciłem do domu, zamknąłem drzwi na klucz i zadzwoniłem na policję.

Część trzecia

Rozdział 22

Zaczęło się bardzo obiecująco: dwójka policjantów zapukała do drzwi dziesięć minut po moim telefonie. Później było niestety znacznie gorzej.

Musiałem wziąć na siebie przynajmniej część odpowiedzialności za to, co się stało. Dochodziło wpół do piątej nad ranem i ledwo stałem na nogach. Byłem przestraszony i miałem problemy z koncentracją. Przedstawiony przeze mnie opis wydarzeń nie był zbyt detaliczny. Rzecz jasna, nie mogłem pominąć roli, którą w całej sytuacji odegrał Jake.

Kiedy wróciłem do domu, żeby zadzwonić, siedział skulony na dolnym stopniu schodów i przyciskał głowę do kolan. Uznałem, że jestem wystarczająco spokojny, żeby się nim zająć, i zaniósłem go do salonu. Położył się na kanapie i zwinął w kłębek. Oczywiście nie chciał ze mną rozmawiać.

Z całej siły starałem się ukryć narastającą frustrację i zwykły strach. Nie do końca mi się to udało.

Jake nie zmienił swojej pozycji, nawet kiedy dołączyli do nas policjanci. Czułem się zażenowany i usiadłem obok niego. Cały czas dzielił nas ogromny dystans i wydaje mi się, że było to oczywiste również dla funkcjonariuszy. Przysłano do nas kobietę i mężczyznę; byli grzeczni i starali się okazać należyta troskę i zrozumienie. Kobieta spoglądała jednak z zaciekawieniem na Jake'a i odniosłem wrażenie, że martwi się nie tylko tym, co właśnie powiedziałem.

Potem mężczyzna spojrział w notatki i zaczął zadawać pytania.

– Czy Jake już wcześniej lunatykował?

– Zdarzało mu się – powiedziałem – ale niezbyt często. Zwykle docierał tylko do mojej sypialni i jak do tej pory nigdy nie zszedł na parter.

Nie wiedziałem jednak na sto procent, czy rzeczywiście lunatykował.

Choć starałem się przekonać samego siebie, że nie otworzyłby drzwi wejściowych z własnej woli, nie miałem co do tego całkowitej pewności. Jeżeli mój syn był zdolny wpuścić do środka intruza, to jak bardzo musiał być na mnie zły?

– Czy jest pan w stanie opisać tego mężczyznę?

– Nie. Widziałem tylko, jak biegł przez pole. Było ciemno i nie mogłem dostrzec żadnych szczegółów.

– Jaką miał budowę ciała? W co był ubrany?

Pokręciłem głową.

– Przykro mi, ale nie potrafię nic więcej powiedzieć.

– Jest pan pewien, że to był mężczyzna?

– Tak. Nie mam wątpliwości, że stojąc przy drzwiach, słyszałem męski głos.

– A może mówił to pański syn? – Policjant spojrzał na Jake’a.

Jake leżał zwinięty w kłębek obok mnie i gapił się w pustkę, jakby był jedynym człowiekiem na całym świecie.

– Dzieci czasami mówią same do siebie.

Nie chciałem drążyć tego tematu.

– Nie. Tam z pewnością był jakiś facet – stwierdziłem. – Wyraźnie widziałem, jak wkłada palce do skrzynki na listy, i słyszałem jego niski głos. Starał się nakłonić Jake’a do otworzenia drzwi. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdybym się w porę nie obudził.

Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę z grozy sytuacji. Zrozumiałem, czego byłem świadkiem i jak niewiele brakowało, żeby doszło do tragedii. Gdyby nie moja interwencja, Jake zostałby porwany. Wyobraziłem sobie, że zniknął i siedzę naprzeciwko policjantów, którzy przyszli tu w zupełnie innej sprawie. Poczuję się całkowicie zagubiony. Chociaż byłem naprawdę sfrustrowany zachowaniem syna, miałem ochotę mocno go przytulić. Chciałem otoczyć go opieką i mieć blisko siebie. Jednak tego nie zrobiłem. Wiedziałem, że mi na to nie pozwoli. Wszystko wskazywało, że nie jest w nastroju na czułości.

– Skąd Jake wziął klucze?

– Zostawiłem je w swoim gabinecie, po drugiej stronie korytarza. Już więcej nie popełnię tego błędu.

– To chyba rozsądna decyzja.

– Jake, chciałabym z tobą porozmawiać. – Policjantka pochyliła się w jego stronę, łagodnie się uśmiechając. – Możesz nam opowiedzieć, co się stało?

Pokręcił głową.

– Szkoda. A dlaczego siedziałeś pod drzwiami, kochanie?

Lekko wzruszył ramionami i jeszcze bardziej się ode mnie odsunął. Kobieta wyprostowała się, ale ciągle patrzyła na Jake'a, przekrzywiając głowę w jedną stronę, jak gdyby go oceniała.

– Tu był jakiś obcy facet – powiedziałem rozgorączkowanym głosem. – Wczoraj po południu kręcił się koło domu. Dziwnie się zachowywał i próbował wejść do garażu. Kiedy go zagadałem, stwierdził, że się tutaj wychował i chciałby się rozejrzeć po pokojach.

Policjant wyglądał na zainteresowanego moimi słowami.

– W jakich okolicznościach zaczęliście rozmawiać?

– Zadzwoił do drzwi.

– Aha, rozumiem. – Nagryzmolił coś w notesie. – Może pan go opisać?

Spełniłem jego prośbę, a on wszystko skrętnie zanotował, chociaż było jasne, że intruz, który z własnej woli puka do drzwi, nie zrobił na nim większego wrażenia. Poza tym miałem problem, żeby mu wytłumaczyć, dlaczego nieznajomy wprowadził mnie w tak wielki niepokój. W jego wyglądzie nie było niczego przerażającego, lecz mimo to miałem przeczucie, że grozi mi z jego strony niebezpieczeństwo.

Nagle coś sobie przypomniałem:

– Neil Spencer.

Policjant przestał notować.

– Co takiego?

– Tak chyba nazywa się zaginiony chłopiec. Niedawno się wprowadziliśmy, ale słyszałem, że w okolicy doszło do tajemniczego porwania. Na początku lata, prawda?

Policjanci wymienili znaczące spojrzenie.

– Co pan wie o Neilu Spencerze? – zapytał mężczyzna.

– Nic. Niedawno wspomniała o nim nauczycielka Jake’a. Chciałem poczytać coś więcej w internecie, ale byłem... zajęty. – Nie chciałem wspominać o naszej kłótni. – Wieczorem miałem sporo pracy.

To nie było najlepsze wytłumaczenie, ponieważ zajmowałem się pisaniem, a Jake przeczytał moje wypociny i od tego wszystko się zaczęło. Poczułem, że jeszcze bardziej się ode mnie oddała i mocniej zwiija w kłębek.

Nie wytrzymałem i dałem upust narastającej frustracji:

– Wydawało mi się, że policja potraktuje tę sprawę poważnie i bardziej się tym wszystkim przejmie.

– Proszę pana...

– Mam wrażenie, że mi nie wierzycie.

Mężczyzna się uśmiechnął, ale było w tym coś sztucznego.

– Nie chodzi o to, że panu nie wierzymy, panie Kennedy. Po prostu możemy zrobić tylko tyle, na ile pozwalają zebrane informacje. – Spojrzał na mnie badawczym wzrokiem, a jego koleżanka ciągle przyglądała się Jake’owi. – Wszystkie sprawy traktujemy poważnie. Rzecz jasna, przyjmujemy pańskie zgłoszenie, ale biorąc pod uwagę to, co nam pan powiedział, nie jesteśmy w stanie zbyt wiele zdziałać. Przede wszystkim powinien pan dobrze schować klucze i przestrzegać podstawowych zasad bezpieczeństwa. Warto mieć oczy szeroko otwarte. Jeśli zobaczy pan jakiegoś intruza szwendającego się po pańskiej posesji, proszę jak najszybciej się z nami skontaktować.

Pokręciłem głową. W obliczu tego, co się stało – ktoś próbował porwać mojego syna – reakcja policjanta wydawała się dalece niesatysfakcjonująca. Byłem na siebie zły i z trudem ukrywałem to, że jestem również wściekły na Jake’a. Przecież chciałem mu pomóc! Za kilka minut policjanci wyjdą z naszego domu i będziemy zdani wyłącznie na siebie. Niestety, nie potrafiliśmy żyć w zgodzie pod jednym dachem.

– Panie Kennedy? – delikatnie odezwała się funkcjonariuszka. – Nie mieszka pan razem z mamą Jake’a?

– Jego mama nie żyje.

Powiedziałem to zbyt kategorycznym tonem, z trudem ukrywając gniew. Kobieta była wyraźnie zaskoczona.

– Aha, bardzo mi przykro.

– To jest dla mnie... niezwykle trudna sytuacja. Na dodatek przez te nocne wydarzenia naprawdę się boję.

W tym momencie Jake jakby się przebudził, być może z powodu kipiącej w nim złości. Był wściekły z powodu tego, co napisałem, i pewnie nie podobało mu się, że tak obcesowo poinformowałem policjantkę o śmierci jego matki. Wyprostował się i powoli usiadł na kanapie. Wreszcie na mnie spojrzał, ale jego twarz pozbawiona była wyrazu. Kiedy otworzył usta, z jego gardła wydobył się chrapliwy, nieludzki głos. Głos kogoś o wiele starszego.

– Masz się mnie bać!

Rozdział 23

Kiedy zadzwonił budzik, Pete jeszcze przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo w łóżku. Czuł, że coś się stało, i potrzebował czasu, żeby się z tym zmierzyć. Przypomniawszy sobie wydarzenia zeszłego wieczoru i ogarnęła go panika. Oczami wyobraźni zobaczył leżące na pustkowiu ciało Neila Spencera. Pamiętał, jak pognął do domu i wziął do ręki czekającą na niego w kuchni butelkę wódki. Kiedy poczuł w dłoni zimne szkło, trochę się uspokoił.

Po chwili rozległ się charakterystyczny dźwięk odkręcanej nakrętki.

A potem...

Wreszcie otworzył oczy. Oślepiło go poranne słońce prześwitujące przez cienkie niebieskie zasłony. Snop światła padał na skotłowaną pościel. W nocy Pete pewnie się spocił i zsunął kołdrę na kolana. Teraz owinięta ciasno wokół jego nóg wydawała się strasznie ciężka.

Odwrócił głowę i spojrzał na nocny stolik.

Stała tam odpieczętowana butelka.

Zawartość pozostała jednak całkowicie nienaruszona.

Przypomniawszy sobie, jak długo zastanawiał się wczoraj, co zrobić. Walczył z przemożną chęcią napicia się, a głosy na zmianę zachęcały go do tego pomysłu i od niego odwodziły. Przyniósł nawet do sypialni szklanę. Najwyraźniej walczył do samego końca.

I wygrał.

Poczuł ogromną ulgę. Jeszcze raz spojrzał na szafkę. Przed pójściem spać położył na szklance fotografię Sally. Po tym wszystkim, co się stało – po tych wszystkich okropieństwach, których doświadczył – zdjęcie i wspomnienia z nim związane wystarczyły, żeby dać odpór nałogowi.

Starał się nie myśleć o tym, co go czeka dzisiaj, i o kolejnym wieczorze.
Na razie wystarczy.

Wziął prysznic i zjadł śniadanie. Chociaż nie wypił ani kropli alkoholu, źle się czuł i nie miał ochoty na codzienną porcję ćwiczeń. Na początek dnia wyznaczono odprawę, do której musiał się dobrze przygotować. Był jednak przytłoczony wszystkimi wydarzeniami i miał wrażenie, że zbyt wiele wie. Oglądając ciało Neila Spencera, starał się zachować obojętność. To było jak robienie zdjęć bez patrzenia w wizjer. Okazało się, że jego umysł wszystko skrupulatnie zapamiętywał. Pete zdawał sobie sprawę, że jeśli za kilka godzin chce się zachowywać jak prawdziwy zawodowiec, musi najpierw oczyścić głowę z nadmiaru myśli.

Poszedł więc na siłownię.

Trening dobrze mu zrobił. Kiedy się uspokoił, uznał, że czas iść do biura. Leżące na stole dokumenty dotyczyły mało istotnych kwestii i sprawiły, że na chwilę ogarnęła go przyjemna błogość. Potem sięgnął po złowieszczo wyglądający plik starych notatek, potrzebnych mu podczas odprawy, i udał się piętro wyżej do pokoju operacyjnego.

Kiedy otworzył drzwi, poczuł lekki niepokój. Do rozpoczęcia spotkania zostało jeszcze dziesięć minut, ale w środku już było pełno policjantów. Nikt jednak nie rozmawiał. Panowała absolutna cisza i wszyscy mieli ponure twarze. Pracowali nad tą sprawą od samego początku i niezależnie od nikłych postępów cały czas tliła się w nich iskierka nadziei, która właśnie zgasła.

Do dzisiaj szukali zaginionego chłopca.

Teraz było już wiadomo, że ktoś go zamordował.

Pete stanął na końcu pokoju i oparł się o ścianę, w pełni świadomy skierowanych na niego spojrzeń. To zainteresowanie było całkowicie zrozumiałe. Chociaż jego początkowe zaangażowanie w śledztwo nie przyniosło żadnych wymiernych rezultatów, wszyscy wiedzieli, że nie trafił tutaj zupełnie przypadkowo. Pete zauważył, że siedzący z przodu inspektor Lyons patrzy w jego stronę. Na chwilę spotkali się wzrokiem. Pete starał się wyczytać coś z jego twarzy. Wczoraj w nocy, kiedy spotkali się przy

namiocie, Lyons miał pustkę w oczach, co tylko dało Pete'owi do myślenia. Czyżby Lyons uważał, że w jakimś sensie odniósł zwycięstwo? Posądzanie go o to wydawało się nie do końca w porządku, ale przecież nie dało się wykluczyć takiej możliwości. Ich kariery potoczyły się zupełnie innymi ścieżkami, ale Lyons zawsze żywił do Pete'a urazę za to, że ten złapał Franka Cartera. Pete był tego w pełni świadomy. Ostatnie wydarzenia oznaczały, że śledztwo w rzeczywistości nigdy nie zostało zamknięte. Lyons stanął za sterami i kierował teraz całą operacją, podczas gdy Pete pełnił rolę pionka.

Pete skrzyżował ramiona na piersi i ze wzrokiem wbitym w podłogę czekał, co się stanie.

Minutę później do sali weszła Amanda. Przecisnęła się przez tłum i stanęła z przodu. Widział ją jedynie przez ułamek sekundy, ale od razu zorientował się, że jest w kiepskim stanie. Zauważył też, że miała na sobie to samo ubranie co wczoraj. Pewnie spała w jednym z pokoi gościnnych na terenie komisariatu albo, co bardziej prawdopodobne, w ogóle nie zmrużyła oka. Kiedy wchodziła na niewielkie podwyższenie, była wyraźnie przygaszona i sprawiała wrażenie kogoś, kto dźwiga ogromny ciężar.

– Dzień dobry – powiedziała. – Na pewno znacie już najświeższe wiadomości. Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy informację, że na terenie nieużytków w okolicach Gair Lane natrafiono na zwłoki dziecka. Na miejsce od razu udali się funkcjonariusze. Tożsamość ofiary nie została jeszcze na sto procent potwierdzona, lecz uważamy, że to Neil Spencer.

Wszyscy już o tym wiedzieli, lecz mimo to Pete poczuł, jak przez salę przechodzi fala negatywnych emocji. Zaległa kompletna cisza, tak gęsta, że można ją było kroić nożem.

– Podejrzewamy udział osób trzecich. Na ciele znaleźliśmy poważne obrażenia.

Ostatnie zdanie Amanda wypowiedziała łamiącym się głosem. Pete zauważył, że lekko się skrzywiła. Chyba zbyt wiele od siebie wymaga. W innych okolicznościach jej zachowanie można by uznać za słabość, ale w tym momencie na pewno nikt tak nie pomyślał. Szybko się uspokoiła i kontynuowała:

– Tym razem żadne szczegóły nie przedostaną się do prasy. Teren został otoczony szczelnym kordonem. Media wiedzą, że znaleźliśmy ciało, ale nic

więcej. Nie przekazemy im żadnych innych informacji, zanim nie zorientujemy się, o co w tym wszystkim chodzi.

Stojąca pod ścianą policjantka kiwała głową sama do siebie. Pete przypomniał sobie, że wykonywał podobne gesty w najgorszym okresie zmagania ze swoim nałogiem. Kiedy miał ochotę sięgnąć po kieliszek, takie powtarzalne czynności pomagały mu przetrwać.

– Zwłoki przewieziono do kostnicy i jeszcze dziś rano zostanie przeprowadzona autopsja. Udało się ustalić, że do zgonu doszło wczoraj po południu między piętnastą a siedemnastą. Jak mówiłam, prawdopodobnie to Neil Spencer, ciało znaleziono mniej więcej w tym samym miejscu, w którym chłopiec został porwany. Uważamy, że do morderstwa doszło jednak gdzie indziej, najprawdopodobniej w miejscu, w którym był więziony. Trzymam kciuki za wyniki ekspertyzy sądowej, mam nadzieję, że dowiemy się z niej czegoś więcej. Na razie uważnie przeanalizujemy nagrania z kamer miejskiego monitoringu i zapukamy do każdych drzwi w okolicy. Nie pozwolę, żeby po tym mieście nadal chodził morderca. Nie ma na to mojej zgody.

Podniosła głowę. Chociaż była smutna i zmęczona, w jej oczach płonął ogień.

– Wszyscy braliśmy czynny udział w tym śledztwie. Niewątpliwie przygotowaliśmy się na najgorsze, ale mieliśmy nadzieję, że sprawy potoczą się inaczej. Chciałabym, żeby jedna rzecz była dla was jasna. Nie możemy dopuścić, by to się tak skończyło. Zgadza się ze mną?

Pete rozejrzał się dookoła. Kilku policjantów przytakiwało z zaangażowaniem i atmosfera w sali trochę się ożywiła. Podziwiał zapał Amandy i wiedział, że jej energia jest teraz potrzebna. Przypomniał sobie jednak, jak sam wygłaszał podobne przemowy dwadzieścia lat temu, i chociaż wtedy wierzył w każde wypowiedziane słowo, z czasem nauczył się, że niezależnie od naszych zamiarów finał nie zawsze jest taki, jak chcemy. Co więcej, niektóre sprawy potrafią nas przesładować do końca życia.

– Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy – dodała Amanda. – Nie udało nam się wystarczająco szybko odszukać Neila, ale to wcale nie oznacza, że nie dorwiemy osoby, która go zamordowała. Gwarantuję wam,

że osiągniemy ten cel.

Pete był pewien, że Amanda gorąco wierzy w to, co mówi. Dobrze wiedział, że w takich sytuacjach nie pozostaje nic innego. Czasem podczas służby bywa się świadkiem tragedii, a jedynym sposobem na uśmierzenie bólu jest złapanie sprawcy, zanim skrzywdzi następną osobę. Albo przynajmniej zrobienie wszystkiego, żeby go powstrzymać.

– Dorwiemy go. Zapewniam was, że zrealizujemy ten cel.

Miał nadzieję, że tak się stanie.

Rozdział 24

To zadziwiające, jak szybko życie wraca do normy, jeśli zaistnieje taka konieczność.

Po wyjściu policjantów uznałem, że nie ma sensu kłaść się spać. W rezultacie już wpół do dziewiątej byłem tak zmęczony, że ledwo stałem na nogach. Udając, że nic się nie stało, przygotowałem Jake'owi śniadanie i wyszykowałem go do szkoły. Ta gra pozorów wydawała mi się całkowicie absurdalna. Właściwie nie miałem powodu, żeby pozwolić mu zostać w domu. Biorąc pod uwagę jego wcześniejsze zachowanie w obecności funkcjonariuszy, w głębi duszy chciałem, żeby przynajmniej na jakiś czas zniknął mi z oczu. To straszne, ale naprawdę miałem go dość.

Ciągle milcząc, zjadł płatki. Stałem przy zlewie, nalałem sobie wody do szklanki i wypilem duszkiem. Nie miałem pojęcia, co powinienem teraz zrobić. Upłynęło raptem kilka godzin, ale to, co się stało w środku nocy, wydawało się odległe i mało realne. Czy mogłem mieć pewność, że rzeczywiście nic mi się nie przywidziało? Być może był to jedynie wytwór mojej wyobraźni. Jednak nie! To wszystko się wydarzyło! Nie byłem dobrym ojcem: nawet przeciętny rodzic byłby w stanie sprawić, żeby policja wzięła jego słowa na poważnie. Jake nie chciał ze mną rozmawiać i podważał mój autorytet. Nie potrafił zrozumieć, że się o niego boję i po prostu staram się go ochronić.

Zacisnąłem dłoń.

„Nie jesteś taki jak twój ojciec, Tom”.

Usłyszałem w głowie cichy głos Rebekki.

„Nigdy o tym nie zapominaj”.

Spojrzałem na szklankę i zdałem sobie sprawę, że trzymam ją zbyt mocno. Wróciło do mnie okropne wspomnienie – roztrzaskujące się szkło, krzyk

mojej matki – i szybkim ruchem odstawiłem naczynie na blat. Bałem się, że stracę nad sobą panowanie i zrobię coś straszego.

Kwadrans przed dziewiątą wyszliśmy z domu. Jake włókł się obok mnie noga za nogą i wciąż milczał, kiedy próbowałem go zagadywać. Odezwał się dopiero przed szkołą.

– Kto to jest Neil Spencer, tato?

– Nie wiem. – Poczulem ulgę, że wreszcie coś powiedział, chociaż temat nieszczególnie przypadł mi do gustu. – Jakiś chłopiec z Featherbank, który zaginął przed wakacjami. Chyba coś o tym czytałem. Nikt nie wie, co się stało.

– Owen mówił, że on nie żyje.

– Ten Owen jest chyba bardzo sympatyczny – skomentowałem ironicznie.

Wyraźnie widziałem, że Jake chciał coś dodać, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Powiedział też, że siedzę na tym samym krześle co Neil.

– Bzdury. Nie dostałeś się do tej szkoły tylko dlatego, że zaginął jakiś uczeń. Ktoś się wyprowadził i zwolniło się miejsce. – Zmarszczyłem brwi. – Poza tym w zeszłym roku klasa miała lekcje w innej sali, prawda?

Jake spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Dwadzieścia osiem – powiedział.

– Czego dwadzieścia osiem?

– Dwadzieścia osiem osób w klasie – wyjaśnił. – Ze mną dwadzieścia dziewięć.

– No właśnie. – Nie wiedziałem, czy to prawda, ale uznałem, że lepiej się zgodzić. – Limit wynosi trzydzieści, więc niezależnie od tego, gdzie jest teraz Neil, krzesło cały czas na niego czeka.

– Myślisz, że wróci do domu?

Weszliśmy na dziedziniec.

– Nie mam pojęcia.

– Mogę się do ciebie przytulić, tatusiu?

Przyjrzałem mu się uważnie. Zrobił taką minę, jak gdyby wczoraj w nocy i dziś rano nic się nie wydarzyło. Nie mogłem jednak zapominać, że ma zaledwie siedem lat. Zawsze kończył kłótnie na swoich warunkach i w momencie, który uznał za stosowny. Byłem zbyt zmęczony, żeby to ciągnąć.

– Oczywiście, że możesz.

– Bo nawet jak się kłócimy...

– To bardzo się kochamy. Naprawdę bardzo.

Przykucnąłem i kiedy mocno mnie objął, poczułem przypływ energii. Gdybym częściej mógł się do niego przytulać, na pewno lepiej bym sobie ze wszystkim radził. Potem odsunął się ode mnie i pomaszerował w stronę drzwi. Minął panią Shelley i ani razu się nie oglądając, zniknął w środku. Wyszedłem przez bramę z nadzieją, że Jake nie wpakuje się dzisiaj w żadne kłopoty.

A co, jeśli znowu będzie to samo?

Trudno.

Niech będzie sobą.

– Cześć!

Odwróciłem się i zobaczyłem Karen. Szła dość szybko i wydawało mi się, że chce mnie dogonić.

– Cześć – odpowiedziałem na pozdrowienie. – Jak leci?

– Nie mogę się doczekać paru godzin ciszy i spokoju.

Zrównała się ze mną krokiem.

– Jak poszło wczoraj Jake’owi?

– Wylądował na żółtym świetle.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

Wyjaśniłem jej stosowany w szkole system oceny zachowania wzorowany na sygnalizatorach świetlnych. Miało to być strasznie poważne, ale po wszystkim, co wydarzyło się w nocy, zdałem sobie sprawę, jak w gruncie rzeczy bezsensowne są te reguły. Na koniec niemal wybuchnąłem śmiechem.

– Pieprzyć to – powiedziała.

– Też tak myślę.

Zacząłem się zastanawiać, czy istnieje jakiś symboliczny moment, w którym spotykający się przed szkołą rodzice decydują się odrzucić pozory i przeklinają jak normalni ludzie. Jeśli tak, to cieszyłem się, że mamy to za sobą.

– W pewnym sensie tego rodzaju kara jest jak odznaka honorowa – kontynuowała Karen. – Koledzy na pewno mu zazdroszczą. Adam powiedział, że jak do tej pory nie mieli okazji razem się bawić.

– Jake wspomniał, że polubił twojego syna – skłamałem.

– Słyszałam, że czasem rozmawia sam ze sobą.

– Owszem, zdarza mu się. Ma wyimaginowanych znajomych.

– No tak. – Pokiwała głową. – Całkowicie go rozumiem. Moi najlepsi przyjaciele też są wymyśleni. Oczywiście żartuję, ale Adam również przez to przechodził. Sama miałam w dzieciństwie nieistniejących kolegów. A ty?

Zmarszczyłem czoło. Nagle o czymś sobie przypomniałem.

– Pan Noc – szepnąłem.

– Co takiego?

– O Boże, od wielu lat w ogóle o nim nie myślałem. – Przeczesałem palcami włosy. Jak mogłem zapomnieć? – Ja także miałem w dzieciństwie wyimaginowanego przyjaciela. Mówiłem mamie, że późnym wieczorem przychodzi do sypialni, żeby się do mnie przytulić. Pan Noc. Tak go nazywałem.

– Uhm... To trochę straszne, ale dzieci cały czas opowiadają jakieś przerażające historie. W internecie są strony poświęcone tej tematyce. Powinieneś spisać i opublikować swoje wspomnienia.

– Może tak zrobię. – Przypomniałem sobie coś jeszcze. – Jake powtarzał ostatnio dziwną rymowaną: „Jeśli drzwi nie zamkniesz w porę, szeptać zacznie ktoś wieczorem”. Słyszałaś coś podobnego?

– Hmm... – Karen zaczęła się zastanawiać. – Wydaje mi się, że kojarzę. Na pewno brzmi znajomo. Dzieciaki recytują takie wierszyki na placu zabaw.

– No właśnie. Być może tam to usłyszał.

Jednak na pewno nie w Featherbank, ponieważ po raz pierwszy wspomniał o tej rymowance jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego. Niewykluczone, że była to jakaś popularna piosenka, której po prostu nie znałem. Takie rzeczy pojawiały się w programach telewizyjnych, które pozwalałem oglądać Jake'owi. Nie zwracałem na nie większej uwagi, ponieważ w tym czasie zajmowałem się swoimi sprawami.

Głośno westchnąłem.

– Mam nadzieję, że dzisiaj będzie miał lepszy dzień. Martwię się o niego.

– To normalne. A co mówi o tym twoja żona?

– Umarła w zeszłym roku – powiedziałem. – I Jake nie najlepiej sobie z tym radzi.

Karen przez dłuższą chwilę milczała.

– Bardzo mi przykro.

– Szczerze mówiąc, sam również mam sporo problemów. Dręcą mnie wątpliwości, czy jestem dobrym ojcem. Bardzo się staram, ale chyba mi nie wychodzi.

– To naturalne. Na pewno jesteś świetnym rodzicem.

– Nie wiem, czy moje dobre chęci wystarczają.

– Jeszcze raz powtórzę: na sto procent dajesz z siebie wszystko i jest okay.

Zatrzymała się i włożyła ręce do kieszeni. Doszliśmy do skrzyżowania. Ze stron, w które się skierowaliśmy, wynikało, że ona idzie prosto, a ja skręcam w prawo.

– Jest jasne, że obaj przechodzicie teraz trudny okres – dodała. – Wiem, że nie pytałeś mnie o zdanie, ale mimo wszystko powiem, co myślę. Może powinieneś wyluzować i nie być dla siebie taki surowy?

– Może.

– Chociaż trochę, dobra?

– Okay.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Wiem. – Wydawało mi się, że ma ochotę westchnąć, ale się powstrzymała. – No cóż, zobaczymy się później. Miłego popołudnia.

– Nawzajem.

Przez resztę drogi do domu rozmyślałem o tym, co powiedziała. „Może powinieneś wyluzować i nie być dla siebie taki surowy”. Na pewno w jej słowach było przynajmniej trochę racji. Mimo wszystko jakoś sobie radziłem. Staralem się, jak tylko mogłem, i wciąż się nie poddawałem.

Po powrocie do domu snułem się bez celu po pokojach, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Wcześniej wydawało mi się, że dobrze będzie, jeśli spędzę trochę czasu bez Jake’a. W otaczającej mnie grobowej ciszy zdałem sobie sprawę, że powiniennem teraz być najbliżej swojego syna, jak to tylko możliwe.

Musiałem zapewnić mu bezpieczeństwo.

To, co się stało w nocy, nie było wcale wytworem mojej wyobraźni.

Gdy sobie to uświadomiłem, wpadłem w lekką panikę. Jeśli policja umywała ręce, musiałem sam wszystkim się zająć. Chodząc po pustym domu, coraz bardziej pogrążałem się w rozpacz. Poczułem, że trzeba działać. Dotarłem do swojego gabinetu. Na biurku stał laptop włączony od wczorajszego wieczoru. Był w trybie czuwania, więc wystarczyło przesunąć palcem po panelu dotykowym, żeby go uruchomić. Na ekranie pojawił się tekst.

Rebecca...

Ona na pewno wiedziałaby, co należy teraz zrobić. Potrafiła się odnaleźć w każdej sytuacji. Wyobraziłem sobie, że siedzi po turecku na podłodze obok Jake’a i z wielkim zaangażowaniem bawi się z nim zabawkami. Albo leży na naszej starej kanapie i czyta mu książkę. Jake trzyma głowę pod jej podbródkiem i można odnieść wrażenie, że stanowią jedno ciało. Gdyby zaczął krzyczeć w nocy, Rebecca, niezależnie od pory, na pewno pobiegłaby do jego pokoju, zanim ja zdążyłbym się obudzić. Poza tym zawsze wołał ją, a nie mnie.

Skasowałem napisany wczoraj tekst i wklepałem na klawiaturze trzy nowe zdania:

Tęsknię za tobą.

Przykro mi, że sprawiam zawód naszemu synowi i nie wiem, co powiniennem zrobić.

Przepraszam.

Przez dłuższą chwilę gapiłem się w ekran.

Wystarczy.

Koniec z użalaniem się nad sobą. Chociaż to wszystko wydawało się trudne, opieka nad synem należała do moich podstawowych obowiązków. Jeśli nie robiłem czegoś należycie, powinienem się bardziej postarać.

Wyszedłem na korytarz i stanąłem przed drzwiami wejściowymi, w których zamontowane były zamek i łańcuch. To najwyraźniej nie wystarczało. Powinienem zainstalować jeszcze dodatkowe blokady, na tyle wysoko, żeby Jake nie mógł do nich dosięgnąć. Na dole schodów przydałyby się również czujniki ruchu. To było do zrobienia. Chociaż często wątpiłem we własne możliwości, wiedziałem, że jakoś sobie z tym poradzę.

Było jednak coś jeszcze. Zanim zabrałem się do zabezpieczania drzwi, podszedłem do leżącej na schodach kupki listów. Ostatnio przysłyły dwa nowe adresowane do Dominica Barnetta, oba dotyczące windykacji. Zabrałem je do gabinetu, zamknąłem edytor tekstów i otworzyłem przeglądarkę.

Zobaczmy, kim pan jest, panie Barnett.

Byłem ciekawy, jakie informacje znajdę o nim w internecie. Być może konto na Facebooku ze zdjęciem, które potwierdziłoby, że to właśnie on kręcił się wczoraj po południu w pobliżu mojego garażu. Albo chociaż adres korespondencyjny, dzięki któremu mógłbym go jakoś namierzyć. Byłbym wdzięczny za cokolwiek, co pozwoliłoby lepiej chronić Jake'a i wreszcie się zorientować, o co tak naprawdę chodzi z tym cholernym domem.

Już na pierwszej stronie wyświetliła się jego fotografia. Dominic Barnett nie był mężczyzną, który zadzwonił wczoraj do moich drzwi. Był znacznie młodszy i miał na głowie burzę kruczoczarnych włosów. Zdjęcie nie pochodziło jednak z mediów społecznościowych.

Obok znajdował się link do artykułu. Moją uwagę przyciągnął nagłówek: *Tajemnicza śmierć uznana za morderstwo.*

Zakręciło mi się w głowie. Wpatrywałem się w słowa tak długo, aż zaczęły tracić sens. W domu zaległa kompletna cisza i słyszałem tylko bicie własnego serca.

Nagle rozległo się... skrzypnięcie.

Spojrzałem na sufit. To był ten sam odgłos co wcześniej. Jakby ktoś zrobił krok w pokoju Jake'a. Pomyślałem o tym, co stało się w nocy, i ścierpła mi skóra. Obok mojego łóżka zobaczyłem wtedy dziwną postać z potarganymi włosami. Wyglądała dokładnie tak samo jak mała dziewczynka, którą narysował Jake. Wydawało mi się, że trąciła moją stopę.

Obudź się, Tom.

Miałem świadomość, że ta postać to jedynie wytwór mojej wyobraźni, nie tak jak facet, który skradał się za drzwiami. Byłem pogrążony w półśnie i majaczyły mi przed oczami fragmenty starego koszmaru wzmocnionego lękiem związanym z bieżącymi wydarzeniami.

W moim domu nikogo nie było.

Chciałem jak najszybciej zapomnieć o dziwnych hałasach i zmusiłem się do kliknięcia w link do artykułu.

TAJEMNICZA ŚMIERĆ UZNANA ZA MORDERSTWO

Policja ujawniła, że śmierć Dominica Barnetta, którego ciało znaleziono we wtorek w lesie nieopodal Featherbank, została uznana za morderstwo.

Zwłoki czterdziestodwuletniego Barnetta zamieszkałego w Featherbank na Garholt Street zostały przypadkowo odnalezione przy strumieniu w lesie Hollingbeck przez bawiące się dzieci. Inspektor Colin Lyons oświadczył dzisiaj dziennikarzom, że Barnett zmarł w wyniku poważnych obrażeń głowy. Obecnie brane są pod uwagę rozmaite motywy zbrodni, jednak zabezpieczone na miejscu przedmioty świadczą o tym, że nie był to napad na tle rabunkowym.

– Chciałbym skorzystać z okazji i poinformować opinię publiczną, że pan Barnett był już wcześniej znany policji – powiedział Lyons. – Jego śmierć należy potraktować jak odosobniony przypadek. Mimo to zwiększyliśmy liczbę patroli w okolicy i prosimy o kontakt każdego, kto ma w tej sprawie jakiegokolwiek informacje.

Przeczytałem artykuł kilka razy i poczułem, że ogarnia mnie coraz większa panika. Podany adres świadczył, że na pewno chodziło o tego samego Dominica Barnetta. Mieszkał w tym domu i prawdopodobnie siadał dokładnie w tym samym miejscu, co ja teraz. Niewykluczone, że spał

w pokoju Jake'a.

Został zamordowany w kwietniu tego roku.

Staralem się zachować spokój i zacząłem szukać innych artykułów. Fakty powoli wyłaniały się z chaosu, ale wiele informacji trzeba było wyczytać między wierszami. *Pan Barnett był już wcześniej znany policji.* Z tego eufemistycznego sformułowania wynikało, że mężczyzna mógł być w jakiś sposób powiązany z narkotykami, co najprawdopodobniej stanowiło motyw zabójstwa. Las Hollingbeck leżał na południe od Featherbank, po drugiej stronie rzeki. Nie było jasne, dlaczego Barnett tam trafił. Narzędzie zbrodni znaleziono tydzień później, a potem w internecie pojawiało się coraz mniej wiadomości. Z tego, co udało mi się ustalić, wynikało, że morderca do tej pory nie został zatrzymany.

A to oznaczało, że nadal był na wolności.

Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, przeszły mnie ciarki. Czy powinienem znowu zadzwonić na policję? Moje odkrycie nie miało wielkiego wpływu na to, co wcześniej powiedziałem funkcjonariuszom. Mimo wszystko postanowiłem się z nimi skontaktować, ponieważ czułem, że muszę coś zrobić. Najpierw należało jednak zebrać więcej informacji.

Po chwili namysłu, trzęsącymi się rękami, zacząłem wertować dokumenty związane z zakupem domu. Szybko znalazłem adres, który był mi potrzebny. Wziąłem klucze, uznając, że dodatkowe zabezpieczenia muszą na razie poczekać. Znałem jedną osobę, która mogła powiedzieć mi coś więcej o Dominicu Barnecie. Najwyższy czas złożyć komuś wizytę.

Rozdział 25

Wszystko zawsze kończy się tam, gdzie się zaczęło, pomyślała Amanda.

Przeglądała właśnie nagrania zarejestrowane przez kamery monitoringu rozmieszczone na drogach prowadzących na pustkowie. Czuła się trochę dziwnie, ponieważ zaledwie dwa miesiące wcześniej analizowała obrazy przedstawiające dokładnie te same ulice. Wtedy szukała osoby, która uprowadziła Neila Spencera; teraz próbowała namierzyć kogoś, kto podrzucił jego ciało. Niestety, jak na razie jej wysiłki nie przyniosły żadnego efektu.

Nic.

Próbowała sobie wmówić, że to dopiero początek dochodzenia. Jednak tak naprawdę wiedziała, że na wszystko jest już za późno. I to nie tylko dla Neila Spencera. Przed oczami pojawiały się jej przerażające obrazy. Wiedziała, że przywoływanie w pamięci tego, co zobaczyła wczoraj w nocy, oraz rozpamiętywanie nieudanych prób odnalezienia zaginionego chłopca na pewno w niczym nie pomogą. Należało skupić się na pracy. Kroczonek po kroczoneku. Szczegół po szczególe. Tylko w ten sposób uda im się w końcu aresztować sukinsyna, który skrzywdził Neila Spencera.

Kolejny rozbłysk, kolejna retrospekcja.

Pokręciła głową, po czym spojrzała na drugą stronę pokoju, gdzie Pete Willis siedział pochylony nad przydzielonym mu biurkiem. Od kiedy zaczęli razem pracować, nie mogła się powstrzymać i co chwila rzucała w jego stronę ukradkowe spojrzenia. Sporadycznie sięgał po telefon i do kogoś dzwonił. Przeważnie jednak całkowicie skupiony wpatrywał się w leżące przed nim zdjęcia i papiery. Frank Carter coś wiedział. Pete z wielkim zaangażowaniem analizował listę osób, które odwiedziły mordercę w więzieniu. Próbował ustalić, kto przekazał mu informacje ze świata zewnętrznego. W tym momencie jednak Amandę bardziej zafascynował sam Pete Willis.

Jak on to robił, że był taki spokojny?

Wiedziała, że w gruncie rzeczy bardzo wszystko przeżywał. Doskonale pamiętała, jak zachowywał się wczoraj po wizycie u Franka Cartera i jakie wrażenie zrobiło na nim znalezione na pustkowiu ciało chłopca. Teraz wydawał się zdystansowany, ale tylko dlatego, że dokładnie tak samo jak Amanda starał się skoncentrować na czymś innym i odwrócić uwagę od koszmaru. Trzeba przyznać, że wychodziło mu to lepiej niż jej, no ale miał przecież znacznie większe doświadczenie.

Chciała poprosić go o radę, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Zamiast pytać, skupiła całą uwagę na nagraniach, chociaż w głębi serca wiedziała, że to praca na marne. Dokładnie tak samo jak dwa miesiące temu, kiedy jej zespół, pracując w pocie czoła, zidentyfikował wszystkie osoby pojawiające się na filmach, a potem po kolei wyeliminował je z grona ewentualnych podejrzanych. To było frustrujące zajęcie. W miasteczku zamontowano niewiele kamer i paradoksalnie – im więcej nagrań udało jej się przejrzeć, tym gorszy nastrój ją ogarniał. Nie miała jednak wyboru.

Amanda zabrała się do przeglądania kolejnego materiału. Przed jej oczami pojawiały się stop-klatki z lekko rozmazanymi sylwetkami mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszystkie te osoby należało przesłuchać, chociaż prawie na pewno żadna z nich nie była świadkiem czegoś istotnego. Faceta, którego szukali, cechowała ostrożność. Podczas odprawy wyraziła głębokie przekonanie, że go złapią. Nadal w to wierzyła, chociaż zdawała sobie sprawę, jak bardzo są bezsilni. Można było przejechać przez całe Featherbank i nie zostać zarejestrowanym przez żadną kamerę, szczególnie jeśli komuś na tym zależało.

Zapisała ten wniosek w leżącym obok zeszycie:

Informacje o rozmieszczeniu kamer w miasteczku.

Nagle przypomniała sobie, że zrobiła dokładnie taką samą notatkę dwa miesiące temu.

Historia lubi się powtarzać.

Wszystko zawsze kończy się tam, gdzie się zaczęło.

Sfrustrowana odrzuciła długopis i podeszła do Pete'a. Był tak pogrążony w swojej pracy, że nawet jej nie zauważył. Stojąca na biurku drukarka

niestrudzenie wypluwała kolejne fotografie gości odwiedzających zakład karny. Były to ujęcia z więziennego monitoringu. Pete porównywał je z informacjami, które wyświetlały się na ekranie komputera, i robił zapiski po drugiej stronie wydruków. Na blacie leżało jeszcze ksero jakiejś starej gazety. Amanda przekrzywiła głowę, żeby przeczytać tytuł.

– *Więzienny ślub kanibala z Coxton?* – zdziwiła się.

Pete podskoczył jak oparzony.

– Co takiego?

– Artykuł w gazecie. – Jeszcze raz przeczytała nagłówek. – Świat nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać. Najczęściej w niezbyt pozytywny sposób.

– Aha, no tak. – Pete wskazał na stertę zdjęć. – To wszystko są goście tego kanibala. Naprawdę nazywa się Victor Tyler. Dwadzieścia pięć lat temu porwał małą dziewczynkę, Mary Fisher.

– Tak, pamiętam tę sprawę – powiedziała Amanda.

Były mniej więcej w tym samym wieku. Amanda nie potrafiła przypomnieć sobie twarzy dziewczynki, ale jej nazwisko od razu przywołało przerażające historie i kiepskiej jakości czarno-białe zdjęcia publikowane w starych gazetach. Dwadzieścia pięć lat. Trudno uwierzyć, że minęło już tyle czasu. Ludzie szybko znikają z naszej pamięci i przestają istnieć dla świata.

– Pewnie byłaby już mężatką – stwierdziła Amanda. – To nie fair, prawda?

– Masz rację. – Pete wyjął z drukarki kolejną fotografię i rzucił okiem na ekran. – Piętnaście lat temu Tyler się ożenił. Jego wybranką była Louise Dixon. Niesłychane, ale oni nadal są parą. Rzecz jasna, nie spędzili razem ani jednej nocy, ale wiesz, jak to jest. Tego typu mężczyźni mają w sobie swoisty urok.

Amanda pokiwała głową. Nawet najgorsi przestępcy nigdy nie narzekają na brak zainteresowania i prowadzą bogatą korespondencję z osobami przebywającymi na wolności. Dla pewnego rodzaju kobiet tacy faceci są jak kocimiętka. „On tego nie zrobił”, powtarzają, usiłując przekonać same siebie. Naiwnie wierzą, że ich partner się zmieni albo same będą w stanie wyciągnąć go z tarapatów. Niewykluczone, że niektóre lubią żyć w atmosferze

zagrożenia. Dla Amandy nigdy nie miało to większego sensu, ale taka była rzeczywistość.

Pete zapisał coś na odwrocie fotografii, odłożył ją na bok i sięgnął po następną.

– Carter kumpluje się z tym gościem? – zapytała.

– Owszem. Był nawet jego drużbą.

– No cóż, to musiała być bardzo miła uroczystość. Kto udzielał ślubu? Szatan?

Pete milczał. Całą uwagę skupił na kolejnym zdjęciu i w ogóle nie patrzył na ekran. Amanda podejrzewała, że to jeszcze jeden z gości Tylera.

– Kto to?

– Norman Collins. – Pete podniósł wzrok. – Znam go osobiście.

– Powiesz mi coś więcej?

W kilku zdaniach wprowadził ją w temat. Norman Collins mieszkał w okolicy i dwadzieścia lat temu przesłuchiowano go w sprawie serii zabójstw. Nie było przeciwko niemu żadnych konkretnych dowodów, ale uwagę policji przykuło jego dziwne zachowanie. Z relacji Pete'a wynikało, że Collins był jednym z tych odrażających typów, którzy natrętnie kręcą się wokół policjantów i próbują się wtrącać. W trakcie szkoleń zawsze przed nimi ostrzegano. Zwykle stali gdzieś z tyłu podczas konferencji prasowych i pogrzebów, zadawali mnóstwo pytań, starali się podsłuchiwać, przejawiali chorobliwe zainteresowanie śledztwem albo tylko podejrzanie się zachowywali. Czasami to po prostu dziwacy lub ludzie z problemami psychicznymi, ale do tego grona nader często zaliczali się również mordercy.

Z Collinsem sprawa miała się jednak inaczej.

– Nic na niego nie mieliśmy – powiedział Pete. – Za każdym razem przedstawiał mocne alibi i nie był w żaden sposób powiązany ani z ofiarami, ani z ich rodzinami. Nie figurował też w żadnej kartotece policyjnej. Jego udział w sprawie okazał się tylko nic nieznaczącym wątkiem.

– Ale mimo wszystko go pamiętasz.

Ponownie wbił wzrok w fotografię.

– Nigdy go nie lubiłem – wyjaśnił.

To trochę za mało, żeby go o coś podejrzewać. Amanda nie chciała robić sobie fałszywych nadziei. Wiedziała, że należy zachować rozsądek i podchodzić do śledztwa z należytą systematycznością, ale nie można było przecież całkowicie zignorować intuicji. Jeśli Pete go pamiętał, musiał istnieć ku temu jakiś powód.

– A teraz znowu się pojawia – stwierdziła. – Masz jego adres?

Pete zaczął stukać w klawiaturę.

– Tak, ciągle mieszka w tym samym miejscu.

– Okay. W takim razie trzeba z nim porozmawiać. Pewnie niczego się nie dowiemy, ale należy sprawdzić, dlaczego złożył wizytę Victorowi Tylerowi.

Pete przez chwilę wpatrywał się w ekran, po czym skinął głową i wstał.

Amanda wróciła na swoje miejsce, jednak zanim usiadła, znad innego biurka podniosła się sierżant Stephanie Johnson.

– Pani komisarz?

– Steph, proszę nie zwracaj się do mnie w ten sposób. Czuję się jak własna babcia. Jak tam wizyty u sąsiadów? Coś nowego?

– Na razie nic. Prosiłaś też o przekazywanie informacji od zatroskanych rodziców, którzy widzieli jakichś podejrzanych osobników lub coś w tym rodzaju.

Amanda potwierdziła skinieniem głowy. Matka Neila już raz coś przeoczyła i nie należało powtarzać tego samego błędu.

– Mieliśmy jedno zgłoszenie. Dzisiaj wczesnie rano – powiedziała Steph.

– Zadzwonił ojciec, który twierdzi, że koło domu kręcił się mężczyzna i rozmawiał z jego synem.

Amanda obróciła w swoją stronę ekran komputera Stephanie i zaczęła czytać notatkę. Chłopiec ma siedem lat i chodzi do szkoły Rose Terrace. Ojciec zeznał, że pod drzwiami wejściowymi siedział obcy facet i zaczął jego syna. Chłopiec dziwnie się zachowywał i z notatki wynikało, że wysłani na miejsce policjanci nie do końca we wszystko uwierzyli.

No cóż, chyba trzeba będzie dać im reprimendę.

Amanda wyprostowała się i przeszła na drugą stronę pokoju, rzucając gniewne spojrzenia. Namierzyła sierżanta Johna Dysona. Ten leniwy gnojek

siedział schowany za stertą papierów i bawił się telefonem. Kiedy stanęła nad nim i pstryknęła palcami tuż przed jego twarzą, upuścił go na kolana.

– Idziesz ze mną – powiedziała.

Rozdział 26

Od pani Shearing, kobiety, która sprzedała nam dom w Featherbank, dzieliło mnie dziesięć minut jazdy samochodem.

Zaparkowałem przed posesją i spojrzałem na wolno stojący dwupiętrowy budynek ze spiczastym dachem. Rozległy brukowany podjazd oddzielało od chodnika metalowe ogrodzenie z wiszącą na furtce czarną skrzynką pocztową. To była o wiele bardziej prestiżowa dzielnica niż ta, w której mieszkaliśmy teraz z Jakiem, w domu wynajmowanym wcześniej przez lata przez panią Shearing.

Poprzednim lokatorem był najprawdopodobniej Dominic Barnett.

Otworzyłem furtkę i zrobiłem krok do przodu. W domu rozległo się wściekłe szczekanie psa. Kiedy zbliżyłem się do drzwi wejściowych, ujadanie jeszcze się nasiliło. Nacisnąłem dzwonek i czekałem. Po paru sekundach właścicielka uchyliła drzwi, ale nie zdjęła łańcucha i tylko wyglądała przez szparę. Za jej plecami kręcił się mały yorkshire terrier i cały czas poszczekiwał.

– Tak?

– Dzień dobry – powiedziałem. – Nie wiem, czy mnie pani pamięta. Nazywam się Tom Kennedy. Kilka tygodni temu kupiłem od pani dom. Spotkaliśmy się parę razy podczas oglądania nieruchomości. Byłem razem z synem.

– Tak, tak, oczywiście. Sio, Morris! Daj nam spokój. – Ostatnie słowa były skierowane do psa. Pani Shearing wygładziła sukienkę i ponownie skupiła na mnie uwagę. – Przepraszam, ale on jest naprawdę okropny. Jak mogę panu pomóc?

– Chodzi o dom. Chciałbym z panią porozmawiać o poprzednich lokatorach.

– Rozumiem.

Wyglądała na lekko skrepowaną, jakby domyślała się, o kogo będę ją wypytywał. Uznałem, że należy poczekać. Po kilku chwilach milczenia pani Shearing przypomniała sobie o dobrych manierach i odpięła łańcuch.

– Rozumiem – powtórzyła. – W takim razie chyba będzie lepiej, jeśli zaproszę pana do środka.

Sprawiała wrażenie podenerwowanej: poprawiała ubranie, wygładzała fryzurę i przeproszała za bałagan, chociaż w jej okazałej rezydencji panował nieskazitelny porządek. Sam przedpokój był wielkości mojego salonu, na piętro prowadziły szerokie drewniane schody. Pani Shearing zaprosiła mnie do przytulnego pokoju dziennego. Morris się uspokoił i zaczął radośnie biegać wokół moich kostek. Przed niezabudowanym kominkiem stały dwie kanapy i fotel. Palenisko było puste i wyglądało na dokładnie wyczyszczone. Przy ścianie znajdowały się przeszklone szafki z ustawionymi starannie na półkach kryształami, a nad nimi kilka obrazów z wiejskimi krajobrazami i scenami myśliwskimi. W wychodzącym na ulicę oknie wisały zasunięte czerwone zasłony z aksamitu.

– Ma pani piękny dom – powiedziałem.

– Miło mi to słyszeć. Niestety, jest dla mnie za duży. Szczególnie po wyprowadzce dzieci i śmierci Dereka. Świeć, Panie, nad jego duszą... Jednak jestem za stara, żeby się przeprowadzać. Co kilka dni przychodzi dziewczyna, żeby posprzątać. To luksus, który sporo kosztuje, ale co zrobić? Proszę usiąść.

– Dziękuję.

– Może ma pan ochotę na coś do picia? Kawę lub herbatę?

– Nie, dziękuję.

Usiadłem na kanapie. Była twarda i niezbyt wygodna.

– Jak poszła przeprowadzka? – zapytała pani Shearing.

– Całkiem nieźle.

– Bardzo się cieszę. – Szeroko się uśmiechnęła. – Wie pan, że dorastałam w tym domu? Zawsze chciałam, żeby w końcu trafił w dobre ręce. Marzyłam, żeby zamieszkała w nim jakaś porządna rodzina. A jak się miewa pański syn? Ma na imię Jake, prawda?

– Właśnie zaczął szkołę.

– Rose Terrace?

– Tak.

Znowu lekko się uśmiechnęła.

– To bardzo dobra szkoła. Sama do niej uczęszczałam.

– Czy na ścianie w korytarzu są pamiątkowe odciski pani dłoni?

– Owszem. – Z dumą pokiwała głową. – Czerwony i niebieski.

– Fajna tradycja. Jeśli dobrze zrozumiałem, wychowała się pani na Garholt Street?

– Tak, zgadza się. Po śmierci moich rodziców potraktowaliśmy z Derekiem odziedziczoną nieruchomość jak inwestycję. To był pomysł męża, a ja się zgodziłam. Zawsze lubiłam ten dom i łączą mnie z nim ważne wspomnienia. Rozumie pan?

– Oczywiście. – Przypomniałem sobie o facecie, który mnie odwiedził, i zacząłem prowadzić w myślach obliczenia. Był znacznie młodszy od pani Shearing, ale nie dało się wykluczyć, że są rodzeństwem. – Czy ma pani młodszego brata?

– Nie, jestem jedynaczką. Może właśnie dlatego zawsze miałam do tego domu taki sentyment. Był mój i bardzo go kochałam. – Zrobiła smutną minę. – W okresie dorastania moi znajomi trochę się go bali.

– Dlaczego?

– No cóż, jest w nim coś niepokojącego. Dziwnie wygląda, nie uważa pan?

– Chyba tak. – Wczoraj Karen powiedziała niemal dokładnie to samo. – To miejsce ma swój charakter – powtórzyłem po raz kolejny, chociaż bez specjalnego przekonania.

– No właśnie! – Pani Shearing wydawała się zadowolona. – Myślę dokładnie tak jak pan. I właśnie dlatego cieszę się, że dom trafił wreszcie we właściwe ręce.

Przełknąłem ślinę i uznałem, że lepiej tego nie komentować. Podejrzywałem, że kimkolwiek był mężczyzna, który kręcił się koło mojego garażu, na pewno kłamał i nie spędził dzieciństwa przy Garholt Street.

Zaciekawił mnie również dobór słów: dom wreszcie trafił we właściwe ręce.

– Wcześniej nie był we właściwych rękach?

Zrobiła zakłopotaną minę.

– Raczej nie. Powiedzmy, że jak do tej pory nie miałam szczęścia do lokatorów. Na początku naprawdę trudno kogoś rozgryźć. Na pierwszym spotkaniu ludzie potrafią być bardzo mili. Muszę przyznać, że nie miałam też poważnych powodów do narzekań. Zawsze dostawałam pieniądze na czas, a dom był zadbany...

Zawiesiła głos, jak gdyby nie potrafiła wyjaśnić, na czym polegał prawdziwy problem. Może nie chciała o tym rozmawiać? No cóż, ja nie miałem takiego luksusu i musiałem poznać prawdę.

– Ale coś było nie tak?

– Ach, sama nie wiem. Nie chodziło o coś konkretnego, inaczej na pewno bym to zgłosiła. Miałam raczej pewne podejrzenia. Wydawało mi się, że od czasu do czasu ktoś tam jeszcze mieszka.

– Lokatorzy podnajmowali pokoje?

– Tak. Co więcej, dochodziło tam do jakichś ciemnych interesów. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Kiedy przychodziłam z wizytą, w powietrzu roznosiły się dziwne zapachy. W dzisiejszych czasach nie można jednak po prostu wejść do swojego domu. Trzeba się umówić na spotkanie. Wyobraża pan sobie? To przecież ostrzeżenie dla nieuczciwych lokatorów. Kiedy raz pojawiałam się bez zapowiedzi, nie chciał mnie wpuścić do środka.

– Dominic Barnett?

Zawahala się.

– Tak. Właśnie on. Chociaż jego poprzednik wcale nie był lepszy. Mam wrażenie, że w tej kwestii prześladował mnie wyjątkowy pech.

Który postanowiłaś przekazać następnemu właścicielowi.

– Wie pani, co się stało z Dominikiem Barnettem? – zapytałem.

– Tak, oczywiście.

Spojrzała w dół i wbiła wzrok w dłonie, które leżały spokojnie na jej kolanach. Na chwilę zaległa cisza.

– To była bez wątpienia straszna tragedia. Nikomu nie życzę takiej

śmierci, ale z tego, co później słyszałam, ten człowiek obracał się w podejrzanym towarzystwie.

– Narkotyki – wypaliłem prosto z mostu.

Znowu zamilkła, a potem głośno westchnęła, jakbyśmy rozmawiali o sprawach, które były jej całkowicie obce.

– Nie miałam żadnych dowodów, że w moim domu handlowano nielegalnymi substancjami. To rzeczywiście przygnębiające. Po jego śmierci mogłam może poszukać kolejnego lokatora, ale jestem już stara i postanowiłam dać sobie spokój z wynajmem. Uznałam, że najwyższy czas sprzedać dom i odciąć się od przeszłości. W ten sposób chciałam tchnąć w to miejsce nowe życie. Liczyłam, że następny właściciel będzie miał więcej szczęścia niż ja.

– Wybrała pani mnie i Jake’a.

– Tak! – Jej oczy radośnie rozbliły się. – Sympatyczny mężczyzna i jego uroczy syn. Miałam korzystniejsze oferty, ale pieniądze nie są dla mnie teraz najważniejsze. Od razu mi się spodobał. Chciałam, by w moim starym domu zamieszkała młoda rodzina i żeby po pokojach znowu biegało radosne dziecko. Miałam nadzieję, że to miejsce wypełni się światłem i miłością. Kiedy byłam mała, wszystko mieniło się pięknymi kolorami... Cieszę się, że jesteście szczęśliwi.

Ze zdenerwowania aż zeszywniałem.

Wcale nie byliśmy szczęśliwi! Z jednej strony, byłem na nią naprawdę zły. Wydawało mi się, że przed zakupem nieruchomości powinna opowiedzieć mi całą historię. Z drugiej strony, pani Shearing była wyraźnie z siebie zadowolona, jak gdyby rzeczywiście zrobiła dla nas coś dobrego. Rozumiałem powody, dla których wybrała właśnie mnie i Jake’a zamiast...

No właśnie: zamiast kogo? Ściągnąłem brwi.

– Powiedziała pani, że miała lepsze oferty?

– Owszem, nawet dużo lepsze. Jeden gość dawał mi więcej pieniędzy, niż chciałam. – Zmarszczyła nos i pokręciła głową. – Niestety, od początku mi się nie spodobał. Za bardzo przypominał poprzednich lokatorów i był wyjątkowo natrętny, co jeszcze bardziej mnie zniechęciło. Nie lubię, jak ktoś mi się narzuca.

Znowu pochyliłem się do przodu.

Ktoś zaproponował pani Shearing wyższą cenę niż w ofercie, ale odmówiła. Co więcej, nie chciał dać za wygraną i zachowywał się nachalnie. Było w tym coś dziwnego.

– Jak wyglądał ten mężczyzna? – zapytałem, starannie dobierając słowa. – Raczej niski? Z rzadkimi siwymi włosami okalającymi łysą głowę?

Wskazałem na swoją fryzurę, ale pani Shearing już zaczęła przytakiwać.

– Tak. Zawsze nienagannie ubrany.

Spojrzała na mnie znacząco, dając do zrozumienia, że nie zwiodły ją pozory przyzwoitości.

– Pan Collins – oznajmiła. – Norman Collins.

Rozdział 27

Zaparkowałem samochód przed domem i zacząłem wpatrywać się w podjazd.

Starałem się skupić i zebrać myśli. Miałem wrażenie, że rozmaite fakty, domysły i możliwe wyjaśnienia wirują mi w głowie jak stado ptaków, wystarczająco wolno, żebym je dostrzegł, ale za szybko, bym mógł je złapać.

Mężczyzna, który węszył wokół garażu, nazywał się Norman Collins. Twierdził, że wychował się w tym domu, ale kłamał i z jakiegoś powodu chciał zapłacić za nieruchomość więcej, niż wynosiła oficjalna cena. Najwyraźniej bardzo mu zależało. To miejsce musiało coś dla niego znaczyć.

Ale co?

Spojrzałem na garaż.

Właśnie tą częścią posesji najbardziej się interesowałem. W środku znajdowały się stare graty, które usunięto z domu przed moją przeprowadzką. Niektóre należały pewnie do Dominica Barnetta. Czy wczoraj w nocy to właśnie Collins siedział przed wejściem i starał się nakłonić Jake'a do otwarcia drzwi? Jeśli tak, to być może mojemu synowi nic nie groziło, ponieważ nękający go mężczyzna przyszedł po jakiś konkretny przedmiot.

Czyżby chodziło o klucze?

Mogłem tylko snuć domysły. Wysiadłem z auta i ruszyłem w stronę garażu. Otworzyłem kłódkę, pociągnąłem za drzwi i unieruchomiłem jedno ze skrzydeł, opierając o nie puszkę starej farby.

Zrobiłem krok do przodu.

W środku zobaczyłem dokładnie to, co wcześniej: stare meble, brudny materac i stosy zawilgłych pudeł z kartonu. Spojrzałem na prawo. Pająk wciąż tkął swoją sieć, w którą złapało się więcej ofiar niż ostatnio. Błede zasuszone truchła to były najprawdopodobniej motyle.

Rozejrzałem się dookoła.

Jeden z owadów przycupnął na oknie, a drugi siedział na krawędzi pudła ze świątecznymi dekoracjami i delikatnie poruszał skrzydełkami. Przypomniałem sobie o rysunku Jake'a i o tym, że na pewno nie mógł wejść do garażu i zobaczyć tych owadów. Na razie nie potrafiłem rozwiązać tej zagadki.

A ty co kombinujesz, Norman?

Czego tu szukałeś?

Odgarnąłem stopą suche liście, żeby zrobić trochę miejsca, i postawiłem na ziemi pudło z ozdobami, po czym zajrzałem do środka.

Rozpakowanie kartonów zajęło mi pół godziny. Otwierałem wszystkie po kolei i układałem zawartość na podłodze. Potem ukląknąłem na zimnym betonie i niemal od razu poczułem, że moje dżinsy robią się wilgotne.

Nagle usłyszałem jakiś hałas, jakby szarpnięcie. Błyskawicznie się odwróciłem. Nikogo nie było. Widziałem tylko oświetlony słońcem podjazd i poczułem powiew lekkiego wiatru, który sprawiał, że metalowe drzwi uderzały w puszkę.

Wróciłem do swoich znalezisk.

Nie było tego wiele. W pudłach pochowano rozmaite śmieci, które wydawały się bezużyteczne, ale ktoś najwyraźniej nie chciał się ich pozbyć. Były tam, rzecz jasna, dekoracje bożonarodzeniowe. Wokół mnie walały się poskręcane zwoje przedpotopowych lamet o wyblakłych kolorach. Znalazłem też stare gazety i czasopisma, które pochodziły z różnych roczników i nie stanowiły chyba żadnej kolekcji. Poza tym natrafiłem na dość starannie poskładane ubrania, które śmierdziały stęchlizną, oraz parę wiekowych przedłużaczy. Żaden z tych przedmiotów nie wyglądał na celowo ukryty. Po prostu zostały odłożone na bok, zapakowane, a potem zapomniane.

Ogarnęła mnie frustracja. Nie byłem w stanie znaleźć odpowiedzi na moje pytania.

Podczas poszukiwań natknąłem się jeszcze na kilka motyli. Po porozrzucanych rzeczach łąziło pięć, może sześć ruszających czułkami owadów, a dwa trzepotały skrzydłami o szybę w oknie. W pewnym momencie jeden z tych, które siedziały na lamecie, poderwał się, przeleciał

obok mnie i pofrunął w stronę otwartych drzwi, ale w ostatniej chwili zawrócił i wylądował na podłodze tuż przede mną, na jednej z cegieł.

Przez chwilę z uwagą mu się przyglądałem, podziwiając charakterystyczne, niezwykle intensywne ubarwienie. Motyl przeszedł po krawędzi cegły, a potem zniknął w jakiejś szczelinie.

Wbiłem wzrok w podłogę.

Po chwili zorientowałem się, że spora jej część była wykonana z dość chaotycznie ułożonych zwykłych cegłówek. Upłynęło jeszcze kilka sekund, zanim zrozumiałem, na co właściwie patrzę. To był stary kanał, w którym można się było położyć, żeby naprawić auto. Potem ktoś go zasypał tak, że podłoga w całym garażu wydawała się w miarę równa.

Ostrożnie podniosłem cegłę, po której spacerował wcześniej owad. Nie była w żaden sposób przymocowana. Pod spodem znajdowała się dziura wypełniona kurzem i starymi pajęczynami. Motyl siedział przycupnięty w rogu.

W pewnym momencie zauważyłem na dnie dziwny kawałek kartonu, jakby wierzch jeszcze jednego pudełka.

Drzwi znowu walnęły w puszkę.

Jezus Maria!

Tym razem wstałem i wyszedłem na podjazd, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, ale w ciągu ostatnich kilku minut słońce schowało się za chmury, na zewnątrz zrobiło się ciemniej i zimniej, a wiatr wyraźnie się wzmógł. Dopiero teraz zorientowałem się, że wziąłem ze sobą cegłówkę i trzymałem ją kurczowo w trzęsącej się dłoni.

Po powrocie do garażu odłożyłem cegłę na bok i zacząłem odgruzowywać kanał, stopniowo odsłaniając pudło ukryte w środku. Było takich samych rozmiarów jak pozostałe, ale ktoś starannie zakleił je taśmą do pakowania. Wyjąłem z kieszeni klucze i wybrałem ten z najostriejszym końcem. Czułem, jak mocno bije mi serce.

Właśnie tego szukałeś, Norman?

Zdecydowanym ruchem przeciąłem środek taśmy i wsunąłem palce pod kartonowe skrzydełka, żeby otworzyć pudło. Usłyszałem charakterystyczny trzask i już po chwili mogłem zajrzeć do środka.

Odskoczyłem jak oparzony, ponieważ nie potrafiłem albo nie chciałem zrozumieć, co miałem przed oczami. Od razu pomyślałem o tym, co Jake powiedział wczoraj w nocy, kiedy odwiedzili nas policjanci. „Masz się mnie bać!” To właśnie wtedy dotarło do mnie, że jego wyimaginowana przyjaciółka wróciła do naszego życia.

Nagle usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek. Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem, że na końcu podjazdu stoi zaparkowane auto, a w moją stronę idą jacyś ludzie: kobieta i mężczyzna.

To nie była ona, powiedział mi Jake.

To chłopiec mieszkający w podłodze.

– Panie Kennedy? – zawołała kobieta.

Zamiast jej odpowiedzieć, jeszcze raz zajrzałem do stojącego przede mną pudełka.

W środku były kości.

I mała czaszka, której puste oczodoły badawczo mi się przyglądały.

Oraz pięknie ubarwiony motyl, który sfrunął i przysiadł na dnie kartonu, delikatnie poruszając skrzydłami, jakby w rytm uderzeń serca śpiącego dziecka.

Rozdział 28

W przeszłości Pete kilka razy spotkał się z Normanem Collinsem, ale do tej pory nie miał powodu, żeby odwiedzić go w domu. Wiedział jednak, że mieszka w starym bliźniaku, który należał kiedyś do jego rodziców. Collins nigdy się stamtąd nie wyprowadził. Po śmierci ojca przez wiele lat opiekował się matką, a potem został sam.

Rzecz jasna, nie było w tym nic dziwnego, ale na samą myśl Pete'owi robiło się niedobrze. Uważał, że dzieci powinny dorosnąć, znaleźć własne lokum i jak najszybciej się usamodzielnic. Jeśli tego nie robiły, oznaczało to niezdrową relację w rodzinie opartą na zależności. Tacy ludzie nie radzili sobie w życiu. Jego opinia wynikała być może z faktu, że znał Collinsa. Zapamiętał go jako kluchowatego faceta o ziemistej cerze, który cały czas się pocił, jakby coś w nim gniło i próbowało wydostać się na zewnątrz. Łatwo było sobie wyobrazić, że jest typem gościa, który przez wiele lat zachowuje pokój matki w nienaruszonym stanie i czasami sypia w jej łóżku.

Jednak niezależnie od antypatii, którą budził, Norman Collins nie był pomocnikiem Franka Cartera.

Teraz jego nazwisko znowu wypłynęło w nieciekawych okolicznościach. Trochę pocieszał Pete'a fakt, że miał go na oku już dwadzieścia lat temu. Collins nigdy nie był oficjalnie o nic podejrzany, ale jego zachowanie zwróciło uwagę policji. Dokładnie sprawdzono jego alibi i nie było wątpliwości, że jeśli Carter miał pomocnika, to z pewnością nie był nim Collins.

W takim razie po co składał wizyty w zakładzie karnym?

Być może nie było w tym żadnego drugiego dna, ale ktoś musiał przecież przekazywać Carterowi wiadomości ze świata zewnętrznego. Kiedy Pete parkował samochód przed domem Collinsa, poczuł dreszcz ekscytacji. Wolał nie robić sobie złudnych nadziei, lecz miał wrażenie, że jest na właściwym

tropie, chociaż nie było jasne, dokąd to wszystko prowadzi.

Podszedł do niewielkiego ogródka. Zaniedbane rośliny, dawno niekoszona trawa, która podeschnięta płożyla się na ziemi. Rosnący przed domem krzew był tak gęsty, że blokował dostęp do drzwi. Pete musiał przecisnąć się bokiem. Kiedy zapukał, poczuł pod knykциями miękkie wilgotne drewno, jakby w połowie przeżarte przez korniki. Biała farba, którą pomalowano dom, teraz łuszczyła się i odchodziła od tynku całymi płatami. Fasada przypominała twarz starej kobiety z niestarannie nałożonym popękany makijażem.

Chciał zapukać jeszcze raz, ale po drugiej stronie rozległy się jakieś hałasy. Po chwili drzwi lekko się uchyliły, tylko na długość łańcucha. Pete nie słyszał, żeby ktoś go zakładał. Oznaczało to, że właściciel dbał o spokój i bezpieczeństwo, nawet kiedy był w domu.

– Tak?

Collins nie rozpoznał policjanta, ale Pete od razu wiedział, z kim ma do czynienia. Przez ostatnie dwadzieścia lat ten facet prawie wcale się nie zmienił. Posiwały mu jedynie włosy okalające łysą głowę, której czubek pokrywały plamy i zaczerwienienia, jak gdyby miał za chwilę eksplodować. Chociaż wszystko wskazywało na to, że Collins odpoczywał w domu, był ubrany elegancko: miał na sobie garnitur i kamizelkę.

Pete pokazał odznakę.

– Dzień dobry. Komisarz Peter Willis. Być może mnie pan nie pamięta, ale spotkaliśmy się kilka lat temu.

Collins spojrzał na odznakę, a potem na twarz policjanta. Po chwili jego twarz przybrała surowy wyraz. Widać było, że wszystko sobie przypomniał.

– No tak, rzeczywiście.

Pete schował odznakę.

– Czy moglibyśmy porozmawiać? Postaram się nie zabrać panu dużo czasu.

Collins wyraźnie się zawahał, po czym nerwowo zerknął przez ramię na ciemny korytarz. Pete zauważył, że na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Jestem teraz trochę zajęty. O co w ogóle chodzi?

– Wolałbym to wyjaśnić w środku.

Pete wiedział, że musi poczekać. Collins na pewno nie wytrzyma przedłużającej się ciszy. Po kilku sekundach rzeczywiście dał za wygraną.

– W porządku. Zapraszam.

Drzwi na chwilę się zamknęły, po czym znowu otworzyły, tym razem na oścież. Pete wszedł do ponurego przedpokoju i stanął przed schodami prowadzącymi na piętro. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny, ale dało się również wyczuć woń czegoś słodkiego. Pete przypomniał sobie szkołę i stare ławki, które pachniały drewnem i przyklejoną do blatów gumą do żucia.

– Jak mogę pomóc, panie komisarzu?

Ciągle stali w ciasnym holu przy schodach. Pete był tak blisko Collinsa, że czuł, jak ten poci się pod swoim eleganckim garniturem. Policjant wskazał ręką otwarte drzwi prowadzące do większego pokoju.

– Może wejdziemy?

Collins znowu się zawahał.

Pete zmarszczył czoło.

Co ty takiego ukrywasz, Norman?

– Oczywiście. Proszę.

Ruszyli w stronę salonu. Pete spodziewał się, że wewnątrz będzie zaniedbane, ale w środku panował ład, a meble były nowsze i mniej staroświeckie, niż przypuszczał. Na ścianie wisiał duży telewizor z płaskim ekranem. Wystroju dopełniały oprawione w ramy obrazki oraz kilka oszklonych szafek.

Collins zatrzymał się na środku pokoju i stanął sztywno z rękami splecionymi na brzuchu. Wyglądał trochę jak kamerdyner. W jego ostentacyjnie oficjalnym zachowaniu było jednak coś dziwnego, coś, co sprawiało, że dostawało się gęziej skórki.

– Wszystko w porządku? Dobrze się pan czuje?

– Jak najbardziej. – Collins skinął głową. – Czy mógłbym się dowiedzieć, o czym tak chciał pan ze mną porozmawiać?

– Trochę ponad dwa miesiące temu odwiedził pan Victora Tylera, więźnia

osadzonego w zakładzie karnym Whitrow.

– Owszem, to prawda.

– Jaki był cel tej wizyty?

– Za każdym razem przychodzę tam w tym samym celu. Chcę z nim porozmawiać.

– Czyli już wcześniej pan się z nim spotykał?

– Tak, kilka razy.

Collins ciągle stał nieruchomo i lekko się uśmiechał, jakby pozował do zdjęcia.

– Czy mógłbym wiedzieć, jaki był temat tej rozmowy?

– No cóż, chodzi o przestępstwo, które popełnił.

– Zamordował małą dziewczynkę?

Collins przytaknął.

– Mary Fisher.

– Tak, wiem, jak się nazywała.

Pete wreszcie pojął, z czym od samego początku kojarzył mu się Collins – ze złośliwą hieną cmentarną ogarniętą chorą obsesją odkrywania mrocznych tajemnic, od których inni instynktownie trzymają się z daleka. Collins wciąż stał wyprostowany, jakby czekał na koniec przesłuchania i wyjście intruza z jego domu. Przyklejony do twarzy uśmiech wyglądał jednak nienaturalnie. Denerwuje się, pomyślał Pete. Coś ukrywa. W pewnym momencie komisarz zdał sobie sprawę, że sam również zamarł w bezruchu. W pokoju zaległa krępująca cisza. Pete podszedł więc do ściany i zaczął przyglądać się wiszącym na niej obrazkom.

Rysunki były dziwne. Z bliska zauważył, że wiele z nich wykonanych zostało dziecięcą ręką. Przez dłuższą chwilę patrzył na prymitywne bazgroły i amatorskie akwarele, aż jego uwagę przyciągnęła wykonana z plastiku czerwona maska diabła. Coś takiego dałoby się znaleźć w tanim sklepie z przebraniem na karnawał, ale z jakiegoś powodu właściciel wsadził ten gadżet do szklanej gablotki i powiesił na ścianie.

– To egzemplarz kolekcjonerski.

Collins wyrósł obok niego jak spod ziemi. Pete miał ochotę krzyknąć, ale

w ostatniej chwili się powstrzymał. Zrobił jednak krok do tyłu.

– Egzemplarz kolekcjonerski?

– Tak. – Collins energicznie przytaknął. – Tę maską nosił pewien znany morderca. Zakładał ją, kiedy popełniał swoje zbrodnie. Kosztowała fortunę, ale to oryginał. Dostałem ją ze sprawdzonego źródła i mam papiery potwierdzające jej autentyczność. – Odwrócił się i spojrzał na policjanta. – Zapewniam pana, że wszystko jest całkowicie zgodne z prawem. W czym mogę jeszcze pomóc?

Pete pokręcił głową, starając się zrozumieć, co właśnie usłyszał, po czym zaczął się uważniej przyglądać innym przedmiotom wiszącym na ścianie. Okazało się, że nie były to tylko obrazy. W niektóre ramki oprawiono listy i notatki. Część wyglądała na oficjalne raporty, a inne były jedynie odręcznymi zapiskami wykonanymi na tanim papierze.

Pete bezradnym gestem wskazał na ścianę.

– A... to?

– Korespondencja – wyjaśnił Collins radosnym głosem. – Zbiory własne i zakupy. Mam też trochę formularzy i dokumentów policyjnych dotyczących różnych znanych spraw.

Pete zrobił kolejny krok do tyłu i stanął na środku salonu. Rozejrzał się dookoła i kiedy wreszcie zrozumiał, na co właściwie patrzy, poczuł rosnący niepokój i przeszedł go zimny dreszcz.

Rysunki, pamiątki, korespondencja.

Przedmioty związane z krwawymi zbrodniami.

Już wcześniej zdawał sobie sprawę, że istnieją ludzie, którzy zbierają tego rodzaju rzeczy, a w internecie kwitnie handel makabrycznymi artefaktami. Nigdy nie widział jednak czegoś podobnego na własne oczy. Miał wrażenie, że w pokoju wyczuwalne jest zło. To nie była po prostu kolekcja, ale coś w rodzaju izby pamięci mającej oddać hołd mordercom. Wynikało to ze sposobu, w jaki zaprezentowano poszczególne eksponaty.

Collins ciągle stał przy ścianie. Przestał się uśmiechać i zrobił dziwną minę. Przypominał teraz jakiegoś gada. Nie ulegało wątpliwości, że nie chciał wpuszczać policjanta do domu i nie miał zamiaru pokazywać swoich przerażających pamiątek. Liczył na to, że rozmowa będzie krótka i nikt

niczego nie zauważy. Jednak teraz na jego twarzy malowała się duma. Zdawał sobie sprawę, że jego kolekcja wzbudza w komisarzu obrzydzenie, i przyjemnie go to połechtало. Najwyraźniej nie był w stanie tego kontrolować.

Zapewniam pana, że wszystko jest całkowicie zgodne z prawem.

Przez dłuższą chwilę Pete stał nieruchomo. Nie wiedział, jak zareagować. Co gorsza, nie miał pojęcia, czy w tej sytuacji w ogóle jest w stanie zrobić cokolwiek. Z letargu wyrwał go dzwonek telefonu. Odwrócił się, przyłożył aparat do ucha i wymruczał:

– Willis.

To była Amanda.

– Pete? Gdzie jesteś?

– Tam, gdzie miałem być. – Z tonu jej głosu wywnioskował, że to coś pilnego. – A ty?

– W domu przy Garholt Street. Znaleźliśmy drugie ciało.

– Drugie?

– Tak. Jednak te szczątki są znacznie starsze. Wygląda na to, że przez dłuższy czas leżały w ukryciu.

Pete starał się poskładać do kupy to, co usłyszał.

– Ten dom został niedawno sprzedany. – Amanda z trudem łapała oddech i była wyraźnie rozgorączkowana, jak gdyby sama starała się to wszystko zrozumieć. – Nowy właściciel znalazł kości schowane w garażu w kartonowym pudle. Twierdzi też, że wczoraj w nocy ktoś próbował porwać jego syna. Jeszcze wcześniej po posesji kręcił się twój znajomy, Norman Collins. Niewykluczone, że szukał zwłok. Właściciel nawet z nim rozmawiał.

Pete błyskawicznie się odwrócił i niemal wpadł na stojącego tuż obok Collinsa, który podszedł tak blisko, że widać było pory na jego skórze i białka oczu. W powietrzu unosiła się złowroga aura.

– Coś jeszcze, panie komisarzu? – wyszeptał Collins.

Pete instynktownie się cofnął, a serce skoczyło mu do gardła.

– Zabierz go ze sobą – dodała Amanda.

Rozdział 29

Zaparkowałem samochód jedną przecnicę od szkoły Jake'a. Obok mnie siedział policjant, co powinno dodać mi otuchy.

Wcześniej byłem sfrustrowany, że funkcjonariusze, którzy przyjechali do nas w nocy, nie wzięli moich słów na poważnie. Zignorowali próbę porwania i fakt, że do domu usiłował dostać się jakiś podejrzany typ. Teraz ich nastawienie się zmieniło, ale nie czułem się przez to spokojniejszy. Nieco spóźniona reakcja policji oznaczała, że rzeczywiście dzieje się coś złego i Jake'owi naprawdę grozi niebezpieczeństwo.

Sierżant Dyson spojrzał na mnie i zapytał:

– Jesteśmy na miejscu?

– Tak, to zaraz za rogiem.

Dyson schował telefon do kieszeni spodni. Był po pięćdziesiątce, ale przez całą drogę z komisariatu nie odezwał się ani słowem, tylko bawił się smartfonem jak nastolatek.

– Okay – powiedział. – Chciałbym, żeby zachowywał się pan całkowicie normalnie. Proszę odebrać syna, pogadać z innymi rodzicami i nigdzie się nie spieszyć. Niech pan robi to, co zwykle. Nie spuszczę pana z oka i cały czas będę obserwował wszystko, co się dzieje dookoła.

Stuknąłem palcami w kierownicę.

– Komisarz Beck twierdziła, że aresztowaliście już podejrzanego.

– Tak, to prawda. – Dyson wzruszył ramionami. Z jego zachowania można było wywnioskować, że tylko wykonuje rozkazy i nie jest szczególnie zaangażowany w całą sprawę. – To jedynie środki zapobiegawcze.

Środki zapobiegawcze.

Dokładnie tego samego zwrotu użyła Amanda Beck, kiedy byliśmy

jeszcze w komisariacie. Po wizycie funkcjonariuszy i po tym, jak pokazałem im swoje znalezisko, sprawy ruszyły z kopyta. Zatrzymano Normana Collinsa, co tylko potwierdziło moje obawy. Znowu zacząłem sobie wyobrazać, co mogło się stać Jake'owi wczorajszej nocy. Jednak teraz Collins siedział w areszcie, więc mój syn powinien być bezpieczny.

Po co w takim razie przydzielono mi ochronę?

Na wszelki wypadek. Środki zapobiegawcze.

Takie wytłumaczenie nie sprawiło jednak, że stałem się spokojniejszy. Policjanci mieli niewątpliwie odpowiednie kompetencje i dobrze było mieć ich wsparcie, ale czułem, że tylko ja jestem w stanie zapewnić Jake'owi pełne bezpieczeństwo. Chciałem mieć go blisko siebie, w miejscu, w którym będę mógł się o niego zatroszczyć.

Ruszyłem w stronę szkoły, a Dyson zniknął gdzieś za moimi plecami. Dziwnie się czułem ze świadomością, że asekuje mnie policjant. Cały wczorajszy dzień był jak z koszmarnego, surrealistycznego snu. Wszystko działo się za szybko. Nie do końca zdawałem sobie sprawę, że na terenie mojej posesji znalazłem szczątki dziecka. Jeszcze to do mnie nie dotarło. Bez szczególnych emocji złożyłem zeznania w komisariacie i po odebraniu Jake'a ze szkoły musiałem jeszcze tam wrócić, żeby podpisać przygotowany specjalnie protokół. Nadal nie miałem pojęcia, co się stanie później.

Dyson powiedział, żebym zachowywał się normalnie, co w zaistniałych okolicznościach wydawało się niemożliwe do wykonania. Kiedy wszedłem na dziedziniec, od razu zobaczyłem Karen, która opierała się o ogrodzenie, trzymając ręce w kieszeniach grubego płaszcza. Uznałem, że rozmowa z nią będzie czymś całkowicie naturalnym. Podeszedłem bliżej i stanąłem obok niej.

– Cześć – odezwała się. – Jak leci?

– Raczej spada.

– Ha, ha. – Przyjrzała mi się uważnie. – Chyba jednak nie żartujesz, bo kiepsko wyglądasz. Miałeś zły dzień?

Powoli wypuściłem powietrze przez usta. Policjanci nie zabronili mi rozmawiać o tym, co się wczoraj wydarzyło, ale przypuszczałem, że na razie lepiej zachować ostrożność. Poza tym zupełnie nie wiedziałem, od czego powinienem zacząć.

– Można tak powiedzieć. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin naprawdę dużo się działo. Pogadamy o tym, jak będzie więcej czasu.

– Chętnie posłucham. Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Nie obraż się, ale wyglądasz jak gówno. – Na chwilę się zamyśliła. – Przepraszam, jestem zbyt obcesowa. Zawsze palnę coś głupiego. Taka już jestem.

– Okay, nie wziąłem tego do siebie. Po prostu prawie wcale nie spałem.

– Nie dają ci zasnąć wymagowani przyjaciele twojego syna?

Nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem śmiechem.

– Jesteś bliżej prawdy, niż myślisz.

Chłopiec mieszkający w podłodze.

Przypomniałem sobie rdzawe kości, popękana czaszkę i gapiące się na mnie oczodoły. Wyobraziłem sobie piękne kolorowe motyle, których Jake nie mógł widzieć, lecz mimo to je narysował. Chciałem, żeby wyszedł już ze szkoły, a jednocześnie podświadomie obawiałem się, że jego zachowanie znowu wytrąci mnie z równowagi. Mój wrażliwy syn napawał mnie lękiem. Zdarzało mu się lunatykować i miał nieistniejących znajomych, z którymi rozmawiał w miejscach publicznych i którzy uczyli go przerażających rymowanek.

To było naprawdę makabryczne.

Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła pani Shelley. Zlustrowała wzrokiem dziedziniec, po czym zaczęła wywoływać poszczególnych uczniów, na których czekali już rodzice.

– Adam – powiedziała. Spodziewałem się, że następny będzie Jake, ale się pomyliłem.

– Uhm... – mruknęła Karen. – Chyba znowu trafiłeś na czarną listę.

– Wcale bym się nie zdziwił. To zdecydowanie nie jest mój dzień.

– Kiedy tu przychodzę, czasami sama czuję się jak dziecko. Szczególnie podczas rozmów z nauczycielką.

Skinąłem głową, chociaż nie byłem pewien, czy akurat dzisiaj mam ochotę na pogawędki z panią Shelley.

– W każdym razie trzymaj się – powiedziała, kiedy podszedł do nas Adam.

– Spróbuję.

Odprowadziłem ich wzrokiem, a potem czekałem, aż nauczycielka wypuści resztę dzieci. Przynajmniej Dyson miał okazję przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności. Ja sam także z uwagą lustrowałem ludzi kręcących się przed szkołą. Jednak jaki to miało sens? Potrafiłem rozpoznać raptem kilku rodziców; większość pozostawała dla mnie kompletnie anonimowa. Z ich punktu widzenia to ja byłem podejrzanym osobnikiem.

Kiedy został już tylko Jake, pani Shelley przywołała mnie skinieniem dłoni. Mój syn wyłonił się zza jej pleców i stanął obok ze spuszczonym wzrokiem. Wyglądał na zupełnie bezbronny. Czuję, że potrzebuje mojej pomocy. Powinienem wziąć go w ramiona i zabrać w bezpieczne miejsce. Zrozumiałem, jak bardzo go kocham. Być może był zbyt wrażliwy, żeby postępować jak inne dzieci i cieszyć się akceptacją rówieśników. Cholera jasna, przekląłem w myślach. Jak można się było po nim spodziewać normalnego zachowania po wszystkim, co się wydarzyło?

– Znowu jakieś problemy? – spytałem.

– Niestety tak. – Pani Shelley smutno się uśmiechnęła. – Pański syn wylądował dziś na czerwonym świetle i został wysłany na rozmowę z panią Wallace, prawda, Jake?

Jake przytaknął i zrobił żalostną minę.

– Co się stało?

– Uderzył kolegę z klasy.

– O Boże...

– To Owen zaczął – oznajmił Jake takim tonem, jakby za chwilę miał się rozpłakać. – Próbował mi zabrać Teczke z Bardzo Ważnymi Rzeczami. Nie chciałem zrobić mu krzywdy.

– No cóż. – Pani Shelley skrzyżowała ręce na piersi i znacząco na mnie spojrzała. – Nie jestem przekonana, czy w wieku Jake’a przynoszenie takich rzeczy do szkoły to dobry pomysł.

Zupełnie nie wiedziałem, jak zareagować. Społeczne konwenanse nakazywały, żebym stanął po stronie dorosłego. Powinienem powiedzieć Jake’owi, że bicie jest złe, a w kwestii Teczki nauczycielka ma zapewne rację. Nie byłem jednak w stanie się do tego zmusić. Cała sytuacja wydawała

mi się absurdalnie banalna i miałem ochotę wybuchnąć śmiechem. Durny system z sygnalizatorem świetlnym, dyscyplinująca rozmowa z groźną panią Wallace i wreszcie sam pomysł, że muszę zbesztać Jake'a. Niby za co? Za to, że nie pozwolił jakiemuś bezczelnemu gówniarzowi bawić się jego rzeczami? Podejrzewałem, że ten cały Owen dostał to, na co zasługiwał.

Spojrzałem na syna. Ciągle stał nieśmiało obok nauczycielki i pewnie czekał na ostrą reprimendę. Tymczasem miałem ochotę powiedzieć: „Dobra robota! W twoim wieku nigdy nie wykazałem się podobną odwagą. Mam nadzieję, że dałeś mu popalić”.

Niestety, zwyciężyły konwenanse.

– Porozmawiam z nim.

– Cieszę się. Niestety, to nie był udany początek roku szkolnego, prawda, Jake?

Pani Shelley zmierzwiła mu włosy. W tym momencie straciłem panowanie nad sobą i szlag trafił dobre maniery.

– Proszę go nie dotykać – rzuciłem.

– Słucham?

Odsunęła rękę jak porażona prądem. Widząc to, poczułem pewną satysfakcję, chociaż moja reakcja na gest nauczycielki była instynktowna i zupełnie nieprzemyślana. Co więcej, nie miałem pojęcia, jak powinienem się dalej zachowywać.

– Po prostu proszę tak nie robić – wyjaśniłem. – Nie może pani karać go zmienianiem świateł na sygnalizatorze, a potem udawać, że jest dla niego miła. Szczerze mówiąc, nie wolno tak robić żadnemu dziecku, a szczególnie takiemu, które ma problemy.

– Jakie problemy? – Pani Shelley była wyraźnie podenerwowana. – Możemy o tym porozmawiać.

Wiedziałem, że wchodzenie w dyskusję z nauczycielką to czysta głupota, ale stawanie po stronie syna sprawiało mi przyjemność, której nie potrafiłem sobie odmówić. Znowu na niego spojrzałem. Teraz patrzył na mnie z zaciekawieniem, jakby nie był pewien, co o tym wszystkim myśleć. Uśmiechnąłem się. Naprawdę dobrze, że zdołał się obronić. Cieszyłem się, że mój syn potrafi przeciwstawić się światu.

Popatrzyłem na panią Shelley.

– Mam zamiar z nim pogadać – powiedziałem. – Bicie innych dzieci jest czymś złym, więc wytłumaczę Jake’owi, że istnieją inne sposoby na radzenie sobie z łobuzami.

– W porządku. Cieszę się, że to słyszę.

– Dobrze. Masz wszystkie swoje rzeczy, kolego?

Jake pokiwał głową.

– W takim razie spadamy. Niestety, nie możemy dzisiaj wrócić do domu.

– Dlaczego?

Bo znalazłem chłopca mieszkającego w podłodze.

Na szczęście, ugryzłem się w język. Co dziwne, czułem jednak, że Jake zna odpowiedź na to pytanie.

– Idziemy – dodałem łagodnym głosem.

Rozdział 30

Wreszcie go znaleźli, pomyślał Pete.

Po tylu latach.

Znaleźli Tony'ego.

Siedział w samochodzie i patrzył, jak technicy kryminalistyki wchodzą na teren posesji należącej do Normana Collinsa. W tym momencie na ulicy nic więcej się nie działo. Mimo obecności policji nie widać było żadnych dziennikarzy, a sąsiedzi, którzy przebywali w domach, woleli nie wyściubiać nosa na zewnątrz. Jeden z techników stanął na schodach, położył ręce na biodrach i zaczął się przeciągać.

Collins, skuty kajdankami na tylnym siedzeniu, również obserwował rozwój wypadków.

– Nie macie prawa tego robić – powiedział beznamiętnym głosem.

– Zamknij się, Norman.

Pete musiał tolerować jego zapach, który rozchodził się we wnętrzu samochodu. Nie miał zamiaru wdawać się w żadne rozmowy. Sytuacja ciągle się rozwijała, więc na razie Collins został zatrzymany pod zarzutem przechowywania skradzionych przedmiotów, ponieważ biorąc pod uwagę charakter jego kolekcji, tylko tak sformułowane oskarżenie wydawało się wystarczającą podstawą do aresztowania i uzyskania nakazu przeszukania domu. W zasadzie chodziło jednak o coś zupełnie innego. Pete miał wiele pytań, ale nie chciał przesłuchiwać Collinsa na miejscu, bo bał się, że może to źle wpłynąć na dalsze śledztwo. Powinni to zrobić w komisariacie. Zeznanie należy nagrać, żeby potem niczego nie dało się zakwestionować.

– Nic nie znajdziecie – powiedział Collins.

Pete go zignorował. Przecież właśnie wpadli na trop, który prawdopodobnie prowadzi do Collinsa. W garażu ktoś przypadkiem natrafił

na szczątki dziecka zamordowanego wiele lat temu. Collins od zawsze miał obsesję na punkcie Cartera i jego zbrodni: odwiedzał w więzieniu jego bliskiego znajomego i kręcił się koło posesji, na terenie której ukryto feralne pudło z kośćmi. Collins musiał wiedzieć, czego szuka. Pete nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Co więcej, chociaż nie dostał jeszcze wyników identyfikacji zwłok, był pewien, że chodzi o Tony'ego Smitha.

Po dwudziestu latach wreszcie go odnaleźli.

Niezależnie od okoliczności powinien poczuć ulgę i uznać, że przynajmniej jedną rzecz udało mu się doprowadzić do końca. Przecież tak długo szukali tego chłopca. Nie potrafił jednak znaleźć w sobie żadnych pozytywnych emocji. Nie był w stanie zapomnieć o wszystkich weekendowych eskapadach, podczas których przeczesywał pustkowia, łąził po krzakach i snuł się po lasach w promieniu kilkunastu kilometrów od miasteczka. Okazało się, że ciało Tony'ego zostało ukryte bliżej, niż ktokolwiek podejrzewał.

Pete zdawał sobie sprawę, że dwadzieścia lat temu musiał coś przeoczyć.

Spojrzał na ekran tabletu leżącego na kolanach.

O Boże, dlaczego nie może się teraz napić? Dziwne, jak to wszystko działa. Ludzie często uważają, że alkohol jest buforem chroniącym przed okropnościami świata zewnętrznego. Nic bardziej mylnego. Pete miał przemożną ochotę sięgnąć po kieliszek, chociaż właśnie odnaleziono ciało Tony'ego Smitha i zachodziło duże prawdopodobieństwo, że udało się również zatrzymać mordercę, który siedział teraz za plecami komisarza. Zawsze istniało wiele powodów, żeby się napić, i tylko jeden, żeby tego nie robić.

Później sobie golniesz. Bez żadnych ograniczeń.

Miał nadzieję, że tak właśnie będzie. To proste: każdy sposób jest dobry, jeśli pomaga w dotarciu do wyznaczonego celu. Na wojnie korzysta się z jakiejś taktyki, żeby wygrać bitwę, a potem następuje przegrupowanie i dochodzi do kolejnego starcia. I tak dalej.

Trzeba stosować to, co działa.

– Nie zrobiłem nic złego – mruknął Collins.

– Zamknij się.

Pete kliknął w ekran tabletu. Wiedział, że od pewnych rzeczy nie ucieknie: musi ustalić, co takiego przegapił dwadzieścia lat temu i dlaczego. Najlepszym punktem wyjścia będzie dom na Garholt Street, w którym znaleziono szczątki Tony'ego.

Zaczął przeglądać dokumenty. Do niedawna właścicielką nieruchomości była Anne Shearing. Odziedziczyła dom po rodzicach i od kilkudziesięciu lat go wynajmowała.

Lista lokatorów była dość długa, ale Pete uznał, że może wykluczyć tych, którzy mieszkali tam przed tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym. Właśnie wtedy Carter rozpoczął swoją zbrodniczą działalność. W tym czasie najemcą był niejaki Julian Simpson. Wprowadził się cztery lata wcześniej i mieszkał aż do dwa tysiące ósmego. Pete otworzył w wyszukiwarce nową kartę i ustalił, że Simpson zmarł wtedy na raka. Miał siedemdziesiąt lat. Komisarz wrócił do listy lokatorów. Kolejnym najemcą był Dominic Barnett, który zajmował nieruchomość aż do wiosny bieżącego roku.

Dominic Barnett.

Pete zmarszczył czoło. Nazwisko coś mu mówiło. Znowu skorzystał z wyszukiwarki. Już po chwili wszystko sobie przypomniał, choć sam nie zajmował się tą sprawą. Barnett był drobnym przestępcą i mało znaczącą figurą lokalnego półświatka. Handlował narkotykami i miał na koncie wyłudzenia. Policja dobrze go znała, choć był jedynie pionkiem. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie został za nic skazany, ale nie oznaczało to, rzecz jasna, że żył jak praworządny obywatel. W każdym razie nikt się szczególnie nie zdziwił, kiedy znaleziono jego zwłoki i ustalono, że został zamordowany młotkiem. Z narzędzia zbrodni zdjęto odciski palców, które nie pasowały jednak do zgromadzonych w bazie danych. Śledztwo utknęło w martwym punkcie i nie udało się wytypować żadnego podejrzanego. Opinia publiczna została jednak uspokojona. Chociaż nikogo nie aresztowano, policja uważała morderstwo za odosobniony wypadek, a ofiara nie była przypadkowa. Każdy, kto potrafił czytać między wierszami, mógł z łatwością dopowiedzieć sobie, co w istocie znaczył taki komunikat.

Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

Pete doszedł do podobnych wniosków, chociaż nie śledził sprawy szczególnie uważnie. Jednak teraz miał wątpliwości. Najbardziej

prawdopodobnym motywem zbrodni były narkotyki, ale właśnie okazało się, że Barnett mieszkał w domu, w którym ktoś ukrył ludzkie szczątki. Wydawało się mało realne, żeby nie był tego świadomy. Czy to cokolwiek zmieniało?

Pete podniósł głowę i spojrział w lusterko wsteczne. Collins wyglądał przez okno i gapił się pustym wzrokiem na swój dom.

Należało bliżej przyjrzeć się trzem mężczyznom: dwóm byłym lokatorom, czyli Julianowi Simpsonowi i Dominicowi Barnettowi, oraz Normanowi Collinsowi, który musiał wiedzieć, co zostało ukryte w garażu przy Garholt Street. Co łączyło tych facetów? Co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu lat?

Pete załadował mapę Featherbank.

Po porwaniu chłopca Frank Carter uciekał najprawdopodobniej przez tę część miasteczka, w której znajdowała się Garholt Street. Zgodnie z wynikami ekspertyzy sądowej Tony był przetrzymywany w samochodzie Cartera, jednak ktoś mógł ostrzec porywacza, że w jego domu jest już policja, więc ten nie miał wyboru i podrzucił ciało właśnie na Garholt Street, po czym wziął nogi za pas. W tamtych czasach mieszkał tu Julian Simpson.

Pete nie musiał sprawdzać dokumentacji, ponieważ miał pewność, że to nazwisko ani razu nie pojawiło się w śledztwie. Starannie prześwietlono wszystkich ówczesnych znajomych Cartera. Nic nie wskazywało, żeby Simpson należał do tego grona.

A może jednak?

W czasie kiedy dokonywano porwań, Simpson miał około pięćdziesiątki, co oznaczało, że jego wiek pasował do opisu podanego przez jednego ze świadków. Niewykluczone, że to właśnie on był współnikiem Cartera. Jeśli tak, to między tymi dwoma mężczyznami musiał istnieć jakiś związek, możliwe, że bardzo luźny, ale doświadczony policjant powinien go dostrzec.

Ogarnęło go dojmujące poczucie klęski.

Trzeba było szybciej odnaleźć zaginionego chłopca.

Niezależnie od tego, co zrobił albo czego nie zrobił, zawsze potrafił tak odwrócić kota ogonem, żeby czuć się za wszystko odpowiedzialny.

Był przecież bezwartościowym śmieciem.

Do niczego się nie nadawał.

Później będziesz mógł się napić.

Nagle zadzwonił telefon: znowu Amanda.

– Tu Willis – powiedział do słuchawki. – Nadal jestem w domu Collinsa, ale za chwilę się stąd zbieram.

– Jak idzie rewizja?

– Na razie bez rewelacji.

Spojrzał na dom, ponieważ wiedział, że powinien teraz skupić się na przeszukaniu. Ich priorytetem było znalezienie dowodów na współudział Collinsa w porwaniach, a nie roztrząsanie własnych błędów sprzed dwudziestu lat. Na to przyjdzie jeszcze pora.

– Okay – stwierdziła Amanda. – Mam tutaj właściciela domu i jego syna. Na razie są bez dachu nad głową, więc spróbuj zorganizować im jakiś nocleg, dobrze?

Pete zmarszczył czoło. To było niewdzięczne zadanie i doskonale wiedział, co się z tym wiąże: Amanda będzie rozmawiać z Normanem Collinsem w pojedynkę. Paradoksalnie mogło to jednak wyjść śledztwu na dobre. Nie istniało ryzyko, że przeszłość w jakiś sposób wpłynie na przesłuchanie. Na pewno dostaną odpowiedzi na najważniejsze pytania. To tylko kwestia czasu. Włączył silnik.

– Ruszam w drogę.

– Ten facet nazywa się Tom Kennedy, a jego syn to Jake – powiedziała Amanda. – Najpierw wsadź Collinsa do aresztu, a potem zajmij się naszymi świadkami.

Przez dłuższą chwilę Pete milczał. Jedną ręką trzymał kierownicę i w pewnym momencie zorientował się, że nie jest w stanie zapanować nad drżeniem dłoni.

– Pete? – zapytała Amanda. – Jesteś tam?

– Tak. Niedługo będę na miejscu.

Rozłączył się i rzucił telefon na fotel pasażera. Nie nacisnął jednak na gaz, tylko wyłączył silnik i znowu wziął do ręki tablet. Zrozumiał, że jest za bardzo pochłonięty przeszłością i nie zwraca uwagi na to, co dzieje się teraz.

Dlaczego nie zainteresował się nowym właścicielem domu przy Garholt Street?

Czyżby znowu czegoś nie zauważył?

Jeszcze raz przeczytał raport, zastanawiając się, czy źle usłyszał nazwisko, które podała mu Amanda. Ale nie. Nic z tych rzeczy.

Tom Kennedy.

Nareszcie nazwisko, które coś mu mówiło.

Rozdział 31

– Już go znaleźli, tatusiu? – zapytał Jake.

Przemierzałem nerwowym krokiem biuro w komisariacie, czekając, aż komisarz Amanda Beck przyniesie mi do podpisania zeznanie, jednak kiedy usłyszałem słowa mojego syna, zamarłem w bezruchu.

Siedział na krześle, które było dla niego o wiele za duże, i wymachiwał nogami. Na stole obok stała nietknięta butelka napoju pomarańczowego Fruit Shoot. Jake dostał go tuż po naszym przyjeździe od sierżanta Dysona. Ja poprosiłem o kawę. Minęło już dwadzieścia minut i wszystko wskazywało na to, że dostanę ją dopiero wtedy, kiedy zjawi się tu prowadząca śledztwo policjantka. Przez ten czas właściwie nie rozmawiałem z Jakiem. Nie wiedziałem, co mam mu teraz powiedzieć, więc spacerowałem, by jakoś zagłuszyć ciszę.

Już go znaleźli, tatusiu?

Podszedłem do niego i przykucnąłem przed krzesłem.

– Tak. Zatrzymali mężczyznę, który przyszedł do nas do domu.

– Nie o to mi chodzi.

Chłopiec mieszkający w podłodze.

Wpatrywałem się w niego przez dłuższą chwilę, ale on nie wydawał się spłoszony ani zaniepokojony. Byłem zdziwiony, że z takim spokojem podchodzi do wszystkiego, co się dzieje. Zachowywał się całkowicie normalnie, jakbyśmy rozmawiali o chłopcu, który bawił się w chowanego, a nie o ludzkich szczątkach ukrytych od Bóg wie ilu lat pod podłogą w naszym garażu. Co więcej, Jake nie mógł przecież o tym wiedzieć.

To nie był temat, na który powinniśmy dyskutować, w każdym razie nie tutaj. Złożone przeze mnie zeznania były prawdziwe, ale niekompletne. Nic nie wspominałem o rysunkach motyli ani o tym, że Jake rozmawiał

z chłopcem mieszkającym w podłodze. W sumie nie byłem pewien dlaczego. Sam niewiele z tego wszystkiego rozumiałem i chciałem chronić swojego syna. Uznałem, że to problem, z którym powinien się zmagać ktoś dorosły, a nie siedmiolatek.

– Jake, proszę cię, nie kombinuj – stwierdziłem stanowczym tonem. – To poważna sprawa.

Na chwilę się zamyślił.

– Okay.

– O innych rzeczach pogadamy później. – Zakończyłem temat i wyprostowałem się, ale szybko zrozumiałem, że powiedziałem za mało. Jake zasługuje na coś więcej. – Jeśli cię to interesuje, to chłopca też znaleźli.

A w zasadzie sam go znalazłem.

– Dobrze – oznajmił Jake. – Trochę się go bałem.

– Wiem.

– Chociaż on wcale nie miał zamiaru mnie straszyć. – Jake zmarszczył czoło. – Wydaje mi się, że czuł się po prostu samotny, było mu przykro i właśnie dlatego tak się zachowywał. Jednak jeśli go znaleźli, to teraz będzie mu lepiej, prawda? Wróci do domu i trochę się uspokoi.

– To tylko twoja wyobraźnia, Jake.

– Wcale nie.

– Później o tym porozmawiamy, dobrze?

Spojrzałem na niego poważnym wzrokiem. Zawsze patrzyłem w ten sposób, kiedy chciałem wyraźnie dać mu do zrozumienia, że kończymy rozmowę. Zwykle na niewiele się to zdawało i po mniej więcej minucie któryś z nas zaczynał krzyczeć. Jednak dziś Jake skinął głową, obrócił się na krześle, wziął do ręki butelkę z fruit shootem i robiąc beztroską minę, zaczął się raczyć napojem.

Nagle otworzyły się drzwi za moimi plecami i do pokoju wszedł sierżant Dyson. W rękach trzymał dwie filiżanki z kawą. Przytrzymał drzwi plecami i wpuścił do środka komisarz Beck. Przyniosła jakieś papiery i miała strasznie zmęczoną twarz. Wyglądała na kogoś, kto ma milion spraw na głowie, ale jest zdeterminowany, żeby wszystkim zająć się osobiście.

Zupełnie jak ja.

– Panie Kennedy – zaczęła. – Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać. Och... To musi być Jake.

Jake był zajęty piciem soku i nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

– Hej – przywołałem go do porządku. – Możesz się przywitać?

– Dzień dobry.

Odwróciłem się do policjantki.

– Mieliśmy bardzo długi dzień.

– Rozumiem. Taka sytuacja jest dla niego zupełną nowością. – Pochyliła się nad moim synem, opierając dłonie na kolanach, co wyglądało trochę niezgrabnie, jakby nie wiedziała, w jaki sposób należy rozmawiać z dziećmi.

– Byłeś już wcześniej w komisariacie, Jake?

Pokręcił głową, ale nic nie odpowiedział.

– No cóż. – Nerwowo się roześmiała, stanęła wyprostowana. – Mam nadzieję, że to pierwszy i ostatni raz. A oto pana zeznanie: proszę uważnie przeczytać, sprawdzić, czy wszystko się zgadza, i podpisać. Przynieśliśmy też kawę.

– Dziękuję.

Dyson podał mi filiżankę. Wypiłem łyk i zabrałem się do przeglądania dokumentu. W zeznaniu opisywałem pierwsze spotkanie z Normanem Collinsem oraz wizytę u pani Shearing i to, co powiedziała mi o poprzednich lokatorach. Potem skupiłem się na wydarzeniach ostatniej nocy, kiedy ktoś zakradł się pod nasz dom i nakłaniał Jake'a do otwarcia drzwi. Na koniec opowiedziałem o tym, jak przeszukałem garaż, ponieważ chciałem ustalić, co tak bardzo interesowało Collinsa, i wyjaśniłem, gdzie konkretnie znalazłem ludzkie szczątki.

Kiedy skończyłem, spojrzałem na Jake'a, który próbował wysać z butelki resztkę napoju, po czym złożyłem podpis na ostatniej stronie.

– Obawiam się, że nie będziecie mogli wrócić dzisiaj do domu – powiedziała komisarz Beck.

– Trudno.

– Jutro też pewnie nie. Rzecz jasna, zorganizujemy dla was tymczasowe

zakwaterowanie. Niedaleko stąd znajduje się bezpieczny dom.

– Po co nam bezpieczny dom?

– To tylko takie określenie. W ten sposób nazywamy nieruchomości, z których korzysta policja – wyjaśniła lekko zakłopotana. – Wszystkim zajmie się mój kolega, komisarz Willis. Powinien tu za chwilę być. Ja na razie zostawię was w spokoju. O, chyba już jest...

Znowu otworzyły się drzwi i w progu stanął mężczyzna w średnim wieku.

– Pete Willis – przedstawiła go Beck. – To są Tom i Jake Kennedy.

Wbiłem wzrok w policjanta i miałem wrażenie, że wszystko wokół mnie nagle zniknęło. Minęło wiele lat i czas obszedł się z nim stosunkowo łagodnie. Wyglądał zdrowo i był znacznie szczuplejszy niż kiedyś, ale dorośli nie zmieniają się tak bardzo jak dzieci, więc od razu go poznałem. Ścisnęło mnie za serce i na powierzchnię wypłynęły setki starych wspomnień, które zaczęły kłębić mi się w głowie.

On również wiedział, kim jestem. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Już wcześniej usłyszał moje nazwisko i mógł się przygotować. Zbliżył się do mnie, starając się zachować należyty profesjonalizm, i chyba tylko ja widziałem, że zrobił dziwną minę.

Roztrzaskujące się szkło.

Wrzask mojej matki.

– Dzień dobry, panie Kennedy – powiedział mój ojciec.

Rozdział 32

To był strasznie dziwny dzień, pomyślał Jake.

Czuł się bardzo zmęczony, głównie z powodu tego, co stało się wczoraj w nocy, chociaż tak naprawdę niewiele pamiętał. Był pogrążony w półśnie i wciąż kipiał złością, ponieważ ojciec napisał na komputerze okropne rzeczy. Potem w domu pojawiła się policja i tata, jak gdyby nigdy nic, powiedział, że mama nie żyje. Wtedy Jake stracił panowanie nad sobą. Wiedział, że zrobił źle, ale nie był w stanie kontrolować swojego zachowania.

W ciągu dnia złość osłabła, co było trudne do wytłumaczenia. Wiedział jednak, że czasami złe emocje znikają jak rozwiewana przez wiatr poranna mgła. W szkole czuł się bardzo samotny. Chciał się przytulić do taty i go przeprosić. Wiedział, że tata również go przeprosi i wtedy wszystko będzie dobrze.

Niestety, Owen zrobił to, co zrobił, Jake nie pozostał mu dłużny i skończyło się na odwiedzinach w gabinecie pani Wallace. Nie było tam aż tak strasznie, ale niepokoiły go dwie sprawy. Po pierwsze, musiał zostawić w klasie Teczke z Bardzo Ważnymi Rzeczami. W praktyce oznaczało to, że Owen miał szansę zrobić z nią, co zechciał, i naprawdę trudno było pogodzić się z tą świadomością.

– Mógłbyś na mnie spojrzeć? – poprosiła pani Wallace. Musiała powtórzyć pytanie dwa razy, ponieważ Jake wbił wzrok w zamknięte drzwi i nie podnosił głowy.

Był jeszcze drugi powód: tata na pewno nie będzie potrafił ukryć zawodu i znowu się zezłości, ponieważ jego syn po raz kolejny wpakował się w tarapaty. Wtedy bardzo długo nic się nie poprawi, a jak tak dalej pójdzie, to już nigdy się nie pogodzą.

Niewykluczone, że tata znowu napisze kilka przykrych słów, tym razem o nim.

Jake podejrzewał, że tak to się właśnie skończy.

Kiedy wrócił do klasy, okazało się, że nikt nie dotykał jego Teczki. Pomyślał, że bicie to chyba skuteczna metoda i być może trzeba częściej z niej korzystać. Jeszcze dziwniejsze było to, że po skończonych lekcjach tata w ogóle się na niego nie gniewał. Co więcej, kłócił się z panią Shelley! Jake uznał to za akt odwagi, ale jeszcze bardziej spodobało mu się, że trzymał jego stronę! Nie powiedział tego wprost, ale Jake czuł, że tata go wspiera. To okazało się równie dobre jak przytulanie.

Teraz siedzieli razem w komisariacie.

Na początku było tu nawet ciekawie, szczególnie że wszyscy byli dla Jake'a bardzo mili, ale wraz z upływem czasu miał coraz większą ochotę wrócić do domu. Potem pojawił się jeszcze jeden policjant i sytuacja zrobiła się dziwniejsza, ponieważ tata zaczął się zachowywać wyjątkowo nerwowo. W obecności innych funkcjonariuszy był całkiem spokojny, ale teraz zrobił się błądy i wyglądał na przestraszonego. Był jak wylękniony uczeń, a starszy policjant wydawał się odgrywać rolę pani Shelley.

Po jakimś czasie Jake zorientował się, że również on sprawia wrażenie skrępowanego. Kiedy z pokoju wyszła pani komisarz, zabierając ze sobą podpisane przez tatę zeznania, zaległa grobowa cisza. Wszystko zastygło w bezruchu, jakby zostało zalepione gęstym klejem.

W pewnym momencie policjant podszedł powoli do chłopca i spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Ty jesteś Jake, prawda?

– Tak właśnie się nazywam. – To pytanie nie było trudne.

Mężczyzna się uśmiechnął, ale w jego twarzy było coś dziwnego. Chociaż ogólnie sprawiał wrażenie miłego, to w tym momencie zrobił zakłopotaną minę. Po chwili wyciągnął rękę, żeby się przywitać. Jake odwzajemnił uścisk, ponieważ wiedział, że tego wymaga dobre wychowanie. Dłoń policjanta była ciepła i duża, ale jednocześnie delikatna.

– Cieszę się, że cię poznałem, Jake. Możesz do mnie mówić Pete.

– Cześć, Pete. Miło mi. Dlaczego nie możemy wrócić do domu? Twój

koledzy powiedzieli tacie, że mamy tu zostać.

Pete zmarszczył brwi i pochylił się nad chłopcem, po czym zaczął wpatrywać się w jego twarz, jak gdyby kryła się w niej jakaś tajemnica. Jake nie odwrócił wzroku: chciał pokazać, że niczego się nie boi.

– To dość skomplikowane – oznajmił Pete. – Musimy dokładnie przeszukać wasz dom.

– Z powodu chłopca mieszkającego w podłodze?

– Tak.

Pete spojrzał na tatę i Jake zdał sobie sprawę, że powinien ugryźć się w język. W pokoju panowała jednak tak dziwna atmosfera, że łatwo było się zapomnieć i palnąć coś głupiego.

– Powiedziałem mu o swoim znalezisku – wyjaśnił tata.

– Skąd wiedzieliście, że to był chłopiec?

Tata stał spokojnie, ale widać było, że został przyłapany na nieściskości. Wyglądał tak, jakby chciał ruszyć z miejsca, ale zapomniał, jak to się robi. Jake miał niepokojące przeczucie, że gdyby nagle sobie przypomniał, zacisnąłby pięści i zrobił krok do przodu.

– Nie wiedzieliśmy. Użyłem słowa „szczątki”. Jake musiał się przesłyszeć.

– To prawda – wtrącił Jake. Nie chciał, żeby tata kogoś uderzył, a już szczególnie policjanta. Sytuacja zrobiła się naprawdę napięta.

Pete powoli się wyprostował.

– Okay. W takim razie zajmijmy się stroną praktyczną. Mieszkacie tylko we dwójkę?

– Tak.

– A mama Jake’a...?

Tata ciągle kipiał złością i nie za bardzo potrafił ją ukryć.

– Moja żona umarła rok temu.

– Przykro mi. To musiało być dla was ciężkie przeżycie.

– Jakoś sobie radzimy.

– Widzę.

O Boże, o co w tym wszystkim chodzi? Jake miał ochotę pokręcić głową. Pete wyraźnie unikał wzroku taty. To było naprawdę dziwne, bo to w końcu on był policjantem i powinien zachować zimną krew.

– Możemy zorganizować dla was tymczasowe zakwaterowanie, ale, rzecz jasna, nie musicie korzystać z naszej oferty. Macie jakąś rodzinę, u której wolelibyście się zatrzymać?

– Nie. Moi rodzice nie żyją.

Pete przez chwilę się zawahał.

– Rozumiem. Naprawdę współczuję.

– W porządku.

W tym momencie tata zrobił krok do przodu.

Jake wstrzymał oddech.

Wydawało się, że tata chce kogoś uderzyć, ale na szczęście, był w stanie nad tym zapanować.

– To się stało bardzo dawno temu.

– Okay. – Pete głośno westchnął, ale nadal nie podniósł wzroku. Ciągle gapił się w ścianę i Jake miał wrażenie, że wygląda na znacznie starszego niż w chwili, gdy wszedł do tego pokoju. – W takim razie zorganizujemy dla was jakiś dach nad głową.

– To dobre rozwiązanie.

– Pewnie potrzebujecie paru rzeczy z waszego domu. Możemy tam pojechać razem. Dam wam trochę czasu na spakowanie.

– Musi pan nam towarzyszyć?

– Niestety tak. To w końcu miejsce zbrodni. Ktoś powinien zapisać, co konkretnie wzięliście.

– Trudno. To niezbyt komfortowa sytuacja.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Pete wreszcie spojrzął na tatę. – Przykro mi.

Tata wzruszył ramionami, ale jego oczy wciąż płonęły złością.

– No cóż, chyba nie mamy wyjścia. Zbieramy się, Jake. Zastanów się, które zabawki chcesz ze sobą zabrać.

– Dobrze.

Jake spojrział na Pete'a, a potem przeniósł wzrok na tatę, ale żaden z nich się nie ruszył. Obaj zachowywali się tak, jakby nie wiedzieli, co dalej robić. Jake uznał, że musi przejąć inicjatywę, bo inaczej będą tak stali do wieczora. Zdecydowanym gestem odstawił na blat pustą butelkę po fruit shoccie i oznajmił:

– Chcę wziąć swoje rysunki. Nic więcej nie jest mi potrzebne.

Rozdział 33

Nawet w tak okropny dzień można odnosić drobne sukcesy i trzeba się z nich cieszyć, pomyślała Amanda, moszcząc się na krześle. Znajdowała się w pokoju przesłuchań, a naprzeciwko niej siedział Norman Collins. Poprzednia noc była naprawdę koszmarna i Amanda miała poczucie, że nie zrobiła wystarczająco dużo, żeby uratować Neila Spencera. Dziś w wojowniczym nastroju powtarzała sobie, że mały sukces to czasem jedyne, co da się osiągnąć.

– Przepraszam, że panu przerwałam – powiedziała. – Możemy kontynuować.

– Nic się nie stało. Proponuję, żebyśmy wyciągnęli z tego wszystkiego jakieś logiczne wnioski, dobrze?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Proszę bardzo.

Collins założył ręce na piersi i zrobił lekko ironiczną minę. Amanda nie była wcale zdziwiona jego zachowaniem. Widząc go po raz pierwszy, od razu zrozumiała, co miał na myśli Pete, kiedy powiedział, że facet jest dziwny. Był typem człowieka, na którego widok instynktownie przechodziło się na drugą stronę ulicy. Przesadnie elegancki strój sprawiał wrażenie przebrania. Collins chciał za wszelką cenę wzbudzać szacunek i ukryć swój nieprzyjemny charakter. Z jego zachowania wynikało, że uważa się za kogoś, kto nie tylko wyraźnie odróżnia się od innych ludzi, lecz także jest od nich lepszy.

Przesłuchanie trwało już dwadzieścia minut. Collins odpowiedział na wszystkie pytania, ale ciągle traktował Amandę z góry. W pewnym momencie rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Steph. Amanda zarządziła przerwę.

Teraz wyciągnęła rękę, włączyła dyktafon i zaczęła nagrywać wstęp.

Collins teatralnie westchnął.

Amanda spojrzała na przyniesioną w trakcie przerwy kartkę papieru. Cieszyła się na samą myśl, że już wkrótce z twarzy tego sukinsyna zniknie głupi uśmiezek.

Wszystko po kolei, pomyślała.

– Panie Collins – oznajmiła. – Dla jasności chciałabym szybko powtórzyć to, co już udało nam się ustalić. W lipcu tego roku odwiedził pan Victora Tylera w zakładzie karnym Whitrow. Jaki był cel tej wizyty?

– Interesuję się przestępczością i w pewnych kręgach jestem uważany za eksperta. Chciałem porozmawiać z Tylerem o jego kryminalnej przeszłości. Podejrzewam, że dokładnie o to samo pytali go pani koledzy podczas przesłuchań.

Niezupełnie o to samo, pomyślała Amanda.

– Czy w czasie waszego spotkania pojawił się temat Franka Cartera?

– Nie.

– Czy zdawał pan sobie sprawę, że Tyler przyjaźni się z Carterem?

– Nie.

– To trochę dziwne. Uważa się pan przecież za eksperta w tych kwestiach.

– Nie wiem wszystkiego. Przecież nie jestem alfą i omegą. – Collins znowu się uśmiechnął.

Amanda była pewna, że kłamie, ale nie istniało nagranie tego spotkania, więc nie mogła niczego udowodnić.

– W porządku – powiedziała. – Zajmijmy się tym, gdzie pan przebywał po południu i wieczorem trzydziestego lipca tego roku. To była niedziela, dzień, w którym porwano Neila Spencera.

– Już pani wyjaśniłem. Po południu byłem w domu, a potem poszedłem na Town Street i zjadłem obiad w restauracji.

– Doskonale pan wszystko pamięta.

Wzruszył ramionami.

– Mam swoje przyzwyczajenia. Kiedy jeszcze żyła moja mama, w każdą niedzielę chodziliśmy razem na obiad. Teraz jadam sam.

Amanda skinęła głową. Właściciel restauracji wszystko potwierdził, co oznaczało, że na czas zniknięcia chłopca Collins miał mocne alibi. Technicy kryminalistyki ciągle przeszukiwali jego dom, ale jak do tej pory nie znaleziono nic, co mogłoby sugerować, że Neila kiedykolwiek tam przetrzymywano. Amanda była jednak pewna, że Collins ma z tym wiele wspólnego, chociaż akurat udało mu się jakimś cudem skutecznie to ukrywać.

– Numer trzynaście, Garholt Street – powiedziała.

– Tak?

– Chciał pan kupić dom pod tym adresem.

– Owszem. Był wystawiony na sprzedaż. Nie wiedziałem, że to zabronione.

– Nic takiego nie sugerowałam.

– Po prostu zobaczyłem ogłoszenie. Od bardzo dawna mieszkam w tym samym miejscu i uznałem, że najwyższy czas wyfrunąć z gniazda i w końcu się usamodzielić.

– Kiedy pana oferta została odrzucona, postanowił pan bez zgody pokręcić się po terenie posesji.

Collins energicznie zaprzeczył ruchem głowy.

– Nic takiego nie miało miejsca.

– Tom Kennedy twierdzi, że próbował się pan włamać do jego garażu.

– To jest oczywiście nieprawda.

– W garażu znaleziono szczątki dziecka.

Amanda była pod wrażeniem reakcji Collinsa. Chociaż doskonale wiedział o ukrytych zwłokach, pamiętał, żeby przynajmniej udawać zdziwienie. Nie był w tym zbyt przekonujący, ale wyraźnie się starał.

– To naprawdę... szokujące – wymamrotał.

– Nie za bardzo panu wierzę.

– Nic o tym nie wiedziałem. – Zmarszczył czoło. – Rozmawiała pani z nowym właścicielem? Moim zdaniem od tego należałoby zacząć.

– Teraz interesuje mnie przede wszystkim to, dlaczego właśnie pan

przejawiał tak duże zainteresowanie tą nieruchomością.

– Już to wyjaśniłem: wcale tak nie było. Ten cały, jak mu tam, Kennedy po prostu mija się z prawdą. W ogóle nie zbliżałem się do jego domu.

Amanda uważnie mu się przypatrywała, ale Collins wytrzymał jej spojrzenie i nie odwrócił wzroku. Słowo przeciw słowu. Nawet gdyby udało się zorganizować konfrontację i Kennedy rozpoznałby Collinsa, to nie wystarczyło, żeby sformułować oskarżenie. Na razie nie mogli udowodnić, że Collins wiedział o zwłokach ukrytych w garażu. Nie dało się go również jednoznacznie powiązać z uprowadzeniem Neila Spencera. Jedynym punktem zaczepienia była jego kolekcja, możliwe, że znajdowały się w niej jakieś skradzione przedmioty, ale nawet to nie było pewne.

Najgorsze, że ten zadowolony z siebie palant doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Albo przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

Amanda jeszcze raz spojrzała na kartkę papieru, którą dostała wcześniej od Steph. Przed rozpoczęciem przesłuchania pobrano od Collinsa odciski palców i porównano je z tymi z policyjnej bazy danych. Chociaż leżące na stole wyniki nie potwierdzały udziału Collinsa w porwaniu, Amanda poczuła, że z podekscytowania ma gęsią skórę. Żyła właśnie dla takich momentów. Żałowała, że Pete nie może razem z nią delektować się tą chwilą. Na pewno na to zasługiwał.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, co robił pan wieczorem we wtorek czwartego kwietnia tego roku?

Collins wyraźnie się zawahał.

– Przepraszam?

Amanda czekała, nie odrywając wzroku od kartki. Przynajmniej coś wreszcie przyciągnęło uwagę tego dupka. Prawdopodobnie spodziewał się kolejnych pytań dotyczących feralnego dnia, w którym uprowadzono Neila Spencera. To był dla niego bezpieczny teren. Amanda wiedziała jednak, że kiedy tylko Collins usłyszy nową datę, straci pewność siebie.

– Chyba nie jestem w stanie sobie przypomnieć – odpowiedział, starannie dobierając słowa.

– W takim razie może trochę panu pomogę. Czy przebywał pan w pobliżu

lasu Hollingbeck?

– Nie wydaje mi się.

– No cóż, znaleziono tam pańskie odciski palców. Pan też tam był?

– Ja nie...

– Były na młotku, którym właśnie tego dnia zamordowano Dominica Barnetta.

Amanda podniosła wzrok i z satysfakcją stwierdziła, że na czole Collinsa pojawiły się kropelki potu. Zgrywał wyrefinowanego ważniaka, ale przyparty do muru, łatwo tracił kontrolę nad sytuacją. Obserwowanie go w tej trudnej chwili sprawiało jej przyjemność. Widać było, że analizuje różne scenariusze i szuka jakiegoś wyjścia, a potem powoli zdaje sobie sprawę, że wpakował się w niezłe tarapaty.

– Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia – oznajmił.

Amanda pokręciła głową. Rzecz jasna, mógł odmówić składania zeznań, ale zawsze wkurzała ją taka możliwość. Miała wtedy ochotę wytłumaczyć podejrzanemu, że nie ma czegoś takiego jak prawo do milczenia. Chciała, żeby Collins przyznał się do winy i przestał kręcić. Chodziło przecież o ludzkie życie.

– W pańskim interesie jest wyjawić wszystko, co pan wie. – Położyła rękę na blacie i próbowała mówić bardziej współczującym tonem, chociaż nie miała ani odrobiny litości dla tego sukinsyna. – Twierdzi pan, że nie był w żaden sposób zaangażowany w porwanie chłopca. Jeżeli to prawda, morderca wciąż przebywa na wolności.

– Bez komentarza.

– Jeśli go nie złapiemy, zginą kolejne dzieci. Podejrzewam, że wie pan o tej osobie znacznie więcej, niż może się wydawać.

Collins wpatrywał się w nią pustym wzrokiem. Zrobił się błąd jak ściana. Amanda chyba nigdy wcześniej nie widziała kogoś, kto tak szybko spokorniał. Był aroganckim dupkiem, który w ułamku sekundy zmienił się w użalającego się nad sobą nieboraka.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Proszę pana...

– Chcę się skontaktować z adwokatem.

– Oczywiście możemy dać panu taką możliwość. – Poderwała się z krzesła, nawet nie starając się ukryć, że jest wściekła i zniesmaczona. – Być może wtedy zrozumie pan, co się tak naprawdę stało, i uzna, że najlepszym wyjściem jest współpraca z policją.

– Bez komentarza.

– Tak, już to słyszałam.

Drobne sukcesy.

Udało jej się aresztować Normana Collinsa i postawić mu zarzut morderstwa. Ofiarą był Dominic Barnett. Jednak na uwagę zasługiwało coś jeszcze. Jeżeli Collins mówił prawdę i rzeczywiście nie był zamieszany w porwanie Neila Spencera, to oznaczało, że po okolicy wciąż grasuje zabójca. Istniało więc ryzyko, że wkrótce umrze kolejne dziecko.

Przypomniała sobie, jak wyglądało ciało znalezione wczoraj w nocy na pustkowiu, i radosny nastrój, który powinien zapanować po odniesieniu małego zwycięstwa, od razu gdzieś wyparował.

Najwyraźniej drobne sukcesy nie wystarczały.

Rozdział 34

Podczas mojej nieobecności na Garholt Street pojawiło się jeszcze więcej funkcjonariuszy. Przy ulicy zaparkowały dwa radiowozy i jedna furgonetka, a na odgrodzonym taśmą podjeździe pracowali technicy kryminalistyki. Głównym przedmiotem ich zainteresowania był garaż. Dwóch policjantów pilnowało wejścia na teren posesji. Drzwi do domu były otwarte, wszystko razem sprawiało niepokojące wrażenie.

Zatrzymałem samochód za radiowozami. Mój ojciec pojechał kawałek dalej i zaparkował przede mną.

To nie jest mój ojciec, poprawiłem sam siebie.

To komisarz Pete Willis.

Nie miałem przecież zamiaru uznawać go za członka rodziny. On również nie przejawiał takich chęci, może z wyjątkiem momentu, kiedy pochylił się nad Jakiem i zaczął mu się uważnie przyglądać. Jego obojętność była mi w zasadzie na rękę.

Wstrząs związany z naszym nieoczekiwanym spotkaniem już nieco osłabł. Miałem wrażenie, jakby kilka sekund temu skończyło się trzęsienie ziemi i zaległa cisza, ale za chwilę znowu rozlegną się krzyki i wrzaski. Ciągle pamiętałem, jak się czułem w komisariacie, gdy wszedł do pokoju i na mnie spojrzał. Od razu wróciłem pamięcią do przeszłości. To było jak podróż w czasie. W mgnieniu oka zamieniłem się w małego bezbronного chłopca. Ogarnęły mnie strach i niepokój. Chciałem zniknąć albo gdzieś się schować, żeby ojciec mnie nie zauważył. Po chwili pojawiła się jednak złość. Ten stary dziad nie miał prawa rozmawiać z moim synem. Jego zachowanie wzbudzało we mnie ogromną niechęć. Nie mogłem zaakceptować sytuacji, w której ten człowiek pojawia się nagle w moim życiu i ma nade mną jakąś władzę. To było wyjątkowo niesprawiedliwe.

– Dobrze się czujesz, tato?

– Tak, wszystko w porządku, Jake.

Ciągle patrzyłem na stojący przede mną samochód i mężczyznę siedzącego w fotelu kierowcy.

Nazywa się Pete Willis i jest dla ciebie zupełnie obcym człowiekiem, powtarzałem w myślach.

Jest nikim.

I nie mogę pozwolić, żeby to się zmieniło.

– Dobrze – powiedziałem. – Zabierzmy nasze rzeczy i miejmy to z głowy.

Willis czekał obok policjantów strzegących wejścia. Pokazał im odznakę i bez słowa wprowadził nas do środka. Znowu poczułem, jak ogarnia mnie złość. Potrzebowałem jego pozwolenia, żeby wejść do własnego domu. To było upokarzające. Musiałem podążać jego śladem jak chłopiec, który grzecznie wykonuje polecenia. Najgorsze, że Willis cały czas zachowywał zimną obojętność.

W ręku trzymał podkładkę z klipsem i długopis.

– Chciałbym wiedzieć, które rzeczy są wasze, które nie, a których nigdy nie dotykaliście.

– Wszystko jest moje – oświadczyłem. – Przed naszą przeprowadzką pani Shearing uprzątnęła każde pomieszczenie.

– Porozmawiamy z nią i sprawdzimy. Proszę się nie bać.

– Niczego się nie boję.

Przechodziliśmy z pokoju do pokoju i pakowałem do torby różne rzeczy, które mogły się przydać: kosmetyki, ubrania i kilka zabawek. Strasznie mi przeszkadzało, że za każdym razem musiałem prosić ojca o pozwolenie. On tylko kiwał głową i robił notatki. W pewnym momencie przestałem pytać. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Wydawało mi się, że w ogóle na mnie nie patrzy. Zacząłem się zastanawiać, co on może myśleć i czuć. Szybko się jednak powstrzymałem przed takimi dywagacjami, ponieważ uznałem, że nie ma to większego znaczenia.

Na koniec zajrzeliśmy do mojego gabinetu na parterze.

– Muszę wziąć swój laptop... – powiedziałem, ale Jake przerwał mi w pół

zdania.

– Kogo tata znalazł w garażu? Czy to był Neil Spencer?

Ojciec wyglądał na zbitego z tropu.

– Nie, to były znacznie starsze zwłoki.

– Czyje?

– No cóż, powiem ci, ale niech to zostanie między nami. Podejrzewam, że to był inny chłopiec, który zaginął bardzo dawno temu.

– Jak dawno temu?

– Dwadzieścia lat.

– Ojejku! – Jake zamilkł i widać było, że usiłuje wyobrazić sobie taki ogrom czasu.

– Dokładnie tyle. Mam nadzieję, że to właśnie on, bo od kiedy zniknął, cały czas go szukam.

Jake spojrział na niego z nieskrywanym podziwem, jakby te poszukiwania były szczególnie wielkim osiągnięciem. Nie podobało mi się to. Nie chciałem, żeby Jake interesował się tym mężczyzną, a już na pewno żeby był nim zafascynowany.

– Ja na pewno szybko dałbym sobie spokój.

Ojciec lekko się uśmiechnął.

– To była dla mnie zawsze bardzo ważna sprawa. Każdy zaginiony powinien w końcu wrócić do domu, prawda?

– Mogę wziąć swój laptop? – Zacząłem odłączać komputer, licząc, że w ten sposób zmienię temat rozmowy. – Potrzebuję go do pracy.

– Oczywiście. – Komisarz Willis odwrócił się od nas i spojrział w pustkę.
– Nie ma sprawy.

„Bezpieczny dom” to było zwykłe mieszkanie znajdujące się nad salonikiem prasowym na końcu Town Street. Z zewnątrz nie wyglądało szczególnie zachęcająco, a kiedy Willis otworzył drzwi wejściowe, okazało się, że w środku prezentuje się jeszcze gorzej.

Schody kończyły się na półpiętrze z czworgiem drzwi prowadzących do salonu, łazienki, kuchni i sypialni z dwoma pojedynczymi łózkami. Wszystkie pomieszczenia urządzone bardzo skromnie. Jedynymi oznakami zdradzającymi, że lokal nie jest po prostu tanią miejscówką na wynajem, ale że korzysta z niego policja, były kamera zawieszona dyskretnie na klatce schodowej, umieszczone na ścianach przyciski alarmowe oraz imponujący zestaw zamków w drzwiach wejściowych.

– Przykro mi, ale będziecie musieli spać razem w jednym pokoju.

Willis wyjął z szafki pościel i koce, po czym zaniósł je do sypialni. Sam zająłem się rozpakowywaniem torby i chowaniem ubrań do najwyższej szuflady starej drewnianej komody. Najpierw musiałem jednak wytrzeć grubą warstwę kurzu. Mieszkania od dawna nikt nie sprzątał i w powietrzu unosił się zapach stęchlizny.

– Jakoś sobie poradzimy – zapewniłem.

– Zdaję sobie sprawę, że trochę tutaj ciasno. Czasami umieszczamy tu świadków, ale zwykle jest to azyl dla kobiet z dziećmi. – Wydawało mi się, że chciał jeszcze coś dodać, ale tylko pokręcił głową. – Prawie zawsze chcą spać w tym samym pokoju.

– Ofiary przemocy domowej?

Ojciec nie odpowiedział, ale atmosfera jeszcze bardziej zgęstniała. Wiedziałem, że to był celny cios. Jak do tej pory udawaliśmy, że się nie znamy, i unikaliśmy rozmowy o przeszłości, jednak ten temat wisiał w powietrzu. Był jak grobowa cisza, która dzwoni w uszach.

– Damy radę – powtórzyłem. – Jak długo to potrwa?

– Jeden dzień, góra dwa. Może nawet krócej. To potencjalnie naprawdę duża sprawa. Musimy mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy.

– Czy uważa pan, że aresztowany mężczyzna zabił Neila Spencera?

– Niewykluczone. Jak już mówiłem, znalazł pan u siebie w domu szczątki ofiary bardzo podobnej zbrodni. Od początku rozważaliśmy hipotezę, że Frank Carter, morderca grasujący po okolicy dwadzieścia lat temu, miał współnika. Norman Collins nigdy nie był oficjalnie podejrzany, ale zawsze ponadprzeciętnie interesował się śledztwem. Nigdy nie brałem pod uwagę możliwości, że był w tę sprawę bezpośrednio zaangażowany, ale...

– Ale co?

– Ale mogłem się mylić.

– Tak, to całkiem prawdopodobne.

Ojciec milczał. Świadomość, że znowu go zraniłem, przyprawiła mnie o dreszczyk emocji, ale po chwili poczułem nieprzyjemne ukłucie. Wyglądał na przygnębionego i ewidentnie ciężko znosił tę sytuację. Pomyślałem, że w gruncie rzeczy jest równie bezbronny jak ja.

– Okay.

Przeszliśmy do salonu. Jake klęczał na podłodze i rysował. Było tu niewiele mebli, jedynie sofa, krzesło, stolik na kółkach i niska komoda ze starym telewizorem, z którego wystawała z tyłu plątanina kabli. Pokój robił wyjątkowo ponure wrażenie. Starłem się nie myśleć o tym, co działo się teraz w naszym prawdziwym domu. Niezależnie od tego, jakich problemów był źródłem, w porównaniu z tą norą to raj na ziemi.

Spokojnie, dasz radę. To się niedługo skończy.

Pete Willis również szybko zniknie z twojego życia.

– Zostawię was samych – powiedział. – Miło było cię poznać, Jake.

– Ja też się cieszę, Pete – oznajmił mój syn, podnosząc wzrok znad obrazka. – Dziękuję za to wspaniałe mieszkanie.

Ojciec przez chwilę się zawahał.

– Nie ma sprawy.

Kiedy wyszliśmy z salonu, zamknąłem za sobą drzwi. W korytarzu było małe okno, ale na zewnątrz robiło się już ciemno, więc nie wpadało przez nie zbyt dużo światła. Willis wyraźnie się ociągał. Przez dłuższą chwilę staliśmy w półmroku. Jego twarz całkowicie skrywała się w cieniu.

W końcu się odezwał:

– Masz wszystko, czego potrzebujesz?

– Tak mi się wydaje.

– Jake wygląda na fajnego dzieciaka.

– Owszem, to świetny chłopak.

– Jest bardzo inteligentny. Tak jak ty.

Zbyłem ten komentarz milczeniem. Znowu zaległa między nami nieprzyjemna cisza. Wydawało mi się, że żałował swoich słów, ale staliśmy w półmroku i nie byłem pewien. Po chwili postanowił się wytłumaczyć:

– W twoim domu znalazłem na półkach książki, których jesteś autorem.

– Nie wiedziałeś?

Pokręcił głową.

– Myślałem, że może się mną interesujesz. Nie szukałeś żadnych informacji na mój temat?

– A ty nie chciałeś się o mnie czegoś dowiedzieć?

– Nie, ale to co innego.

Jak tylko to powiedziałem, od razu poczułem do siebie odrazę, ponieważ moje słowa oznaczały, że ojciec ciągle ma nade mną przewagę: to on powinien mnie szukać i interesować się moim losem, a nie odwrotnie. Nie chciałem, żeby zaczął sobie coś wyobrażać. W końcu nie był dla mnie nikim ważnym.

– Dawno temu uznałem, że powinienem trzymać się od ciebie z daleka – wyjaśnił. – Twoja matka też tak uważała. W tej kwestii byliśmy zgodni.

– Ciekawy punkt widzenia.

– Tak, mówię, jak to wyglądało z mojej perspektywy. Wywiązałem się z umowy, co nie zawsze przychodziło z łatwością. Często zastanawiałem się, co u ciebie słysząc. Mimo wszystko dobrze się stało, że...

Zawiesił głos i zrobił smutną minę.

Błagam, tylko się nad sobą nie uzalaj.

Chciałem powiedzieć to na głos, ale ugryzłem się w język. Niezależnie od tego, co zrobił w przeszłości, stał się innym człowiekiem. Nie wyglądał na alkoholika, był w niezłej formie i chociaż ledwie stał na nogach ze zmęczenia, miał w sobie jakiś wewnętrzny spokój. Po raz kolejny musiałem sobie przypomnieć, że to dla mnie obcy człowiek. Nie byliśmy rodziną. Nie byliśmy też wrogami.

Po prostu nic nas nie łączyło.

Spojrzał w stronę okna. Na zewnątrz powoli kończył się dzień.

– Sally, twoja mama. Co się z nią stało?

Roztrzaskujące się szkło.

Wrzask przerażonej kobiety.

Pomyślałem o wszystkim, co się później wydarzyło. Zawsze bardzo się starała, chociaż jako samotna matka musiała stawić czoło wielu trudnościom. Przypomniałem sobie ból związany z jej straszliwą śmiercią. Tak jak Rebecca, odeszła z tego świata dużo za wcześnie. Z pewnością nie zasługiwała na taki los.

– Nie żyje – odpowiedziałem.

Znowu zaległa cisza. Przez chwilę ojciec sprawiał wrażenie kompletnie załamane, ale szybko zebrał się w sobie.

– Kiedy umarła?

– Nie twoja sprawa.

Ten wybuch złości mnie zaskoczył, ale ojciec wcale nie wyglądał na zdziwionego. Stał spokojnie, jakby chciał zamortyzować siłę uderzenia.

– Tak – wymruczał. – Pewnie masz rację.

Potem zaczął schodzić po schodach. Uważnie go obserwowałem. Kiedy był w połowie drogi, odezwałem się cichym głosem. Miałem jednak pewność, że mnie słyszy.

– Doskonale pamiętam tamtą noc. Noc, po której zniknąłeś. Wtedy widziałeś mnie po raz ostatni. Byłeś kompletnie pijany, miałeś czerwoną twarz i rzuciłeś w matkę szklanką. Pamiętam jej rozdzierający krzyk.

Zatrzymał się i stał, nie wykonując żadnego ruchu.

– Mam przed oczami każdy szczegół – powiedziałem. – Jak śmiesz teraz o nią pytać?

Nie odpowiedział.

Po chwili ruszył przed siebie i wyszedł na ulicę. Zostałem sam i słyszałem tylko wściekłe bicie własnego serca.

Rozdział 35

Po wyjściu z policyjnego mieszkania Pete pojechał pustymi ulicami prosto do domu. Wzywała go butelka schowana w kuchennej szafce. Dziś planował się poddać. Kiedy podjął decyzję, że ulegnie pokusie, chęć napicia się była silniejsza niż kiedykolwiek. Miał wrażenie, że całe jego życie zależy od tego, jak szybko sięgnie po kieliszek.

Wszedł do środka, zamknął drzwi na klucz i zaciągnął zasłony. Wokół panowała cisza i stojąc w salonie, miał wrażenie, że dom jest wciąż pusty, jak gdyby w dalszym ciągu nikogo w nim nie było. W końcu przecież był nikim, więc jego obecność niczego nie zmieniała. Rozejrzał się po skromnie umeblowanym pokoju. Każde pomieszczenie było urządzone w podobnym stylu: ascetycznym i funkcjonalnym. Prawdę mówiąc, od wielu lat mieszkał w prawie pustym domu. Jego życie, ta mizerna namiastka prawdziwej ludzkiej egzystencji, nie stawało się jednak mniej smutne, tylko dlatego że w salonie panowały czystość i porządek.

Jesteś bezwartościowym śmieciem.

Otoczają cię bezsens i pustka.

Głos wyraźnie upajał się zwycięstwem. Pete stał na środku pokoju i oddychał powoli, wsłuchując się w bicie własnego serca. Był w podobnej sytuacji już wiele razy i doskonale wiedział, co dalej nastąpi. Kiedy chęć sięgnięcia po wódkę była najsilniejsza, wszystko wydawało się sprzysięgać przeciwko niemu. Każda myśl, niezależnie od tego, czy była dobra, czy zła, mogła zostać tak przekręcona, żeby stanowić kolejną wymówkę.

Wiedział jednak, że stosuje sztuczki, by oszukać samego siebie.

Już przez to przechodziłeś.

Jesteś w stanie sobie poradzić.

Udało mu się trochę uspokoić, ale po chwili chęć napicia się wróciła ze

zdwojoną mocą. Alkohol doskonale znał podstępny, którymi próbowano go przechytryć. Na początku Pete pozwolił się kontrolować: wrócił do domu ze świadomością, że się poddał, ale teraz chciał znowu przejąć inicjatywę.

Już przez to przechodziłeś.

Jesteś w stanie sobie poradzić.

Stół. Butelka i zdjęcie.

Dzisiaj do standardowego zestawu dodał jeszcze szklankę. Po chwili wahania otworzył flaszkę i nalał wódki na dwa palce. Czemu nie? Przecież wcale nie musi tego pić. Nie miało znaczenia, jak daleko posunął się w przygotowaniach, ważne, że na końcu potrafił się powstrzymać.

Nagle zawibrował telefon. Wiadomość od Amandy. Informowała go o szczegółach przesłuchania Normana Collinsa. Został aresztowany. Mieli mocne dowody na to, że zamordował Dominica Barnetta. Niestety, sprawa Neila Spencera była o wiele bardziej zagmatwana. Collins odmówił odpowiedzi na pytania i zażądał prawnika.

„Czy uważa pan, że aresztowany mężczyzna zabił tego chłopca?”, zapytał Tom.

„Niewykluczone”, odpowiedział Pete. Miał pewność, że Collins był zamieszany w to morderstwo. Jeśli jednak nie on porwał i zabił Neila, to prawdziwy zabójca wciąż był na wolności. Cała radość związana z odniesionym sukcesem od razu gdzieś wyparowała. Tak samo było dwadzieścia lat temu, kiedy na korytarzu w komisariacie zobaczył Mirandę i Alana Smithów. Wtedy od razu zdał sobie sprawę, że koszmar wcale się nie skończył.

W zasadzie nie należało się tym przejmować. Tom był jego synem i chociaż od bardzo dawna nie utrzymywali ze sobą kontaktów, to ich pokrewieństwo oznaczało konflikt interesów. Powinien jak najszybciej porozmawiać z Amandą i wypłatać się z tego śledztwa. Podejrzał, że od razu poczułby ulgę i spadek napięcia. Bał się jednak, że tkwi w tym wszystkim zbyt głęboko. Został zmuszony do kolejnej wizyty u Cartera, a wczoraj w nocy był na pustkowiu i oglądał zwłoki Neila Spencera. Wiedział, że musi doprowadzić tę sprawę do końca, niezależnie od tego, jak wiele będzie go to kosztowało.

Odłożył telefon i zaczął wpatrywać się w szklankę, rozmyślając o swoich uczuciach do syna. Ich nieoczekiwane spotkanie powinno go emocjonalnie rozbić, tymczasem udało mu się zachować względny spokój. Przez te wszystkie lata prawie całkowicie zapomniał, że jest ojcem. To było jak coś, czego nauczył się w szkole, a potem po prostu wyparł z pamięci, ponieważ do niczego mu się nie przydawało. Wspomnienia o Sally sprawiały ból, ale potrafił go znieść. Utrzymywanie relacji z Tomem nie wchodziło w grę, więc starał się w ogóle o nim nie myśleć. Uznał, że lepiej usunąć się w cień i zerwać wszelkie kontakty. Czasami próbował wyobrazić sobie, jakim mężczyzną stał się jego syn, ale dusił takie dywagacje w zarodku. To było dla niego zbyt trudne.

Teraz już wiedział.

Nie uważał, że z perspektywy rodzica ma do tego prawo, jednak mimo to oceniał mężczyznę, którego spotkał dziś po południu. Tom został pisarzem. W gruncie rzeczy nic dziwnego. Zawsze był niezwykle kreatywnym dzieckiem: wymyślał historyjki, za którymi Pete nie potrafił nadążyć, albo bawił się zabawkami, odtwarzając skomplikowane scenariusze. Jake bardzo przypominał Toma: obaj byli wrażliwymi i inteligentnymi chłopcami. Na ile poznał fakty, Tom doświadczył w życiu wielu tragedii, lecz mimo to dawał radę samotnie wychowywać Jake'a. Pete nie miał wątpliwości, że jego syn wyrósł na dobrego człowieka.

Nie był bezwartościowym śmieciem i kompletnym nieudacznikiem.

To dobrze.

Przesunął czubkiem palca wzdłuż krawędzi szklanki. Cieszył się, że Tom przezwyciężył traumę nieszczęśliwego dzieciństwa. Odsunięcie się od syna było słuszną decyzją. Zniknął z jego życia, nim zdążył wszystko jeszcze bardziej popsuć. Wcześniej miał na niego zły wpływ. Mimo że upłynęło wiele lat, Tom ciągle roztrząsał przeszłość. Okropne zachowanie ojca pozostawiło w nim trwałe ślady.

„Doskonale pamiętam tamtą noc”.

Pete wciąż miał przed oczami wściekłą twarz syna wypowiadającego te słowa. Wziął szklankę do ręki, ale po chwili znowu ją odstawił. To nie było w porządku. Wiedział, że zasługuje na złe traktowanie, ale czy na pewno aż na taką nienawiść? Do czasu, kiedy Sally go zostawiła, pił prawie bez

przerwy. Noce i dni zlewały się w jedną całość. Ten konkretny wieczór pamiętał jednak wyjątkowo dobrze. Był pewien, że to, o czym mówił Tom, wcale się nie wydarzyło.

Ale jakie to miało znaczenie?

Chyba niewielkie. Nawet jeśli wspomnienia jego syna nie były do końca prawdziwe, cóż to zmieniało? Wszystko, co opowiadał, mogło się przecież wydarzyć. Miał rację, twierdząc, że ojciec zawiódł go na całej linii.

Pete spojrzał na zdjęcie, na którym obejmował Sally. Zostało zrobione, zanim urodził się Tom, ale Pete uważał, że w jego młodej twarzy dało się dostrzec oznaki przyszłego ojcostwa. Lekko mrużył oczy i nieznacznie się uśmiechał, jakby wiedział, że już niedługo opuści go dobry humor, jakby przeczuwał, że nie sprosta postawionym przed nim zadaniom i wszystko straci.

Sally wyglądała na szczęśliwą.

Odeszła od niego wiele lat temu, ale on wciąż wyobrażał sobie, że gdzieś tam prowadzi udane życie. Naiwnie zakładał, że jego porażka była dla niej i dla Toma zwycięstwem. Teraz znał jednak prawdę. Nikt niczego nie zyskał, wszyscy stracili, a Sally umarła.

Otaczała go śmierć.

Znowu podniósł szklankę, ale tym razem trzymał ją w dłoni i patrzył na jedwabisty płyn. Wyglądał niewinnie, ale to pozory. Przypominał wodę, ale w rzeczywistości krył w sobie gęsty mrok.

Pete już przez to przechodził i był w stanie sobie poradzić.

Tylko po co się tak męczyć?

Rozejrzał się po pokoju i uderzyła go marność własnej egzystencji. Jego życie było puste. Odnosił wrażenie, że jest zrobiony z powietrza, pozbawiony jakiegokolwiek ciężaru. W jego przeszłości nie wydarzyło się nic dobrego, nic, co warto by ratować. Nie miał też żadnych perspektyw na przyszłość. Po co się starać?

Nie była to jednak cała prawda. Wiele wskazywało, że w okolicy nadal mieszka człowiek, który zamordował Neila Spencera. Jeśli do zbrodni doszło z powodu dawnych zaniedbań policji, Pete miał obowiązek zająć się tą sprawą, niezależnie od tego, w jaki sposób wpłynie to na jego życie osobiste.

Koszmar wrócił i Pete musiał doprowadzić śledztwo do końca, licząc się z tym, że to może go zniszczyć. Owszem, doszło do konfliktu interesów, ale jeśli zachowa ostrożność, nikt nie powinien się dowiedzieć. Podejrzewał, że Tom nie będzie chciał opowiadać o swojej przeszłości.

Pete miał więc przynajmniej jeden powód, żeby nie pić.

Było jednak coś jeszcze...

„Dziękuję za to wspaniałe mieszkanie”.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. To, co powiedział Jake, jednocześnie zdziwiło go i rozbawiło. Ten chłopak niewątpliwie miał poczucie humoru i był bardzo inteligentny. Dzieciak z charakterem. Pewnie czasami bywał też niesforny, tak samo jak ojciec.

Pete przez dłuższą chwilę rozmyślał o Jake’u. Wyobrażał sobie, że siada obok niego na podłodze i razem rozmawiają albo się bawią. Wiedział, że powinien tak robić ze swoim synem, kiedy ten był jeszcze dzieckiem. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu snuć podobnych głupich fantazji. Za kilka dni Tom i Jake wyprowadzą się z policyjnego mieszkania i pewnie nigdy więcej ich nie zobaczy.

Mimo to postanowił, że nie będzie pił.

W każdym razie nie dzisiaj.

Łatwo odstawić szklankę. Naprawdę nie ma w tym nic trudnego. Dźwignął się, poszedł do kuchni i wylał wódkę do zlewu, po czym patrzył, jak alkohol powoli znika w odpływie. Znowu pomyślał o Jake’u i serce omal mu nie pękło. Od wielu lat nie doświadczył podobnego uczucia. Nie potrafił tego wytłumaczyć. To naprawdę nie miało sensu, jednak nie dało się zaprzeczyć, że przepełniła go nadzieja.

Część czwarta

Rozdział 36

Następnego ranka odwiozłem Jake'a do szkoły. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, że tak szybko przyzwyczał się do nowych warunków. Po wczorajszej przeprowadzce poszedł spać bez słowa skargi. Sam długo jeszcze siedziałem w salonie przed laptopem i rozmyślałem. W końcu uznałem, że również powinienem się położyć. Kiedy stanąłem przy jego łóżku, zobaczyłem, że wygląda tak spokojnie, jakby czuł się tutaj lepiej niż w naszym prawdziwym domu. O czym mógł teraz śnić?

Często zadawałem sobie podobne pytania.

Ja zawsze miałem problemy z zasypianiem w nowym miejscu, niezależnie od poziomu mojego zmęczenia. Poczułem ulgę, kiedy po przebudzeniu mój syn grzecznie się zachowywał i nie sprawiał żadnych kłopotów. Być może traktował to wszystko jak jakąś ekscytującą przygodę. Mimo wszystko byłem mu wdzięczny. Ledwo stałem na nogach i miałem nerwy napięte jak postronki. Nie wiedziałem, czy zdołam sprostać wyzwaniom kolejnego dnia.

Zaparkowaliśmy niedaleko od szkoły i weszliśmy razem na dziedziniec.

– Wszystko w porządku, kolego?

– Tak, tato.

– Okay. W takim razie się zbieraj. – Podałem mu bidon z wodą i plecak z książkami. – Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Kiedy szedł w stronę drzwi wejściowych, plecak kołysał się lekko na jego ramieniu. Pani Shelley już na niego czekała. Przypomniałem sobie, że nie porozmawiałem z Jakiem na temat jego zachowania. Mogłem jedynie liczyć, że dzisiaj będzie lepiej i mój syn nie da nikomu fangi w nos.

– Ciągłe wyglądasz jak gówno.

Karen zrównała się ze mną krokiem i razem wyszliśmy na ulicę. Dzisiaj również miała na sobie gruby płaszcz, chociaż poranek był dość ciepły.

– Wczoraj uważałaś, że obrażę się za taki komentarz.

– Ale się nie obraziłaś, prawda? – Wzruszyła ramionami. – Przespałam się z tym i doszłam do wniosku, że nie palnęłam aż tak strasznej gafy.

– Cieszę się, że chociaż ty jesteś wypoczęta.

– Okay, już rozumiem. – Włożyła ręce do kieszeni. – Jakie masz plany? Może chcesz iść ze mną na kawę? Chyba że wolisz walczyć ze zmęczeniem w samotności?

Zawahałem się. Nie miałem nic pilnego do zrobienia. Powiedziałem ojcu, że potrzebuję laptop do pracy, ale szanse na to, żebym w tym stanie napisał coś sensownego, były minimalne. Właściwie miałem dużo czasu do zabicia i liczyłem na to, że jakoś przetrwam ten dzień. Spojrzałem na Karen i uznałem, że jej towarzystwo jest dużo lepszym pomysłem.

– Okay – powiedziałem. – Świetny pomysł.

Ruszyliśmy w stronę głównej ulicy miasteczka. Minęliśmy mały sklep spożywczy i pocztę. Karen zatrzymała się przed restauracją Wesoła Świnka. W witrynie znajdowały się obrazki przedstawiające sielskie krajobrazy, a w środku stały drewniane stoły i było trochę ciasno. Wystrój przywodził na myśl kuchnię w starym wiejskim domu.

– Trochę pretensjonalnie, ale serwują niezłą kawę. – Pchnęła drzwi wejściowe i rozległ się dzwonek.

– Wypiję wszystko pod warunkiem, że będzie w tym kofeina.

W środku naprawdę przyjemnie pachniało. Złożyliśmy zamówienie przy barze, a potem staliśmy obok siebie w oczekiwaniu na filiżanki. Zapadła cisza i zrobiło się trochę niezręcznie. Kiedy kawa była gotowa, usiedliśmy przy stoliku.

Karen zdjęła płaszcz. Miała na sobie białą bluzkę i niebieskie jeansy. Byłem zdziwiony, że jest taka szczupła. Gruba tkanina skutecznie skrywała jej figurę. Czyżby specjalnie nosiła coś w rodzaju pancerza? Niewykluczone. Na nadgarstkach miała drewniane bransoletki, które cicho zagrzechotały, kiedy podniosła ręce i związała włosy w luźny koński ogon.

– Okay – stwierdziła. – W takim razie opowiedz mi, co się z tobą dzieje.

– To długa historia. Jak dużo chcesz wiedzieć?

– Hmm... wszystko.

Na chwilę się zamyśliłem. Jako pisarz zawsze uważałem, że nie należy opowiadać niedokończonych historii, ponieważ wtedy znika potrzeba ich napisania. Wierzyłem, że każda opowieść szuka jakiegoś ujścia i kiedy już je znajdzie, ciśnienie opada i wszystko wydaje się łatwiejsze.

Uznałem więc, że dobrze mi zrobi, jeśli podzielę się z Karen tym, co mi się przydarzyło.

No, może zachowam coś dla siebie.

Wiedziała już o śmieciach schowanych w moim garażu i o wizycie dziwnego mężczyzny, którym okazał się Norman Collins. Kiedy opowiedziałem jej o nocnej próbie porwania mojego syna, wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Potem szczegółowo zrelacjonowałem rozmowę z panią Shearing i to, co się wczoraj wydarzyło, czyli znalezienie ukrytych w garażu szczątków chłopca i noc spędzoną w policyjnym mieszkaniu.

Na koniec wspomniałem o ojcu.

Do tej pory wydawało mi się, że Karen jest raczej beztroską i trochę niefrasobliwą osobą. Na pewno lubiła żarty i sarkastyczne uwagi. Jednak kiedy skończyłem opowiadać, była strasznie poważna, a na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Cholera – zdenerwowała się. – Nic z tych rzeczy nie dotarło jeszcze do mediów. Podali tylko, że na terenie czyjejś posesji znaleziono ludzkie szczątki. Nie miałam pojęcia, że chodzi o ciebie.

– Myślę, że specjalnie trzymają te informacje w tajemnicy. Z tego, co zdążyłem się zorientować, najprawdopodobniej chodzi o Tony’ego Smitha. Był jedną z ofiar Franka Cartera.

– Współczuję rodzicom. – Pokręciła głową. – Dwadzieścia lat. Podejrzewam, że po tak długim czasie dobrze wiedzieli, co się stało. W każdym razie teraz mają już pewność i chyba poczuli ulgę.

Przypomniałem sobie słowa ojca.

– Każdy zaginiony powinien w końcu wrócić do domu – stwierdziłem.

Karen spojrzała w bok. Miałem wrażenie, że chciała jeszcze o coś zapytać,

ale z jakiegoś powodu nie była pewna, czy może.

– Ten człowiek, którego aresztowali... – powiedziała.

– Norman Collins.

– Tak, Norman Collins. Skąd o tym wszystkim wiedział?

– Nie mam pojęcia. Rzekomo od dawna interesował się sprawą. – Wypiłem łyk kawy. – Mój ojciec uważa, że mógł być współnikiem Franka Cartera.

– To on zabił Neila?

– Nie wiem.

– Kurczę, mam nadzieję, że tak... – Przerwała w pół zdania i szybko się poprawiła. – Zdaję sobie sprawę, że to, co mówię, jest straszne, ale przynajmniej ten sukinsyn siedzi za kratkami. Jezus Maria, co by się stało, gdybyś się nie obudził...

– Wolę o tym nie myśleć.

– Aż ciarki przechodzą. To jest naprawdę popieprzone.

Chciałem skupić się na czymś innym, lecz nie byłem w stanie.

– Wczoraj wieczorem trochę o nim czytałem. To znaczy o Carterze. To niezdrowe interesować się kimś takim, ale musiałem dowiedzieć się czegoś więcej. Mówili na niego Szeptacz. Niektóre szczegóły są naprawdę przerażające.

Karen pokiwała głową.

– Jeśli drzwi nie zamkniesz w porę, szeptać zacznie ktoś wieczorem. Zapytałam Adama o tę rymowankę. Powiedział, że ją zna, chociaż nigdy nie słyszał o Carterze. Dzieciaki bezrefleksyjnie ją sobie przekazują, nie zdając sobie sprawy, że chodzi o seryjnego zabójcę.

– To takie ostrzeżenie przed złym duchem.

– Tak, tylko że akurat ten zły duch istnieje.

Zacząłem myśleć o tym przeklętym wierszyku. Adam skądś go znał, ale nie miał pojęcia, co tak naprawdę znaczy. Takie rzeczy szybko się rozprzestrzeniają, więc niewykluczone, że rymowanka trafiła poza Featherbank i Jake usłyszał ją w swojej starej szkole.

To wytłumaczenie wydawało się rozsądne. Przecież nie nauczył się tego od małej dziewczynki, która była jedynie wytworem jego wyobraźni.

Jednak nadal nie potrafiłem wyjaśnić motyli i chłopca mieszkającego w podłodze.

Karen chyba czytała w moich myślach.

– A co u Jake’a? Jak sobie z tym wszystkim radzi?

– Chyba całkiem nieźle. – Bezradnie wzruszyłem ramionami. – Sam nie wiem. Czasami nie potrafimy się dogadać. Nie jest łatwym dzieckiem.

– Nie ma łatwych dzieci – powiedziała Karen.

– W takim razie ja nie jestem łatwym rodzicem.

– Bzdury. Powiedz mi lepiej, jak ty to znosisz. Spotkanie z ojcem po tylu latach musiało być dziwnym doświadczeniem. Naprawdę nie miałeś z nim żadnego kontaktu?

– Nie. Kiedy matka miała już dość, zostawiła go i uciekła razem ze mną. Od tamtej pory go nie widziałem.

– Czego miała dość?

– Picia i przemocy...

Zawiesiłem głos. Łatwiej poprzestać na ogólnikach, niż wyjaśniać szczegóły. Musiałem przyznać, że z wyjątkiem feralnej nocy ojciec nie był agresywny ani wobec mnie, ani wobec matki. Owszem, dużo pił, chociaż wtedy nie za bardzo rozumiałem, co się dzieje. Często się na mnie wściekał, potrafił zniknąć na kilka dni, brakowało nam pieniędzy, a między rodzicami wybuchały gwałtowne kłótnie. Pamiętałem też, że był rozgoryczony i przepędzała go niechęć do świata. Kiedy wchodził do pokoju, biła od niego zła aura, jakby za chwilę miało się coś stać. Bałem się go, ale nie dochodziło do aktów przemocy.

– Przykro mi – powiedziała Karen.

Czułem się niezręcznie i znowu wzruszyłem ramionami.

– Dzięki. Rzeczywiście spotkanie z ojcem było dziwnym przeżyciem. Pamiętam go jak przez mgłę, ale od tamtego czasu bardzo się zmienił. Nie wygląda na alkoholika i inaczej się zachowuje. Jest o wiele spokojniejszy.

– Ludzie przechodzą metamorfozy. To chyba dobrze.

– W zasadzie tak. Wiem, że powinienem się cieszyć, ale jesteśmy teraz zupełnie innymi osobami. Ja już dawno temu przestałem być dzieckiem, a on nie jest tak naprawdę moim ojcem, więc to wszystko nie ma żadnego znaczenia.

– Nie wierzę, że tak myślisz.

– No cóż, to jest mój punkt widzenia.

– Okay. – Karen dopiła kawę i zaczęła wkładać płaszcz. – Niestety, muszę się zbierać. Mam coś do załatwienia.

– Wolisz walczyć ze zmęczeniem w samotności?

– Ja akurat się wyspałam, zapomniałeś?

– No tak. – Zakręciłem filiżanką i spojrzałem na fusy wirujące po dnie. Najwyraźniej Karen nie miała zamiaru powiedzieć, dokąd idzie. Zdałem sobie sprawę, że w zasadzie nic o niej nie wiem. – Cały czas gadaliśmy tylko o moim życiu. To nie fair.

– Bo jesteś o wiele ciekawszym człowiekiem ode mnie, szczególnie w zaistniałych okolicznościach. Może napiszesz o tym książkę?

– Niewykluczone.

– Przepraszam, ale nie mogłam się powstrzymać i szukałam informacji na twój temat w internecie. – Zrobiła zawstydzoną minę. – Nikomu o tym nie mów, ale jestem naprawdę niezła w szpiegowaniu.

– Nie pisnę ani słówka.

– Cieszę się. – Zawiesiła głos, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale tylko pokręciła głową, uznając, że to nie jest odpowiedni moment. – Zobaczymy się jeszcze?

– Jasne. Trzymaj się.

Kiedy wyszła, wypilem resztkę kawy, zastanawiając się, co chciała powiedzieć. Intrygowało mnie również, że mnie wygooglowała. Co to mogło znaczyć?

I czy to źle, że mi się to podobało?

Rozdział 37

– Mogę już zabrać?

Mężczyzna pokręcił głową i zrobił taką minę, jakby nie wiedział, gdzie jest i o co go pytają. Po chwili podniósł wzrok i zobaczył uśmiechniętą twarz kelnerki. Dopiero wtedy zorientował się, że skończył już pić swoją kawę.

– Tak. – Odsunął się od stołu. – Przepraszam, odpłynąłem gdzieś myślami.

Dziewczyna znowu się uśmiechnęła i wzięła ze stolika pustą filiżankę.

– Ma pan ochotę na coś jeszcze?

– Na razie nie. Potrzebuję chwili do namysłu.

Nie miał zamiaru niczego zamawiać, a lokal był w połowie pusty, mimo to należało być uprzejmym i przestrzegać konwenansów. Nie chciał, żeby ktoś go zapamiętał tylko dlatego, że za długo siedział przy pustym stoliku. Wolał nie rzucać się w oczy.

Był w tym naprawdę dobry, chociaż trzeba przyznać, że ludzie zwykle ułatwiali mu zadanie. Zachowywali się jak lunatycy i nie zwracali uwagi na otaczający ich świat. Gapili się w swoje telefony jak zahipnotyzowani i nie patrzyli dalej niż na czubek własnego nosa. Skupiali się na sobie, byli obojętni i nie interesowali się tym, co dzieje się dookoła. Jeśli niczym się nie wyróżniałeś, mogłeś z łatwością rozpuścić się w tłumie. Ludzie omiatali cię spojrzeniem i traktowali jak powietrze.

Mężczyzna wbił wzrok w siedzącego dwa stoliki dalej Toma Kennedy'ego.

Kennedy był do niego zwrócony plecami. Kiedy wyszła towarzysząca mu kobieta, mężczyzna mógł się na niego patrzeć bez skrępowania. Wcześniej musiał uważać, ponieważ naprzeciwko siebie miał jego koleżankę. Pił więc kawę powoli i udawał, że przegląda coś w telefonie. Był po prostu zwykłym,

niczym niewyróżniającym się klientem. Jednak cały czas uważnie słuchał. Toczone wokół rozmowy mogą się złąć w jedną całość i być tylko niezrozumiałym szumem, ale wystarczy odpowiednio się skupić, żeby wyłowić każde słowo. Właściwa koncentracja była jak delikatne strojenie odbiornika radiowego tak, żeby zniknęły zakłócenia i pojawił się czysty sygnał.

Miałem rację, pomyślał.

„Czasami nie potrafimy się dogadać”.

„Nie jest łatwym dzieckiem”.

No cóż, Jake wymagał właściwej opieki, a mężczyzna wiedział, jak mu ją zapewnić: potrzebował tego, żeby poczuć się lepiej i wreszcie wyzdrowieć. Chciał dać chłopcu dom, na który zasługiwał, otoczyć go miłością i poświęcić mu wystarczająco dużo uwagi.

A co, jeśli się nie uda...?

Nauczył się, że czas uśmierzy każdy ból i stępi każde doznanie. Teraz łatwiej mu było myśleć o tym, co zrobił z Neilem Spencerem. Nie przechodziły już go dreszcze i potrafił z większą obojętnością wspominać tamte wydarzenia. Zaczynało mu to nawet sprawiać pewną przyjemność. W końcu mały był sam sobie winien. Przez dwa miesiące wszystko dobrze się układało. W towarzystwie Neila czuł się spokojny, a nawet szczęśliwy. Niestety, okazało się, że to tylko złudzenie. Z perspektywy czasu wszystko, co stało się ostatniego dnia, również wydawało się słuszne. Co więcej, podnosiło go na duchu.

Wolałby jednak tego nie powtarzać.

Tym razem będzie inaczej.

Tom Kennedy wstał od stolika i ruszył w stronę wyjścia. Mężczyzna udawał brak zainteresowania. Gapił się w telefon i bezmyślnie stukał w ekran.

Po wyjściu Kennedy'ego odczekał kilka sekund, rozmyślając nad tym, co właśnie usłyszał. Kim był Norman Collins? To nazwisko nic mu nie mówiło. Podejrzewał, że to jeden z członków wiadomego grona, ale nie miał pojęcia, dlaczego został właśnie aresztowany. Uznał to za dobrą wiadomość. Collins odciągnął uwagę policji, a jego zatrzymanie sprawiło, że Kennedy mógł być

mniej ostrożny. Należało wybrać tylko właściwy moment i wszystko powinno się udać.

Podniósł się z krzesła.

Im większy hałas, tym łatwiej wślizgnąć się gdzieś niepostrzeżenie.

Rozdział 38

„Tak długo cię szukałem”.

Pete wysiadł z samochodu, wszedł do szpitala i zjechał do piwnicy, gdzie znajdował się oddział patologii. Na jednej ze ścian windy wisiało lustro. Spojrzał na swoje odbicie i uznał, że wygląda całkiem znośnie. Panował nad sobą, chociaż wszystko się w nim gotowało. Przyszła mu do głowy analogia z ładnie zapakowanym prezentem, który grzechocze dopiero wtedy, kiedy się nim potrząśnie.

Chyba nigdy nie czuł aż tak wielkiego zdenerwowania.

Czekał na tę chwilę od dwudziestu lat. Zastanawiał się, czy zaginięcie Tony’ego Smitha nie było dla niego ratunkiem. Poszukiwania stanowiły przecież motywację do dalszego działania i dawały powód do życia, chociaż zazwyczaj o tym nie pamiętał. Niezależnie od tego, jak bardzo chciał odciąć się od całej sprawy, śledztwo nigdy nie zostało dla niego ostatecznie zamknięte.

Wizytę w szpitalu potraktował więc jak swój obowiązek.

Nienawidził pomieszczeń, w których przeprowadzano sekcje zwłok. Zapach środków antyseptycznych nie mógł zamaskować charakterystycznego fetoru, a ostre światło i wypolerowane metalowe powierzchnie tylko podkreślały brzydotę leżących na widoku martwych ciał. Śmierć była tutaj czymś namacalnym i niemal prozaicznym. Zwłoki mierzono i ważono, a wszelkie szczegóły związane z trupią chemią i biologią skrzętnie zapisywano na podkładkach z klipsem. Wszystko było zimne i klinicznie czyste. Za każdym razem gdy odwiedzał prosektorium, uświadamiał sobie, że najważniejsze elementy ludzkiego życia, czyli emocje, charakter i osobiste doświadczenia, stają się jeszcze bardziej wyjątkowe, kiedy ich zabraknie.

Szpitalny patolog Chris Dale zaprowadził Pete’a do noszy na kółkach

stojących na samym końcu sali. Pete ruszył jego śladem i poczuł, że robi mu się słabo. Miał ochotę obrócić się na pięcie i wyjść, ale się powstrzymał.

– Oto nasz chłopiec.

Dale mówił cichym głosem. Słyszał z tego, że dla policjantów był opryskliwy i lekceważący, natomiast ogromnym szacunkiem darzył denatów, których nazywał swoimi pacjentami.

Nasz chłopiec.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, było jasne, że szczątki znajdują się teraz pod jego ochroną. Nie będą już dłużej bezczeszczone i zostaną otoczone właściwą opieką.

Nasz chłopiec, pomyślał Pete.

Kości zostały ułożone w taki sposób, że układały się w kształt małego dziecka. Upływ czasu sprawił jednak, że brakowało niektórych elementów. Nie zachował się też ani jeden kawałek ciała. Pete widział już w życiu sporo szkieletów. Pod pewnym względem łatwiej było je oglądać niż zwłoki niedawno zmarłych ofiar, które w swoim upiornym bezruchu ciągle wyglądały jak ludzie. Widok szkieletu był tak niecodziennym doświadczeniem, że na początku patrzyło się na kości bez emocji. Jednak po chwili docierało do widza z niezwykłą jasnością, że śmierć zabierze nas wszystkich i już po stosunkowo krótkim czasie zostanie tylko kupka prochu i trochę przedmiotów, porzuconych tam, gdzie je zostawiliśmy.

– Nie wykonaliśmy jeszcze pełnej autopsji – oznajmił Dale. – Mamy ją zaplanowaną na później. Na razie mogę powiedzieć, że to szczątki chłopca, który w chwili śmierci miał mniej więcej sześć lat. Nie jestem w stanie spekulować na temat przyczyny zgonu i być może nigdy nie dowiemy się, w jaki sposób dziecko zginęło. Jedno jest pewne: doszło do tego dość dawno temu.

– Dwadzieścia lat?

– Możliwe. – Dale się zawahał. Doskonale zdawał sobie sprawę, o co tak naprawdę chodzi Pete'owi. Po chwili wskazał ręką na stojące obok drugie nosze. – Mamy też kilka dodatkowych przedmiotów, które znaleziono na miejscu. To jest karton, w którym przywieziono szczątki do szpitala. Pod kośćmi schowane były ubrania.

Pete zrobił krok do przodu. Odzież była stara i pokryta resztkami pajęczyn, ale Dale i jego zespół ostrożnie wyjęli ją z pudełka i ułożyli w dokładnie taki sam schludny stosik jak wcześniej. Pete nie musiał niczego dotykać, żeby wiedzieć, co ma przed oczami.

Niebieskie spodnie od dresu. Czarna koszulka polo.

Odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na szkielet. Przez te wszystkie lata sprawa zaginięcia Tony'ego Smitha bardzo mu ciążyła, ale dopiero teraz widział chłopca po raz pierwszy. Do tej pory miał do czynienia jedynie ze zdjęciami, na których Tony był dzieckiem. Gdyby los zdecydował inaczej, Pete mógłby teraz minąć na ulicy dwudziestosześcioletniego Tony'ego Smitha i nawet nie zorientować się, kto to jest. Spojrzął na mały kruchy szkielet, który kiedyś był ramą podtrzymującą ludzkie ciało. Życie tego chłopca mogło potoczyć się inaczej. Tyle możliwości, z których żadna nie została zrealizowana.

„Pogrzebałem wszelkie nadzieje i marzenia związane z ich dzieckiem”.

Pete starał się wyprzeć z pamięci słowa Franka Cartera. Przez kilka sekund gapił się w całkowitym milczeniu na zwłoki, starając się zrozumieć, jak doszło do tej okropnej zbrodni. Po chwili zdał sobie sprawę, że szuka odpowiedzi w niewłaściwym miejscu. Prawda była gdzie indziej, tak samo jak leżąca na noszach kupka kości tylko w pewnym sensie była Tonym Smithem. Pete tak długo był owładnięty obsesją odnalezienia zaginionego chłopca, że na dobrą sprawę całe jego życie kręciło się wokół tego. Okazało się jednak, że kiedy osiągnął swój cel, niewiele to zmieniło. Zniknął środek ciężkości, ale trajektoria ruchu pozostała niezmienną.

– W pudełku znaleźliśmy jeszcze coś – powiedział Dale.

Patolog pochylił się do przodu, z rękami w kieszeniach, i zajrzał do pudełka. Pete również przysunął się bliżej i zobaczył, że uwagę Dale'a przyciągnął zaplątany w pajęczyny motyl. Owad już nie żył, ale kolorowe wzory na jego skrzydłach pozostawały ciągle jasne i żywe.

– Trupia ćma – oznajmił Pete.

Patolog spojrzął na niego zdziwionym wzrokiem.

– Nie uważałem cię za znawcę motyli.

– Widziałem film przyrodniczy o nocnych owadach. – Pete wzruszył

ramionami. Zawsze wydawało mu się, że czyta książki i ogląda telewizję tylko po to, żeby zabić czas. Potem, kiedy zdarzało się, że coś zapamiętywał, był lekko zaskoczony. – Mam dużo wolnych wieczorów.

– Jestem w stanie uwierzyć.

Pete na chwilę się skupił, żeby wydobyć z zakamarków pamięci szczegóły dotyczące tego konkretnego owada. To był rodzimy, ale stosunkowo rzadki gatunek. W programie, który oglądał, grupa ekscentrycznych facetów przemierzała pola i przeczesywała żywopłoty w poszukiwaniu tych tajemniczych motyli. W końcu udało im się znaleźć jeden okaz. Trupią ćmę można było zwabić padliną. Sam nigdy nie widział takiego owada, ale czasami podczas swoich weekendowych ekspedycji lustrował wzrokiem wiejskie ścieżki i rosnące obok zarośla, licząc, że obecność ćmy będzie wskazówką ułatwiającą znalezienie miejsca, w którym ukryto zwłoki chłopca.

Nagle poczuł, że w kieszeni wibruje mu telefon. Okazało się, że przyszła wiadomość od Amandy. Podsumowywała postępy w prowadzonym śledztwie. Po nocy spędzonej w celi Norman Collins przemyślał swoją taktykę i uznał, że jest gotowy na rozmowę z policjantami. Amanda chciała, żeby Pete jak najszybciej wrócił do komisariatu.

Odłożył telefon, ale jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kartonowe pudełko. Było obklejone kilkoma warstwami brązowej taśmy do pakowania. Przez te wszystkie lata ktoś je wielokrotnie otwierał i zamykał. Wkrótce zostanie odesłane do zakładu medycyny sądowej i przy odrobinie szczęścia uda się znaleźć odciski palców. Pete omiół wzrokiem powierzchnię kartonu i zaczął wyobrażać sobie niewidzialne ręce, które na pewno nieraz go dotykały. Gruby papier był niczym skóra, pod którą ukryto kości.

Niezwykle cenny eksponat. Prawdziwa perła dla kolekcjonera.

Przez moment zastanawiał się, czy ci wszyscy ludzie starali się usłyszeć bicie serca, czy też raczej napawali się grobową ciszą.

Rozdział 39

Adwokat Normana Collinsa siedział w pokoju przesłuchań naprzeciwko Amandy i Pete'a. W pewnym momencie głośno westchnął.

– Mój klient jest gotowy przyznać się, że zamordował Dominica Barnetta – oświadczył. – Kategorycznie zaprzecza jednak, że miał jakkolwiek udział w porwaniu i zabójstwie Neila Spencera.

Amanda wbiła w niego wzrok i czekała na ciąg dalszy.

– Pan Collins jest jednocześnie skłonny złożyć szczere i wyczerpujące zeznania dotyczące jego wiedzy na temat ludzkich szczątków znalezionych wczoraj na Garholt Street. Nie chciałby marnować czasu, który funkcjonariusze mogliby poświęcić na zapewnienie bezpieczeństwa zagrożonym dzieciom. Jego zdaniem informacje, którymi dysponuje, mogą pomóc w ujęciu człowieka odpowiedzialnego za dokonanie tej strasznej zbrodni.

– Jesteśmy mu za to bardzo wdzięczni.

Amanda grzecznie się uśmiechnęła, chociaż wiedziała, że prawnik próbuje wciskać jej głodne kawałki. Collins siedział po drugiej stronie biurka i w ogóle się nie odzywał. Zamknął się w sobie i wyglądał na głęboko zranionego. Nie był mężczyzną, który dobrze by sobie radził w więzieniu, ale noc spędzona w areszcie nie sprawiła, że przestał być zadowolonym z siebie dupkiem. Fakt, że zdecydował się mówić, sprawił Amandzie pewną przyjemność. Wiadomo jednak było, że kieruje się tylko i wyłącznie własnym interesem, a nie troską o życie innych. Nie był dobrym człowiekiem: po prostu zrozumiał, że współpraca z policją i podzielenie się swoją wersją wydarzeń mogą korzystnie wpłynąć na jego sytuację. Pomoc w śledztwie na pewno zostanie potraktowana przed sądem jako okoliczność łagodząca.

Na razie nie było jednak czasu na roztrząsanie pobudek Collinsa, szczególnie jeśli naprawdę miał coś ciekawego w zanadrzu.

Odchyliła się na krześle.

– W takim razie proszę mówić.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Wiedział pan, że w tym domu ukryto kości Tony’ego Smitha, prawda? To dobre pytanie na początek.

Collins przez kilka sekund wpatrywał się w blat i milczał. Widać było, że stara się odpowiednio przygotować. Amanda spojrzała na Pete’a i zauważyła, że on również zamknął się w sobie. Zaczęła się o niego niepokoić. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej przygnębionego niż zwykle. Od kiedy pojawił się w komisariacie, prawie się do niej nie odzywał. Podejrzewała, że ma jej coś do powiedzenia, ale z jakiegoś powodu się powstrzymuje. Zdawała sobie sprawę, że to przesłuchanie nie będzie dla niego łatwe. Właśnie przyjechał ze szpitala, gdzie prawie na pewno oglądał szczątki Tony’ego Smitha, chłopca, którego poszukiwania zajęły mu ładny kawałek życia. Na dodatek już za chwilę usłyszy prawdę na temat tej zbrodni. Czas niewątpliwie zbliznił stare rany, ale, jak podejrzewała, jedynie na powierzchni. Woląla nie myśleć o tym, jak się poczuje, gdy ponownie się otworzą.

– Domyślam się, co sądzicie o moich zainteresowaniach – powiedział Collins cichym głosem.

Amanda skupiła na nim całą uwagę.

– Zdaję sobie również sprawę, że podobną opinię ma większość ludzi. Proszę mi jednak uwierzyć, że w pewnych kręgach jestem osobą niezwykle szanowaną. Uzyskanie reputacji poważnego kolekcjonera kosztowało mnie lata ciężkiej pracy.

Poważnego kolekcjonera.

Oznajmił to takim tonem, jakby zajmował się czymś całkowicie nieszkodliwym albo nawet godnym podziwu. Amanda widziała jednak zgromadzone przez Collinsa „eksponaty”. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby interesować się czymś takim? Collins i jemu podobni byli niczym szczury chowające się w najmroczniejszych zakamarkach internetu. Ubijali tam swoje interesy i planowali kolejne spotkania. Byli degeneratami

podgryzającymi filary zdrowego społeczeństwa. Nie potrafiła nad sobą zapanować i na jej twarzy pojawiło się obrzydzenie. Collins na pewno je zauważył.

– Moje hobby naprawdę nie różni się tak bardzo od zwykłych zainteresowań – zaczął się tłumaczyć. – Już dawno temu zorientowałem się, że większość ludzi traktuje to jak dziwactwo, niektórzy czują wstręt, ale jest też spore grono, które podziela moją pasję. Z czasem udało mi się zdobyć reputację osoby godnej zaufania, dzięki czemu uzyskałem dostęp do bardzo ciekawych eksponatów.

– Jest pan poważnym kontrahentem?

– Owszem. Jestem poważnym kontrahentem zajmującym się handlem poważnymi towarami. – Obliznął wargi. – Jak w każdym przedsięwzięciu tego typu istnieją publiczne kanały komunikacji, ale są też prywatne fora. Wielu bliskich kolegów po fachu wiedziało o moim szczególnym zainteresowaniu sprawą Szeptacza. Kilka lat temu dotarła do mnie informacja, że możliwe jest przeżycie pewnego interesującego... doświadczenia. Rzecz jasna, pod warunkiem, że odpowiednio się zapłaci.

– Co to za doświadczenie?

Collins przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Amandę, po czym odpowiedział takim tonem, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz na świecie.

– Możliwość spotkania z Tonym Smithem.

Zaległa cisza.

– W jaki sposób? – zapytała Amanda.

– Pierwszym krokiem była wizyta w więzieniu i rozmowa z Victorem Tylerem. To on miał sprawować nad tym wszystkim nadzór. Frank Carter był poinformowany o sprawie, ale nie chciał bezpośrednio się w nią angażować. Zadaniem Tylera było prześwietlenie potencjalnych kandydatów. Muszę się pochwalić, że pomyślnie przeszedłem tę weryfikację. Następnie przekazałem fundusze żonie Tylera i w zamian otrzymałem adres, pod który powinienem się zgłosić. – Collins skrzywił się z odrazą. – Nieszczególnie się zdziwiłem, kiedy okazało się, że chodzi o dom Juliana Simpsona.

– Dlaczego?

– Podejrzany typ, zawsze na bakier z higieną osobistą. – Collins postukał

się w głowę. – Sprawiał wrażenie kogoś, komu brakuje piątej klepki. Wszyscy się z niego podśmiewali, ale faktycznie wzbudzał powszechny strach. Zresztą jego dom też. Dziwne miejsce. Pamiętam, że dzieci zakładały się, kto będzie miał wystarczająco dużo odwagi, by wejść do ogrodu, a potem robiły sobie zdjęcia. Nawet kiedy byłem małym chłopcem, to miejsce uważano za przeniesione prosto z horroru.

Amanda spojrzała na Pete'a. Zachował kamienną twarz, domyślała się, o czym teraz myśli. Nazwisko Simpsona nigdy wcześniej nie pojawiło się w tym śledztwie. Policja nie wiedziała nic o tym tajemniczym mężczyźnie i jego strasznym domu. Nie było w tym jednak nic dziwnego. W każdej społeczności są tacy ludzie. Wśród młodych krążą o nich różne plotki, które niekoniecznie opierają się na faktach, a starzy puszczają je mimo uszu.

Niezależnie od wszystkiego wiedziała, że Pete będzie się obwiniał za to przeoczenie.

– Co się stało później? – zapytała Collinsa.

– Pojechałem do domu na Garholt Street – kontynuował. – Zapłaciłem Simpsonowi jego dolę, a potem musiałem swoje odczekać w pokoju na parterze. Po pewnym czasie wrócił, trzymając w rękach zaklejony taśmą karton. Otworzył go nożem i wtedy moim oczom ukazały się... ludzkie szczątki.

– Chcielibyśmy mieć jasność. Czyje to były szczątki?

– Tony'ego Smitha.

Amanda z trudem wykrztusiła z siebie następne pytanie:

– Co pan z nimi zrobił?

– Co z nimi zrobiłem? – Collins wyglądał na mocno zdziwionego. – Nic! W odróżnieniu od innych nie jestem przecież jakimś potworem. Poza tym na pewno nie zniszczyłbym tak cennego eksponatu, nawet gdybym dostał na to pozwolenie. Po prostu patrzyłem, składałem niemy hołd i chłonałem niesamowitą atmosferę. Może niełatwo to pani zrozumieć, ale przeżyłem jedną z najwspanialszych chwil w moim życiu.

Jezu Chryste, pomyślała Amanda.

Collins wyglądał jak mężczyzna wspominający utraconą miłość.

Ze wszystkich możliwych scenariuszy, które brała pod uwagę, ten

wydawał się najbanalniejszy i najbardziej przerażający. Czas spędzony ze zwłokami zamordowanego chłopca był dla Collinsa przeżyciem duchowym. Wyobraziła sobie, jak ten facet stoi nad kartonowym pudełkiem, głęboko wierząc, że łączy go szczególny związek z ukrytymi w środku ludzkimi szczątkami. Trudno wymyślić coś bardziej makabrycznego.

Kątem oka zauważyła, jak Pete się pochyła.

– Powiedział pan: „W odróżnieniu od innych”.

W głosie Pete’a wyraźnie słychać było zmęczenie długim śledztwem. On jest wykończony, stwierdziła Amanda.

– Kim są ci inni i co takiego zrobili?

Collins głośno przełknął ślinę.

– To się stało już po tym, jak do domu wprowadził się Dominic Barnett. Wydaje mi się, że przyjaźnił się z Simpsonem, ale w odróżnieniu od poprzedniego lokatora niczego nie szanował. Za jego czasów sytuacja się pogorszyła.

– I dlatego pan go zabił? – zapytała Amanda.

– Musiałem chronić eksponat! Poza tym Barnett zabronił mi składania wizyt. W tej sytuacji byłem zobowiązany otoczyć Tony’ego opieką.

– Proszę opowiedzieć o tych innych – powtórzył cierpliwie Pete.

– Pojawili się zaraz po tym, jak do domu wprowadził się Barnett. – Collins na moment się zawahał. – Wcześniej byłem tam kilka razy i zawsze wyglądało to tak samo: składałem hołd i chciałem przez chwilę побыć z Tonym sam na sam. Jednak kiedy w domu władzę przejął Barnett, zaczęli pojawiać się inni goście, którzy zachowywali się dość obcesowo.

– Co takiego robili?

– Nic konkretnego nie widziałem, ale byłem zniesmaczony i po prostu wyszedłem. Barnett nie chciał mi zwrócić pieniędzy i zaczął ze mnie szydzić.

– Czym był pan zniesmaczony? – zapytał Pete.

– Ostatni raz poszedłem tam wieczorem. Oprócz mnie było jeszcze pięć, może sześć osób, wszyscy zafascynowani sprawą Szeptacza. Zdziwiłby się pan, ale znalazł się tam prawdziwy przekrój społeczeństwa. Miałem wrażenie, że niektórzy przyjechali z bardzo daleka. Nikt nikogo nie znał, lecz

już po chwili okazało się, że nie wszyscy pojawili się tam w tym samym celu co ja. – Znowu przełknął ślinę. – W jedynym pokoju Barnett położył materac i wkręcił czerwoną żarówkę. To było...

– Związane z seksem? – wtrąciła Amanda.

– Tak mi się wydaje. – Collins pokręcił głową i wbił puste spojrzenie w blat stołu. Chyba nie był sobie w stanie do końca wyobrazić, co tam się działo. – Nie robili tego z Tonym, ale ze sobą nawzajem. Miarka się przebrała. Nie mogłem brać w tym udziału.

– Więc pan wyszedł?

– Tak. Wcześniej czułem się tam jak w kościele. Było cicho i panowała wzniosła atmosfera. Miałem wrażenie, że nawiązuję kontakt z Bogiem. Jednak wtedy... To okropne światło i ci ludzie...

Zawiesił głos.

– Proszę pana?

Podniósł głowę.

– Zdawało mi się, że jestem w piekle.

– Wierzysz mu? – zapytała Amanda.

Stali razem w centrum koordynacyjnym. Pete opierał się o biurko i uważnie przeglądał zdjęcia ludzi, którzy w ciągu ostatnich kilku lat odwiedzali Victora Tylera w więzieniu. W skupieniu patrzył na twarze kobiet i mężczyzn w bardzo różnym wieku.

„Zdziwiłby się pan, ale to był prawdziwy przekrój społeczeństwa”, powiedział Collins.

– Uważam, że to nie on zamordował Neila Spencera. – Wskazał na leżące na blacie fotografie. – Ale jeśli chodzi o to...

Przerwał w pół zdania i zaległa cisza. Było jasne, że oboje mają twarde orzechy do zgryzienia. Od początku służby w policji Amanda widziała wiele przerażających sytuacji i rozmaite przejawy ludzkiego okrucieństwa już tak jej nie szokowały. Często obserwowała, jak w pobliżu wypadku lub miejsca, w którym dokonano krwawej zbrodni, zwalniały samochody i zbierali się

ludzie, żeby chociaż przez moment popatrzeć na martwe ciała. Była w stanie zrozumieć fascynację śmiercią, ale hobby Collinsa i jemu podobnych pozostawało dla niej zagadką.

– Wiesz, dlaczego mówią na niego Szeptacz? – zapytał Pete cichym głosem.

– Z powodu Rogera Hilla.

– Tak. – Pete powoli skinął głową. – Był pierwszą ofiarą Cartera. W tamtym czasie rodzice Rogera odnawiali dom i syn powiedział im, że w nocy słyszy dziwne szepty za swoim oknem. Potem został porwany. Carter był wtedy właścicielem firmy stawiającej rusztowania i często odwiedzał miejsce remontu. Właśnie dlatego zwróciliśmy na niego uwagę.

– Starał się wkupić w łaski chłopca.

– Uhm. Dobrze wykorzystał okazję, jednak, co dziwne, rodzice innych ofiar również twierdzili, że ich dzieci słyszały szepty za oknem. Nie miało to bezpośredniego związku z Carterem, lecz mimo to było dużo podobnych doniesień.

– Może rzeczywiście coś słyszeli.

– Nie da się tego wykluczyć. Trzeba pamiętać, że Szeptacz był już obecny w mediach od dłuższego czasu, co mogło zainspirować naśladowców. Kto wie? W każdym razie ten przydomek stał się bardzo znany. Muszę przyznać, że nigdy mi się nie podobał.

Amanda czekała na dalszy ciąg.

– Chciałem, żeby zapomniano o Carterze. Miałem nadzieję, że to przezwisko się nie przyjmie. Teraz jednak muszę przyznać, że pasuje jak ulał. Przez cały czas Carter szeptał, a ludzie, których widać na tych zdjęciach, byli tym zainteresowani. – Pete wskazał ręką na blat. – Moim zdaniem ktoś słuchał go wyjątkowo uważnie.

Amanda jeszcze raz spojrzała na fotografie. On ma rację, pomyślała. Z zeznań Collinsa wynikało, że wiele z tych osób było już na najlepszej drodze do popełnienia naprawdę nikczemnych czynów. Można było założyć, że jedna z nich, podżegana przez szepty Cartera, doszła już do celu. Część tych ludzi była zwykłymi psychopatami, ale w tym gronie ukrywał się również ktoś znacznie gorszy.

Uczeń.

Ktoś, kto zamordował Neila Spencera.

Rozdział 40

Kiedy Jake poszedł do łóżka, usiadłem w salonie z kieliszkiem białego wina i włączyłem laptop.

Chociaż wciąż czułem potrzebę przeanalizowania tego, co się stało w ciągu ostatnich kilku dni, wiedziałem, że powinienem zabrać się do pisania. W zaistniałej sytuacji nie było to łatwe, miałem jednak świadomość, że jeśli nie wrócę do pracy, moje oszczędności wkrótce się skończą. Poza tym powinienem zająć się czymś konkretnym, a nie tylko wyszukiwać sobie na siłę jakąś robotę, by na chwilę zapomnieć o tym, co się dzieje. Byłem przecież pisarzem i przydałoby się, żebym wrócił do swoich pisarskich nawyków.

Rebecca.

Skasowałem resztę listu i wbiłem wzrok w wyświetlające się u góry ekranu imię mojej żony. Jakiś czas temu wpadłem na pomysł, żeby opisać swoje emocje. Liczyłem, że w pewnym momencie wyłoni się z tego jakaś historia. Miałem jednak problem z określeniem tego, co teraz czuję, nie mówiąc już o precyzyjnym ujęciu myśli w słowa.

Przypomniałem sobie to, co dzisiaj rano usłyszałem od Karen: „Może napiszesz o tym książkę?”. Dowiedziałem się również, że sprawdzała w internecie, kim jestem. Kiedy o tym pomyślałem, poczułem lekką ekscytację. Karen się mną zainteresowała. A ja? Nie dało się ukryć, że wpadła mi w oko, ale nie byłem pewien, czy mogę to przyznać sam przed sobą. Jeszcze raz spojrzałem na migające na ekranie imię Rebekki. Ekscytacja zniknęła i pojawiło się poczucie winy.

Rebecca.

Zacząłem stukać w klawiaturę.

Doskonale wiem, co byś myślała o tej sytuacji, ponieważ zawsze

miałaś do wszystkiego bardziej racjonalne podejście niż ja. Uważałabyś, że powinienem prowadzić normalne życie i być szczęśliwy. Na pewno byłoby ci przykro, ale powiedziałabyś, że taka jest kolej rzeczy. Chociaż nie. Znając ciebie, mogłabyś stwierdzić, że muszę przestać zachowywać się jak popieprzony głupek.

Mam jednak wątpliwości, czy jestem już gotowy na kolejny krok.

Może w głębi serca sam uważam, że nie wolno mi być szczęśliwym, że nie zasługuję na...

Nagle zadzwonił dzwonek.

Zamknąłem laptop i zszedłem po schodach z nadzieją, że dzwonek nie rozlegnie się jeszcze raz i nie obudzi Jake'a. Stałem przed drzwiami i zacząłem przecierać powieki. Byłem zadowolony, że udało mi się nie rozplakać, chociaż kiedy zobaczyłem w progu mojego ojca, łzy znowu stanęły mi w oczach.

– Komisarz Willis – powiedziałem.

Skinął głową.

– Mogę wejść?

– Jake poszedł już spać.

– Domyślam się. Nie zabiorę dużo czasu i będę się cicho zachowywał. Obiecuję. Chciałem tylko poinformować o postępach w śledztwie.

Nie za bardzo chciałem go wpuszczać, ale uznałem, że to dziecinne: nie miałem powodów do obaw, mój ojciec przyszedł tu tylko jako policjant. Kiedy to wszystko wreszcie się skończy, już nigdy więcej nie będę musiał się z nim spotykać. Poza tym wyglądał na przygnębionego i był wyjątkowo uprzejmy. Poczulem, że mam nad nim przewagę, i otworzyłem szerzej drzwi.

– Okay. Zapraszam do środka.

Wspięliśmy się po schodach i weszliśmy do salonu.

– Kończymy przeszukiwać wasz dom – powiedział. – Będziecie mogli wrócić już jutro rano.

– To dobra wiadomość. A co z Normanem Collinssem?

– Został aresztowany pod zarzutem morderstwa Dominica Barnetta.

Potwierdził też, że znalezione w garażu ludzkie szczątki należą do Tony'ego Smitha, jednej z ofiar Franka Cartera. Collins od początku wiedział, że są tam ukryte.

– Skąd miał takie informacje?

– To długa historia. Szczegóły nie mają teraz większego znaczenia.

– Naprawdę? No cóż, a co z Neilem Spencerem i próbą porwania Jake'a?

– Pracujemy nad tym.

– Cieszę się. – Wziąłem do ręki kieliszek i wypłem łyk wina. – Ach, przepraszam za swoje maniery. Może masz ochotę?

– Nie piję alkoholu.

– Kiedyś piłeś.

– Owszem i właśnie dlatego już tego nie robię. Niektórzy potrafią nad tym panować, inni nie. Trochę czasu zajęło mi zrozumienie, że należę do tej drugiej grupy. Widzę, że ty nie masz takich problemów.

– Nie, nie mam.

Głośno westchnął.

– Podejrzewam też, że ze względu na to, co się kiedyś stało, musiałeś stawić czoło wielu trudnościom. Wyglądasz jednak na kogoś, kto dobrze sobie radzi w życiu. Bardzo mnie to cieszy. Naprawdę.

Miałem ochotę ostro zareagować na jego słowa. Jakim prawem mnie oceniał? Poza tym kompletnie się mylił: nie byłem w niczym dobry i nic nie układało się po mojej myśli. Rzecz jasna, nie mogłem się przed nim odsłonić i pokazać swoich słabości, więc milczałem.

– No cóż, masz rację – zgodził się. – Kiedyś nie wylewałem za kołnierz. Miałem sporo powodów do picia i nie były to tylko kiepskie wymówki. Zmagalem się z wieloma problemami.

– Na przykład z byciem dobrym mężem.

– Tak.

– I ojcem.

– Z tym też. Czuję, że ciąży na mnie ogromna odpowiedzialność. Nie wiedziałem, co powinienem robić. Chyba nigdy nie chciałem być rodzicem,

a ty byłeś trudnym dzieckiem. Kiedy podrosłeś, nasze relacje się poprawiły. Miałeś wyjątkowo bujną wyobraźnię. Już wtedy wymyślałeś różne historyjki.

Nie mogłem sobie tego przypomnieć.

– Naprawdę?

– Uhm. Byłeś wrażliwym chłopcem. Wydaje mi się, że Jake jest do ciebie bardzo podobny.

– Moim zdaniem on jest za bardzo wrażliwy.

Ojciec pokręcił głową.

– Nie można być za bardzo wrażliwym.

– Owszem, moim zdaniem można. Co więcej, ta cecha charakteru utrudnia życie. – Pomyślałem o swoich problemach z zawieraniem przyjaźni. – Poza tym skąd możesz to wiedzieć? Nie było cię przy mnie.

– To prawda, jednak uważam, że moje odejście wszystkim wyszło na dobre.

– No cóż, w tej kwestii w pełni się z tobą zgadzam.

Wydawało mi się, że nie mamy już nic więcej do powiedzenia. Odwrócił się, jakby chciał wyjść, ale nagle zmienił zdanie i spojrzał mi prosto w oczy.

– Zastanawiałem się jeszcze nad tym, co powiedziałaś wczoraj w nocy. Chodzi o sytuację, kiedy rzuciłem szklanką w twoją matkę.

– Tak?

– Nie mogłeś tego widzieć – oznajmił. – Tamtego wieczoru w ogóle nie było cię w domu. Spałeś u kolegi ze szkoły.

Już chciałem zaprzeczyć, ale milczałem. Zacząłem się zastanawiać. Na samym początku byłem przekonany, że ojciec kłamie. Przecież wszystko doskonale pamiętałem. Nie miałem też żadnych kolegów, u których spędzałem noce. Później jednak zacząłem mieć wątpliwości. Niezależnie od tego, co wydarzyło się lata temu, ojciec nie sprawiał teraz wrażenia krętacza i manipulanta. Z trudem, ale musiałem przyznać, że wyglądał na kogoś, kto dobrze przemyślał swoje błędy i odważnie stawiał czoło przeszłości. Być może nie miał innego wyboru.

Starłem się wydobyć z zakamarków pamięci szczegóły tego, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

Roztrzaskujące się szkło.

Krzyk ojca.

Wrzask matki.

Miałem to wszystko przed oczami, ale czy możliwe, że sam to wymyśliłem? Najżywsze wspomnienie z mojego dzieciństwa? Czyżby problem polegał na tym, że było zbyt wyraźne? A może nie chodziło wcale o jakieś konkretne wydarzenie, lecz o wyjątkowo mocne przeżycie? W mojej pamięci zachowały się może silne emocje, a nie to, co się rzeczywiście stało.

– Muszę jednak przyznać, że tamtego wieczoru doszło do podobnej sytuacji. – Ojciec kontynuował cichym głosem. – I będę się tego wstydził do końca życia. Nie rzuciłem w twoją matkę, bo, jakkolwiek głupio to zabrzmiało, całą swoją wściekłość skupiłem na szklance. Chociaż nie celowałem w Sally, prawie w nią trafiłem.

– Widziałem to na własne oczy.

– Nie wiem. Niewykluczone, że matka ci o tym opowiedziała.

– Nigdy nie mówiła o tobie nic złego. – Pokręciłem głową. – Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Nawet po tym wszystkim pozostała wobec ciebie lojalna.

Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech. Chyba dobrze rozumiał, jak wiele stracił.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć – dodał. – Chciałem ci powiedzieć coś jeszcze, chociaż pewnie nie ma to teraz wielkiego znaczenia. Twierdzisz, że w tamten feralny wieczór widziałem cię po raz ostatni. Nieprawda.

Wskazałem gestem na siebie, a potem na niego.

– Przecież...

– Chodzi mi o czas, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem. Twoja matka wyrzuciła mnie z domu i bardzo dobrze zrobiła. Szanowałem jej decyzję. Szczerze mówiąc, poczułem wtedy ulgę. Wiedziałem, że na to zasługuję. Jednak trochę później, zanim się przeprowadziliście, Sally pozwalała mi na krótkie odwiedziny, rzecz jasna, pod warunkiem że byłem trzeźwy. Nie chciała jednak cię niepokoić i wprawiać w zakłopotanie. Zresztą ja też nie miałem takiego zamiaru. Przychodziłem zawsze, jak już położyłeś się do łóżka. Zakradałem się do twojej sypialni i mocno przytulałem. Nigdy się nie

obudziłeś, ale i tak dla mnie miało to duże znaczenie.

Stałem w milczeniu, zupełnie zdezorientowany.

Jego słowa głęboko mną wstrząsnęły. Trudno było zakładać, że kłamie. Pamiętałem przecież pana Noc, mojego wyimaginowanego przyjaciela z dzieciństwa. Był niewidzialny i przychodził po zmroku, żeby mnie przytulić, kiedy zapadłem w sen. Co gorsza, wcale nie zapomniałem, jak bardzo poprawiało mi to nastrój. Wcale nie bałem się tych wizyt, a kiedy pan Noc zniknął z mojego życia, przez pewien czas czułem się opuszczony, jakbym stracił ważną część samego siebie.

– Nie próbuję się wybielać – powiedział ojciec. – Powinieneś jednak wiedzieć, że sytuacja była naprawdę skomplikowana. Ja również miałem z tym wiele problemów. Przepraszam.

– Okay.

Teraz nie pozostało już nic więcej do dodania.

Wyszedł na ulicę, a ja byłem zbyt poruszony, by w jakikolwiek sposób zareagować.

Rozdział 41

Następnego dnia obudziłem Jake'a wcześniej niż zwykle, żebyśmy jeszcze przed szkołą zdążyli pojechać do naszego domu. Ojciec czekał już w samochodzie zaparkowanym przed kamienicą, w której znajdowało się policyjne mieszkanie. Kiedy zobaczył, że wychodzimy, otworzył okno i zawołał nas.

– Cześć!

– Dzień dobry, Pete – odpowiedział Jake poważnym głosem. – Jak się dzisiaj miewasz?

Twarz ojca się rozpromieniła. Był wyraźnie rozbawiony niezwykle formalnym tonem, którym czasami posługiwał się mój syn. Postanowił odpowiedzieć w tym samym stylu:

– Bardzo dobrze, dziękuję. A ty w jakiej jesteś formie?

– Całkiem niezłej. Ten nocleg to było ciekawe przeżycie, ale cieszę się, że już wracamy do siebie.

– Całkowicie to rozumiem.

– Wolałbym jednak nie iść dziś do szkoły.

– Wiem, co czujesz, ale szkoła jest bardzo ważna.

– Tak – oznajmił Jake. – Faktycznie masz rację.

Ojciec wybuchnął śmiechem, ale kiedy na mnie spojrział, szybko się zreflektował i przestał chichotać. Może uznał, że jego wchodzenie w interakcję z Jakiem może mi się nie spodobać. Co ciekawe, tak właśnie się poczułem, kiedy rozmawiał z nim pierwszego dnia w komisariacie, teraz jednak nie miało to już dla mnie większego znaczenia. Podobało mi się, kiedy mój syn robił na kimś dobre wrażenie. Odczuwałem satysfakcję. Zdawałem sobie sprawę, że to głupie, bo Jake był autonomicznym

człowiekiem, a nie jakimś moim pokazowym osiągnięciem. Mimo to w podobnych sytuacjach zawsze rozpieła mnie duma. W przypadku mojego ojca odczuwałem ją w dwójnasób. Nie potrafię dokładnie wytłumaczyć dlaczego. Czyżbym chciał się na nim zemścić za to, że nie był dobrym rodzicem? A może podświadomie pragnąłem zrobić na nim dobre wrażenie? Nie podobała mi się żadna z tych możliwości.

– Zobaczmy się na miejscu – powiedziałem i odwróciłem się do Jake’a. – Wskakuj do samochodu.

Droga nie była daleka, ale w porannym szczycie dotarcie na Garholt Street zajęło nam więcej czasu niż zwykle. Jake siedział z tyłu i bezmyślnie kopał w fotel pasażera, pogwizdując jakąś melodię. Od czasu do czasu zerkałem w lusterko, żeby sprawdzić, jak się miewa. Siedział z przechyloną głową i spod przymrużonych oczu obserwował przesuający się za oknami krajobraz. Wyglądał na lekko zdziwionego toczącym się życiem, ale jednocześnie nie przejawiał nim szczególnego zainteresowania.

– Tato, dlaczego nie lubisz Pete’a?

– Mówisz o komisarzu Willisie? – Właśnie skręcaliśmy w naszą ulicę. – Nie chodzi o to, że go nie lubię. To policjant, a nie kolega.

– Jest całkiem sympatyczny. Ja go lubię.

– Przecież nawet go nie znasz.

– Ty też go nie znasz i z jakiegoś powodu go nie lubisz. Czy w takim razie ja mogę mieć inne zdanie?

Byłem zbyt zmęczony na słowne przepychanki z moim synem.

– Nie powiedziałem, że go nie lubię.

Jake milczał, a ja nie miałem zamiaru ciągnąć tego tematu. Dzieci potrafią świetnie wyczuć atmosferę, a mój syn był przecież obdarzony wyjątkową wrażliwością, więc na pewno zorientował się, że kłamię.

Jednak, czy na pewno powiedziałem nieprawdę? Wczorajsza rozmowa z ojcem zrobiła na mnie duże wrażenie i chyba właśnie po niej zacząłem rozumieć jego punkt widzenia. Był facetem, któremu ojcostwo sprawiało dużo kłopotów, dokładnie tak samo jak mnie. Niezależnie od wszystkiego nie był już tym strasznym gościem, którego zapamiętałem z dzieciństwa.

Ile potrzeba czasu i jak bardzo radykalna musi być zmiana, żeby ktoś,

kogo się nienawidzi, wydał się sympatyczny? Czułem, że Pete jest teraz zupełnie innym człowiekiem.

Nie żywiłem wobec niego jednoznacznie negatywnych uczuć. Tak naprawdę w ogóle go nie znałem.

Przed naszym domem nie pozostał ślad po policjantach, zniknęły nawet czerwone taśmy zabezpieczające dostęp do posesji. Bałem się, że może na nas czekać tłum dziennikarzy. Na szczęście, zauważyłem tylko małą grupkę ludzi, którzy stali na chodniku i rozmawiali. Kiedy zaparkowałem na podjeździe, nie wykazali mną specjalnego zainteresowania. Jake wyglądał jednak na lekko zaaferowanego.

– Pokażą nas w telewizji? – zapytał z ekscytacją w głosie.

– Na pewno nie.

– Szkoda.

Przez całą drogę Pete jechał za nami. Zatrzymał swoje auto obok naszego i kiedy tylko otworzył drzwiczki, podeszli do niego reporterzy. Wyjrzałem przez okno, żeby zobaczyć, jak sobie radzi.

– Co się dzieje, tato?

– Poczekaj chwilę.

Jake również zaczął wyciągać szyję.

– Czy to nie jest przypadkiem...? – zapytał.

– Cholera...

W samochodzie na chwilę zaległa cisza. Zacząłem lustrować wzrokiem ludzi, którzy otoczyli ojca. Grzecznie się do nich uśmiechał i udzielał odpowiedzi na ich pytania, lekko wzruszając ramionami, a oni co chwila przytakiwali. Moją uwagę przyciągnęła jednak konkretna osoba.

– Powiedziałeś brzydkie słowo, tato.

Jake był wyraźnie zaskoczony.

– Owszem. – Odwróciłem głowę. – Poza tym masz rację. To jest matka Adama.

W grupce dziennikarzy stała Karen. W ręku trzymała notatnik.

– Pokażą nas w telewizji, Pete? – zapytał Jake.

Zamknąłem drzwi wejściowe i założyłem łańcuch.

– Już ci mówiłem: na pewno nie.

– Ale ja jestem ciekaw, co myśli o tym Pete.

– Nie pokażą was w telewizji – potwierdził mój ojciec. – Twój tata ma rację. Właśnie o tym rozmawiałem z ludźmi czekającymi przed domem. To dziennikarze, których interesuje wszystko, co się tutaj wcześniej wydarzyło. Przypomniałem im jednak, że nie macie z tym nic wspólnego.

– Trochę mamy – wtrącił Jake.

– Owszem, ale w minimalnym stopniu. Co innego, gdybyście więcej wiedzieli o sprawie albo byli w nią bezpośrednio zamieszani.

Spojrzałem na Jake'a znaczącym wzrokiem, licząc, że nie zacznie opowiadać o chłopcu mieszkającym w podłodze. Skinął głową, ale wiedziałem, że szybko nie odpuści.

– To tata go znalazł.

– Tak – powiedział Pete – ale ta informacja nie została przekazana reporterom. Dla nich nie jesteście w żaden sposób powiązani ze śledztwem. Wydaje mi się, że to obecnie najlepsza strategia.

– Okay. – Jake wyglądał na zawiedzionego. – Mogę się rozejrzeć i zobaczyć, co zrobili policjanci?

– Oczywiście.

Pobiegł na górę, a ja dalej stałem z ojcem przy drzwiach.

– Powiedziałem Jake'owi prawdę – stwierdził po chwili milczenia. – Nie musisz się martwić. Media nie będą się wtrącać, ponieważ nie chcą narażać się na oskarżenia o wywieranie wpływu na śledztwo. Rzecz jasna, nie mogę ci zabronić rozmowy z dziennikarzami, ale oni wiedzą tylko tyle, że na terenie posesji znaleziono ludzkie szczątki, więc nie sądzę, żeby byli tobą zainteresowani. Nie będą też nagabywać Jake'a.

Przytaknąłem, ale czułem, że zbiera mi się na wymioty. To prawda, że media nie zostały oficjalnie poinformowane o szczegółach, ale przecież wczoraj rozmawiałem z Karen i wszystko jej wyśpiewałem. Wiedziała o nocnym gościu, o próbie porwania, o tym, że to ja znalazłem ciało i że Pete jest moim ojcem, który w przeszłości dopuszczał się aktów przemocy. Nie pamiętałem dokładnie, o czym mówiłem, lecz byłem prawie pewien, że wyjawiałem jej jeszcze więcej tajemnic.

„Jestem naprawdę niezła w szpiegowaniu”, powiedziała.

Wtedy wydawało mi się, że to tylko przyjacielska pogawędka. Nie miałem pojęcia, że rozmawiam z pieprzoną dziennikarką. Było mi przykro.

Powinna mnie uprzedzić i powiedzieć, czym naprawdę się zajmuje. Wydawało mi się, że jest mną zainteresowana. Teraz nie byłem tego pewien. Z jednej strony, nie mogła wiedzieć, że cokolwiek łączy mnie z tą sprawą. Z drugiej, ani razu nawet nie zasugerowała, że nie jest osobą, z którą powinienem dzielić się tak prywatnymi szczegółami.

Ojciec zmarszczył czoło.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

Musiałem odłożyć te rozważania na później. Na pewno nie miałem zamiaru opowiadać o nich mojemu ojcu.

– Jesteśmy tutaj bezpieczni? – zapytałem.

– Tak. Norman Collins pozostanie w areszcie i w najbliższym czasie nie wyjdzie na wolność. Poza tym w tym domu nie ma już nic, co mogłoby kogokolwiek zainteresować.

– Kogokolwiek?

Przez chwilę się zawahał.

– To miejsce zawsze wzbudzało emocje. Według Collinsa okoliczni mieszkańcy uważają, że w tym domu straszy. Dzieciaki zakładały się o to, kto będzie na tyle odważny, żeby wejść na teren ogrodu, a potem robiły sobie zdjęcia.

– Tak, wiem. Dom z horroru. Słyszałem wiele razy.

– Strachy na lachy – powiedział Pete. – Najważniejsze, że zniknęły stąd

szczątki Tony'ego Smitha. Przecież właśnie po nie przyszedł Collins. Nie interesował się ani tobą, ani Jakiem.

Być może tak było, ale ja wciąż miałem przed oczami mojego syna opartego o drzwi wejściowe i słuchającego, jak obcy mężczyzna gada do niego przez szczelinę w skrzynce na listy. Nie pamiętałem, co dokładnie mówił, ale nie miałem wątpliwości, że chciał wejść do środka i że nie chodziło mu tylko o klucze do garażu.

– A co z Neilem Spencerem? – zapytałem. – Czy Collins został oskarżony także o popełnienie tego morderstwa?

– Nie, ale mamy na celowniku kilku podejrzanych. Jesteśmy naprawdę blisko rozwikłania tej sprawy. Na pewno nie pozwoliłbym wam wrócić do domu, gdybym nie był przekonany, że jesteście bezpieczni.

– Do niczego byś mnie nie zmusił.

– To prawda. – Odwrócił wzrok. – Jednak na pewno nie dałbym łatwo za wygraną, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że mieszka w tym domu Jake. W przypadku Neila Spencera ktoś po prostu wykorzystał dogodną okazję. Porywacz chce uniknąć rozgłosu. Rzecz jasna, powinieneś uważać na syna, ale nie ma żadnych powodów, by zakładać, że grozi wam niebezpieczeństwo.

Czy sam wierzył w to, co mówi? Nie miałem pewności. Dziś trudno było go rozgryźć. Sprawiał wrażenie skonanego. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, był w naprawdę dobrej formie, ale teraz, zmęczony, wyglądał na swój wiek.

– Jesteś wykończony. Ledwo stoisz na nogach.

Skinął głową.

– Prawda. Niestety muszę zrobić jeszcze coś, na co w ogóle nie mam ochoty.

– Co takiego?

– Nieważne – odpowiedział spokojnym głosem. – Jednak ktoś musi się tym zająć.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że śledztwo dało mu w kość. Było to widać w każdym jego ruchu. „Ktoś musi się tym zająć”. Miałem przed sobą człowieka, który został przygnieciony ogromnym ciężarem i stara się podołać nadmiarowi obowiązków. Sam często się tak czułem.

– Moja matka – powiedziałem bez żadnego ostrzeżenia.

Spojrzał na mnie, ale nie zadał żadnego pytania, tylko czekał na ciąg dalszy.

– Ona już nie żyje.

– Tak, wiem. Mówiłeś mi.

– Chciałeś wiedzieć, jak do tego doszło. Nie miała łatwego życia, ale była dobrym człowiekiem. Trudno wyobrazić sobie lepszego rodzica. Zachorowała na raka. Nie zasługiwała na to, ale wszystko potoczyło się bardzo szybko i na dobrą sprawę nie cierpiała.

Kłamałem: śmierć mojej mamy była długa i bolesna. Nie miałem pojęcia, dlaczego wygaduję takie bzdury. Przecież nie spoczywał na mnie obowiązek chronienia ojca przed poczuciem winy. Nie musiałem też na siłę go pocieszać. Mimo to w głębi duszy byłem zadowolony, że oszczędziłem mu dodatkowych zmartwień.

– Kiedy to się stało?

– Pięć lat temu.

– W takim razie poznała Jake’a.

– Tak. Choć on jej nie pamięta.

– No cóż, dobre i to.

Na dłuższą chwilę zaległa cisza, po czym usłyszeliśmy, jak Jake zbiega po schodach. Instynktownie odsunęliśmy się od siebie. Zrobiliśmy to dokładnie w tym samym momencie, jakby ktoś przeciął łączącą nas niewidzialną nić.

– Nic się nie zmieniło, tato. Wszystko jest dokładnie tak samo – oznajmił Jake lekko zawiedzionym głosem.

– Dokładnie przeszukujemy dom, ale nie zostawiamy żadnych śladów – wyjaśnił Pete. – Potrafimy po sobie posprzątać.

– Wspaniale.

Jake odwrócił się od nas i pomaszerował do salonu.

Pete pokręcił głową.

– Chłopak z charakterem.

– Tak, nie da się ukryć.

– Skontaktuję się z tobą, kiedy pojawią się nowe informacje. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, naprawdę czegokolwiek, to wiesz, jak mnie znaleźć. Oto moja wizytówka.

– Dziękuję.

Patrzyłem, jak ojciec idzie podjazdem z lekko pochyloną głową. Obróciłem wizytówkę w dłoni i spojrzałem w stronę grupki dziennikarzy. Większość już sobie poszła, ale kilku kręciło się wciąż przed domem. Zlustrowałem wzrokiem ich twarze. Miałem nadzieję, że znajdę wśród nich Karen.

Nigdzie jej nie było.

Rozdział 42

„To ostatni raz”, powtórzył w myślach Pete. „Pamiętaj o tym”.

Ta świadomość pozwalała mu przetrwać. Siedział w pomalowanym na biało pokoju widzeń i czekał na przybycie potwora. Przez te wszystkie lata spotykał się z nim wielokrotnie, ale za każdym razem wychodził stąd całkowicie roztrzęsiony. Całe szczęście, że po dzisiejszej rozmowie nie będzie miał żadnego powodu, by tutaj wracać. Głównym tematem spotkań był zawsze Tony Smith, lecz wreszcie znaleźli jego ciało. Pete postanowił, że jeśli Frank Carter odmówi odpowiedzi na pytania dotyczące człowieka, którego teraz szukali, to od razu wyjdzie i nawet się nie obejrzy. Już nigdy więcej nie będzie musiał zmagać się z przykrymi uczuciami wywołanymi koniecznością przebywania w obecności tego zwyrodnialca.

To naprawdę ostatni raz.

Powtarzanie tego zdania pomagało, ale tylko do pewnego stopnia. W pomieszczeniu panowała atmosfera wyczekiwania, w powietrzu czuło się napięcie, a od zamkniętych drzwi biła groza. Carter najprawdopodobniej również zdawał sobie sprawę, że to ich ostatnie spotkanie. Należało więc założyć, że będzie chciał zrobić odpowiednie wrażenie. Jak do tej pory, Pete czuł się zastraszony psychicznie i emocjonalnie. Nigdy nie miał jednak wrażenia, że grozi mu fizyczne niebezpieczeństwo. Aż do teraz. Cieszył się, że od skazanego oddziela go szeroki stół, a ręce Cartera są skute mocnymi kajdankami. Zaczął się nawet zastanawiać, czy wszystkie godziny spędzone na siłowni nie były podświadomym przygotowaniem się na ten właśnie dzień.

Kiedy usłyszał zgrzyt otwieranego zamka, serce podeszło mu do gardła.

Zachowaj spokój.

Przed jego oczami rozegrał się dobrze znany spektakl: najpierw weszli

strażnicy, a więzień jak zwykle się ociągał. Pete usiłował zapanować nad emocjami. Skupił wzrok na leżącej na blacie kopercie, którą sam przyniósł. Spokojnie czekał, nie zwracając uwagi na zwalistego mężczyznę, który wreszcie pojawił się w progu i usiadł po drugiej stronie stołu. Komisarz miał ochotę zmienić zasady gry: niech teraz Carter poćwiczy się w cierpliwości. Wciąż milczał. Dopiero kiedy strażnicy wyszli i zamknęli za sobą drzwi, podniósł głowę.

Carter z wyraźnym zainteresowaniem gapił się na kopertę.

– Napisałeś do mnie list, Peter?

Komisarz nie odpowiedział na zaczepkę.

– Parę razy też miałem zamiar coś do ciebie skrobnąć. – Carter podniósł wzrok i szeroko się uśmiechnął. – Chciałbyś ze mną korespondować?

Pete z trudem opanował dreszcz obrzydzenia. Było mało prawdopodobne, żeby Carter zdobył jego prywatny adres, ale sama świadomość, że mógłby dostawać od niego listy, wydawała się odstręczająca.

Uznał, że najlepiej zbyć to milczeniem.

Carter z dezaprobatą pokręcił głową.

– Ostatnim razem powiedziałem ci, że masz pewien problem. Pamiętasz? Naprawdę staram się prowadzić z tobą normalną rozmowę. Zadaję sobie wiele trudu, żeby być pomocnym i spełnić twoje oczekiwania, ale czasami mam wrażenie, że w ogóle mnie nie słuchasz.

– Wszystko zawsze kończy się tam, gdzie się zaczęło – powiedział Pete. – Teraz już rozumiem.

– Dla Neila Spencera to trochę za późno.

– Jestem ciekaw, skąd wiedziałeś, Frank.

– To jest właśnie twój problem. – Carter odchylił się do tyłu. Był tak ciężki, że krzesło głośno zaskrzypiało. – Nie słuchasz mnie. Poza tym mam gdzieś jakiegoś pieprzonego smarkacza. Wcale nie o niego mi chodziło.

– Nie?

– Znowu się pomyliłeś. – Oparł się łokciami o blat i zrobił zaciekawioną minę. Pete powstrzymał się przed jakąkolwiek reakcją. – Mam coś jeszcze. Pamiętasz, jak powiedziałeś, że na zewnątrz ludzie już o mnie nie pamiętają?

Pete skinął głową.

– To również nieprawda?

– Nie! Ha, ha! Wreszcie to do ciebie dotarło? Ciągłe popełniasz błędy. Przez cały czas poza murami więzienia byli ludzie, którzy się mną interesują, a ty nie miałeś o tym bladego pojęcia.

Oczy Cartera radośnie się zaiskrzyły. Pete mógł sobie tylko wyobrazić, jak wielką przyjemność sprawiało mu to, że na zewnątrz ma wielbicieli takich jak Norman Collins, którzy pielgrzymują do Featherbank, żeby zobaczyć szczątki Tony’ego Smitha, i traktują dom na Garholt Street jak jakąś świątynię. Co więcej, udało mu się to utrzymać w tajemnicy przed policją, co bez wątpienia przynosiło mu dodatkową satysfakcję. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Pete szukał w pocie czoła zwłok dziecka, podczas gdy inni mieli do nich dość łatwy dostęp.

– Tak, masz rację. Pomyliłem się i dopiero teraz wiem, jak było naprawdę. Nie dziwię się, że jesteś z siebie dumny, panie Szeptaczu. – Pete skrzywił się z niesmakiem. – Twoja legenda jest ciągle żywa.

Carter wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– I to pod wieloma względami.

– W takim razie pogadajmy o twoich kumplach.

Carter rzucił okiem na kopertę i jeszcze szerzej się uśmiechnął. Widać było, że nie ma zamiaru dać się podejść i nie będzie opowiadał o mordercy Neila Spencera. Pete zrozumiał, że jego jedyną szansą jest czytanie między wierszami. Musiał nakłonić Cartera do zwierzeń. Podejrzewał, że Szeptacz będzie celowo unikał pewnych tematów, ale z radością zagłębi się w szczegóły dotyczące gości, którzy przez te wszystkie lata odwiedzili dom i oglądali zwłoki. Teraz nie miał już nic do ukrycia.

– Okay – powiedział Pete. – Dlaczego wybrałeś Victora Tylera?

– No cóż, Vic to dobry człowiek.

– Ciekawie to ująłeś. Chodzi mi raczej o to, do czego był ci potrzebny pośrednik. Nie mogłeś sam tego załatwić?

– Ktoś taki jak ja nie może być zbyt łatwo dostępny. – Carter pokręcił głową. – Gdyby każdy mógł zobaczyć Boga, czy ludziom chciałoby się chodzić do kościoła? Lepiej zachować dystans. Tak jest lepiej dla każdej ze

stron, również dla ludzi zafascynowanych moją osobą. Chodzi o ich bezpieczeństwo. Podejrzewam, że gruntownie prześwietliłeś wszystkich, którzy odwiedzili mnie w więzieniu.

– Jestem jedyną osobą, która składa ci wizyty.

– Kopnął cię prawdziwy zaszczyt. – Wybuchnął śmiechem.

– A co z pieniędzmi?

– Jakimi pieniędzmi?

– Tyler otrzymywał wynagrodzenie, a w każdym razie jego żona pobierała coś w rodzaju opłaty. Tak samo było w przypadku Simpsona, a potem Barnetta. A ty nic.

– A co mnie obchodzą pieniądze? – Carter wyglądał na urażonego. –

Wszystko, czego potrzebuję do życia, mam teraz za darmo. Jak już powiedziałem, Vic to naprawdę bardzo przyzwoity człowiek. Julian również zawsze traktował mnie z należytym szacunkiem. To chyba uczciwe, że dostawali coś w zamian za swój wysiłek. Nie znałem Barnetta i niewiele mnie obchodził. To dobrze, że trzeba było zapłacić. Każdy, kto chce przeżyć coś niezwykłego, powinien sięgnąć głęboko do kieszeni. Przyjemność była tego warta, nie sądzisz?

– Nie.

Carter znowu się roześmiał.

– Niewykluczone, że kiedy już ich wszystkich aresztujesz, trafią do tego samego więzienia co ja. To byłby dla nich zaszczyt. Założę się, że sprawilibyście im ogromną frajdę.

„Nie tak wielką jak tobie”, pomyślał Pete.

Wziął do ręki kopertę i wyjął z niej cienki plik fotografii. Były to wydruki ujęć z więziennego monitoringu, na których znajdowali się goście odwiedzający Victora Tylera. Na samej górze leżało zdjęcie Normana Collinsa. Pete położył je ostrożnie na blacie i przesunął w stronę swojego rozmówcy.

– Poznajesz tego faceta?

Carter ledwie rzucił okiem na zdjęcie.

– Nie.

Komisarz pokazał mu drugą odbitkę.

– A ten?

– Nie znam żadnego z tych pieprzonych dupków. – Carter zaczął przewracać oczami. – Ile razy mam ci powtarzać? W ogóle mnie nie słuchasz. Jeśli chcesz się dowiedzieć, kim są ci ludzie, zapytaj Vica.

– Na pewno tak zrobię.

W rzeczywistości zrobił to już godzinę wcześniej. Razem z Amandą odwiedzili Tylera, któremu spotkanie sprawiło znacznie mniej przyjemności niż Carterowi. Victor był wyraźnie zły i nie chciał współpracować. To zrozumiałe, zwłaszcza że w sprawę zamieszana była jego żona. Nie ulegało jednak wątpliwości, że milczenie nie było najlepszą strategią obronną. Jak do tej pory policjantom udało się zidentyfikować prawie wszystkie osoby, które odwiedziły Tylera w więzieniu. Pete uważał, że wśród nich jest morderca Neila Spencera.

Rozpoznano prawie wszystkich: z wyjątkiem jednego mężczyzny.

Pete położył na stole kolejną fotografię. Był na niej młody człowiek, dwudziesto-, najwyżej trzydziestoletni, średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Nosił ciemne okulary i miał dość długie, sięgające ramion włosy. Odwiedzał więzienie wielokrotnie, ostatni raz tydzień przed porwaniem Neila Spencera.

– A ten facet?

Carter w ogóle nie spojrział na zdjęcie, tylko wbił wzrok w komisarza i szeroko się uśmiechnął.

– Właśnie on cię interesuje, prawda?

Pete milczał.

– Jesteś taki przewidywalny. Można w tobie czytać jak w otwartej księdze. Najpierw chcesz uśpić moją czujność i pokazujesz mi dwie zupełnie nieistotne osoby, a potem rzucasz asa na stół i czekasz na moją reakcję. To jest twój główny podejrzany, prawda? Albo przynajmniej tak ci się wydaje.

– Jesteś bardzo inteligentnym facetem, Frank. Poznajesz tego kolesia?

Carter jeszcze przez dłuższą chwilę patrzył Pete'owi prosto w oczy, ale jednocześnie wyciągnął skute kajdankami ręce i przysunął zdjęcie bliżej

siebie. Wyglądało to dość niezdarnie, jakby jego dłońmi kierował ktoś z zewnątrz. Nawet nie poruszył głową, a wyraz jego twarzy w ogóle się nie zmienił.

Wreszcie spojrzął w dół i przez chwilę wpatrywał się w fotografię.

– Aha – powiedział łagodnym głosem.

Komisarz uważnie obserwował, jak jego potężnie zbudowana klatka piersiowa powoli unosi się i opada.

– Opowiedz mi o tym mężczyźnie, Pete.

– Bardziej interesuje mnie to, co ty wiesz na jego temat.

Komisarz postanowił odczekać. Po kilku sekundach milczenia Carter podniósł wzrok i zaczął stukać grubym palcem w fotografię.

– Ten facet jest trochę inteligentniejszy od pozostałych. Zgodzisz się ze mną? Wchodził do więzienia pod fałszywym nazwiskiem, miał dobrze spreparowane dokumenty i strażnicy dali się nabrać. Sprawdziłeś go dokładnie i udało ci się ustalić, że kłamie.

Carter miał rację. Podczas wizyt w więzieniu mężczyzna podawał się za niejakiego Liama Adamsa. Miał dwadzieścia dziewięć lat i rzekomo mieszkał z rodzicami, niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Featherbank. Kiedy któregoś dnia z samego rana policjanci dotarli pod podany adres, na twarzach starszych państwa najpierw pojawiło się całkowite zaskoczenie, a potem strach.

Okazało się, że ich syn zmarł ponad dziesięć lat temu.

– Kontynuuj – powiedział Pete.

– Wiesz, jak łatwo załatwić sobie nową tożsamość? To dużo prostsze, niż może się wydawać. Ten gość ma jednak łeb nie od parady. W obecnych czasach to rzadka cecha. – Carter zniżył głos. – On naprawdę troszczy się o innych.

– Powiedz coś więcej.

Carter zamilkł i z uwagą wpatrywał się w zdjęcie. Wyglądało to tak, jakby patrzył na kogoś, o kim bardzo dużo słyszał i wreszcie zobaczył go na własne oczy. W pewnym momencie głośno pociągnął nosem, jakby całkowicie stracił zainteresowanie, i popchnął zdjęcie w stronę komisarza.

– To wszystko. Nie mam nic do dodania.

– Nie wierzę ci.

– Już mówiłem, że to twój problem.

Znowu się uśmiechnął, ale tym razem miał obojętny wzrok.

– Nigdy mnie nie słuchasz, Peter.

Komisarz dał upust swojej frustracji, dopiero gdy wrócił do samochodu, w którym czekała na niego Amanda. Usiadł w fotelu pasażera i tak mocno trzasnął drzwiami, że wypadły mu z ręki fotografie i rozsypały się na podłodze.

– Cholera.

Pochylił się, żeby je pozbierać, chociaż ważna była tylko jedna odbitka. Położył ją na kolanach, a pozostałe zdjęcia wsadził z powrotem do koperty. Mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku, posługujący się imieniem i nazwiskiem zmarłego nastolatka. Nosi ciemne okulary i ma brązowe sięgające ramion włosy. Bardzo łatwo zmienić taką fryzurę. Poza tym żadnych cech charakterystycznych. To mógł być niemal każdy.

– Z twojego zachowania wnioskuję, że Carter nie był szczególnie rozmowny – oznajmiła Amanda.

– Jak zwykle zauroczył mnie swoją osobowością.

Komisarz przeczesał włosy palcami. Był na siebie zły. Widział Cartera po raz ostatni i jakoś udało mu się to przeżyć. Najgorsze jednak, że niczego się nie dowiedział, chociaż jego rozmówca ewidentnie coś ukrywał.

– Pieprzony dupek – warknął.

– Powiesz, co się stało? – zapytała Amanda.

Skoncentrował się i streścił jej szczegółowo całą rozmowę. Najbardziej wkurzały go zarzuty Cartera, że wcale go nie słucha. Gówna prawda. Każda rozmowa z tym zwyrodnialcem zapadała mu głęboko w pamięć. Miał wrażenie, że jego słowa przesiakają mu przez skórę i oblepiają wnętrze.

Kiedy skończył, Amanda na dłuższą chwilę się zamyśliła.

– Uważasz, że Carter wie, kim jest ten mężczyzna?

– Nie jestem pewien. – Spojrzał na fotografię. – Bez wątpienia ma na jego temat jakieś informacje. Chociaż równie dobrze mogę się mylić, a Carter tylko bawi się ze mną w kotka i myszkę. Dużą przyjemność sprawia mu patrzenie, jak próbuję zrozumieć coś z tego pierdolnika.

– Strasznie dużo dzisiaj przeklinasz.

– Bo jestem wściekły.

– Przeanalizuj jeszcze raz waszą ostatnią rozmowę – powiedziała Amanda cierpliwym głosem. – Nie chodzi mi o tę dzisiejszą, tylko poprzednią. Właśnie wtedy zarzucił ci, że w ogóle go nie słuchasz.

Pete na moment się zawahał, a potem zrobił skupioną minę.

– Wszystko zawsze kończy się tam, gdzie się zaczęło – oznajmił. – Początek był na pustkowiu, więc właśnie tam ktoś podrzucił zwłoki Neila Spencera. Carter twierdził jednak, że wcale nie o to mu chodziło.

– W takim razie o co?

– Kto to może wiedzieć? – Komisarz miał ochotę rozłożyć bezradnie ręce. – Opowiadał mi też dziwny sen o Tonym Smicie. Wydaje mi się jednak, że wszystko zmyślił, żeby zrobić mi na złość.

Przez kilka sekund Amanda milczała.

– Nawet jeśli tak, to przecież niewykluczone, że ten sen został zbudowany z prawdziwych elementów. Sam powiedziałeś, że właśnie dlatego spotykasz się z Carterem. Liczysz na to, że przypadkiem się wygada albo zasugeruje coś między słowami.

Pete chciał zaprotestować, ale uznał, że Amanda ma rację. Być może Carterowi nic się nie śniło, lecz mimo to postanowił coś wymyślić i nadał temu dodatkowe znaczenie. Możliwe więc, że w jego opowieści ukryta była odrobina prawdy.

Komisarz jeszcze raz odtworzył wszystkie szczegóły tego dziwnego snu.

– Nie był pewien, czy to na pewno Tony.

– Kto? Carter w swoim śnie?

– Tak. – Skinął głową. – Wahał się, ponieważ chłopiec miał naciągniętą na twarz koszulkę. Potem dodał, że właśnie tak mu się podobało.

– Neil Spencer został znaleziony z tak samo zadartym T-shirtem.

– Uhm.

– Te informacje nie zostały przekazane opinii publicznej. – Amanda zrobiła sfrustrowaną minę. – Carter to sadysta. Dlaczego nie chciał patrzeć na twarze ofiar?

Pete nie znał odpowiedzi na to pytanie. Szeptacz zawsze odmawiał rozmowy na temat swoich motywów. Chociaż morderstwa pozbawione były elementu seksualnego, jednak Carter znęcał się nad uprowadzonymi chłopcami i nie ulegało wątpliwości, że czerpał z tego przyjemność. Powodów, dla których zasłaniał ich twarze, mogło być wiele. Kiedyś poprosili o opinię pięciu profilerów i dostali pięć różnych wyjaśnień. Być może chodziło o łatwiejsze sprawowanie kontroli nad ofiarą lub o zagłuszenie krzyków i jęków. Albo o zdezorientowanie lub wystraszenie. Możliwe też, że oprawca nie chciał, żeby na niego patrzono. Albo sam nie miał ochoty oglądać twarzy porwanych dzieci. Głównym problemem z profilowaniem było to, że każdy złoczyńca miał swoje własne powody, by robić dokładnie takie same rzeczy i...

Pete na chwilę się zawahał.

– Wszyscy gówniarze wyglądają dokładnie tak samo – wymruczał pod nosem.

– Co takiego?

– Usłyszałem to od Cartera. – Zmarszczył czoło. – Powiedział to podczas naszego poprzedniego spotkania. „Wszyscy gówniarze wyglądają dokładnie tak samo. Nie ma między nimi większej różnicy”.

– Mów dalej.

Pete zrobił przerwę, ponieważ poczuł, że musi się skupić. Wydawało mu się, że jest o krok od zrozumienia czegoś niezwykle istotnego. Dla Cartera nie miało większego znaczenia, komu sprawia ból. Co więcej, nie chciał patrzeć na twarze swoich ofiar.

Tylko dlaczego?

Dlatego że nie był w stanie znieść tego widoku?

A może wyobrażał sobie na ich miejscu kogoś innego? Pete jeszcze raz spojrział na zdjęcie. Ten mężczyzna mógł być kimkolwiek. Kiedy Carter go

zobaczył, zrobił dziwną minę. Widać było, że nie jest w stanie ukryć ciekawości. Wyglądało to tak, jak gdyby od dawna interesował się facetem z fotografii, ale dopiero teraz miał okazję zobaczyć go na własne oczy. Pete pomyślał wtedy o swoim synu. Całymi latami starał się o nim zapomnieć, jednak kiedy wreszcie się spotkali, nie mógł się powstrzymać przed ocenianiem go. Na twarzy Toma zachowały się resztki dziecięcych rysów, ale teraz był dorosłym mężczyzną, który prawie pod każdym względem różnił się od małego chłopca.

Dzieci tak bardzo się zmieniają.

„To wszystko. Nie mam nic do dodania”.

Pete przypomniał sobie innego chłopca, małego, przestraszonego i niedożywionego, który chował się za nogami swojej mamy, kiedy komisarz otwierał drzwi do przybudówki Franka Cartera.

Ten chłopiec miał teraz prawie trzydzieści lat.

Podczas jednego ze spotkań Carter powiedział: „Przyprowadź tu moją rodzinę. Chcę się zobaczyć z tą suką i jej szczeniakiem”.

Pete podniósł głowę i spojrzał na Amandę.

– Teraz już rozumiem.

Rozdział 43

Niedługo przed lunchem ktoś zapukał do drzwi.

Podniosłem głowę znad laptopa. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po odprowadzeniu Jake'a do szkoły, było wygooglowanie Karen Shaw. Łatwo było ją znaleźć. Okazało się, że jest autorką setek artykułów drukowanych w lokalnej gazecie. Ostatnio zajmowała się między innymi porwaniem i morderstwem Neila Spencera. Zacząłem przeglądać jej wypociny i z każdym przeczytanym tekstem coraz mocniej ścisnęło mnie w żołądku. Nie chodziło tylko o to, że bałem się, co Karen napisze teraz. Wczoraj w kawiarni wyjawiałem jej naprawdę wiele szczegółów z mojego prywatnego życia i czułem się zdradzony. Uwierzyłem, że jest mną szczerze zainteresowana, i teraz było mi głupio. Miałem wrażenie, że w jakimś sensie zostałem oszukany.

Znowu rozległo się ciche pukanie. Ktoś nieśmiało stukał w drzwi, jakby nie był do końca zdecydowany, czy chce się ze mną widzieć. Podejrzywałem kto to. Odsunąłem laptop i wyszedłem na korytarz.

W progu stała Karen.

Oparłem się o futrynę i założyłem ręce na piersi.

– Pod tym grubym płaszczem masz poukrywane mikrofony? – zapytałem.

Skrzywiła się z niesmakiem.

– Mogę na chwilę wejść?

– Po co?

– Chciałam... wyjaśnić sytuację. Nie zabiorę ci dużo czasu.

– Nie musisz niczego wyjaśniać.

– Wydaje mi się, że jednak muszę.

Wyglądała na skruszoną, a nawet zawstydzoną, ale przypomniałem sobie,

jak moja mama mówiła, że przeprosiny i wyjaśnienia poprawiają samopoczucie osobie, która zawiniła. Miałem ochotę powiedzieć Karen, żeby szukała pocieszenia gdzie indziej. Sprawiała jednak wrażenie zagubionej i bezradnej, co jaskrawo kontrastowało z pewnością siebie, która charakteryzowała ją podczas naszych dotychczasowych spotkań. Nie potrafiłem zamknąć jej drzwi przed nosem. Wydawało mi się, że ta wizyta jest dla niej naprawdę ważna.

Odsunąłem się od framugi.

– W porządku.

Poszliśmy do salonu. Czułem się trochę skrępowany panującym bałaganem: na kanapie obok laptopa leżał brudny talerz, a po podłodze wały się kredki i rysunki zostawione przez Jake'a. Nie miałem jednak zamiaru za nic przeproszać. W końcu jakie to miało znaczenie? Mimo to musiałem przyznać, że jeszcze parę godzin temu patrzyłbym na tę sytuację zupełnie inaczej. Byłem głupi i naiwny.

Karen stanęła po drugiej stronie pokoju, ciągle zawinięta w gruby płaszcz, jakby nie była pewna, czy może go zdjąć i się rozgościć.

– Chcesz coś do picia?

Pokręciła głową.

– Muszę ci wyjaśnić, co stało się dziś rano. Domyślam się, jak to mogło wyglądać z twojej strony.

– Sam nie wiem, co o tym myśleć.

– Przepraszam. Powinna ci powiedzieć.

– Owszem.

– I prawie się udało. Pewnie mi nie uwierzysz, ale kiedy siedzieliśmy rano przy kawie, siłą powstrzymałam się, żeby nie przerwać twoich wynurzeń.

– Jednak tego nie zrobiłaś.

– No cóż, w zasadzie nie dałeś mi szansy. – Na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Teraz zaczęła przypominać Karen, którą znałem do tej pory. – Szczerze mówiąc, miałam wrażenie, że chciałeś to wszystko z siebie wyrzucić. W jakimś sensie cieszyłam się, że jestem ci potrzebna. Ale jako dziennikarka cierpiałam.

– Naprawdę?

– Tak. Przecież zdawałam sobie sprawę, że nie będę mogła tego wykorzystać.

– Niby czemu?

– Oczywiście w teorii nie ma żadnych przeszkód. To nie była poufna rozmowa. Uznałam jednak, że muszę być fair wobec ciebie i Jake’a. Nie chciałam o tym pisać. To raczej kwestia osobistych przekonań niż etyki zawodowej.

– Okay, rozumiem.

– Najgorsze, że zawsze tak jest. – Wybuchnęła pustym śmiechem. – To największa afera, od kiedy się tu sprowadziłam. Jakimś cudem udało mi się uzyskać dostęp do informacji, których nie mają ogólnokrajowe gazety, ale nie mogę ich wykorzystać.

Milczałam. To prawda, że niczego nie ujawniła, przynajmniej jak do tej pory. Jej ostatni artykuł, który pojawił się dziś rano w sieci, zawierał tylko kilka ogólników podawanych również przez inne media. Karen dowiedziała się ode mnie znacznie więcej i gdyby upubliczniła te informacje, na pewno odniosłaby sukces. Niezależnie od tego, jak bardzo kusząca musiała być dla niej ta perspektywa, na razie trzymała język za zębami. Czy uwierzyłem jej, kiedy powiedziała, że dochowa tajemnicy? Chyba tak.

– Rozmawiałeś z moimi kolegami po fachu? – zapytała.

– Nie. – Chciałem posłuchać rady mojego ojca i powiedzieć im, że nic nie wiem, ale uznałem, że w tej sytuacji będzie to niepotrzebne kłamstwo. – Reszta dziennikarzy dość szybko się ulotniła. Miałem kilka telefonów, ale postanowiłem je zignorować.

– Pismaki potrafią być wkurzające.

– W zasadzie i tak nigdy nie odbieram telefonu.

– Ja też. Wolę osobisty kontakt.

– Inna sprawa, że nikt do mnie nie dzwoni.

To nie był żart, ale Karen się uśmiechnęła. Chyba jest dobrze, pomyślałem. W czasie trwania naszej rozmowy emocje wyraźnie opadły i oboje poczuliśmy się swobodniej. Zdziwiłem się, jak bardzo mi ulżyło.

– Będą dalej próbować? – zapytałem.

– Zależy od rozwoju sytuacji. Z doświadczenia wiem, że jeśli nie zostawia cię w spokoju, lepiej z którymś porozmawiać. – Podniosła rękę do góry. – Niekoniecznie ze mną! Szczerze mówiąc, nawet wolałabym, żeby zrobił to ktoś inny.

– Dlaczego?

– Bo jesteśmy znajomymi i trudniej byłoby mi zachować obiektywizm. Powiedziałam ci już, że wczoraj siłą powstrzymałam się, żeby nie zareagować na to, co mówisz. Nie zaprosiłam cię na kawę dlatego, że wywęszyłam ciekawą historię. Mam nadzieję, że to jasne. Twoja opowieść całkowicie mnie zaskoczyła. Niczego podobnego się nie spodziewałam. Pamiętaj jednak, że jeśli udzielisz wywiadu jednemu dziennikarzowi, pozostali stracą tobą zainteresowanie. Trzeba poczekać na dalszy rozwój wypadków.

Na chwilę się zamyśliłem.

– Ale mogę porozmawiać z tobą?

– Jasne, czemu nie. Słuchaj, pomijając wszystkie inne kwestie, umówmy się jeszcze raz na kawę. Co ty na to?

– Może będę miał na ciebie jakiegoś haka?

Uśmiechnęła się.

– Niewykluczone.

– Na pewno nie chcesz się czegoś napić?

– Niestety, trochę się spieszę. Muszę wracać do domu. – Już miała wyjść, gdy nagle o czymś sobie przypomniała. – A może dziś wieczorem? Poproszę mamę, żeby zajęła się Adamem. Powinna się zgodzić. Pójdziemy się czegoś napić i pogadamy.

Poproszę mamę.

A nie męża albo partnera.

Z jakiegoś powodu zakładałem, że jest singielką. Nie byłem pewien, czy potwierdziła tę informację celowo, czy jedynie przez przypadek. Niezależnie od wszystkiego bardzo chciałem się z nią spotkać. Wyobraziłem sobie, że idę na drinka w towarzystwie kobiety. Jezus Maria, nie potrafiłem sobie

przypomnieć, kiedy ostatni raz wybrałem się na randkę. Co więcej, zrozumiałem, że chcę się umówić właśnie z Karen. Teraz było dla mnie jasne, dlaczego rano czułem się zraniony i oszukany.

Niestety, wieczorne wyjście nie wchodziło dzisiaj w grę.

– Chyba nie uda mi się znaleźć opiekunki dla Jake’a – powiedziałem.

– Jasne, rozumiem. Poczekaj chwilę. – Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła wizytówkę. – Przecież nie masz do mnie żadnego kontaktu. Tutaj wszystko znajdziesz. Dzwon albo pisz, jeśli, rzecz jasna, będziesz miał ochotę.

Oczywiście, że będę miał ochotę.

– Dziękuję. – Zrobiłem bezradną minę. – Niestety, ja nie mam swojej wizytówki.

– Trudno. Wyślesz mi esemesa i wtedy dodam cię do kontaktów.

– Pewnie. Tak będzie najprościej.

Zatrzymała się przy drzwiach.

– A jak się czuje Jake?

– Nadspodziewanie dobrze – odpowiedziałem. – Nie mam pojęcia dlaczego.

– Naprawdę? Już ci mówiłam, że powinieneś wyluzować i nie być dla siebie taki surowy.

Wyszła z domu, a ja przez chwilę patrzyłem, jak idzie ścieżką w stronę ulicy. Potem pogrążyłem się w myślach. Dostałem już dzisiaj dwie wizytówki. Okoliczności były skomplikowane, jednak naprawdę bardzo chciałem umówić się z Karen. Czułem, że to możliwe. W końcu nie było w tym nic niezwykłego.

Kiedy wróciłem do salonu, wziąłem do ręki telefon i znowu zacząłem się zastanawiać.

Wahałem się. Nie do końca wiedziałem, co powinienem zrobić.

„Wyślesz mi esemesa i wtedy dodam cię do kontaktów”.

Kurczę, raz kozie śmierć.

Rozdział 44

Centrum koordynacyjne tętniło życiem. Większość policjantów wykonywała wcześniej powierzone zadania, a niewielkie grono skupiło się na tym, co obecnie najważniejsze – na odnalezieniu Francisa, syna Franka Cartera. Świadomość, że w śledztwie są postępy, zmotywowała wszystkich do działania. W pokoju czuć było przyływ świeżej energii. Przez dwa miesiące funkcjonariusze badali fałszywe tropy i kręcili się w kółko, aż wreszcie pojawiła się przed nimi perspektywa doprowadzenia sprawy do końca.

Amanda była ostrożna i nie robiła sobie wielkich nadziei. W takich sytuacjach najlepiej zachować umiarkowany entuzjazm.

Musiała jednak przyznać, że przyjmowanie wszystkiego z należyтым dystansem nie przychodziło jej łatwo.

– Nie ten – powiedział Pete i odłożył kolejną kartkę papieru na piętrzący się obok stos.

– Nie ten – oznajmiła Amanda i zrobiła to samo co jej kolega.

Po procesie i ogłoszeniu wyroku skazującego Francis i jego matka wyprowadzili się z miasteczka. Sprawa była naprawdę głośna i głęboko poruszyła opinię publiczną, więc uznano, że Carterowie powinni otrzymać nową tożsamość. Dzięki temu nie musieli już żyć w cieniu potwora, z którym mieszkali przez wiele lat pod jednym dachem, i mogli zacząć wszystko od początku. Jane Carter stała się Jane Parker, a Francis zmienił imię na David. Specjalnie wybrano popularne nazwisko, żeby zapewnić im anonimowość. Po jakimś czasie wszelki słuch o nich zaginął. Amanda i Pete musieli więc teraz znaleźć właściwego Davida Parkera wśród tysięcy mieszkających na terenie całego kraju.

Następna kartka. Ten David Parker miał czterdzieści pięć lat.

Poszukiwany był osiemnaście lat młodszy.

– Nie ten – powiedziała Amanda.

I tak to się właśnie toczyło.

Pracowali w ciszy. Pete w skupieniu przeglądał kolejne profile. Podejrzała, że stara się całkowicie poświęcić pracy, żeby nie myśleć o innych sprawach. Rozmowa z Frankiem Carterem na pewno głęboko go poruszyła, tak samo zresztą jak wszystkich policjantów zaangażowanych w śledztwo. Widać było jednak, że dręczy go coś jeszcze. Pete spotkał Francisca, kiedy ten był jeszcze małym dzieckiem i w jakimś sensie uratował mu życie. Amanda poznała już trochę swojego starszego kolegę i mogła przewidzieć, co działo się teraz w jego głowie. Na pewno zadawał sobie bardzo trudne pytania. Co jeśli jego dawne działania zasiały złe ziarno, z którego po latach wyrósł kolejny demon? Przecież nie da się wykluczyć, że mimo swoich najlepszych intencji był temu winny.

– Nie możemy mieć absolutnej pewności, że Francis jest w to wszystko zamieszany – stwierdziła.

– Zgoda.

Pete dodał do stosu kolejną kartkę.

Amanda westchnęła sfrustrowana świadomością, że w żaden sposób nie obroni Pete'a przed czarnymi myślami. Powiedziała jednak prawdę. Francis Carter wychował się w okropnych warunkach, ale знаła wielu ludzi, którzy w dzieciństwie przeżyli koszmar i padli ofiarą przemocy domowej, lecz mimo to wyszli na prostą. Z piekła można było się wydostać wieloma ścieżkami, a znakomita ich większość prowadziła w górę.

Poznała również wszystkie szczegóły starego śledztwa i wiedziała, że Pete nie popełnił żadnego błędu. Nikt nie poradziłby sobie lepiej od niego, a sposób, w jaki komisarz przekonał do siebie Jane Carter, zasługiwał na najwyższe uznanie. Zaufał instynktowi, skupił uwagę na głównym podejrzanym i w końcu doprowadził do jego aresztowania. To prawda, że nie udało mu się uratować Tony'ego Smitha, ale nie da się przecież ocalić każdego. Zawsze jest coś, czego nie można przewidzieć.

Miała podobny problem z Neilem Spencerem, ale też wiedziała, że nie wolno jej się obwiniać. Nie chciała sobie wmawiać, że coś, co przeoczyła,

coś, czego po prostu nie dało się zauważyć, może być ciężarem, który ciągnął ją w dół.

Skupiła uwagę na bieżącym zadaniu i zaczęła skrupulatnie przeglądać kolejne profile różnych Davidów Parkerów.

– Nie ten.

Stos robił się coraz wyższy.

– Nie ten.

Brzmiało to trochę jak mantra. Nie ten, nie ten, nie ten. Dopiero kiedy wypowiedziała tę formułkę trzy razy, zauważyła, że Pete milczał dłużej, niż należało się spodziewać. Spojrzała na niego z nadzieją, ale szybko zorientowała się, że jej kolega po prostu zrobił sobie przerwę. Trzymał w ręku telefon i gapił się w ekran.

– Coś się stało? – spytała.

– Nie, nic.

Widziała jednak, że to nieprawda. Twarz Pete'a wyraźnie się rozpogodziła. Amanda nie mogła uwierzyć własnym oczom. A może tylko jej się wydawało? To był zaledwie cień uśmiechu, ale nigdy wcześniej nie widziała u niego podobnego wyrazu twarzy.

Jej kolega zawsze był niezwykle poważny i surowy. Przypominał ciemny dom, w którym uparty właściciel z jakiegoś powodu nie chce włączyć światła. Teraz w jednym pokoju zapaliła się pojedyncza żarówka. Chyba dostał esemesa, pomyślała. Może od kobiety? Albo od mężczyzny. Skąd mogła wiedzieć? Przecież nie miała pojęcia o jego życiu prywatnym. Niezależnie od wszystkiego cieszyła się, że coś sprawiło mu radość i nareszcie mogła zobaczyć bardziej pogodne oblicze komisarza Willisa. To miła odmiana, ponieważ jak do tej pory Pete miał wypisany na twarzy smutek, co sprawiało, że trochę się o niego martwiła.

Chciała, żeby ta chwila radości potrwiała dłużej.

– Widzę, że coś się wydarzyło – zauważyła lekko zaczepnym tonem.

– Nic takiego. Ktoś właśnie mnie poprosił, żebym coś dla niego zrobił dziś wieczorem. – Odłożył telefon i posmutniał. – Ale to niestety niemożliwe.

– Przestań się wygłupiać.

Pete spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem.

– Mówię serio – zapewniła. – Przecież formalnie rzecz biorąc, to moje śledztwo, a nie twoje. Zostanę po godzinach tyle, ile trzeba, a ty po fajrancie wracasz do domu.

– Nie.

– Tak. Będziesz mógł się zająć, czym tylko chcesz. Skontaktuję się z tobą, jeśli stanie się coś ważnego.

– To powinno być moje zadanie.

– W żadnym razie. Nawet jeżeli namierzemy właściwego Davida Parkera, nadal nie będzie wiadomo, czy w ogóle jest w to wszystko zamieszany. To będzie rutynowa rozmowa i lepiej, żeby przeprowadził ją ktoś inny niż ty. Zdaję sobie sprawę, jak wiele znaczy dla ciebie ta sprawa, ale nie możesz żyć wyłącznie przeszłością. Teraźniejszość też jest ważna. – Skinęła głową w stronę telefonu. – Czasami trzeba wyjść z biura i zająć się czymś niezwiązanym z pracą. Wiesz, co mam na myśli?

Na dłuższą chwilę zaległa cisza. Myślała, że Pete zacznie protestować, ale skinął głową i powiedział:

– Masz rację: nie można żyć przeszłością. Nawet nie wiesz, jak bardzo się z tobą zgadzam.

– Nie musisz mi tego mówić.

Uśmiechnął się.

– W porządku.

Znowu wziął do ręki telefon i zaczął stukać w ekran. Robił to trochę niezdarnie, jakby nie pisał w życiu wielu esemesów. A może był po prostu zdenerwowany. Wszystko jedno; miło było znowu zobaczyć na jego twarzy lekki uśmiech. Okazało się, że nawet Pete potrafi się z czegoś ucieszyć.

To znak, że wraca do życia, pomyślała, baczenie mu się przyglądając.

Po okropnościach, których doświadczył, czekało go wreszcie coś przyjemnego.

Rozdział 45

Ustaliłem z ojcem, że pojawi się u nas o siódmej wieczorem. Zapukał do drzwi dokładnie o wyznaczonej godzinie, pewnie przyjechał wcześniej i czekał w samochodzie. Być może zrobił tak, żeby mnie nie urazić. Chyba nie spodziewał się, że dopuszczę go do naszego życia, i chciał szanować postawione przeze mnie warunki. Po chwili doszedłem jednak do wniosku, że tak samo zachowywał się w każdej sytuacji. Po prostu cenił sobie dyscyplinę.

Ubrał się bardzo schludnie. Miał spodnie od garnituru i koszulę. Można było odnieść wrażenie, że przyjechał prosto z pracy, ale wyglądał na wypoczętego i miał lekko wilgotne włosy. Po powrocie z komisariatu wziął więc prysznic i się przebrał. Od razu zauważyłem też, że ładnie pachnie. Kiedy wszedł do przedpokoju, odruchowo to sprawdziłem. Jeśli w dalszym ciągu zaglądałby do kieliszka, to o tej godzinie na pewno byłby już lekko wstawiony, a ja musiałbym zmienić plany na wieczór.

Jake klęczał na podłodze w salonie i coś rysował.

– Przywitaj się z Pete’em – powiedziałem.

– Cześć, Pete.

– Mógłbyś chociaż podnieść głowę.

Jake westchnął, ale odłożył długopis. Jego palce były wybrudzone atramentem.

– Cześć, Pete – powtórzył.

Na twarzy ojca pojawił się uśmiech.

– Dobry wieczór, Jake. Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać. Cieszę się, że będę mógł się tobą zaopiekować.

– Nie ma sprawy.

– Jesteśmy ci wdzięczni – powiedziałem. – To potrwa najwyżej kilka godzin.

– Nie musisz się spieszyć. Wziąłem ze sobą książkę.

Spojrzałem na gruby tom, który trzymał w ręku. Nie byłem w stanie odczytać tytułu, ale na okładce widniała czarno-biała fotografia Winstona Churchilla. To była dokładnie taka lektura, po którą sam chętnie bym sięgnął, chociaż pewnie miałbym trudności z dobrnięciem do końca. Poczuję się lekko skrępowany. Mój ojciec zmienił się zarówno fizycznie, jak i psychicznie w człowieka godnego szacunku. Wydawało mi się, że sporo mi do niego brakuje.

Kurczę, to było naprawdę głupie.

„Nie powinienes być dla siebie taki surowy”.

Pete odłożył książkę na kanapę.

– Możesz mnie oprowadzić?

– Przecież już tutaj byłeś.

– Ale w innej roli. To twój dom. Wolałbym, żebyś sam wszystko mi pokazał.

– Okay. Idziemy na górę, Jake.

– Tak, wiem.

Pochylił się nad kartką papieru i znowu zaczął rysować. Weszliśmy po schodach i pokazałem ojcu łazienkę i pokój Jake’a.

– Zazwyczaj wieczorem bierze kąpiel, ale dzisiaj możecie sobie darować – wyjaśniłem. – Za jakieś pół godziny pójdzie do łóżka. Piżama leży na kołdrze, a książka na stoliku. Zwykle czytamy razem jeden rozdział, a potem gaszę światło. Jesteśmy mniej więcej w połowie.

Ojciec spojrzał na okładkę i zrobił lekko zdziwioną minę.

– *Power of Three*?

– Tak, Diana Wynne Jones. Straszny starość, ale Jake’owi bardzo się podoba.

– Okay.

– Jak już ci mówiłem, mam zamiar w miarę szybko wrócić.

– Robisz coś ciekawego?

Przez chwilę się zawahałem.

– Idę na drinka z koleżanką.

Nie miałem zamiaru wchodzić w szczegóły. Wystarczyła świadomość, że wybieram się na coś w rodzaju randki, żebym poczuł się jak nastolatek. Rzecz jasna, ojciec był nieobecny, kiedy przechodziłem przez trudny okres dorastania, więc nic dziwnego, że sytuacja zrobiła się dość niezręczna. Jak do tej pory nie mieliśmy okazji rozmawiać na podobne tematy.

– Jestem pewien, że będziesz dobrze się bawić.

– Dziękuję.

Kiedy pomyślałem o spotkaniu z Karen, ogarnęło mnie uczucie, które znałem z młodości: miałem motyle w brzuchu. Dziwne, ponieważ nie szedłem przecież na prawdziwą randkę. Nie powinienem traktować tego wszystkiego na poważnie. To może doprowadzić tylko i wyłącznie do rozczarowania. Oboje mamy w domach małe dzieci, więc na pewno do niczego nie dojdzie. W jaki sposób radzą sobie w takich sytuacjach samotni rodzice? Ciekawe pytanie. Od tak dawna z nikim się nie umawiałem, że naprawdę czułem się jak nastolatek.

Motyle.

W tym momencie przypomniałem sobie, że kiedy już wpuściłem Pete'a do domu, nie zamknąłem drzwi wejściowych na klucz. W mgnieniu oka przyjemne podniecenie ustąpiło miejsca strachowi.

– Dobrze – powiedziałem. – W takim razie chodźmy na dół.

Rozdział 46

Zatrzeszczał sufit. To tata i Pete chodzili po pokojach na piętrze. Jake słyszał, że ze sobą rozmawiają, ale nie potrafił wychwycić poszczególnych słów. Był jednak pewien, że mówią o nim: tata pewnie dawał Pete'owi instrukcje, jak należy się nim opiekować albo coś w tym stylu. To dobrze, ponieważ chciał jak najszybciej położyć się do łóżka.

Naprawdę miał już serdecznie dość tego dnia.

Właśnie dlatego lubił zasypiać. Sen przynosił zupełnie nowy początek.

Dzięki temu można było zapomnieć o kłótniach i wszelkich zmartwieniach.

Odczuwasz lęk albo coś cię gryzie. Wydaje ci się, że na pewno nie zaśniesz, jednak jakimś cudem wreszcie się udaje. Budzisz się rano i czujesz się lepiej, jakby w nocy nad okolicą przeszła gwałtowna burza i zmiotła wszystkie problemy.

Tata mu powiedział, że przed poważną operacją pacjenci poddawani są narkozie. Lekarze robią z nimi później różne nieprzyjemne rzeczy, a oni nic nie czują i nic nie pamiętają. Po paru godzinach budzą się i są w lepszym stanie.

Jake marzył o tym, żeby pozbyć się strachu.

Nie był jednak pewien, czy „strach” to właściwe słowo. Strach dotyczy zawsze czegoś konkretnego, na przykład boisz się, że zostaniesz zbesztany albo ukarany, tymczasem Jake czuł się jak ptak, który nie ma gdzie wylądować. Od samego rana wydawało mu się, że dziś wydarzy się coś złego, nie wiedział tylko co i dlatego nie chciał, żeby tata wychodził dziś wieczorem z domu.

Zdawał sobie jednak sprawę, że lęk jest jedynie wytworem jego wyobraźni. Uznał więc, że im szybciej pójdzie spać, tym lepiej. Wiedział, że

kiedy obudzi się rano, strach zniknie, tata na pewno wróci i znowu wszystko będzie dobrze.

– Powinieneś się bać.

Jake aż podskoczył z wrażenia.

Obok niego siedziała z wyciągniętymi przed siebie nogami mała dziewczynka. Nie widział jej od początku roku szkolnego, a mimo to czerwone strupy na jej kolanach wciąż się nie zagoiły. Jej włosy jak zwykle sterczały w nieładzie w jedną stronę. Po wyrazie jej twarzy poznał, że dziewczynka nie jest w nastroju do zabawy. Znowu chciała go przed czymś ostrzec i wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną niż on.

– Twój tata nie powinien wychodzić – powiedziała.

Jake spojrział na swój rysunek. Wiedział, że dziewczynka nie istnieje, tak samo jak uczucie strachu. Bardzo by chciał, żeby było inaczej. Musiał jednak przyznać, że wyglądała całkiem realistycznie.

– Nic złego się nie stanie – wyszeptał.

– Owszem, stanie się. I dobrze o tym wiesz.

Pokręcił głową. W takiej sytuacji powinien zachować rozsądek i być dojrzałym chłopcem. Przecież tata bardzo na niego liczył. Zabrał się więc do rysowania i próbował udawać, że obok niego nikt nie siedzi. To wszystko działo się tylko w jego głowie.

Czuł jednak, że dziewczynka zaczyna się złościć.

– Nie chcesz, żeby spotykał się z tą kobietą – powiedziała.

Jake starał się ją zignorować.

– Przecież nie masz ochoty, żeby ktoś zastąpił twoją mamę, prawda?

Prawda, wcale tego nie chciał. Przestał rysować i zaczął się zastanawiać, czy to w ogóle możliwe. Trudno było zaprzeczyć, że kiedy tata mówił o dzisiejszym wyjściu, zachowywał się dość dziwnie. Jake nie za bardzo potrafił to nazwać, ale wiedział, że coś jest na rzeczy. Wydawało mu się również, że tata nie mówi mu wszystkiego. Nikt nie mógł zastąpić mamy i tata na pewno zdawał sobie z tego sprawę.

Nagle Jake przypomniał sobie to, co przeczytał w komputerze.

Było mu przykro, ale potem wszystko sobie wyjaśnili. Tata pisał książki,

które nie opowiadały o tym, co się naprawdę stało. Poza tym ostatnio był bardzo smutny i praca mogła mu pomóc. Jake nie powinien się wtrącać. Tata ma być tatą, a wtedy na pewno wszystko dobrze się ułoży.

Trzeba być odważnym.

Chwilę później dziewczynka oparła głowę na jego ramieniu. Na szyi poczuł jej sztywne włosy.

– Strasznie się boję, Jake – powiedziała cichym głosem. – Nie pozwól, żeby twój tata stąd poszedł.

Chciała dodać coś jeszcze, ale na schodach rozległy się ciężkie kroki i zniknęła.

Rozdział 47

Kiedy zeszliśmy na dół, Jake siedział na podłodze pochylony nad kartką papieru. Trzymał w ręku długopis, ale nie rysował, tylko patrzył przed siebie w pustkę. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać. Podeszedłem do niego i ukucnąłem obok.

– Wszystko w porządku, kolego?

Skinął głową, ale mu nie uwierzyłem.

– Coś się stało?

– Nic.

– Hmm... – Zmarszczyłem czoło. – Mam poważne wątpliwości, czy mówisz prawdę. Martwisz się dzisiejszym wieczorem?

Wyraźnie się zawahał.

– Może trochę.

– To całkiem zrozumiałe, jednak zapewniam cię, że wszystko będzie dobrze. Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że będziesz się cieszył. Rzadko masz okazję spędzać czas z kimś innym.

Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. Chociaż wciąż było w nim coś delikatnego i bezbronnego, to nigdy nie widziałem tak poważnej miny.

– Uważasz, że nie chcę spędzać z tobą czasu? – zapytał.

– Ach, Jake... Chodź tu do mnie.

Zmieniłem pozycję tak, żeby mógł usiąść mi na kolanie i mocno się przytulić. Nie musiałem go dwa razy zachęcać. Już po chwili poczułem, jak przywiera do mnie swoim drobnym ciałem.

– Wcale tak nie myślę. Chodziło mi o coś zupełnie innego.

Nie była to do końca prawda, ponieważ po śmierci Rebekki najbardziej

bałem się tego, że moja relacja z Jakiem się popsuje i staniemy się dla siebie obcymi ludźmi. Czasami myślałem, że lepiej radziłby sobie beze mnie i bez moich niezdarnych prób bycia dobrym ojcem. Takie wątpliwości ogarniały mnie najczęściej, kiedy wchodził do szkoły i nawet się nie obejrzał, żeby mi pomachać albo choćby się uśmiechnąć.

Zastanawiałem się, czy on również myśli o mnie w ten sposób. Może uznał, że moje dzisiejsze wyjście to znak, że wolę być sam. Z tego samego powodu zapisałem go do świetlicy. Chociaż, rzecz jasna, potrzebowałem czasu dla siebie, jednak tego rodzaju podejrzania były jak najdalsze od prawdy.

To strasznie smutne, pomyślałem. Obaj czujemy dokładnie to samo. Staramy się spotkać w połowie drogi, ale zawsze się mijamy.

– Chcę być z tobą – powiedziałem. – Obiecuję, że szybko wrócę do domu.

Przytulił się jeszcze mocniej.

– Naprawdę musisz iść?

Wzięłem głęboki oddech.

Odpowiedź była prosta: nie, wcale nie muszę. Nie chciałem nigdzie wychodzić, jeśli miałoby to sprawić Jake'owi dużą przykrość.

– Nie – odpowiedziałem – ale zapewniam cię, że wszystko będzie dobrze. Niedługo położysz się spać, a kiedy się obudzisz, będę z powrotem w domu.

Przez dłuższą chwilę milczał, rozważając moje słowa. Poczułem, że zaczyna udzielać mi się jego niepokój. Nie chodziło o zwykłą obawę, lecz o niemal paralizujący strach, że wydarzy się coś złego. Wiedziałem, że to irracjonalne. Nie było przecież żadnego powodu do paniki. Mimo wszystko byłem gotów zostać w domu i już miałem to zakomunikować, kiedy Jake pokiwał głową i wyszeptał:

– Okay.

– Świetnie – oznajmiłem. – Bardzo cię kocham, Jake.

– Ja też cię kocham, tato.

Odsunął się ode mnie i wstał z podłogi. Mój ojciec cały czas czekał przy drzwiach. Kiedy do niego podszedłem, zapytał:

– Z Jakiem wszystko w porządku?

– Tak, nic mu nie jest. Jeśli pojawią się jakieś problemy, masz mój numer telefonu.

– Będzie dobrze. Podejrzewam, że to dla niego nowa sytuacja. Nic dziwnego, że trochę się boi. – Podniósł głos i zwrócił się bezpośrednio do Jake’a: – Jakoś sobie poradzimy, prawda? Będziesz grzeczny?

Jake znowu był zajęty rysowaniem, ale potwierdził skinieniem głowy.

Przez chwilę bacznie mu się przyglądałem. Siedział pochylony nad swoim obrazkiem, a ja poczułem przypływ rodzicielskiej miłości. Byłem zdeterminowany, żeby wszystko dobrze się ułożyło. Razem damy radę. Chciałem z nim być, a on nie wyobrażał sobie życia beze mnie. Jeśli tylko zechcemy, na pewno uda nam się dogadać.

– To zajmie najwyżej kilka godzin – powtórzyłem. – Wrócę najszybciej, jak się da.

Rozdział 48

- Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił sierżant Dyson.
- Wiem – odpowiedziała Amanda.

Posadziła Dysona za kierownicą, żeby ten przez godzinę nie bawił się swoim telefonem. Byli już osiemdziesiąt kilometrów od Featherbank i mijali właśnie rozległy teren kampusu uniwersyteckiego. Potem znaleźli się w części miasta zamieszkaną głównie przez studentów. W wąskich uliczkach stały domy z czerwonej cegły. Budynki były ściśnięte obok siebie i miały trzy albo cztery piętra. Mogło w nich mieszkać razem pięć lub sześć osób, co znacznie obniżało koszty. Innym rozwiązaniem było wynajmowanie pojedynczych pokoi. W obu przypadkach pod jednym dachem lądowali losowo dobrani ludzie, którzy najczęściej nie mieli ochoty nawiązywać bliższych znajomości z resztą lokatorów. Było tanio i anonimowo, co stanowiło główne zalety tego miejsca.

Właśnie w takiej okolicy postanowił się osiedlić David Parker, znany wcześniej jako Francis, syn Franka Cartera.

Przynajmniej wiele wskazywało na to, że to właśnie on: zgadzał się nie tylko wiek, lecz także wygląd. Był prawie na pewno tym samym mężczyzną, który odwiedził Victora Tylera w więzieniu. Namierzyli go godzinę przed wyjściem Pete'a z pracy. Amanda bała się, że jej starszy kolega zmieni plany i za wszelką cenę będzie chciał wziąć udział w przesłuchaniu. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że to dla niego wyjątkowo trudna decyzja. Powstrzymał się jednak od komentarzy i bez słowa obserwował, jak Amanda rozmawia przez telefon o szczegółach swojego wyjazdu. Kiedy szedł do domu, życzył jej tylko powodzenia i poprosił, żeby informowała go na bieżąco o rozwoju wypadków. W jego głosie usłyszała coś w rodzaju ulgi. Czyżby cieszył się z tego, że nie ciąży na nim odpowiedzialność?

Sama czuła narastający niepokój i w głębi duszy chciała, żeby Pete jej

towarzyszył. Wszystko, o czym rozmawiali wcześniej w komisariacie, było prawdą: nie mieli żadnych dowodów na to, że Francis Carter w jakiś sposób łączył się z tą sprawą. Wydawało się więc, że będzie to jedynie rutynowa wizyta, tymczasem Amandę ścisnęło w żołądku. Czuła się jednocześnie trochę przestraszona i podekscytowana. Intuicja podpowiadała jej, że coś się wydarzy i powinna mieć się na baczności.

Dyson zjechał w dół stromego wzgórza. Każdy kolejny dom był niższy od poprzedniego, więc na tle ciemniejącego nieba dachy układały się w ząbkowany kształt przypominający ostrze piły. David Parker wynajmował dwupokojowe mieszkanie, które znajdowało się w suterenie dużej kamienicy zajmowanej przez kilku lokatorów.

Czy ten element pasował do reszty układanki?

Tylko do pewnego stopnia. Jeśli Parker był człowiekiem, którego szukają, na pewno zależało mu na prywatności. Czy przez dwa miesiące więziłby w takim miejscu dziecko, nie zwracając niczyjej uwagi? Mało prawdopodobne. Niewykluczone jednak, że Neil był przetrzymywany gdzie indziej.

Samochód zwolnił.

Niedługo wszystkiego się dowiedzą.

Dyson zaparkował pod latarnią, której blade światło wysysało z otoczenia wszelkie kolory. Wysiedli z samochodu i popatrzyli na czteropiętrowy dom, który wydawał się wciśnięty na siłę między budynki stojące po jego bokach. Okna od frontu były ciemne. Przed posesją znajdował się niski ceglany murek z zardzewiałą furtką. Amanda delikatnie ją otworzyła, żeby nie robić niepotrzebnego hałasu, i weszła na ścieżkę. Po lewej stronie znajdował się zarośnięty ogródek, zbyt mały i ponury, by komuś chciało się o niego zadbać. Do drzwi wejściowych prowadziło kilka stromych schodków. Amanda zauważyła jednak coś jeszcze: za ogródkiem znajdowały się drugie schody, które biegingły w dół i kończyły się niewielkim podestem, tak małym, że ledwie mieściła się na nim jedna osoba. Z góry zauważyła też kawałek okna. Przypuszczała, że to wejście do mieszkania Parkera. Znajdowało się bezpośrednio pod schodami, dobrze ukryte przed wzrokiem pozostałych lokatorów.

Amanda powoli zeszła na dół. Po chwili nie widać już było ogródka, tylko

górną część ceglanego ogrodzenia. Powietrze było tutaj zdecydowanie chłodniejsze. Miała wrażenie, że stoi przed wejściem do jakiegoś grobowca. W ciemnym i brudnym oknie zauważyła w rogach pajęczyny. W gęstniejącym mroku ledwie rysował się kształt drzwi prowadzących do środka.

Głośno zapukała i krzyknęła:

– David Parker?

Nikt nie odpowiedział.

Odczekała kilka sekund i znowu zastukała.

– David? – powtórzyła. – Jesteś tam?

Zaległa kompletna cisza. Obok Amandy stanął sierżant Dyson. Przyłożył dłonie do szyby i zaczął zaglądać do środka mieszkania.

– Nic nie widać – powiedział, po czym odsunął się od brudnego okna. – Co robimy?

Amanda złapała za klamkę. Była zaskoczona, kiedy rozległo się ciche skrzypnięcie i drzwi lekko się uchyliły. Od razu uderzył ją wydobywający się ze środka duszny zapach stęchlizny i czegoś jeszcze.

– To niezbyt bezpieczne zostawiać otwarte mieszkanie w takiej okolicy – stwierdził Dyson.

Stał zbyt daleko, żeby poczuć dokładnie to co ona. Owszem, niezbyt bezpieczne, pomyślała, ale w zupełnie innym sensie. W pokoju panowały egipskie ciemności. Znowu ścisnęło ją w żołądku. Miała coraz większą pewność, że grozi jej tutaj niebezpieczeństwo.

– Uważaj – powiedziała Dysonowi.

Wyjęła latarkę i ostrożnie weszła do środka, zasłaniając rękawem kurtki nos i usta. W powietrzu unosił się kurz, którego drobinki przypominały ziarenka piasku. Powoli przesunęła snop światła po różnych częściach pokoju. Jej oczom ukazało się nędzne wyposażenie: zniszczone szare meble, poprzecierany dywan, sterty pozwijanych starych ubrań i rozklekotany drewniany stół, na którym leżały różne papiery. Na suficie i ścianach widoczne były plamy wilgoci. Po prawej stronie znajdował się aneks kuchenny. Oświetliła stojące na blacie brudne talerze i miski. Nagle coś się tam poruszyło. Na szafkach pojawiły się cienie, a niechciani goście zniknęli

w ciemności.

– Francis? – zawołała.

Wiedziała jednak, że od dawna nikt tu nie zagląda. Mieszkanie zostało porzucone. Ktoś wyszedł stąd w pośpiechu, nawet nie zamknął drzwi na klucz, i nigdy więcej nie wrócił. Kilka razy przekreśliła kontakt. Nic. Czynn timer został opłacony za rok z góry, lecz lokator najwyraźniej zapomniał o rachunku za prąd.

Dyson stanął obok Amandy i jęknął:

– Jezus Maria.

– Poczekaj tutaj – powiedziała.

Ruszyła ostrożnie do przodu, starając się omijać porozrzucone śmieci. Za pokojem znajdowały się jeszcze dwa pomieszczenia. Otworzyła pierwsze drzwi. Zgodnie z przewidywaniami była tu łazienka. Amanda oświetliła wnętrze, z trudem powstrzymując się przed wymiotami. Śmierdziało dużo gorzej niż w salonie. Umywalkę w połowie wypełniała cuchnąca woda, a na podłodze leżały przesiąknięte wilgocią ręczniki, na których pojawiły się ślady pleśni.

Zamknęła drzwi i skierowała się do drugiego pomieszczenia. To musiała być sypialnia. Przygotowała się na najgorsze. Nacisnęła klamkę i zaświeciła do środka latarką.

– Coś ciekawego?

Zignorowała pytanie Dysona i ostrożnie przekroczyła próg pokoju.

W powietrzu unosił się kurz, ale od razu zauważyła, że wszystko tutaj było o wiele bardziej zadbane niż w pozostałej części mieszkania. Co prawda, brakowało mebli, ale dywan był tak miękki i puszysty, że odcisnęły się na nim wyraźne ślady. W miejscu dużego spłaszczonego prostokąta mogła stać komoda. Był jeszcze jeden pojedynczy ślad – kwadrat niewiadomego pochodzenia oraz cztery znacznie mniejsze wgniecenia znajdujące się w równej odległości od siebie. Przyszedł jej na myśl długi stół przysunięty do jednej ze ścian. Ślady były głębokie, więc na blacie musiało leżeć coś ciężkiego.

Co ciekawe, nie dało się określić, gdzie stało łóżko.

W pewnym momencie Amanda zauważyła coś ciekawego i szybko

przesunęła snop światła na przeciwległą ścianę. Wyglądała, jakby nie tylko ktoś ją odświeżył, lecz także dodał kilka nowych elementów. Przy samej podłodze znajdowały się starannie namalowane źdźbła trawy, polne kwiaty oraz latające między nimi pszczoły i motyle.

Przypomniała sobie zdjęcia przedstawiające wnętrze przybudówki Franka Cartera.

O Boże!

Powoli skierowała latarkę w górę i oświetliła sufit.

Zobaczyła słońce z rozgniewaną twarzą, które wpatrywało się w nią czarnymi oczami.

Rozdział 49

Twój tata lubił tę historię, kiedy był małym chłopcem.

Pete chciał wypowiedzieć to zdanie, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Uklęknął przed łóżkiem i wziął do ręki książkę. W sypialni paliło się delikatne światło, a Jake leżał pod kocem. Wyglądał tak krucho i bezbrinnie, że Pete momentalnie przeniósł się w zupełnie inne czasy i przypomniał sobie, jak kiedyś czytał wieczorem własnemu synowi. Powieści Diany Wynne Jones należały do jego ulubionych.

Power of Three. Nie przypominał sobie fabuły, ale okładka wyglądała znajomo. Kiedy dotknął jej palcami, przeszedł go dreszcz. To było bardzo stare wydanie: kartki lekko postrzępione, a grzbiet tak zniszczony, że z trudem dało się odczytać tytuł. Czy to dokładnie ten sam egzemplarz, który miał w rękach wiele lat temu? Najprawdopodobniej tak, pomyślał. Tom nigdy nie wyrzucił tej książki i czytał ją teraz swojemu synowi. Nie chodziło więc tylko o historię przekazywaną z pokolenia na pokolenie, lecz o dokładnie te same strony, na których została wydrukowana.

Było w tym coś niesamowitego.

Twój tata lubił tę historię, kiedy był małym chłopcem.

Naprawdę miał ochotę to powiedzieć, ale całe szczęście, że się powstrzymał. Jake nie miał pojęcia, jaka relacja łączy go z Pete'em. Komisarz zdawał sobie sprawę, że ujawnienie prawdy nie należy do niego, i całkowicie się z tym pogodził. Jeśli chciał udowodnić, że przez te wszystkie lata rzeczywiście się zmienił i nie był już okropnym ojcem z najgorszych wspomnień Toma, nie powinien się wybielać, przywołując bardziej pozytywne momenty ze swojej przeszłości.

Stary Pete Willis odszedł w niepamięć, a na jego miejscu pojawił się zupełnie nowy człowiek.

– Dobrze, zabieramy się do lektury.

Wypełniająca sypialnię łagodne światło sprawiało, że głos komisarza zabrzmiał wyjątkowo łagodnie.

– W którym miejscu skończyliście?

Potem zszedł na parter i usiadł w salonie. Nie sięgnął jednak po książkę o Churchillu, tylko rozkoszował się ciepłą atmosferą, która nie zniknęła po wyjściu z pokoju Jake’a.

Od bardzo dawna na różne sposoby starał się rozproszyć swoją uwagę. Czytał książki, gotował i oglądał telewizję. To były rytuały, dzięki którym mógł skupić się na błahostkach i nie patrzeć w innym, bardziej niebezpiecznym kierunku. Teraz było jednak inaczej. Dręczące go do tej pory głosy ucichły i nie miał ochoty sięgnąć po kieliszek, chociaż tliło się w nim jeszcze wspomnienie gorączki wywoływanej przez nałóg. Przypominało to moment zaraz po zgaszeniu świecy, kiedy to przez pewien czas czuć jeszcze zapach dymu, ale ogień już się nie pali.

Głośna lektura sprawiła mu ogromną przyjemność. Jake słuchał go w ciszy i skupieniu. Po mniej więcej dwóch stronach spytał, czy sam może spróbować. Czytał niepewnym głosem, ale nie miał większych problemów z trudnym słownictwem. Pete był pod wrażeniem. Zwrócił uwagę na to, że w sypialni panował niezwykle spokój. Komisarz zdawał sobie sprawę, jak bardzo zniszczył dzieciństwo swojego syna, ale na całe szczęście Tom okazał się znacznie lepszym ojcem.

Po kwadransie Pete poszedł na górę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jake już zasnął i leżał w łóżku z błogim wyrazem twarzy. Komisarz przyglądał mu się przez dłuższą chwilę i rozmyślał nad swoim losem.

Popatrz, co straciłeś przez alkohol.

Powtarzał wielokrotnie to zdanie, wpatrując się w fotografię Sally i wspominając życie, które sam zrujnował. Zwykle to wystarczyło, żeby zapanować nad chęcią sięgnięcia po kieliszek, ale czasami musiał się nieźle namęczyć. Przez ostatnich kilka miesięcy było naprawdę ciężko, ale jakoś się udało. Kiedy patrzył na śpiącego Jake’a, cieszył się, że mimo wszystko stawił

czoło nałogowi. Miał wrażenie, że w ostatniej chwili zrobił unik i jakimś cudem nie został trafiony przez pocisk, który pędził w jego stronę z niewiadomego kierunku. Wiedział, że przyszłość jest niepewna, ale przynajmniej miał jakieś perspektywy.

Popatrz, co możesz zyskać po odstawieniu alkoholu.

Takie podejście bardziej mu się podobało. Żal i ulga to przecież nie to samo. Jest wielka różnica między wygasłym paleniskiem, w którym zalega szary popiół, a wciąż płonącym ogniem. Wiedział, że nie wszystko stracone. Być może nie odnalazł w sobie dawnego żaru, ale czuł, że coś się jeszcze tli.

Zszedł na parter i zabrał się do lektury, ale z trudem mógł się skupić. Ciągle myślał o śledztwie i co chwila spoglądał na telefon. Czekał na wiadomość od Amandy, ale musiał uzbroić się w cierpliwość. Wydawało mu się, że koleżanka powinna już dotrzeć na miejsce. Niewykluczone, że zdążyła aresztować Francisca Cartera i że wciąż trwa przesłuchanie. Podejrzał, że brak kontaktu wskazywał na tę drugą możliwość. W głębi serca właśnie na to liczył.

Francis Carter.

Bardzo dobrze pamiętał tego chłopca. Rzecz jasna, teraz była to już zupełnie inna osoba: dorosły mężczyzna, który przestał być dzieckiem. Dwadzieścia lat temu Pete rozmawiał z nim zaledwie kilka razy. W większości przypadków przesłuchania prowadzili odpowiednio wykwalifikowani funkcjonariusze. Francis był niezwykle drobnym, bladym i wystraszonego chłopcem. Siedział przy stole ze wzrokiem wbitym w blat i udzielał zdawkowych odpowiedzi na pytania. Dało się zauważyć, że mieszkanie z ojcem pod jednym dachem to dla niego niezwykle traumatyczne doświadczenie. Wyglądał na bezbronną istotę, która przeszła prawdziwe piekło.

Pete przypomniał sobie słowa Franka Cartera.

„Poza tym miał twarz zasłoniętą koszulką. Dokładnie tak jak lubię”.

Wszystkie dzieci były dla niego takie same. Każdy chłopiec równie dobrze nadawał się do jego celów. Tylko dlaczego? Czyżby Carter wyobrażał sobie, że poszczególne ofiary były jego własnym synem? Czy myślał, że jeśli zrobi Francisowi krzywdę, nie uniknie kary, więc postanowił wyżywać się na innych?

Komisarz przez dłuższą chwilę siedział zupełnie nieruchomo.

Jeśli odpowiedzi na powyższe pytania były twierdzące, to jak czuło się w takiej sytuacji dziecko mordercy? Być może Francis miał niezwykle niską samoocenę i uważał, że również zasługuje na śmierć. Czuł się winny z powodu chłopców, którzy zginęli zamiast niego, i z całego serca chciał to jakoś zrekompensować. Pragnął pomagać dzieciom, które znalazły się w podobnej sytuacji, ponieważ uważał, że w ten sposób uleczy samego siebie.

„On naprawdę troszczy się o innych”.

W ten sposób Carter opisał mężczyznę ze zdjęcia, które pokazał mu Pete.

A potem się uśmiechnął.

„Nigdy mnie nie słuchasz, Peter”.

Neil Spencer był więziony przez dwa miesiące, ale porywacz dobrze się nim opiekował. Potem coś poszło nie tak i chłopiec został zamordowany, a jego ciało porzucono dokładnie w tym samym miejscu, w którym doszło do uprowadzenia. Pete przypomniał sobie swoją reakcję, kiedy zobaczył odnalezioną na pustkowiu zwłoki. Miał wrażenie, że ktoś oddał prezent, którym się znudził. Teraz komisarz zmienił zdanie.

Podejrzewał, że chodziło raczej o coś w rodzaju nieudanego eksperymentu.

Z zamyślenia wyrwał go nagle przerażający wrzask Jake'a.

Rozdział 50

Umówiłem się z Karen w pubie położonym kilka ulic od mojego domu, niedaleko szkoły. Był to typowy lokal leżący w centrum małego miasteczka i nazywał się po prostu The Featherbank. Kiedy dotarłem na miejsce, poczułem się trochę nieswojo. Był ciepły wieczór i w ogródku siedziało dużo ludzi. Przez okna widziałem, że w środku również panuje tłok. Przypomniałem sobie, jak po raz pierwszy stanąłem z Jakiem na szkolnym dziedzińcu. Wtedy również miałem wrażenie, że wszyscy świetnie się znają, a ja zupełnie do tego towarzystwa nie pasuję i tak już będzie zawsze.

Zobaczyłem, że Karen czeka na mnie przy barze, więc zacząłem się przeciskać przez tłum. Otaczały mnie spocone ciała i co chwilę słyszałem wybuchy radosnego śmiechu. Dziś Karen nie miała na sobie obszernego płaszcza, a tylko dzinsy i biały top. Kiedy stanąłem obok niej, poczułem, że jestem zdenerwowany.

– Cześć! – przywitałem się dość głośno, próbując przekrzyczeć hałas.

– Cześć! – Uśmiechnęła się, a potem nachyliła w moją stronę i powiedziała: – Jesteś idealnie na czas. Czego się napijesz?

Rzuciłem okiem na ofertę piw z beczki i wybrałem coś na chybił trafił. Zapłaciła, podała mi zimną szklankę, zeszła z barowego stołka i skinieniem głowy wskazała, żebym ruszył za nią. Kiedy szliśmy w głąb sali, pomyślałem, że jak zwykle źle oceniłem sytuację i za chwilę dołączymy do grupki jej znajomych. Na szczęście się pomyliłem. Za barem znajdowały się drzwi, przez które wyszliśmy na zewnątrz. Na podwórku był drugi ogródek, znacznie spokojniejszy i otoczony drzewami. Na trawie ustawiono okrągłe drewniane stoliki i wybudowano niewielki plac zabaw, na którym kilkoro dzieci przechodziło właśnie przez niski most linowy. Rodzice siedzieli obok i sączyli napoje. Było tu znacznie ciszej niż w środku. Karen wybrała stolik na uboczu.

– Mogliśmy zabrać nasze pociechy – powiedziałem.

– Jasne, jeszcze nie zwariowałam. – Usiadła na krześle. – Zakładam, że jeśli jesteś choć trochę odpowiedzialny, zorganizowałeś dla Jake’a opiekę.

Zająłem miejsce obok niej.

– Tak. Mojego ojca.

– No! No! – Zmrużyła oczy. – Po tym, co mi powiedziałeś, to wydaje się dość dziwne.

– Owszem. W normalnych okolicznościach nie poprosiłbym go o taką przysługę, ale... No cóż, chciałem wyskoczyć na piwo, więc musiałem zaryzykować.

Uniosła brwi, a ja od razu się zaczerwieniłem.

– Chodzi, rzecz jasna, o niego, a nie o ciebie.

– Ha! Pamiętaj, że to prywatne spotkanie i nic z tego, co powiesz, nie trafi do mediów. – Położyła dłoń na moim ramieniu i trzymała ją kilka sekund dłużej, niż powinna. – Cieszę się, że mogłeś przyjść.

– Ja też.

– W takim razie na zdrowie!

Stuknęliśmy się szklankami.

– Nie boisz się, że wykręci jakiś numer?

– Mój ojciec? – Pokręciłem głową. – Szczerze mówiąc, nie podejrzewam. Nie w takiej sytuacji. Muszę jednak przyznać, że nie wiem jeszcze, co o tym wszystkim sądzić. Zobaczymy, co przyniesie czas.

– Rozumiem. Całkiem sensowne podejście. Ludzie chyba za dużo myślą o takich sprawach. Czasami lepiej pójść na żywioł. A jak zareagował Jake?

– Wydaje mi się, że bardziej lubi Pete’a niż mnie.

– Nie wierzę, że tak myślisz.

Przypomniałem sobie, jak Jake zachowywał się przed moim wyjściem, i zrobiło mi się głupio.

– Rzeczywiście, trochę przesadzam.

– Już ci mówiłam, że jesteś dla siebie zbyt surowy.

– Możliwe.

Sięgnąłem po szklankę. Cały czas lekko się denerwowałem, ale doszedłem do wniosku, że nie ma to żadnego związku z Karen. Siedzieliśmy razem w pubie, trochę bliżej siebie niż zwykli znajomi, i czułem się naprawdę dobrze. Wspólne spędzanie wolnego czasu wydawało mi się czymś najnormalniejszym na świecie. Napięcie było więc związane z Jakiem. Ciągle się o niego martwiłem i nie potrafiłem przestać o nim myśleć. Miałem dziwne wrażenie, że chociaż czerpałem przyjemność z naszego spotkania, to gdzie indziej działy się o wiele ważniejsze rzeczy.

Uznałem, że to głupie, i wypilem kolejny łyk piwa.

– Jeśli dobrze pamiętam, zostawiłaś Adama pod opieką swojej matki?

– Uhm – potwierdziła, przewracając oczami, a potem wyjaśniła mi swoją sytuację. Przeprowadziła się do Featherbank w zeszłym roku, głównie dlatego że mieszka tu jej mama. Nie przepadały za sobą i nigdy nie łączyła ich bliska więź, ale Adam dobrze dogadywał się z babcią. Karen doszła do wniosku, że powinna to wykorzystać, żeby mieć trochę czasu dla siebie i wreszcie stanąć na nogi.

– Ojciec Adama mieszka gdzie indziej?

– Myślisz, że umówiłabym się z tobą, gdyby było inaczej?

Uśmiechnęła się, a ja lekko wzruszyłem ramionami.

– Może to straszne, co powiem, ale czasami rozstanie rodziców wszystkim wychodzi na dobre, chociaż na początku dzieci zwykle tego nie rozumieją. Brian, mój były partner, pod pewnymi względami przypominał twojego ojca. Można nawet powiedzieć, że byli do siebie bardzo podobni.

Wypiła łyk piwa i na chwilę zaległa cisza. Nie czułem się jednak skrępowany. Było dla mnie jasne, że Karen wolałaby porozmawiać o czymś innym. Niektóre tematy muszą poczekać albo w ogóle nie należy ich poruszać. Na razie obserwowałem dzieci baraszkujące na placu zabaw w dalszej części ogródka. Zaczął się już wieczór i robiło się ciemno. Między gałęziami drzew migotały roje muszek.

Nadal było ciepło i naprawdę przyjemnie.

Coś nie dawało mi jednak spokoju...

Odwróciłem głowę i spojrzałem w inną stronę. Mój wewnętrzny kompas zdążył już ustalić, gdzie znajdował się nasz dom. Wcale nie byłem tak daleko

od Jake'a – w linii prostej może kilkaset metrów – ale miałem wrażenie, że dzieli nas ogromny dystans. Znowu popatrzyłem na dzieci i wydawało mi się, że coś jest nie tak ze światłem. To nie była zwykła ciemność. Miałem wrażenie, jakby doszło do jakiejś awarii.

– Aha – mruknęła nagle Karen, sięgając do torebki. – Właśnie sobie przypomniałam. Mam do ciebie prośbę. Wiem, że to trochę krępujące, ale czy podpiszesz dla mnie egzemplarz swojej książki?

Trzymała moją ostatnią powieść. Kiedy ją zobaczyłem, zdałem sobie sprawę, jak daleko byłem od napisania jej kontynuacji. Bałem się, że zaraz wpadnę w panikę. Wiedziałem jednak, że Karen chciała po prostu być miłą, więc zebrałem się w sobie i powiedziałem:

– Jasne.

Podowała mi długopis. Otworzyłem książkę na stronie tytułowej i napisałem:

Dla Karen.

Co dalej? Nigdy nie miałem dobrych pomysłów.

Bardzo się cieszę z naszego spotkania. Mam nadzieję, że nie uznasz tego za gówno.

Kiedy podpisuję książki moim czytelnikom, niektórzy nie czytają od razu. Zostawiają to na później. Karen nie należała do tego grona. Rzuciła okiem na moją dedykację i wybuchnęła śmiechem.

– Skąd masz pewność, że w ogóle to przeczytam? Po powrocie do domu od razu wrzucam książkę na eBay.

– W porządku, tylko nie spodziewaj się, że zarobisz kokosy.

– Jakoś sobie poradzę.

Robiło się coraz ciemniej. Jeszcze raz spojrzałem na plac zabaw i zobaczyłem małą dziewczynkę w niebiesko-białej sukience. Patrzyła w moją stronę. Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały i miałem wrażenie, że ogródek piwny i wszystko dookoła przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Dziewczynka szeroko się uśmiechnęła, a potem zaczęła gonić swoją koleżankę i obie wbiegły na mostek linowy.

Pokręciłem głową.

– Wszystko w porządku? – spytała Karen.

– Aha.

– Chyba ci nie wierzę. Chodzi o Jake’a?

– Wydaje mi się, że tak.

– Martwisz się o niego?

– Sam nie wiem. Pierwszy raz wyszedłem gdzieś wieczorem, a Jake został w domu. Dobrze się bawię, ale szczerze mówiąc, mam wrażenie, że...

– To strasznie dziwne?

– Trochę tak.

– Rozumiem cię. – Uśmiechnęła się ze współczuciem. – Miałam dokładnie tak samo, kiedy zaczęłam wychodzić z domu i zostawiałam Adama pod opieką mamy. Wydawało mi się, że jestem uwiązana na smyczy i nie mogę odejść za daleko. Cały czas czułam, że powinnam wrócić.

Przytaknąłem, chociaż w moim przypadku chodziło jeszcze o coś innego. W głębi serca tliło się przekonanie, że stało się coś bardzo złego. Zdawałem sobie sprawę, że dramatyzuję i wyolbrzymiam stan, który opisała Karen.

– Nie przejmuj się – kontynuowała. – To normalne. Początki zawsze są trudne. Dopijmy piwo i wracajmy do domu. Możemy się przecież umówić jeszcze raz. Rzecz jasna, jeśli będziesz miał ochotę.

– Pewnie, czemu nie.

– Super.

Spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy i pojawiło się przyjemne napięcie związane z tym, co może się za chwilę wydarzyć. Zorientowałem się, że to doskonały moment, żeby się pochylić i ją pocałować. Wydawało mi się, że Karen nie miałaby nic przeciwko temu. Wystarczyło zamknąć oczy, lekko przekrzywić głowę i delikatnie musnąć jej usta. Wiedziałem też, że jeśli żadne z nas nie przejmie inicjatywy, to ta chwila przeminie i ktoś w końcu się odwróci. Oboje będziemy zdawać sobie jednak sprawę, jak było blisko, i wcześniej czy później znowu dojdzie do podobnej sytuacji.

W takim razie czemu nie teraz?

Już miałem zrobić pierwszy krok, kiedy zadzwonił mój telefon.

Rozdział 51

Tamtego popołudnia Jake wracał ze szkoły razem z tatą. Zwykle odbierała go mama, ponieważ zgodnie z harmonogramem tego dnia tata miał pracować w domu, ale z jakiegoś powodu wyszło inaczej.

Tata pisał książki, a ludzie je czytali i płacili mu za to pieniądze. Jake uważał, że to strasznie fajne zajęcie. Czasami tata się z nim zgadzał. Najlepsze było to, że w odróżnieniu od innych dorosłych nie musiał codziennie zakładać garnituru, chodzić do biura i słuchać poleceń szefa. Takie zajęcie miało jednak także swoje wady: wielu ludzi nie uważało go za pracę z prawdziwego zdarzenia.

Jake nie do końca rozumiał, jak to wszystko działa, ale zdawał sobie sprawę, że z tego powodu dochodziło do nieporozumień między rodzicami. Właśnie dlatego to tata zwykle odprowadzał go do szkoły, a potem po niego przychodził. Niestety, w rezultacie mniej pisał. Żeby rozwiązać ten problem, po lekcjach miała go częściej odbierać mama. Tamtego dnia na dziedzińcu znowu czekał na niego ojciec. Nie był w najlepszym nastroju. Powiedział, że mama źle się poczuła i musiał ją zastąpić.

Właśnie w taki sposób to ujął: „Musiałem ją zastąpić”.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jake.

– Chyba tak. Kiedy wróciła z pracy, zakręciło jej się w głowie i poszła się położyć.

Jake mu uwierzył. Nie podejrzewał, żeby mamie dolegało coś poważnego. Tata był jednak bardziej spięty niż zwykle. To pewnie dlatego, że nie najlepiej szło mu pisanie, a potem musiał jeszcze wyjść z domu i... No cóż, najwyraźniej nie tego potrzebował do szczęścia.

Jake często czuł się jak piąte koło u wozu. Miał wrażenie, że bez niego życie taty byłoby dużo łatwiejsze.

W samochodzie tata jak zwykle pytał go o szkołę, o to, jak się czuje i co dziś robił. Jake udzielał zdawkowych odpowiedzi albo milczał. W jego życiu nie wydarzyło się nic ciekawego, a poza tym podejrzewał, że tatę to wszystko nieszczerze interesowało.

Zaparkowali przed domem.

– Mogę pobiec do mamy?

Obawiał się, że jego prośba spotka się z odmową, chociaż nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Tak bardzo chciał zobaczyć się z mamą, że aż spodziewał się, że tata zrobi mu na złość i każe poczekać. Okazało się jednak, że te obawy były całkowicie nieuzasadnione. Ojciec szeroko się uśmiechnął, zmierzwił mu włosy i powiedział:

– Jasne, kolego, tylko bądź grzeczny, dobrze?

– Oczywiście.

Drzwi był otwarte, więc Jake wbiegł do środka, nawet nie zdejmując butów. Normalnie dostałby za coś takiego reprimendę. Mama nie znosiła bałaganu, ale tym razem wiedział, że niczego nie pobrudzi, ponieważ miał czyste buty. Poza tym bardzo chciał się do niej przytulić i sprawić, żeby lepiej się poczuła. Przemknął przez kuchnię i wpadł do salonu.

Nagle stanął jak wryty.

Coś mu nie pasowało. Zasłony po drugiej stronie pokoju były rozsunięte i przez okno wpadało do środka popołudniowe słońce. Panował dziwny spokój i było cicho jak makiem zasiał. I właśnie to wzbudzało podejrzenia. Nawet jeśli ktoś się chowa, zwykle można wyczuć jego obecność, która wyraźnie wpływa na panującą w pomieszczeniu atmosferę. Możliwe, że ma to jakiś związek z ciśnieniem. W tamtym momencie Jake był pewien, że w salonie jest pusto.

Nikogo tam nie było.

Tata nie wrócił jeszcze do domu: pewnie robił coś przy samochodzie. Jake powoli przeszedł na drugą stronę pokoju, lecz miał wrażenie, jakby to przedmioty się poruszały, a on stał w miejscu. Cisza aż dzwoniła w uszach i wydawało mu się, że jeśli nie będzie wystarczająco ostrożny, to zaraz z czymś się zderzy i rozlegnie się straszliwy hałas.

Zbliżył się do okna i stanął obok drzwi wychodzących na mały korytarz,

na którym zaczynały się schody. Z każdym krokiem widział coraz więcej.

Szyba z matowego szkła.

Słyszał tylko bicie własnego serca.

Biała tapeta.

Szedł tak powoli, że ledwie się poruszał.

Drewniana poręcz z wyraźnymi sękami.

Spojrzał w dół na podłogę.

Mamusia...

– Tato!

Jake krzyknął przez sen i dopiero po chwili się obudził, a potem schował pod kołdrę i wrzasnął jeszcze raz. Czuł, że jego małe serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Od wyprowadzki ze starego domu nie śniły mu się żadne koszmary. Właśnie dlatego był teraz w takim szoku i nie potrafił nad sobą zapanować.

Postanowił chwilę poczekać.

Nie wiedział, która jest godzina i jak długo spał, ale miał nadzieję, że tata już wrócił. Po chwili usłyszał kroki na schodach.

Zebrał się na odwagę i wysunął głowę spod pościeli. Na korytarzu ciągle paliło się światło i widać było powiększający się cień kogoś, kto zbliża się do drzwi.

– Hej – powiedział spokojny męski głos. – Co się stało?

Jake przypomniał sobie, że to Pete. Bardzo go lubił, ale żałował, że to nie tata. Naprawdę go potrzebował i chciał, by to on wchodził teraz do sypialni.

Pete był bardzo stary, ale nadzwyczaj sprawnie usiadł po turecku na podłodze obok łóżka.

– Dlaczego krzyczałeś? – zapytał.

– Miałem zły sen. Gdzie tata?

– Jeszcze nie wrócił. Koszmary potrafią być naprawdę straszne. Co ci się śniło?

Jake energicznie pokręcił głową. Nikomu nigdy o tym nie opowiadał, nawet tatusiowi, i nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie w stanie o tym mówić.

– W porządku. – Pete zrobił wyrozumiałą minę. – Wiesz, że ja też miewam koszmary? Nawet dość często. Co więcej, wydaje mi się, że nie ma w tym nic złego.

– Jak to?

– Czasami w życiu przydarza nam się coś naprawdę nieprzyjemnego. Potem wolimy tego nie roztrząsać, więc przykre wspomnienia zakopujemy głęboko w naszej pamięci.

– Jak melodie, które wpadają w ucho i nie można się ich pozbyć?

– Owszem, chyba można tak powiedzieć. Jednak złe rzeczy w końcu wypływają na powierzchnię. Koszmary to sposób, w jaki nasz umysł sobie z nimi radzi. Rozbija je na coraz drobniejsze kawałeczki, aż wreszcie nic z nich nie zostaje.

Jake na chwilę się zamyślił. To, co mu się przyśniło, było bardziej przerażające niż kiedykolwiek. Miał wrażenie, że jest coraz gorzej, a jego umysł kumuluje złe wspomnienia. Koszmar kończył się jednak zawsze w tym samym momencie: Jake budził się, zanim zobaczył leżącą na podłodze mamę. Pete mógł mieć rację. Być może umysł Jake'a był tak bardzo przerażony, że najpierw budował napięcie, a dopiero potem będzie je rozładowywał.

– Zdaję sobie sprawę, że to wcale nie jest łatwe – powiedział Pete – ale wiesz co? Koszmary sen nigdy nie zrobi ci krzywdy, więc nie ma się czego bać.

– Wiem, ale wolałbym być teraz z tatą – oznajmił Jake.

– Jestem pewien, że niedługo wróci.

– Potrzebuję go. – Koszmary sen oraz ostrzeżenie małej dziewczynki oznaczały, że coś jest nie tak. – Możesz do niego zadzwonić i powiedzieć, żeby zbierał się do domu?

Pete przez chwilę milczał.

– Proszę – jęknął Jake. – Na pewno nie będzie się złościł.

– Masz rację – przytaknął Pete i wyjął z kieszeni telefon.

Jake obserwował z niepokojem, jak komisarz odblokowuje urządzenie, stuka w ekran i przystawia słuchawkę do ucha.

Na dole trzasnęły drzwi i ktoś wszedł do przedpokoju.

– Aha, to pewnie twój tata. – Pete od razu się rozłączył. – Jak widzisz, wszystko w porządku. Zejdę na parter i zaraz go tu przyprowadzę, a ty chwilę poczekaś, dobrze?

Nie, pomyślał Jake. Nie chciał spędzać sam w ciemności ani sekundy dłużej. Dotarło do niego jednak, że tata wrócił, i poczuł ogromną ulgę.

– Okay.

Pete podniósł się z podłogi i wyszedł na korytarz. Po chwili zaskrzypiały schody, a komisarz zaczął wołać tatę po imieniu.

Jake uważnie nasłuchiwał, wpatrując się w prześwitujący pod drzwiami wąski pasek światła. Przez kilka sekund panowała kompletna cisza. Potem rozległ się hałas, którego Jake nie potrafił zidentyfikować. Jakby ktoś przesuwiał meble. Po jakimś czasie usłyszał ludzkie głosy, ale nie była to zwykła rozmowa, tylko jęki i posapywania, jakby ktoś wkładał wiele wysiłku w popchnięcie jakiegoś dużego przedmiotu.

Znowu hałas. Tym razem spadło coś ciężkiego.

Ponownie cisza.

Jake chciał zawołać tatę, ale serce waliło mu tak mocno, że nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Czuł się tak samo przerażony jak w momencie, kiedy obudził się z koszmaru. Cisza dzwoniła mu w uszach i miał wrażenie, że znowu znalazł się w środku złego snu.

Patrzył w stronę pustego korytarza i czekał.

Kilka sekund później pojawił się nowy dźwięk. Zaskrzypiały schody i ktoś zaczął wspinać się na górę. Szedł powoli i ostrożnie, jak gdyby także bał się ciszy.

A potem wyszeptał imię Jake'a.

Rozdział 52

– Jestem pewna, że nic się nie stało.

Karen szła obok mnie, starając się zachować beztroski ton. Miała rację: niewątpliwie przesadzałem, jednak tak szybko przebierałem nogami, że ledwo za mną nadązała. Kiedy poderwałem się od stolika i wybiegłem z lokalu, bez słowa ruszyła za mną. Gdyby nie jej towarzystwo, na pewno pędziłbym teraz przed siebie, ile sił w nogach. Chociaż zdawałem sobie sprawę, że reaguję zbyt emocjonalnie, to czułem w sercu ogromny niepokój. Byłem niemal pewien, że stało się coś bardzo złego.

Wyjąłem telefon i jeszcze raz wybrałem numer ojca. Zadzwoił do mnie, kiedy jeszcze siedzieliśmy w pubie, ale rozłączył się, nim zdążyłem odebrać. Uznałem, że to był zły znak. Od tamtej pory bezskutecznie próbowałem się z nim skontaktować.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Pete nie podnosił słuchawki.

– Cholera!

Dotarliśmy do wylotu ulicy, przy której stał nasz dom. Być może ojciec wybrał mój numer przez przypadek albo w ostatniej chwili się rozmyślił. Pamiętałem jednak, że do tej pory zachowywał się wyjątkowo odpowiedzialnie. Był bardzo zadowolony, kiedy poprosiłem go o opiekę nad Jakiem i w bardzo niewielkim stopniu uchyliłem drzwi do naszego życia. Nie dzwoniłby, gdyby chodziło o błąhostkę, z którą potrafiłby sobie sam poradzić.

Po prawej stronie rozciągało się pole, nad którym zapadł już zmrok. Nikogo nie widziałem, ale było zbyt ciemno, żeby mieć absolutną pewność. Przyspieszyłem kroku, zdając sobie sprawę, że w oczach Karen zachowuję się jak kompletny wariat. Czułem, jak ogarnia mnie panika. Wiedziałem, że

to całkowicie irracjonalne, ale nie potrafiłem nad nią zapanować.

Jake...

Dotarliśmy na podjazd.

Wejście było otwarte i na ścieżkę padał snop jasnego światła.

Jeśli drzwi nie zamkniesz w porę...

W tym momencie zacząłem biec.

– Tom!

Zatrzymałem się w progu. Na najniższych stopniach drewnianych schodów zauważyłem krwawe ślady czyichś butów.

– Jake? – krzyknąłem.

W domu panowała kompletna cisza. Ostrożnie wszedłem do środka. Szumiało mi w uszach, a serce waliło jak młotem.

Obok mnie stanęła Karen.

– Co się tutaj stało? O Boże!

Spojrzałem w prawo, w stronę salonu. To, co zobaczyłem, nie mieściło się w granicach mojej wyobraźni. Ojciec leżał skulony na podłodze pod samym oknem, jak gdyby właśnie położył się spać. Z niedowierzaniem pokręciłem głową. Jego ubranie było pobrudzone krwią, a głowę i tułów otaczała czerwona kałuża. Nie ruszał się. Przez dłuższą chwilę zupełnie nie wiedziałem, co zrobić, i zamarłem jak rażony gromem.

Karen wzięła głęboki wdech i cicho jęknęła. Odwróciłem się i zobaczyłem, że jest biała jak ściana. Miała wytrzeszczone oczy i zakrywała usta dłonią.

Gdzie jest Jake? – pomyślałem.

– Tom...

Potem nic już nie słyszałem, ponieważ potrzeba ratowania mojego syna sprawiła, że nagle ożyłem i zacząłem działać. Wyminąłem Karen i wbiegłem po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. W duchu cały czas się modliłem. Błagam, tylko nie to...

– Jake!

Na półpiętrze również spostrzegłem wyraźnie odcisnięte na dywanie ślady

zakrwawionych butów. Ktoś zaatakował ojca, a potem wspiał się na górę, żeby...

Stanąłem w progu sypialni Jake'a.

Zrobiłem krok do przodu. Na łóżku leżała zmięta pościel, a Jake zniknął. Pokój był pusty. Stałem na środku przez kilka sekund i nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu. Czułem, jak ogarnia mnie coraz większy strach.

Usłyszałem, jak na dole Karen rozmawia rozgorączkowanym głosem przez telefon. Karetka pogotowia. Policja. Pilna interwencja. Dobiegały mnie pojedyncze słowa, których nie potrafiłem złożyć w sensowną całość. Mój umysł nagle zaczął tracić kontakt z rzeczywistością. Miałem wrażenie, jakby ktoś otworzył mi czaszkę i wystawił mózg na bezpośredni kontakt z przestrzenią, w której roiło się od wszelkich okropieństw.

Podszedłem do łóżka.

Jake rozplynął się w powietrzu. Jak to możliwe? Przecież nie wyszedł sam z domu.

Co się tutaj wydarzyło?

W pewnym momencie zauważyłem leżącą na podłodze Teczka z Bardzo Ważnymi Rzeczami. Dopiero kiedy wziąłem ją do ręki, dotarło do mnie, że Jake nigdzie by się bez niej nie ruszył. Poczułem, jakbym dostał czymś ciężkim w głowę. Wreszcie zrozumiałem, co się stało.

Jake zniknął, ale Teczka została w jego pokoju.

Nie śnił mi się żaden koszmar. To wszystko działało się naprawdę.

Ktoś uprowadził mojego syna.

Właśnie wtedy zacząłem krzyczeć.

Część piąta

Rozdział 53

Najważniejsze jest pierwsze czterdzieści osiem godzin po zaginięciu.

Kiedy zniknął Neil Spencer, dwie godziny zostały stracone, ponieważ nikt nie wiedział, że stało się coś złego. W przypadku Jake'a Kennedy'ego poszukiwania rozpoczęto zaledwie kilka minut po tym, jak ojciec razem ze swoją przyjaciółką wrócili do domu. Amanda i sierżant Dyson byli wtedy w komendzie oddalonej osiemdziesiąt kilometrów od Featherbank. Od razu wsiedli do radiowozu, żeby jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Kiedy dotarli do miasteczka, Amanda spojrzała na zegarek. Właśnie minęła dziesiąta. Cała maszyna, którą wprawia się w ruch, gdy zaginie dziecko, działała już pełną parą. W oknach trochę dziwnie wyglądającego domu widać było światło i cienie poruszające się na zasłonach. Policja miała pełne ręce roboty. Przed okolicznymi posesjami kręcili się funkcjonariusze. Pukali do drzwi i rozmawiali z sąsiadami. Po drugiej stronie ulicy błyskały latarki ekipy przeczesującej pole. Przesłuchano świadków i zabezpieczono nagrania z monitoringu. Teraz pozostawało czekać na efekty tych działań.

W innych okolicznościach Pete również dołączyłby do grupy poszukiwawczej, ale nie po tym, co się stało. Amanda starała się trzymać nerwy na wodzy. Wyjęła telefon i zadzwoniła do szpitala, żeby sprawdzić, jak się czuje jej kolega, a potem z udawanym spokojem słuchała wyjaśnień lekarza. Pete wciąż nie odzyskał przytomności i był w stanie krytycznym. Jezu Chryste. Pamiętała o jego świetnej kondycji, okazało się jednak, że przy takich obrażeniach dobra forma i sprawność fizyczna nie mają większego znaczenia. Niewykluczone, że został zaatakowany znienacka. Próbował się bronić, ale napastnik zadał kilka pchnięć nożem: w bok, szyję i głowę. Była w tej napaści jakaś gorączkowa impulsywność. Amanda nie miała wątpliwości, że chodziło o próbę morderstwa. Najbliższe godziny pokażą, czy agresorowi udało się osiągnąć swój cel. Według lekarzy na dwoje babka

wróżyła. Mieli jedynie nadzieję, że silny organizm nie da łatwo za wygraną.

Dasz radę, Pete, pomyślała.

Wyliżesz się z tego. Musisz sobie poradzić.

Kliknęła w ekran telefonu i sprawdziła zawartość folderu dotyczącego śledztwa. Nic nowego. Policjanci spisali zeznania Toma Kennedy'ego i kobiety, z którą pojawił się w domu. To była Karen Shaw. Amanda od razu rozpoznała to nazwisko. Shaw była miejscową dziennikarką specjalizującą się w tematyce kryminalnej. Z posiadanych przez policję informacji wynikało, że Shaw i Kennedy poszli razem na piwo. Przyjaźnili się, ich dzieci chodziły do tej samej klasy. Amanda miała nadzieję, że Shaw okaże się bardziej godna zaufania niż większość przedstawicieli jej profesji. W obecnej sytuacji miało to naprawdę duże znaczenie.

Wciąż nie wiedziała, dlaczego Pete w ogóle znalazł się w tym domu.

Pamiętała, że po południu był czymś bardzo podekscytowany. Uśmiechał się, czytając esemesy, a potem wcześniej wyszedł z pracy. Wtedy podejrzewała, że wybiera się na randkę, ale okazało się, że złożył wizytę Tomowi Kennedy'emu. Pete był zaangażowany w śledztwo i nie powinien po godzinach umawiać się na takie spotkania. Naruszał zasady etyki zawodowej.

Jeszcze bardziej niepokoiła ją świadomość, że sama nakłaniała go do wyjścia z pracy. Po prostu pragnęła, żeby był szczęśliwy. Gdyby został w biurze, nic złego by mu się nie przytrafiło i jego życie nie wisiałoby teraz na włosku.

Na szczęście istniała jeszcze szansa, że się z tego wygrzebie.

I tego należało się trzymać. W takich okolicznościach najważniejsze to zachować profesjonalizm i skupić się na śledztwie. Amanda zdawała sobie sprawę, że nie może się poddać emocjom. Wina. Strach. Złość. Jeśli tylko podporządkuje się jednemu z tych uczuć, pozostałe dopadną ją jak sfera wygłodniałych psów. Wiedziała, że za wszelką cenę musi tego uniknąć.

Przecież Pete ciągle żył.

Jake Kennedy też.

Trzeba zrobić wszystko, żeby uratować ich obu, ale na razie mogła pomóc tylko jednemu.

Nie miała czasu do stracenia. Zamknęła plik, schowała telefon i wysiadła

z samochodu.

Po wejściu do domu ostrożnie ominęła plamy wyschniętej krwi i zajrzała do salonu, gotowa na czekający ją tam widok.

W środku pracowało kilku techników kryminalistyki: robili zdjęcia, analizowali ślady i coś mierzyli. Amanda starała się nie zwracać na nich uwagi. Zamiast tego skupiła się na przewróconym stoliku, poplamionych meblach i czerwonej kałuży na podłodze. Krwi było tak dużo, że w powietrzu unosił się jej wyraźny zapach. W czasie swojej kariery widziała gorsze rzeczy, ale ponieważ w tym pokoju zaatakowano jej kolegę, nie była w stanie przejść nad tym do porządku dziennego.

Przez chwilę obserwowała pracujących mężczyzn. To było ponure zajęcie, które wymagało niezwyklej skrupulatności. Patrząc na ich krzątaninę, miała wrażenie, że znajduje się w miejscu, w którym już kogoś zamordowano. Wydawało jej się, że wszyscy znają prawdę, tylko ona wciąż żyje w nieświadomości.

Poszła do sąsiedniego pokoju. Przy ścianach stały regały na książki, a na podłodze pudła, które nie zostały jeszcze rozpakowane. Między kartonami krążył tam i z powrotem Tom Kennedy. Zachowywał się jak zwierzę zamknięte w klatce. Przy biurku z komputerem siedziała Karen Shaw. Wbiła wzrok w podłogę, jedną ręką zasłaniała usta, a drugą trzymała się za łokieć.

Kiedy Tom zauważył policjantkę, zatrzymał się i zrobił dziwną minę. Amanda widziała wcześniej podobny wyraz twarzy. W ekstremalnych okolicznościach niektórzy ludzie zachowują nienaturalny spokój, a inni za wszelką cenę starają się czymś zająć i są nadmiernie pobudzeni. W gruncie rzeczy chodzi jednak o to samo, czyli o przeniesienie. Amanda zrozumiała, że Tom Kennedy wpadł w panikę i bardzo stara się to ukryć. Skoro nie mógł wyruszyć na poszukiwanie zaginionego syna, postanowił krążyć po pokoju. W momencie, w którym stanął w miejscu, jego ciało zaczęło drżeć.

– Tom – powiedziała. – Wiem, że to trudne i jesteś przerażony. Musisz mnie jednak posłuchać i uwierzyć w moje słowa. Znajdziemy Jake’a. Obiecuję.

Wbił w nią nieobecne spojrzenie. Widziała, że jej nie ufa. Zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie niczego zagwarantować. Była jednak głęboko przekonana, że wszystko dobrze się skończy. Czuła w sobie ogromną determinację. Wiedziała, że nie spocznie, póki nie odnajdzie Jake'a i nie złapie mężczyzny, który go porwał, a wcześniej uprowadził i zamordował Neila Spencera oraz próbował zabić Pete'a.

Nie mogę dopuścić do śmierci kolejnego dziecka, pomyślała.

– Najprawdopodobniej odkryliśmy, kto to zrobił, i na pewno znajdziemy tego człowieka. Daję słowo. Cała tutejsza policja została postawiona na nogi. Jesteśmy skupieni na jednym celu: chcemy wytropić porywacza i uwolnić twojego syna. Już niedługo Jake wróci do domu.

– Kto to zrobił?

– Nie mogę ujawnić tej informacji.

– Mój syn jest teraz zdany na jego łaskę.

Wyraz jego twarzy świadczył, że uruchomił wyobraźnię i przed oczami stanęły mu najgorsze z możliwych okropieństw.

– Zdaję sobie sprawę, jak bardzo trudna jest ta sytuacja – powiedziała. – Zakładamy, że sprawcą jest ta sama osoba, która uprowadziła Neila Spencera. Wiemy też, że na początku porywacz troszczył się o chłopca.

– Ale potem go zamordował.

Nic nie odpowiedziała. Przypomniała sobie o opuszczonym mieszkaniu, które odwiedziła kilka godzin temu, i o tym, że Francis Carter zrobił z niego wierną kopię przybudówki swojego ojca. Jako dziecko musiał być świadkiem przerażających wydarzeń i chyba nigdy nie udało mu się opuścić rodzinnego domu. Jakaś część jego umysłu ciągle była tam uwięziona i nie potrafiła wydostać się na zewnątrz. To prawda, że przez pewien czas opiekował się Neilem Spencerem, aż w końcu zawładnął nim jakiś mroczny impuls. Niestety, nie należało liczyć na to, że tym razem Francis będzie w stanie nad sobą zapanować. Wręcz przeciwnie, po dokonaniu pierwszej zbrodni hamulce zwykle puszczały i zabójca na dobre się rozkręcał.

Amanda uznała, że nie czas na snucie podobnych rozważań.

Tom nie miał jednak takich oporów.

– Dlaczego padło na Jake'a?

– Na razie nie potrafimy odpowiedzieć na to pytanie. – Amanda dobrze znała desperację, którą usłyszała w jego głosie. W obliczu tragedii lub nieszczęścia ludzie starają się znaleźć jakieś wyjaśnienie. Chcą ukoić ból, przekonując samych siebie, że katastrofie nie dało się zapobiec. Albo rozważają rozmaite scenariusze i dzielą włos na czworo, co tylko potęguje poczucie winy.

– Uważamy, że porywacz, tak samo jak Norman Collins, może być w jakiś sposób zainteresowany tym domem. Prawdopodobnie dowiedział się, że mieszka tu Jake, i właśnie dlatego wybrał go na swój cel.

– Sugerujesz, że jest zafiksowany na punkcie tego miejsca?

– Tak.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Jak on się czuje? – zapytał Tom.

Amanda sądziła, że chodzi o Jake'a. Po chwili zorientowała się jednak, że Tom patrzy jej przez ramię i spogląda w stronę salonu. Najwyraźniej miał na myśli Pete'a.

– Leży na oddziale intensywnej terapii. W każdym razie takie były ostatnie wiadomości. Jest w stanie krytycznym, ale... Pete nigdy nie daje za wygraną. Jeśli ktoś miałby się z tego wylizać, to właśnie on.

Tom skinął głową, jakby w pełni zgadzał się z jej opinią. To było dziwne, ponieważ prawie go nie znał. Amanda znowu przypomniała sobie, że po południu Pete był z czegoś wyjątkowo zadowolony. Miała wrażenie, że wstąpiło w niego nowe życie.

– Dlaczego tutaj przyszedł? Przecież nie powinien.

– Opiekował się Jakiem.

– Dlaczego właśnie on?

Tom przez dłuższą chwilę milczał. Jakby zastanawiał się nad właściwą odpowiedzią i starał odpowiednio dobrać słowa. Nagle Amanda zdała sobie sprawę, że już wcześniej widziała bardzo podobne zachowanie. Ten sam sposób przekrzywania głowy. Ten sam zarys dolnej szczęki. Tak samo poważna mina. W tym świetle Tom Kennedy wyglądał prawie jak Pete. Jego wychudła twarz była niemal identyczna.

Jezu Chryste, pomyślała.

Pokręciła głową i zrobiła krok do tyłu, a wtedy niesamowite podobieństwo gdzieś zniknęło.

– Zostawił mi swoją wizytówkę i powiedział, że jeśli będę w potrzebie, mogę się z nim skontaktować. Pete i Jake od razu się polubili, więc pomyślałem, że...

Tom zawiesił głos i nie dokończył swojego wyjaśnienia. Amanda cały czas mierzyła go wzrokiem. Chociaż podobieństwo nie wydawało się teraz aż tak uderzające, to jednak była pewna, że się nie pomyliła. Mogła dalej drążyć temat, ale uznała, że to w tej chwili bez znaczenia. Jeśli miała rację, to ewentualnymi reperkusjami tego odkrycia należało zająć się później.

Teraz powinna wrócić do komisariatu i zrobić wszystko, żeby spełnić swoją obietnicę.

– Okay – stwierdziła. – Zabieram się do pracy. Mam zamiar jak najszybciej odnaleźć Jake'a i odstawić go do domu całego i zdrowego.

– A co ze mną?

Amanda rzuciła okiem w stronę salonu. Nie ulegało wątpliwości, że Tom nie mógł zostać tutaj na noc.

– Nie masz żadnej rodziny w okolicy?

– Nie.

– Możesz przenocować u mnie – zaproponowała Karen. – To żaden problem.

Do tej pory w ogóle się nie odzywała.

Amanda spojrzała na nią i zapytała:

– Na pewno?

– Tak.

Z wyrazu jej twarzy wywnioskowała, że dziennikarka w pełni rozumie powagę sytuacji. Tom przez chwilę milczał, rozważając propozycję. Amanda była podejrzliwa wobec Karen, ale miała nadzieję, że Tom się zgodzi. Dzięki temu nie musiałyby kwaterować go w policyjnym mieszkaniu, co w zaistniałych okolicznościach wiązałoby się z niepotrzebną stratą czasu. Poza tym Tom chyba tylko udawał, że się waha. Nie ulegało wątpliwości, że

znalazł się na krawędzi załamania nerwowego i potrzebował wsparcia. Amanda postanowiła ułatwić mu podjęcie decyzji.

– To świetne rozwiązanie. Nie ma się nad czym zastanawiać – oznajmiła, podając mu swoją wizytówkę. – Tu są moje dane, między innymi numer telefonu. Rano wyślę do ciebie funkcjonariusza odpowiedzialnego za kontakty z rodziną, a na razie dzwoń do mnie. Ja też mam twoje namiary. Jak tylko coś się wydarzy albo dostanę nowe informacje na temat stanu zdrowia Pete’a Willisa, od razu się z tobą skontaktuję.

Zawahała się, a potem dodała niskim głosem:

– Nie będę zwlekała ani minuty. Wszystkiego się dowiesz. Obiecuję.

Rozdział 54

Dzień się skończył, a noc była chłodna.

Mężczyzna stał na podjeździe swojego domu i ogrzewał dłonie, obejmując kubek z kawą. Drzwi wejściowe za jego plecami były otwarte. W środku panowała ciemność i nie dochodził stamtąd żaden hałas. Było cicho jak makiem zasiał. Mężczyźnie wydawało się, że słyszy, jak paruje gorący napój.

Zamieszkał przy mało uczęszczanej ulicy w nie najlepszej części Featherbank, kilka kilometrów od centrum. Wybrał tę okolicę częściowo z powodów finansowych, ale głównie dlatego, że zapewniała prywatność. Jeden z sąsiednich domów stał pusty, lokatorzy pozostałych posesji zajmowali się przeważnie piciem, a kiedy byli trzeźwi, nie wtykali nosa w nie swoje sprawy. Nieprzystrzyżone żywopłoty rosnące po obu stronach niewielkiego podjazdu dobrze zasłaniały widok, a na ulicy tylko sporadycznie pojawiał się jakiś samochód. Rzadko kto tu zaglądał i nie przebiegała tędy żadna droga prowadząca w inne, ciekawsze miejsce. Krótko mówiąc, ludzie starali się unikać tej dzielnicy.

Francis lubił myśleć, że działo się tak przynajmniej częściowo z jego powodu. Wyobrażał sobie, że jeśli ktoś przypadkiem tędy przejeżdżał, to w sercu tej osoby pojawiał się jakiś pierwotny lęk. Miejsce powinno emanować złą energią i dawać do zrozumienia, że należy się trzymać od niego z daleka.

Tak samo było z domem Jake'a Kennedy'ego.

Ludzie mówili, że ten ponury budynek jest nawiedzany przez duchy.

Francis przypomniał sobie, że w dzieciństwie sam się go bał. Wszystkie dzieci wiedziały, że to niebezpieczne miejsce, choć nikt nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Niektórzy uważali, że w tym domu po prostu straszy. Inni twierdzili, że mieszka w nim groźny morderca. Obie teorie nie miały żadnego

potwierdzenia w faktach. Chodziło tylko i wyłącznie o wygląd. Francis również dał się nabrać, ale kiedy poznał prawdziwe powody, dla których to miejsce wzbudzało strach, nie miał komu o tym opowiedzieć.

Wydawało mu się, że to wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu. Zaczął się zastanawiać, czy policja odnalazła jakieś ślady jego dawnego życia. W gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia, ponieważ zostawił po sobie jedynie kurz. Teraz już wiedział, jak łatwo zmienić tożsamość. Wystarczyło skontaktować się z facetem mieszkającym sto kilometrów na południe stąd i zapłacić mu niecały tysiąc funtów. Od tamtej pory Francis budował wokół siebie skorupę, w której miał się schować i dokonać przeobrażenia. Chciał być jak gąsienica, która po przepoczwarczeniu się rodzi się na nowo, pełna energii, i nikt nie jest w stanie jej rozpoznać.

Wiedział jednak, że wciąż tkwiły w nim pozostałości słabego wylęknionego dziecka, którym kiedyś był. Od wielu lat nie używał imienia Francis, ale wciąż w myślach tak siebie nazywał. Pamiętał, jak ojciec zmuszał go do obserwowania okropieństw, które wyrządzał innym chłopcom. Patrząc na jego twarz, Francis zrozumiał, że tata darzy go głęboką nienawiścią i wyrządziłby mu taką samą krzywdę, gdyby tylko mógł. Jego ofiary odgrywały rolę dublerów. Zabijał je z zimną krwią, ponieważ nie mógł uśmiercić osoby, do której żywił największą odrazę. Francis od zawsze był świadomy, że jest kimś godnym pogardy i całkowicie bezużytecznym.

Wiele lat temu nie był w stanie pomóc dręczonym chłopcom, tak samo jak nie potrafił pocieszyć lub uratować samego siebie. Teraz mógł jednak dokonać odkupienia win. Na świecie wciąż żyło wiele nieszczęśliwych dzieci, które należało otoczyć opieką i ochronić przed złem.

Na pewno uda mu się dogadać z Jakiem i będą dla siebie dobrzy.

Francis wypił łyk kawy i spojrzął w niebo, na którym świeciły nieznane mu konstelacje gwiazd. Znowu zaczął rozmyślać o przemocy, której był świadkiem w rodzinnym domu. Poczul na skórze przyjemne mrowienie. Wiedział, że nie powinien karmić swojego umysłu podobnymi wspomnieniami. Dziś wieczorem przygotował się na fizyczną konfrontację, ale był zdziwiony, jak łatwo wszystko poszło. To, co zrobił, wydawało się całkowicie naturalne. Już raz dokonał morderstwa i kolejna zbrodnia nie

wywarła na nim wielkiego wrażenia. Nie chciał robić krzywdy Neilowi Spencerowi, ale został do tego zmuszony. Zabójstwo przestawiło coś w jego głowie i wyzwoliło ukryte pragnienia, których istnienia do tej pory sobie nie uświadamiał.

Było mu z tym jednak naprawdę dobrze.

W pewnym momencie poczuł, że zalał się kawą, i spojrzął w dół. Okazało się, że jego dłoń lekko się trzęsie.

Wiedział, że musi się opanować.

W głębi serca wcale tego nie chciał. Nie miał problemów z rozmyślaniami o tym, co zrobił z Neilem Spencerem. Co więcej, odczuwał swoistą przyjemność. Wcześniej bał się do tego otwarcie przyznać. Teraz wyobrażał sobie, że świadkiem morderstwa jest jego ojciec.

Frank Carter stał obok i uważnie go obserwował.

Co jakiś czas z aprobatą kiwał głową i mówił: „Teraz już rozumiesz, prawda?”.

Tak. Teraz już wiedział, dlaczego ojciec tak bardzo go nienawidził. W dzieciństwie był przecież kompletnie bezwartościowym robakiem. Ale to się zmieniło. Był ciekaw, co zobaczyłby w oczach taty. Czy wybaczyliby sobie przeszłość? Wiele się zmieniło i w tym momencie byli zupełnie innymi ludźmi.

„Widzisz? Jestem taki sam jak ty”.

„Nie masz już powodów, żeby mną gardzić”.

Francis pokręcił głową. Jezus Maria, co za bzdury? To, co stało się z Neilem, było ewidentną pomyłką. Wiedział, że musi się skupić, ponieważ kolejny zaniedbany chłopiec wymagał jego uwagi.

Powinien otoczyć go opieką. I miłością.

Właśnie tego potrzebowały wszystkie dzieci, prawda? Należało je kochać i się o nie troszczyć. Kiedy o tym pomyślał, poczuł ukłucie w sercu.

Dobrze wiedział, co trzeba zrobić.

Chciał wypić resztkę kawy, ale kiedy wziął ją do ust, wykrzywił się z niesmakiem. Wystygła, więc wylał ją na zachwaszczony trawnik i wszedł z powrotem do domu. W środku było tak samo cicho jak na zewnątrz.

Najwyższy czas powiedzieć chłopcu dobranoc.

Żadnych pomyłek.

Kiedy wspinał się na piętro, znowu zaczął myśleć o zabójstwie Neila Spencera i o tym, jak się wtedy czuł.

„Widzisz? Jestem taki sam jak ty”.

A co, jeśli to wcale nie był błąd?

Rozdział 55

Po przebudzeniu się z koszmaru myślimy, że najgorsze za nami i odtąd wszystko będzie dobrze.

Jednak nie tym razem.

Kiedy Jake otworzył oczy, był całkowicie skołowany. W pokoju paliło się mocne światło. To było naprawdę dziwne. Po chwili zorientował się, że jest w sypialni jakiegoś innego dziecka. W ogóle mu się to nie spodobało. Bolała go głowa, czuł się otumaniony i nie wiedział, co się dzieje. Coraz mocniej ścisnęło go za serce i miał coraz głębsze przekonanie, że stało się coś złego. Kiedy usiadł, świat wokół niego zawirował. W tym momencie wszystko sobie przypomniał i ogarnęła go panika.

Powinien być w domu. Pamiętał, że jeszcze jakiś czas temu leżał w łóżku i słyszał, jak ktoś się wspina po schodach. Po paru sekundach do sypialni wszedł mężczyzna. Miał dziwny wyraz twarzy, a potem...

Nic.

Jake się obudził.

To się stało zaledwie kilka minut temu. Na początku myślał, że to jeszcze jeden, całkiem nowy, koszmar. Wszystko jednak wyglądało zbyt realistycznie i nie musiał się nawet szczytać, by potwierdzić, że nie śni. Czuł paralizujący strach, tak wielki, że gdyby spał, na pewno już by się obudził. Przypomniał sobie plotki o mężczyźnie, który porwał i skrzywdził Neila Spencera. To, co się teraz działo, mogło więc być koszmarem, ale takim, z którego nie dało się obudzić. Na świecie pełno było złych ludzi i również na jawie działy się straszne rzeczy.

Nagle coś przykuło jego uwagę i odwrócił głowę.

Obok niego stała mała dziewczynka!

– Jesteś...

– Szszsz... Nie tak głośno. – Rozejrzała się po małym pokoju i głośno przełknęła ślinę. – On nie może się dowiedzieć, że tu przyszedłam.

Dobrze wiedział, że dziewczynka to jedynie wytwór jego wyobraźni. Ucieszył się jednak, że ją widzi. Poza tym miała rację: mężczyzna nie powinien usłyszeć, że Jake rozmawia sam ze sobą, ponieważ...

– To by się źle skończyło?

Zrobiła poważną minę i pokiwała głową.

– Gdzie jestem? – zapytał.

– Nie mam pojęcia, Jake. To nie ja wybrałam to miejsce.

– Ale nie zostawisz mnie samego?

– Nie, nigdy. – Znowu się rozejrzała. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc, ale nie jestem w stanie zapewnić ci pełnej ochrony. To bardzo poważna sytuacja. Zdajesz sobie sprawę, prawda? Nie jest dobrze.

Jake energicznie przytaknął. Wiedział, że wpakował się w niezłe tarapaty i grozi mu niebezpieczeństwo. Nagle poczuł się tym wszystkim przytłoczony.

– Potrzebuję mojego taty.

Jak tylko wypowiedział te słowa, przestał nad sobą panować. Kilka razy zawołał ojca szeptem, a potem się rozplakał. Miał nadzieję, że jeśli będzie wystarczająco mocno tego pragnął, jego życzenie się spełni. Niestety, po chwili zrozumiał, że nie. Tata był teraz bardzo daleko, być może po drugiej stronie kuli ziemskiej, pomyślał.

– Postaraj się nie hałasować. – Dziewczynka położyła rękę na jego ramieniu. – Bądź odważny.

– Ale gdzie jest mój tata?

– Nie bój się. Na pewno cię znajdzie. Przecież sam dobrze to wiesz.

– Potrzebuję go!

– Proszę cię, Jake. – Zaciśnęła dłoń, żeby dodać mu otuchy, ale widać było, że sama się boi. – Musisz się uspokoić.

Zebrał się w sobie i opanował płacz.

– Teraz lepiej.

Odsunęła rękę i zaczęła nasłuchiwać.

– Okay, wydaje mi się, że sytuacja jest tymczasowo pod kontrolą. Teraz musimy dowiedzieć się jak najwięcej o tym miejscu. Dzięki temu będziemy umieli się stąd wydostać. Zgadzasz się ze mną?

Skinął głową. Ciągle był przerażony, ale to, co powiedziała, miało sens.

Wstał i rozejrzał się po pokoju.

Jedna ze ścian była niższa i sięgała mu mniej więcej do piersi, a sufit był wyraźnie nachylony. To musiało być poddasze. Jake nigdy wcześniej nie był w takim miejscu. Zawsze wyobrażał sobie, że na strychu jest ciemno i unosi się kurz, a na drewnianej podłodze walają się kartonowe pudła, między którymi chodzą pająki. Tutaj było jednak zupełnie inaczej: leżał miękki dywan, a na białych ścianach domalowano na dole trawę i fruujące nad nią motyle. Gdyby nie wisząca pod sufitem goła żarówka, byłoby nawet całkiem miło. W zbyt jaskrawym blasku sztucznego światła wszystko wydawało się jednak lekko nierzeczywiste. Jake nie zdziwiłby się, gdyby rysunki nagle zaczęły się poruszać. W rogu stała otwarta skrzynia z pluszowymi zabawkami, a przy jednej ze ścian niewielka szafa. Spojrzał przez ramię i zobaczył łóżko, na którym leżała stara, lekko poprzecierana pościel w transformersy.

To musiała być zatem sypialnia jakiegoś dziecka, w której panowała jednak dziwna, nienaturalna atmosfera. Jake miał wrażenie, że nigdy wcześniej nie mieszkał tu żaden chłopiec.

Po drugiej stronie pokoju zobaczył drzwi. Podeszedł do nich i starając się zapanować nad nerwami, mocno je pchnął. Przed nim była mała toaleta: muszla klozetowa, ręcznik wiszący na metalowej obręczy i umywalka z kawałkiem mydła. Jake zamknął drzwi i szybko się odwrócił. W jednym z rogów pokoju zauważył wąski korytarzyk, który niemal od razu kończył się kolejną ścianą. Kiedy się zbliżył, okazało się, że to część ciemnej klatki schodowej, a na samym dole znajdują się jeszcze jedne drzwi.

Wzdłuż ściany biegła drewniana poręcz...

Odsunął się, zanim zdążył dobrze się wszystkiemu przyjrzeć. Zrobił kilka kroków do tyłu i zatrzymał się dopiero przy samym łóżku.

Nie, nie, nie.

Schody wyglądały prawie tak samo jak w jego starym domu.

A to oznaczało, że nie powinien patrzeć na to, co...

Serce waliło mu w piersi i miał problemy ze złapaniem oddechu.

– Jake, lepiej usiądź.

Nie potrafił wykonać żadnego ruchu.

– Nic się nie stało – powiedziała delikatnym głosem mała dziewczynka. – Spróbuj się uspokoić.

Zamknął oczy i skupił się na opanowaniu emocji. Na początku było trudno, ale po chwili zdołał zaczerpnąć powietrza, a tętno wyraźnie zwolniło.

– Usiądź.

Zrobił, co mu kazała. Dziewczynka znowu położyła rękę na jego ramieniu i nic nie mówiła, tylko wydawała z siebie uspokajające „cii...”. Kiedy znowu zaczął kontrolować swój oddech, odsunęła dłoń, ale wciąż milczała. Dała mu do zrozumienia, że powinien sprawdzić drzwi na dole, ale on nie potrafił się do tego zmusić. Czuł, że za nic w świecie tego nie zrobi. Niezależnie od wszystkiego to było poza jego możliwościami.

– Pewnie są zamknięte – powiedziała.

Jake skinął głową. Naprawdę mu ulżyło, ponieważ dziewczynka miała rację, co oznaczało, że wcale nie musiał schodzić. A co, jeśli zostanie do tego zmuszony? Lepiej się nie zastanawiać. To zbyt przerażające. Sam na pewno nie byłby w stanie tego zrobić. Mężczyzna musiałby go znieść.

– Pamiętasz, co napisał na kartce twój tata? – zapytała dziewczynka.

– Tak.

– Powtórz.

– Nawet podczas kłótni bardzo się kochamy.

– To prawda – stwierdziła. – Jednak z tym facetem to zupełnie inna historia.

– Co masz na myśli?

– Teraz musisz być bardzo, bardzo grzeczny. Nie możesz sobie pozwolić na żadne fochy.

Znowu miała rację. W tych okolicznościach nieposłuszeństwo nie zostanie mu łatwo wybaczone. Z tatą było inaczej: nawet po sprzeczce ich stosunki

szybko wracały do normy. Jake bał się jednak, że jeżeli Szeptacz wpadnie we wściekłość, wszystko się źle skończy.

Dziewczynka nagle się podniosła.

– Kładź się spać. Szybko!

Zrobiła wystraszoną minę i Jake nawet nie musiał pytać, co się stało. Zerwał się na równe nogi, wskoczył do łóżka i przykrył kołdrą, a potem usłyszał, jak ktoś przekręca klucz w drzwiach na dole.

– Zamknij oczy – wyszeptała rozgorączkowanym głosem dziewczynka. – Udawaj, że zasnąłeś.

Zacisnął powieki. Symulowanie snu przychodziło mu zwykle z łatwością. W domu bardzo często tak robił, ponieważ wiedział, że tata przestanie zaglądać do jego sypialni, dopiero gdy zaśnie. Nie chciał sprawiać mu kłopotu, więc wołał symulować. Teraz było jednak trudniej, ale kiedy usłyszał skrzypienie schodów, uspokoił oddech i rozluźnił mięśnie twarzy. Wiedział, że śpiący człowiek powinien wyglądać na bardziej zrelaksowanego.

Po paru chwilach ktoś wszedł do pokoju.

Jake od razu wyczuł obecność innej osoby i z nerwów zaczęło go wszystko swędzieć. Mężczyzna stanął obok łóżka i zaczął mu się uważnie przyglądać. Jake czuł na sobie świdrujące spojrzenie, ale nie otworzył oczu. Wiedział, że musi dobrze wypaść. Pograżone we śnie dziecko to przecież ideał. Położył się do łóżka z własnej inicjatywy, o czym marzył każdy rodzic.

Na kilka sekund zaległa cisza.

– Proszę, proszę – wyszeptał mężczyzna.

Wypowiedział te słowa ze zdziwieniem, jakby nie spodziewał się nikogo zastać. Wyciągnął rękę i odgarnął z twarzy chłopca kosmyk włosów. Jake zrobił wszystko, żeby się nie wzdrygnąć.

– Idealnie.

Jake chyba znał skądś ten głos, ale nie był do końca pewien. Nie mógł jednak otworzyć oczu i rozwiać swoich wątpliwości. Po chwili mężczyzna odsunął się od łóżka.

– Będę się tobą opiekował.

Wyłączył światło i w pokoju zrobiło się ciemno.

– Teraz jesteś bezpieczny i nic ci nie grozi. Obiecuję.

Chłopiec cały czas kontrolował oddech. Mężczyzna powoli zszedł po schodach, zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Nawet wtedy Jake nie odważył się otworzyć oczu. Myślał o tym, co powiedziała mała dziewczynka. Tata na pewno go znajdzie.

„Pamiętaj, że nawet podczas kłótni bardzo się kochamy”.

Wierzył w to. Właśnie dlatego nie martwił się tak bardzo sprzeczkami. Tata go kochał i dbał o jego bezpieczeństwo, nawet jeśli czasami się na siebie złościł. Jake wiedział, że zła atmosfera szybko minie i znowu wszystko będzie dobrze.

W głębi serca zdawał sobie jednak sprawę, że swoim zachowaniem często utrudniał tacie życie. Zamiast mu pomagać, odciągał go od pracy i przysparzał kłopotów. Dzisiaj wieczorem tata postanowił spędzić czas bez niego. Jake zaczął się zastanawiać, gdzie on teraz może być i czy przypadkiem nie jest zadowolony, że wreszcie pozbył się swojego niesfornego syna.

Nie. To niemożliwe.

Tata na pewno go odnajdzie.

Wreszcie odważył się otworzyć oczy. W pokoju zalegała ciemność. Przy łóżku stała mała dziewczynka. Była jakby podświetlona i bił od niej ciepły blask przypominający płomień świecy. Światło nie wykraczało jednak poza obręb jej ciała i w niewielkim pomieszczeniu nadał panował mrok.

– Co teraz robimy, Jake? – zapytała po cichu.

– Nie mam pojęcia.

– Jacy jesteśmy?

Teraz już wiedział.

– Jesteśmy odważni – wyszeptał. – Odważni!

Rozdział 56

Wybudziłem się z głębokiego snu. Byłem skołowany i zdezorientowany. Rozejrzałem się po ciemnym pokoju. W kątach czały się tajemnicze cienie i niczego nie byłem w stanie rozpoznać. Gdzie byłem? Nie miałem pojęcia, ale czułem, że coś jest nie tak. Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że powinienem być teraz gdzie indziej i że jak najszybciej muszę...

To był salon w domu Karen.

Właśnie sobie przypomniałem. Zaginął Jake.

Usiadłem na kanapie i na chwilę zamarłem w bezruchu. Serce biło mi coraz szybciej.

Ktoś porwał mojego syna.

To było zupełnie nierzeczywiste, ale wiedziałem, że niczego sobie nie wymyśliłem. Poczułem, jak ogarnia mnie panika, a we krwi zaczyna buzować adrenalina. Po chwili już całkiem się rozbudziłem. Jak w ogóle mogłem zasnąć w takich okolicznościach? Zanim się położyłem, byłem zupełnie wyczerpany, a ze strachu aż szumiało mi w uszach i miałem wrażenie, że dłużej tego nie wytrzymam. W pewnym momencie moje ciało po prostu odmówiło posłuszeństwa.

Popatrzyłem na telefon. Dochodziła szósta, więc spałem dość krótko. Karen również położyła się nad ranem. Razem czekaliśmy na jakieś nowe wiadomości, ale w pewnym momencie była już tak zmęczona, że udało mi się ją namówić, żeby się położyła. Powiedziałem, że przynajmniej jedno z nas powinno choć trochę odpocząć. Poprosiła tylko, żebym koniecznie ją obudził, jeśli coś się wydarzy. Od tamtej pory nie dostałem jednak żadnych esemesów i nikt do mnie nie dzwonił. Nic się nie zmieniło.

Poza tym, że Jake spędził kolejnych kilka godzin w towarzystwie jakiegoś zwyrodnialca.

Wstałem z kanapy, zapaliłem światło i zacząłem chodzić tam i z powrotem. Czułem, że jeśli zatrzymam się w miejscu, nie będę w stanie zapanować nad emocjami. Nagła potrzeba bycia z Jakiem zderzała się ze świadomością, że w żaden sposób nie potrafię mu pomóc. Byłem cały spięty i rozrywało mi serce.

Zacząłem wyobrażać sobie jego twarz. Obraz był niezwykle realistyczny. Wydawało mi się, że jeśli wyciągnę rękę, to go dotknę i poczuję pod palcami miękką skórę na jego policzku. Musiał być teraz przerażony i nie wiedział, co się z nim dzieje. Na pewno zastanawiał się, gdzie jestem i dlaczego jeszcze go nie odnalazłem.

Jeśli, rzecz jasna, w ogóle żył.

Pokręciłem głową. Nie wolno mi myśleć w ten sposób. Komisarz Beck powiedziała wczoraj, że na pewno uratują mojego syna. Musiałem w to wierzyć, nie miałem innego wyboru. Jeżeli Jake'owi stało się coś naprawdę złego – jeżeli został zamordowany – nic nie ma już żadnego znaczenia. To byłby dla mnie koniec świata. Równie dobrze mógłbym dostać młotkiem w głowę i postradać zmysły. Po utracie dziecka zostawała tylko niewyobrażalna pustka.

Ale przecież Jake wciąż żył!

Miałem wrażenie, że mnie woła, i nie była to tylko gra mojej wyobraźni. Wydawało mi się, że naprawdę słyszę jego głos. Próbował się ze mną skontaktować, korzystając z częstotliwości, do której nie zdążyłem się jeszcze dostroić. Był w dobrej formie i nic mu się nie stało. To naprawdę dziwne, przecież nie mogłem być tego pewien na sto procent. Jednak ostatnio wydarzyło się tyle niewytłumaczalnych rzeczy, że wierzyłem, że to też jest możliwe.

Zresztą co za różnica?

Jake żył. Nadal czułem jego obecność i tylko to się liczyło.

Mocno się skupiłem i sformułowałem w myślach jasny komunikat, a potem wysłałem go w przestrzeń z nadzieją, że trafi do adresata. Liczyłem, że moje słowa dotrą do Jake'a i poruszą jego serce.

„Kocham cię, Jake.

I już niedługo cię odnajdę”.

Wkrótce w domu zaczęło tętnić życie.

Karen powiedziała wczoraj, żebym się nie krępował i skorzystał z kuchni. Stałem więc oparty o blat i piłem czarną kawę, obserwując powoli rozświetlający się horyzont. W pewnym momencie nad moją głową zaskrzypiał parkiet. Jeszcze raz włączyłem czajnik. Kilka minut później w drzwiach stanęła Karen. Była już ubrana, ale nadal wyglądała na zmęczoną.

– Są nowe wiadomości? – spytała.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Dzwoniłeś już na policję?

– Nie. – Szczerze mówiąc, nie miałem na to ochoty. Po pierwsze, nie chciałem zawracać głowy pracującym funkcjonariuszom, ponieważ uważałem, że powinni być całkowicie skupieni na poszukiwaniach, a po drugie, jeśli wydarzyło się coś złego, wolałem pozostać nieświadomy. – Pewnie niedługo zadzwonię, ale gdyby mieli mi coś do przekazania, już by się ze mną skontaktowali.

Woda się zagotowała i Karen wsypała do kubka kawę rozpuszczalną.

– Co powiedziałaś Adamowi?

– Nic. Wie, że tu jesteś i że spałeś na kanapie, ale to wszystko.

– Postaram się wam nie przeszkadzać.

– Bez obawy.

Mimo to kiedy Adam zszedł na parter, uznałem, że lepiej, jeśli zostanę w kuchni. Karen zrobiła mu śniadanie, które zjadł w salonie przed telewizorem. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że na zewnątrz zrobiło się już całkiem jasno. Właśnie zaczął się nowy dzień. Jednym uchem słuchałem dochodzących z sąsiedniego pokoju dźwięków programu telewizyjnego, zaskoczony, że życie zwyczajnie toczy się dalej. Ale nic w tym dziwnego. Zauważa się to jednak dopiero wtedy, gdy coś się posypie.

Zanim Karen wyszła odprowadzić Adama do szkoły, wręczyła mi klucze.

– O której przyjdzie funkcjonariusz odpowiedzialny za kontakty

z rodziną? – zapytała.

– Nie wiem.

Położyła dłoń na moim ramieniu.

– Zadzwoń do nich, Tom.

– Zaraz.

Zrobiła smutną minę i przez chwilę uważnie mi się przypatrywała, a potem pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

– Niedługo wracam. Pojadę samochodem.

– Okay.

Kiedy wyszła z domu, położyłem się na kanapie. Miałem przy sobie telefon i mogłem zadzwonić, ale byłem pewien, że komisarz Beck na pewno by się do mnie odezwała, gdyby miała nowe wiadomości. Poza tym nie chciałem znowu słuchać tego, o czym już dobrze wiedziałem.

Że wciąż szukają Jake'a.

I że nadal jest w niebezpieczeństwie.

Postanowiłem zająć się czymś innym i sięgnąłem po pewien przedmiot, który zabrałem z domu. Chodziło o Teczkę z Bardzo Ważnymi Rzeczami.

Nie mogłem mieć Jake'a przy sobie, więc tylko w ten sposób byłem w stanie poczuć jego obecność. Zdawałem sobie sprawę, jak ważna było dla niego zawartość Teczki. Jake nigdy nie zabronił mi do niej zaglądać. Nie musiał. Teczka należała do niego, a nie do mnie. Był wystarczająco duży, żeby mieć swoje sekrety. Chociaż czasami bardzo mnie kusiło, to do tej pory ani razu nie nadużyłem jego zaufania.

Wybacz mi, Jake, pomyślałem i otworzyłem zapięcie.

Muszę poczuć, że jesteś blisko.

Rozdział 57

Kiedy Francis się obudził, w domu panowała cisza.

Przez dłuższą chwilę leżał w łóżku, gapił się w sufit i nasłuchiwał. Zupełnie nic. Żadnego, nawet najmniejszego szmeru. Wiedział jednak, że chłopiec jest teraz na strychu, bezpośrednio nad sypialnią. Czuł jego obecność i miał wrażenie, że dom wypełnił się życiem i nowymi możliwościami.

Tam na górze było małe dziecko.

Cisza i spokój oznaczały, że wszystko jest w porządku. Tak właśnie powinno być. Najwyraźniej Jake zrozumiał i w pełni zaakceptował swoją sytuację. Może nawet cieszył się, że trafił do nowego domu.

Francis przypomniał sobie, jak szybko przebiegł proces aklimatyzacji. Kiedy wieczorem poszedł sprawdzić, co się dzieje, chłopiec leżał już w łóżku i smacznie spał. Neil Spencer zachowywał się zupełnie inaczej: na początku strasznie płakał i darł się wniebogłose. Niezależnie od braku zainteresowania ze strony sąsiadów dobrze, że porządnie wytłumił wszystkie ściany na strychu. Francis wykazał się cierpliwością i uznał, że każde dziecko musi trochę pohisteryzować. Teraz rozumiał jednak, że Neil był po prostu złym chłopcem i to wszystko nie mogło się dobrze skończyć.

Być może Jake był inny.

„Bzdury”.

To był głos ojca.

„Wszyscy są tacy sami”.

„Mali gówniarze, którzy zawsze nas rozczarowują”.

Być może to prawda. Francis potrząsnął głową, żeby odegnać złe myśli. Postanowił dać Jake'owi szansę. Na pewno nie tak wielką jak pierwszemu

chłopcu, ale mimo wszystko uważał, że każde dziecko powinno znaleźć szczęśliwy dom, w którym zostanie należytą opiekę.

Uznał, że czas na prysznic. Nie lubił się myć, ponieważ czuł się wtedy bardziej narażony na niebezpieczeństwo. Kiedy wszedł do kabiny i puścił wodę, zdał sobie sprawę, że w ogóle nie słyszy, co się dzieje w pozostałych częściach domu. Zamknął oczy i wyobraził sobie, że do łazienki zakrada się jakiś potwór, który siada po drugiej stronie zasłony prysznicowej i czeka. Szybko spłukał pianę z twarzy i zaczął przyglądać się spływającej wodzie. Przypomniał sobie, że po tym, co stało się z Neilem, musiał odblokowywać odpływ. Było przy tym trochę roboty, ale jeśli będzie trzeba, zrobi to jeszcze raz.

„Wiesz, na co tak naprawdę masz ochotę”.

Poczuł, że serce bije mu zdecydowanie szybciej.

Zszedł na parter, zrobił sobie śniadanie i zaparzył kawę, a potem zgodnie z planem wykonał telefon. Dopiero później zaczął przygotowywać posiłek dla Jake'a. Wytarł rękawem blat z okruchów i włożył do tosterka dwa racuszki. Zostały jeszcze po Neilu i trochę spleśniały, ale wciąż nadawały się do zjedzenia. Nie miał pojęcia, co podać do picia. Przypomniał sobie, że miał jeszcze otwartą butelkę napoju pomarańczowego Fruit Shoot, której nie dokończył jego poprzedni podopieczny. Uznał, że się nada.

W końcu najważniejszy jest dobry początek.

Zaniósł talerz i plastikową butelkę na górę. Zatrzymał się na półpiętrze i przyłożył ucho do drzwi prowadzących na strych.

Cisza.

Na pewno? Przez moment wydawało mu się, że coś słyszy. Czyżby Jake do kogoś szeptał? Jeśli tak, to nie dało się zrozumieć poszczególnych słów. Zresztą Francis nie był pewien, czy mu się nie wydawało.

Postanowił się upewnić.

Najpierw nic.

A potem znowu jakieś szepty.

Poczuł, że cierpnie mu skóra. Przecież w tym pokoju był tylko Jake. A co, jeśli razem z chłopcem przyprowadził tutaj kogoś jeszcze? Ogarnął go zupełnie nieracjonalny strach. Kto chował się za tymi drzwiami? Czy groziło

mu jakieś niebezpieczeństwo?

A może Jake rozmawia z Neilem?

Bzdury. Francis nie wierzył w duchy. W dzieciństwie czasami podchodził do drzwi prowadzących do przybudówki ojca i wyobrażał sobie, że po drugiej stronie stoi jedna z jego ofiar: blade wychudzone dziecko, które cierpliwie czeka na swój koniec. Niekiedy wydawało mu się nawet, że słyszy oddech. Wiedział jednak, że to tylko jego bujna wyobraźnia. Duchy istniały jedynie w naszych głowach. Zdarzało się, że przez nas przemawiały, ale nie można się było z nimi komunikować.

Przekręcił klucz, otworzył drzwi i zaczął powoli wchodzić po schodach, żeby nie wystraszyć chłopca. Szepty nagle ustały, co wcale mu się nie spodobało. Nie chciał, żeby Jake miał przed nim tajemnice.

Kiedy wszedł do pokoju, zobaczył, że chłopiec siedzi na łóżku i trzyma ręce na kolanach. Był już ubrany, co oznaczało, że wybrał coś z odzieży, którą Francis zostawił dla niego w szufladach. To była dobra wiadomość. Szkoda jednak, że skrzynia z zabawkami wyglądała na nietkniętą. Czyżby nic mu się nie spodobało? Francis trzymał te zabawki od bardzo dawna i wiele dla niego znaczyły. Jake powinien być wdzięczny, że dostał taki prezent. A gdzie piżama, którą miał na sobie wczoraj wieczorem? Leżała starannie złożona na łóżku. Bardzo dobrze. Przyda się, kiedy trzeba będzie odstawić chłopca z powrotem.

– Dzień dobry, Jake – powiedział radosnym głosem. – Widzę, że już się ubrałeś.

– Dzień dobry. Niestety nie mogłem znaleźć stroju do szkoły.

– Pomyślałem, że dzisiaj możesz sobie zrobić wolne.

Jake przytaknął.

– Fajnie. Tata mnie później odbierze?

– No cóż, to bardziej skomplikowana kwestia. – Francis podszedł do łóżka. Chłopiec sprawiał wrażenie dziwnie spokojnego. – Nie warto zaprzętać sobie tym głowy. Musisz tylko wiedzieć, że teraz nic ci już nie grozi. Jesteś całkowicie bezpieczny.

– Okay.

– Na razie to ja będę się tobą opiekował.

– Dziękuję.

– Z kim rozmawiałaś?

Chłopiec zrobił zaskoczoną minę.

– Z nikim.

– Bzdury. Wyraźnie słyszałem. Kto to był?

– Nikt.

Francis miał ochotę uderzyć chłopca z całej siły w twarz, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Pamiętaj, że w tym domu się nie kłamie.

– Ale ja mówię prawdę. – Jake odwrócił wzrok i przez moment wydawało się, że z jego ust wydobywa się jakiś inny głos. – Chyba rozmawiałem sam ze sobą. Przepraszam. Czasami tak robię, szczególnie jeśli się nad czymś zamyślę. Tracę wtedy kontakt z rzeczywistością.

Francis przez chwilę milczał, zastanawiając się nad tym wyjaśnieniem. W sumie miało ono sens. Sam czasami fantazjował i zapominał, co się wokół niego dzieje. Pod pewnymi względami Jake był więc do niego podobny. To dobrze, ponieważ łatwiej będzie go sprowadzić na właściwą drogę.

– Musimy nad tym popracować – powiedział. – Przyniosłem ci śniadanie.

Jake wziął talerz i butelkę, a potem spontanicznie podziękował, co było bardzo miłe. Najwyraźniej nauczył się dobrych manier. Potem spojrzał na jedzenie, ale niczego nie tknął. Na racuszkach ciągle pozostawała pleśń. Wychodziło na to, że Jake lubił pogrymasić.

W dzieciństwie Francis musiał zadowolić się gorszymi rzeczami i nie wolno mu było narzekać.

– Nie jesteś głodny?

– Nie za bardzo.

– Musisz jeść, żeby być dużym i silnym facetem. – Francis przyjaźnie się do niego uśmiechnął. – Co chciałbyś robić później?

Na kilka sekund zaległa cisza.

– Nie wiem. Mógłbym trochę porysować.

– Świetny pomysł! Chętnie ci pomogę.

Jake lekko się uśmiechnął.

– Dziękuję.

Chwilę później Francis zamarł w bezruchu, ponieważ Jake wypowiedział jego imię. Najwyraźniej go rozpoznał, ale dobrze wychowane dziecko nie powinno spoufalać się z dorosłymi. Jake potrzebował więcej dyscypliny. Powinien znać swoje miejsce w hierarchii.

– Proszę pana – powiedział Francis. – W taki sposób masz się do mnie zwracać. Czy to jasne?

Jake pokiwał głową.

– W tym domu szanujemy starszych. Rozumiesz?

Jake znowu przytaknął.

– I okazujemy im wdzięczność. – Wskazał palcem na talerz. – Naprawdę zadałem sobie wiele trudu, żeby to przygotować. Zjedz śniadanie, Jake.

Z twarzy chłopca zniknął uśmiech. Odwrócił wzrok i zrobił smutną minę. Wydawało się, że za chwilę się rozpłacze.

Francis zacisnął pięść.

Tylko spróbuj być nieposłuszny, pomyślał.

Gorzko tego pożałujesz.

Jednak kiedy Jake znowu na niego spojrział, w jego oczach widać było spokój. Wziął do ręki wyraźnie spleśniały racuszek.

– Tak, proszę pana.

Rozdział 58

Kiedy otworzyłem Teczkę i zacząłem przeglądać jej zawartość, poczułem, jakbym dokonywał jakiegoś wykroczenia.

W środku znalazłem rozmaite papiery, dokumenty i pamiątki, z których większość z łatwością rozpoznałem. Pierwszą rzeczą, którą wziąłem do ręki, była kolorowa opaska, mocno rozciągnięta w okolicach plastikowego zapięcia. Rebecca, kiedy ją zdejmowała, nie chciała jej przecinać, tylko uparła się, że po prostu ją zsunie, i jakimś sposobem jej się udało. To była opaska z festiwalu muzycznego, na który pojechaliśmy na początku naszego związku, zanim jeszcze w ogóle myśleliśmy o dzieciach. Spaliśmy na polu namiotowym razem ze znajomymi, z którymi potem urwał się kontakt. Przez cały weekend piliśmy i tańczyliśmy, nie zważając na zimno i padający deszcz. Tacy młodzi i beztroscy. Z dzisiejszej perspektywy opaska była niczym talizman z lepszych czasów.

Doskonały wybór, Jake.

Znajomo wyglądała także brązowa koperta. Kiedy ją otwierałem, na chwilę zaszkliły mi się oczy. Położyłem zawartość na dłoni: dziecięcy ząbek, tak malutki, że prawie nie czułem jego ciężaru. Pierwszy mleczak, który wypadł Jake'owi niedługo po śmierci Rebekki. Kiedy to się stało, wetknąłem mu pod poduszkę trochę pieniędzy i liścik od Wróżki Zębuszki z prośbą, żeby zatrzymał ząb jako ważną pamiątkę. Od tamtej pory nigdy więcej go nie widziałem.

Starannie schowałem znalezisko do koperty, a potem rozłożyłem kartkę papieru. Okazało się, że to obrazek, który kiedyś narysowałem dla Jake'a. Była to niezdarna próba uchwycenia chwili, kiedy staliśmy razem obok siebie. Poniżej widniał podpis:

Pamiętaj, że nawet podczas kłótni bardzo się kochamy.

Z oczu poleciały mi łzy. Przez te wszystkie lata wiele razy dochodziło między nami do sprzeczek. Jesteśmy do siebie bardzo podobni, lecz mimo to nie potrafimy się dogadać. Chcemy się do siebie zbliżyć, ale ciągle coś nas od siebie oddala. O Boże... To, co wtedy napisałem, było prawdą. Nawet w najgorszych chwilach zawsze bardzo kochałem mojego syna i miałem nadzieję, że teraz, w tych strasznych okolicznościach, zdaje sobie z tego sprawę.

Zabrałem się do przeglądania pozostałej zawartości Teczki. Dotykałem przedmiotów, które Jake traktował niemal jak świętość, choć czasami nie wiedziałem, z czym konkretnie mam do czynienia. Znalazłem jeszcze sporo papierów. Niektóre od razu rozpoznałem – były to na przykład zaproszenia na dziecięce imprezy – ale znaczna ich część zupełnie nic mi nie mówiła. Natrafiłem na wyblakłe bilety i paragony oraz odręczne notatki zrobione przez Rebeccę. Te szpargały wydawały się bez znaczenia. Nie miałem pojęcia, dlaczego Jake uznał, że warto je zatrzymać. Z jakiegoś powodu mu się spodobały. Te przedmioty pochodziły ze świata dorosłych, ich znaczenia chyba do końca nie rozumiał. Jednak jego matka z jakiegoś powodu je zatrzymała, więc Jake uznał, że studiując te drobiazgi, będzie mógł ją lepiej poznać.

W pewnym momencie natrafiłem na lekko pożółkły kawałek papieru. Jedna z krawędzi była poszarpana, więc najprawdopodobniej trzymałem w dłoni kartkę wyrwaną z kołonotatnika. Od razu rozpoznałem charakter pisma Rebekki. To był wiersz, który napisała dawno temu, jeszcze jako nastolatka, o czym świadczył wyblakły atrament. Zacząłem czytać:

Jeśli drzwi nie zamkniesz w porę, szeptać zacznie ktoś wieczorem.

Jeśli na dwór wyjdiesz sam, złego pana spotkasz tam.

Jeśli okno uchylisz choć trochę, pukanie w szybę usłyszysz przed zmrokiem.

Jeśli jesteś sam i miewasz się źle, pan Szeptacz na pewno odwiedzi cię.

Przeczytałem rymowaną jeszcze raz i poczułem, że robi mi się słabo. Dla pewności przyjrzałem się uważnie poszczególnym literom. To było pismo Rebekki. Może trochę bardziej dziecinne, ale nie miałem żadnych

wątpliwości.

To właśnie od niej Jake nauczył się tego wierszyka.

Od własnej matki.

Rebecca usłyszała rymowanekę w dzieciństwie i postanowiła ją zapisać. Szybko wykonałem obliczenia i wyszło, że w czasach, gdy Frank Carter popełniał swoje zbrodnie, Rebecca miała trzynaście lat. Niewykluczone, że okrutne morderstwa w jakiś sposób ją zafascynowały.

Ale nie wiedziałem, w jakich okolicznościach poznała ten feralny wierszyk.

Odłożyłem karteczkę na bok.

W Teczce znajdowało się jeszcze trochę zdjęć. Musiały być stare, ponieważ zrobiono je analogowym aparatem. Przypominały fotografie, które sam pstrykałem na wakacjach, kiedy byłem małym chłopcem, a mama zapisywała po drugiej stronie datę i dodawała krótki opis. Odwróciłem je. Okazało się, że rodzice Rebekki robili dokładnie to samo.

Drugi sierpnia 1983, dwa dni po porodzie.

Na zdjęciu zobaczyłem siedzącą na kanapie młodą kobietę z niemowlęciem na rękach. To była matka Rebekki. Zналиśmy się, ale bardzo krótko. Zapamiętałem ją jako energiczną, pełną fantazji starszą panią. Lubiła nowe wyzwania i przekazała tę pasję swojej córce. Na fotografii wyglądała na strasznie zmęczoną, ale jednocześnie podekscytowaną. Dziecko smacznie spało, owinięte żółtym kocykiem z wełny. Z opisu wywnioskowałem, że to Rebecca. Trudno uwierzyć, że kiedyś była taka malutka.

Dwudziesty pierwszy kwietnia 1987, zabawa w misie-patysie.

Ta fotografia przedstawiała ojca Rebekki. Stał na drewnianym mostku, a w tle widać było bujną zieleń. Podtrzymywał swoją córkę, żeby mogła przechylić się przez barierkę i wrzucić do wody patyk. Rebecca zwróciła twarz do aparatu i szeroko się uśmiechała. Nie miała jeszcze czterech lat, ale już dostrzegałem w niej kobietę, którą później poznałem. Miała dokładnie ten sam uśmiech, tak dobrze zachowany przeze mnie w pamięci.

Trzeci września 1988, pierwszy dzień w szkole.

Zobaczyłem Rebecę jako pierwszoklasistkę w niebieskim sweterku i szarej plisowanej spódniczce. Stała dumnie wyprostowana przed...

Szkołą podstawową Rose Terrace.

Przez kilka sekund wpatrywałem się w zdjęcie.

Dobrze znałem ten budynek i nie miałem wątpliwości, że dziewczynka na fotografii to Rebecca. Nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Miałem jednak pewność, że to były dokładnie te same schody, te same poręcze i ten sam napis *Dziewczęta* wyryty w czarnym kamieniu nad drzwiami wejściowymi. Przed szkołą stała dziewczynka, która już jako dorosła kobieta została moją żoną.

Pierwszy dzień w szkole.

Rebecca musiała więc wtedy mieszkać w Featherbank.

To nagłe odkrycie zupełnie zbiło mnie z tropu. Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiedziałem? Przecież kilka razy odwiedziliśmy teściów w ich domu na południowym wybrzeżu. Pamiętałem jak przez mgłę, że Rebecca spędziła jakąś część dzieciństwa właśnie nad morzem. Rodzice przeprowadzili się, kiedy była małym dzieckiem, i często powtarzała, że właśnie stamtąd pochodzi. Niewykluczone jednak, że źle ją zrozumiałem. Po prostu na ten czas przypadł kluczowy okres jej życia, kiedy była nastolatką. Nawiązała wtedy ważne przyjaźnie i zebrała doświadczenia, które miały istotny wpływ na jej dorosłość, a potem dużo mi o tym opowiadała. Teraz miałem jednak przed sobą niezbity dowód na to, że przynajmniej na początku szkoły Rebecca mieszkała w Featherbank.

I właśnie wtedy mogła usłyszeć rymowanekę o Szeptaczu.

Przypomniałem sobie, jak bardzo Jake zafascynowany był domem, który pokazałem mu na ekranie iPada. Kiedy zobaczył w internecie zdjęcia posesji w Featherbank, przestał zwracać uwagę na inne oferty. To nie mógł być zbieg okoliczności. Szybko przejrzałem resztę fotografii. Większość została zrobiona na wakacjach, ale kilka miejsc udało mi się rozpoznać: Rebecca jedząca lody na New Road Side, bawiąca się na huśtawce w parku, siedząca na trójkołowym rowerku przy głównej ulicy...

A potem...

Nasz dom.

Ten widok wyprowadził mnie z równowagi tak samo jak fotografia przedstawiająca szkołę Rose Terrace. Rebecca była w miejscu, w którym

nigdy nie spodziewałbym się jej zobaczyć. Stała na chodniku przed naszym nowym domem i trzymała jedną stopę na podjeździe. Z łatwością rozpoznałem okna zamontowane w nietypowych miejscach i lekko przekrzywiony dach. Budynek wyglądał dość przerażająco i wyraźnie górował nad małą dziewczynką, która miała wystarczająco dużo odwagi, żeby przekroczyć granicę posesji.

Dom, w którym straszycielski. Dzieciaki na pewno zakładały się o to, kto podejdzie najbliżej, a potem robiły sobie zdjęcia.

To właśnie dlatego Jake tak bardzo się nim zainteresował. Widział go już wcześniej na fotografii, na której była również jego mama.

W tym momencie przyjrzałem się uważnie Rebecce. Miała siedem, może osiem lat i była ubrana w sukienkę w biało-niebieską kratę, a na kolanie widać było ranę po zadrapaniu. Tego dnia musiało dość mocno wiać, ponieważ jej bujne loki sterczały w nieładzie w jedną stronę.

Dokładnie tak samo wyglądała na obrazku Jake'a, na którym stali razem w oknie.

Wreszcie wszystko zrozumiałem i z trudem powstrzymałem się od płaczu.

To absurdalne, ale w pewnej chwili niemal uwierzyłem, że wymyślona koleżanka mojego syna to coś więcej niż tylko wytwór jego wyobraźni. Teraz wiedziałem już, że nie chodzi wcale o żadne duchy. Jake tak bardzo tęsknił za swoją mamą, że na podstawie starego zdjęcia wymyślił małą dziewczynkę, z którą postanowił się zaprzyjaźnić. Potrzebował kogoś, z kim mógłby się bawić tak samo jak z Rebeccą. Chciał, żeby ktoś go wspierał w nowym nieprzyjaznym środowisku, do którego nagle trafił.

Odwróciłem zdjęcie.

Pierwszy czerwca 1991, popis odwagi.

Przypomniałem sobie, jak zaraz po przeprowadzce Jake biegał z pokoju do pokoju, jakby kogoś szukał. Zrobiło mi się strasznie przykro. Tak bardzo go wtedy zawiodłem. To był dla niego naprawdę ciężki okres, a ja powinienem stać przy jego boku i bardziej się o niego troszczyć. Zamiast tego skupiłem się na sobie i napawałem własnym cierpieniem. Jake nie miał wyjścia i musiał szukać ratunku w zakamarkach własnej pamięci.

Odłożyłem fotografię.

Przepraszam cię, Jake, pomyślałem.

Postanowiłem przejrzeć pozostałą zawartość Teczki. Dotykałem kolejnych przedmiotów i czułem, jakbym grzebał w otwartej ranie. Nabrałem przekonania, że bezpowrotnie utraciłem syna i że przez resztę swojego marnego życia będę mógł oglądać tylko pozostawione przez niego pamiątki.

Wziąłem do ręki ostatnią kartkę. Kiedy lepiej się jej przyjrzałem, zamarłem w bezruchu. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, co właśnie mam przed oczami.

Chwyciłem telefon i pędem rzuciłem się do wyjścia.

Rozdział 59

– Powoli – powiedziała spokojnie Amanda. – Co takiego znalazłeś?

Pracowała bez wytchnienia całą noc. Zbliżała się dziewiąta rano i czuła się wykończona. Miała wrażenie, że bolą ją wszystkie kości. To było coś więcej niż zwykłe zmęczenie. Nie była w stanie się skupić ani zebrać myśli. Ostatnie, czego teraz potrzebowała, to telefon od Toma Kennedy’ego. Ojciec zaginionego chłopca gadał jak najęty, a ona niewiele z tego rozumiała.

– Już ci tłumaczyłem. Chodzi o rysunek.

– Z motylem?

– Tak.

– Możesz mówić wolniej i wyjaśnić, dlaczego twoim zdaniem ma to jakieś znaczenie?

– Znalazłem ten obrazek w Teczce z Bardzo Ważnymi Rzeczami.

– W czym?

– Jake zbiera przedmioty, które są dla niego ważne, i chowa je do specjalnej teczki. Właśnie tam znalazłem rysunek z motylem, bardzo podobnym do tych, które mieszkały w garażu.

– Okay.

Amanda rozejrzała się po pokoju. Panował tu taki sam chaos jak w jej głowie. Wiedziała, że powinna się skoncentrować. Tom natknął się na obrazek z fruującym owadem i uważał, że z jakiegoś powodu jest to istotne, chociaż nie miała pojęcia z jakiego.

– Kto to narysował? Jake?

– Nie! Obrazek został wykonany bardzo starannie i pełno na nim szczegółów. Autorem był z pewnością ktoś dorosły. Jednak co ciekawe, pierwszego dnia roku szkolnego, po powrocie z lekcji, Jake również rysował

dokładnie takie same motyle. Podejrzewam, że kopiował ilustrację, którą od kogoś dostał. Nie mógł przecież wejść do zamkniętego na kłódkę garażu, prawda?

– Uhm.

– Zobaczył te owady gdzieś w innym miejscu. Teraz już wiem gdzie. Osoba, która wykonała oryginalny rysunek, musiała mieć bezpośredni kontakt z tym gatunkiem motyla.

– Była u ciebie w garażu?

– Albo w domu. Sama twierdziłaś, że nie tylko Norman Collins przychodził oglądać ciało zamordowanego chłopca. Wydaje mi się, że właśnie w gronie tych dziwnych gości powinniśmy szukać mężczyzny, który porwał Jake’a.

Na dłuższą chwilę zaległa cisza. Amanda zastanawiała się, czy te rewelacje w ogóle trzymają się kupy. To prawda, że dom Toma Kennedy’ego był wcześniej odwiedzany przez szemrane towarzystwo. Chociaż obrazek z motylem nie miał prawdopodobnie większego znaczenia, to chyba warto było zainteresować się tym tropem. W końcu policja nie miała innego punktu zaczepienia.

– Kto to w takim razie narysował? – zapytała Amanda.

– Nie wiem, ale obrazek wygląda na całkiem nowy, więc być może autorem jest osoba pracująca w szkole. Jake przyniósł go do domu zaraz po wakacjach, a potem z zapalem zabrał się do jego kopiowania.

Szkoła.

W ciągu kilku pierwszych dni po zniknięciu Neila Spencera policjanci rozmawiali ze wszystkimi osobami, które miały z nim jakikolwiek kontakt. Również z nauczycielami. Nikt nie wzbudził jednak żadnych podejrzeń. Co więcej, Jake chodził do tej podstawówki od zaledwie kilku dni. Rysunek – jeśli w ogóle odgrywał jakąś rolę – mógł trafić w jego ręce w zupełnie innych okolicznościach.

– Nie jesteś tego pewien?

– Nie – zaprzeczył Tom. – Mam jednak coś jeszcze. Wieczorami Jake często rozmawiał sam ze sobą. Przynajmniej tak mi się wydawało. Uznałem, że ma wyimaginowanych przyjaciół. Pewnego razu wspomniał coś

o „chłopcu mieszkającym w podłodze”. Skąd mógł wiedzieć o ukrytym w garażu szkielecie i o motylach? Może ktoś mu powiedział?

– No nie wiem.

Amanda podejrzewała, że mógł to być zwykły zbieg okoliczności. Naprawdę nie widziała powodu, żeby znowu zawracać sobie głowę personelem miejscowej podstawówki. Chciała już podzielić się tą myślą, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie, ponieważ zrozumiała coś o wiele ważniejszego.

– Dlaczego wcześniej nikomu o tym nie powiedziałaś?

W słuchawce zaległa cisza. Może zadała cios poniżej pasa? W końcu rozmawiała z ojcem zaginionego dziecka. Wiedziała przecież, że niektóre fakty nabierają znaczenia dopiero z perspektywy czasu. Tajemnicze rysunki i wyimaginowani przyjaciele. Potwory szepczące pod oknami. Rodzice często niezbyt uważnie słuchają swoich dzieci. Jednak jeśli Tom Kennedy wcześniej podzieliłby się z policją wszystkimi szczegółami, sytuacja mogłaby wyglądać teraz zupełnie inaczej. Amanda nie siedziałaby w pracy po nieprzespanej nocy, Pete nie leżałby w szpitalu, a Jake nie zostałby porwany przez niebezpiecznego wariata. W tych okolicznościach trudno było zachować spokój. Zdawała sobie sprawę, że w jej pytaniu pojawił się oskarżycielski ton.

– Dlaczego nic nie mówisz? Tom?

– Nie wiedziałem, że to istotne. Nie miałem pojęcia, co mój syn ma na myśli.

– Może nic ważnego, ale... Cholera jasna. Poczekaj chwilę.

Rozległ się sygnał informujący o otrzymaniu nowej wiadomości. Pisała Liz Bamber, funkcjonariuszka odpowiedzialna za kontakty z rodziną. Była zaniepokojona, ponieważ nie mogła się dostać do domu Karen Shaw. Dzwoniła do drzwi, ale nikt jej nie otworzył. Amanda zmarszczyła brwi i przyłożyła telefon do ucha. Tom milczał. W tle słychać było odgłosy ruchliwej ulicy.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytała.

– W drodze do szkoły.

Jezu Chryste... Pochyliła się do przodu i wyszeptała:

– Błagam cię, nie rób tego.

– Ale...

– To nic nie da.

Zamknęła oczy i zaczęła rozmasowywać czoło. Co on sobie, do cholery, wykoncypował? Jedyne wyjaśnieniem było to, że postradał zmysły.

– Słuchaj, Tom. Musisz wrócić do domu Karen. Czeka tam na ciebie sierżant Liz Bamber. Poproszę ją, żeby jak najszybciej przywiozła cię do komisariatu, i wtedy pogadamy o tym obrazku, dobrze?

Przez dłuższą chwilę milczał. Najwyraźniej zastanawiał się, co zrobić. Za wszelką cenę chciał pomóc Jake'owi, ale nie mógł przecież podważyć autorytetu policji.

– Tom? Proszę, nie pogarszaj sytuacji.

– Okay.

Rozłączył się.

Cholera! Nie wiedziała, czy powinna mu wierzyć, ale nie miała chyba innego wyjścia. Wysłała do Liz wiadomość ze szczegółowymi instrukcjami, a potem odchyliła się na krzesło i rozmasowała zmęczoną twarz.

Na jej biurku wylądował jeszcze jeden raport. Otworzyła oczy i zaczęła czytać kolejną porcję zeznań świadków. Żaden z sąsiadów niczego nie widział i niczego nie słyszał. W tajemniczy sposób Francis Carter – albo raczej David Parker – wszedł do domu Toma Kennedy'ego, usiłował zabić doświadczonego funkcjonariusza miejscowej policji, porwał dziecko i nie zwracając niczyjej uwagi, rozpląnął się w powietrzu. Ten koleś miał naprawdę mnóstwo szczęścia.

Nie chodziło jednak tylko o zwykły fart. Dwadzieścia lat temu był delikatnym i bezbronnym chłopcem, ale wszystko wskazywało na to, że od tego czasu wyrósł na groźnego przestępcę, który potrafił wodzić policję za nos i niezauważony oddalić się z miejsca zbrodni.

Amanda głośno westchnęła.

Najwyraźniej nie miała wyboru i musiała znowu odwiedzić szkołę Rose Terrace.

Jeszcze raz to samo, westchnęła.

Rozdział 60

„Musisz wrócić do domu Karen”.

Przez chwilę wydawało mi się, że właśnie tak zrobię. W końcu komisarz Beck była policjantką, a instynkt podpowiadał mi, że należy wykonywać polecenia przedstawicieli organów ścigania. Poza tym jej słowa naprawdę mnie zaboląły. Rzeczywiście zawiodłem na całej linii. O wielu rzeczach w ogóle nie powiedziałem policji, ponieważ chciałem chronić Jake’a. Niestety, na nic się to nie zdało.

Wiedziałem, że ponoszę całkowitą odpowiedzialność za porwanie mojego syna.

Trudno się zatem dziwić, że komisarz Beck nie potraktowała mnie poważnie. Nie widziała jednak obrazka, który znalazłem w rzeczach Jake’a. Byłem pewien, że dostał go od kogoś w tajemnicy i stało się to całkiem niedawno.

Dlaczego zatrzymał ten rysunek?

Z jakich powodów był dla niego ważny?

Przypomniałem sobie, co się stało pierwszego dnia roku szkolnego. Strasznie się wtedy pokłóciliśmy, ponieważ Jake przeczytał list, który nieopatrznie zostawiłem na ekranie komputera. Po tym wydarzeniu w ogóle nie potrafiliśmy się dogadać. Może właśnie dlatego obrazek z motylem trafił do Teczki z Bardzo Ważnymi Rzeczami. Jake dostał go od kogoś, kto w kryzysowym momencie okazał mu wsparcie i był dla niego miły.

Kiedy to zrozumiałem, wiedziałem, co powinienem zrobić.

Pojawiłem się w szkole niemal w ostatniej chwili. Brama była ciągle

otwarta, a na dziedzińcu kręciło się jeszcze kilkoro rodziców, którzy odprowadzali swoje dzieci. Na początku planowałem iść do sekretariatu, ale okazało się, że część biurowa jest oddzielona od reszty budynku drzwiami na kartę. Uznałem, że sforsuję tę przeszkodę, jeśli zajdzie taka potrzeba, a na razie pójdę do sali, w której ma zajęcia klasa Jake'a.

Ruszyłem przed siebie szybkim krokiem. Czułem, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. W pewnym momencie minąłem Karen, która właśnie wychodziła ze szkoły.

– Tom!

– Później pogadamy.

W progu stała pani Shelley, a za jej plecami przemykało jedno z dzieci. Kiedy mnie zobaczyła, nie kryła zdziwienia. Musiałem wyglądać jak szaleniec.

– Panie Kennedy...

– Kto to narysował? – Rozłożyłem kartkę papieru i pokazałem jej obrazek z motylem. – Kto?

– Nie wiem...

– Jake zniknął – powiedziałem. – Rozumie pani? Ktoś go porwał. Pierwszego dnia mój syn przyniósł ze szkoły właśnie ten rysunek. Muszę wiedzieć, kto jest jego autorem.

Pokręciła głową. Mówiłem zbyt szybko i zbyt niewyraźnie. Nauczycielka nie była w stanie przetworzyć wszystkich informacji. Miałem ochotę złapać ją za poły żakietu i mocno potrząsnąć, żeby wreszcie zrozumiała, o co mi chodzi. W pewnym momencie podeszła do nas Karen i delikatnie położyła rękę na moim ramieniu.

– Tom, spróbuj trochę ochłonać.

– Ale ja jestem spokojny. – Nie odrywałem wzroku od wychowawczyni i jeszcze raz stuknąłem palcem w obrazek. – Kto to narysował? Któreś z dzieci? Inny nauczyciel? A może pani?

– Naprawdę nie mam pojęcia! – Była wyraźnie zdenerwowana. Widziałem, że wzbudzam w niej strach. – Muszę się chwilę zastanowić. Może George?

Rozluźniłem palce, w których ścisakałem kartkę papieru.

– George?

– To jeden z naszych asystentów, ale...

– Jest tutaj?

– Powinien być.

Spojrzała gdzieś w bok, a ja w tym samym momencie sprawnie ją wyminąłem i ruszyłem biegiem wzdłuż korytarza.

– Panie Kennedy!

– Tom!

Zignorowałem ich krzyki. Najpierw zajrzałem do szatni, w której dzieci z klasy Jake'a zostawiały swoje rzeczy. Gdyby nie doszło do porwania, na jednym z haczyków wisiałaby teraz kurtka mojego syna. Nie miałem czasu do stracenia. Znowu zacząłem biec. Skręciłem na rogu i wpadłem do głównego holu wypełnionego przez uczniów, którzy rozchodzili się właśnie do swoich klas. Wyminąłem kilku z nich, stanąłem na środku i zacząłem się rozglądać. Świat zawirował mi przed oczami. Nie wiedziałem, w której sali ma lekcje klasa mojego syna i gdzie może być teraz George. Zdawałem sobie sprawę, że wpakowałem się w tarapaty, ale w tej sytuacji nie miało to znaczenia. Muszę odnaleźć Jake'a, bo inaczej życie straci jakikolwiek sens. Poza tym miałem nadzieję, że jeśli George jest w pracy, to w tym momencie nie robi nikomu żadnej krzywdy.

Adam.

Po drugiej stronie holu zobaczyłem syna Karen. Odłożył na stojak butelkę z wodą, a potem podszedł do drzwi. Rzuciłem się pędem w jego stronę. Kątem oka zauważyłem, że korytarzem zbliża się jedna z sekretarek w towarzystwie starszego mężczyzny, pewnie dozorca. Pani Shelley musiała wezwać ich na pomoc. Na terenie szkoły pojawił się przecież nieproszony gość.

– Panie Kennedy! – krzyknęła sekretarka.

Byłem jednak sprytniejszy i zanim zdążyli mnie powstrzymać, wszedłem szybko do klasy. Na szczęście, zachowałem jeszcze wystarczającą trzeźwość umysłu, żeby nie taranować tłoczących się przede mną dzieci. W środku panowała istna kakofonia kolorów. Na pomalowanych na żółto ścianach

wisiały laminowane plansze z tabliczką mnożenia, liczbami, owocami i mnóstwem ludzików wykonujących rozmaite czynności opisane na oddzielnych karteczkach. Miałem przed sobą morze małych ławek i krzeseł. Rozejrzałem się nerwowo w poszukiwaniu kogoś dorosłego. Po drugiej stronie sali stała starsza kobieta. Patrzyła na mnie skonsternowana, przyciskając do piersi podkładkę z jakimiś papierami. Oprócz niej w pomieszczeniu były tylko dzieci.

W pewnym momencie poczułem czyjaś dłoń na ramieniu.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że obok mnie stoi dozorca i robi surową minę.

– Musi pan stąd wyjść.

– Rozumiem.

Miałem ochotę odepchnąć jego rękę, ale się powstrzymałem. Wiedziałem, że to bez sensu. George musiał być gdzie indziej. Byłem jednak sfrustrowany i odburknąłem nieprzyjemnym głosem:

– Już się stąd zabieram.

Po wyjściu z klasy dozorca ostentacyjnie zamknął drzwi. Zobaczyłem, że korytarzem zbliża się do nas pani Shelley. W ręku trzymała telefon. Czy już zdążyła zadzwonić na policję? Jeśli tak, to być może wreszcie zaczną mnie traktować poważnie.

– Panie Kennedy...

– Tak, wiem. Nie powinno mnie tu być.

– Bezprawnie wkroczył pan na teren szkoły.

– Proszę przesunąć mnie na żółte światło.

Chciała coś dodać, ale chyba ugryzła się w język. Wyglądała na wyraźnie zaniepokojoną.

– Powiedział pan, że Jake zniknął?

– Tak – potwierdziłem. – Został porwany wczoraj późnym wieczorem.

– Bardzo mi przykro. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co pan teraz czuje... Na pewno jest pan zdenerwowany i martwi się o syna.

Miała rację. Co więcej, cały czas odczuwałem paniczny lęk i miałem wrażenie, jakby ktoś podłączył mnie do prądu.

– Muszę znaleźć George’a – powiedziałem.

– Nie ma go tutaj – wtrąciła sekretarka, która stała obok nas z założonymi rękami i o wiele groźniejszą miną niż pani Shelley.

– A gdzie jest? – zapytałem.

– Hmm... pewnie u siebie w domu. Zadzwoił rano i powiedział, że jest chory.

Kiedy usłyszałem jej odpowiedź, od razu zaświeciła mi się w głowie czerwona lampka. To nie mógł być zbieg okoliczności. George z pewnością był teraz z Jakiem.

– Mogę dostać jego adres?

– Nie jestem upoważniona, żeby udostępniać takie informacje.

Miałem ochotę odepchnąć ją na bok i ruszyć w stronę biura. Co prawda, drogę blokował mi jeszcze dozorca, ale facet był już dobrze po sześćdziesiątce, więc gdyby próbował mnie zatrzymać, łatwo bym sobie z nim poradził. Rzecz jasna, potem tłumaczyłbym się gęsto przed policją, ale musiałem zaryzykować. Żeby przeszukać szafy na dokumenty i znaleźć adres George’a, potrzebowiałem jednak czasu. Niestety, nie miałem gwarancji, że się uda. Nie chciałem też, żeby z powodu moich wybryków Jake trafił do domu dziecka.

– A czy przekazecie dane osobowe na prośbę organów ścigania? – zapytałem.

– Oczywiście.

Odwróciłem się i przeszedłem przez hol, kierując się w stronę wyjścia. Nauczycielka, sekretarka i dozorca ruszyli za mną. Chcieli mieć pewność, że opuszczę budynek szkoły. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, zamknęli drzwi na klucz. Na dziedzińcu nikogo już nie było. Przy bramie stała tylko Karen i czekała na mnie z zaniepokojoną miną.

– Kurczę, dobrze, że cię wypuścili. Wiesz, że za takie rzeczy można trafić do pudła?

– Muszę go znaleźć.

– Tego George’a? Kto to w ogóle jest?

– Asystent nauczyciela. Narysował dla Jake’a obrazek z motylem, takim

samym jak te, które fruwały u mnie w garażu.

Karen spojrzała na mnie sceptycznie. Trudno było jej się dziwić. Pewnie tak jak komisarz Beck uważała, że moja teoria nie trzyma się kupy. Chyba nie potrafiłem przekonać ludzi do swoich racji. Osoba, która porwała Jake'a, musiała mu wcześniej powiedzieć o motylach i chłopcu mieszkającym w podłodze. Przecież mój syn nie miał zdolności parapsychologicznych. Był samotnym i niezwykle wrażliwym chłopcem, który usłyszał te wszystkie rewelacje od kogoś, z kim miał bezpośredni kontakt.

Ten ktoś gdzieś go teraz przetrzymywał.

– Rozmawiałeś o tym z policjantami? – zapytała Karen.

– Nie wzięli moich słów na poważnie.

Głośno westchnęła.

– Nie jest łatwo – stwierdziłem. – Wydaje mi się jednak, że mam rację. Muszę znaleźć mojego syna. Nie mogę znieść myśli, że dzieje mu się teraz krzywda. To wszystko przeze mnie. Ja muszę go uratować.

Zaległa cisza. Po dłuższej chwili milczenia Karen znowu westchnęła.

– George Saunders – oznajmiła. – Jedyne imię o tym imieniu, którego dane figurują na stronie internetowej szkoły Rose Terrace. Kiedy byłeś w środku, udało mi się znaleźć jego adres.

– Jezu Chryste!

– Już ci mówiłam. Jestem naprawdę niezła w szpiegowaniu.

Rozdział 61

– Lepiej nie rysuj takich rzeczy.

Mała dziewczynka wyglądała na zdenerwowaną. Chodziła tam i z powrotem po strychu. Od czasu do czasu zatrzymywała się i patrzyła, co robi Jake. Wcześniej w ogóle się nie odzywała, ponieważ nie miała powodów do niepokoju. Na kartce papieru chłopiec naszkicował dom z pięknym ogrodem. Wzorował się na obrazku, który dostał od George'a. W pewnym momencie temat mu się znudził i zaczął rysować pole bitwy.

Wykonywał okrężne ruchy ręką i rysował kolejne okręgi.

Pole siłowe. Albo wrota do teleportacji. Nie mógł się zdecydować, ale w zasadzie nie miało to większego znaczenia. Chodziło o coś, co da mu ochronę i umożliwi ucieczkę. Potrzebował jakiegokolwiek rzeczy, która pozwoliłaby wymknąć się stąd i schować przed George'em. Mężczyzna przebywał piętro niżej. Jake go nie widział, ale cały czas czuł jego groźną obecność. Nie był pewien, czy wychodząc ostatnim razem, George w ogóle zamknął drzwi na klucz. Mała dziewczynka chciała, żeby zszedł na dół i nacisnął klamkę. Nie, nie ma mowy. Nawet jeśli droga była wolna, nie miał zamiaru...

– Proszę cię, Jake, przestań.

Zrobił, co kazała. Drżała mu ręka i ledwie był w stanie utrzymać długopis. Rysował z tak wielkim zapalem, że prawie przebił się przez papier.

– Naprawdę się staram, ale nie potrafię tego zrobić – powiedział.

George dał mu cztery puste kartki. Jake wykorzystał już trzy, ale nie udało mu się wystarczająco dobrze skopiować domu z ogrodem. Obrazek był zbyt szczegółowy. Chłopiec podejrzewał, że George zrobił to celowo. To było coś w rodzaju testu, tak samo jak zjedzenie paskudnego śniadania. W szkole często miał klasówki, ale nauczycielom zależało, żeby mu dobrze poszło.

Z George'em było inaczej. Kiedy pierwszego dnia Jake został przesunięty na żółte światło, wydawało mu się, że pani Shelley wcale nie chciała tego robić. Natomiast George czekał tylko na okazję, żeby go surowo ukarać.

Jake musiał więc mieć się na baczności. Robił wszystko, co w jego mocy, żeby sprostać oczekiwaniom. Została mu jeszcze jedna kartka, więc zaczął rysować bitwę. Przecież należało wykazać się kreatywnością, prawda?

Tacie zawsze bardzo podobały się jego obrazki.

Wiedział jednak, że teraz lepiej myśleć o czymś innym. Znowu zaczął rysować i wykonywać zamaszyste ruchy. Być może dziewczynka miała rację, ale nie potrafił się powstrzymać. Musiał jakoś opanować narastającą panikę i chociaż wydawało się, że zupełnie nie kontroluje swojej ręki, to całkowite skupienie się na wyznaczonym zadaniu dawało mu poczucie względnego spokoju. A może tylko sam siebie oszukiwał?

W pewnym momencie na dole otworzyły się drzwi, a po chwili rozległy się kroki.

Na kartce było za dużo tuszu i papier się przedarł. Jeden z żołnierzy zniknął, jakby wpadł w jakąś otchłań.

Teraz jesteś bezpieczny, pomyślał chłopiec.

Do pokoju wszedł George.

Uśmiechał się, ale widać było, że coś jest nie tak. Jake miał wrażenie, że mężczyzna stara się udawać troskliwego rodzica, ale ta rola wyraźnie mu nie leży. Szukał tylko okazji, żeby zrzucić z siebie niewygodny kostium i pokazać prawdziwą twarz. Jake podejrzewał, że lepiej nie oglądać tego, co kryje się pod pozornie przyjazną maską. Wstał z podłogi i poczuł, że cały się trzęsie, a serce wali mu jak oszalałe.

– No, no! – George się do niego zbliżył. – Zobaczmy, co udało ci się zrobić.

Zatrzymał się i spojrzał na obrazek.

Z jego twarzy od razu zniknął uśmiech.

– Co to ma znaczyć, do cholery?

W obecności Jake'a zazwyczaj nikt nie przeklinał. Z wrażenia chłopiec zaczął mrugać i wtedy zorientował się, że ma łzy w oczach. Zaczął płakać

i nawet tego nie zauważył. Miał ochotę przestać nad sobą panować i całkowicie się rozkleić. Powstrzymała go jednak mina, którą zobaczył na twarzy mężczyzny. Zbyt emocjonalna reakcja na pewno nie przypadłaby mu do gustu. George przeczekałby atak histerii, a potem rozpętał piekło.

– Kazałem ci narysować coś zupełnie innego.

– Pokaż mu inne obrazki – zareagowała błyskawicznie mała dziewczynka.

Jake wytarł oczy i wskazał palcem na leżące na podłodze kartki papieru.

Potrzebuję mojego tatusia, pomyślał.

Był tak roztrzęsiony, że prawie wypowiedział te słowa na głos.

– Naprawdę się starałem – oznajmił. – Niestety, to było dla mnie za trudne.

George spojrział na rysunki i zaczął je oceniać krytycznym wzrokiem. Na kilka sekund zaległa w pokoju kompletna cisza, a napięcie sięgnęło zenitu.

– Nie nadają się – zawyrokował wreszcie mężczyzna.

Jake poczuł się dotknięty. Zdawał sobie sprawę, że brakuje mu talentu plastycznego, ale tata zawsze uważał...

– Lepiej nie potrafię.

– Ależ nieprawda, Jake. Potrafisz. Po prostu zbyt szybko się poddałeś. Miałeś jeszcze jedną kartkę, na której mogłeś poćwiczyć, ale zamiast tego postanowiłeś narysować jakiś... bohomaz. – Wskazał lekceważąco ręką na obrazek przedstawiający pole bitwy. – Wszystko kosztuje, a w tym domu nie marnujemy pieniędzy.

– Przepróż go – powiedziała mała dziewczynka.

– Przepraszam pana.

– To nie wystarczy, Jake. Należy mi się coś więcej.

George spojrział na chłopca świdrującym wzrokiem. Trzęsły mu się ręce i wydawało się, że z trudem powstrzymuje wybuch agresji. Jake zdawał sobie sprawę, że nieudany rysunek jest tylko wymówką. W głębi serca George chciał go skrzywdzić i tylko zastanawiał się, czy ma już wystarczający powód, żeby to zrobić.

W końcu podjął decyzję.

– Zostaniesz ukarany.

Mężczyzna zamarł w bezruchu, a z jego twarzy opadła maska dobrego opiekuna. Jake obserwował tę przemianę z rosnącym przerażeniem. Potwierdziło się to, że George jedynie udawał życzliwość. Był w stanie zrzucić z siebie przebranie tak łatwo, jak zdejmuje się podkoszulek. Przed roztrzęsionym chłopcem stał teraz potwór.

Jake był z nim sam na sam.

Wiedział, że będzie bolało.

Zaczął się cofać, ale w pewnym momencie jego łydki uderzyły o ramę łóżka.

– Potrzebuję mojego tatusia!

– Co takiego?

– Gdzie jest mój tata? Potrzebuję go!

George zrobił krok do przodu. Nagle gdzieś na dole rozległ się dźwięk alarmu i Jake aż podskoczył z wrażenia. Mężczyzna od razu się zatrzymał i bardzo powoli odwrócił głowę. Reszta jego ciała była cały czas skierowana w stronę chłopca.

Jake zorientował się, że to wcale nie był alarm.

Ktoś dzwonił do drzwi.

Rozdział 62

Kipiąc ze złości, zbiegł na pierwsze piętro, wpadł do swojej sypialni i wyciągnął z szafy biały szlafrok. W końcu oficjalnie był chory. Usiłował zapanować nad nerwami i choć trochę się uspokoić. Nie chciał jednak spychać emocji zbyt głęboko. Lepiej mieć je pod ręką. Być może złość będzie mu jeszcze potrzebna.

Pieprzony dzwonek.

Ktoś ciągle nie dawał za wygraną. Francis zszedł na parter. To nie może być policja. Gdyby z jakiegoś powodu odwiedzili go funkcjonariusze, na pewno nie byliby tacy grzeczni. Zbliżył oko do judasza. Dźwięk dzwonka ciągle wwiercał mu się w głowę. Zobaczył schody i kawałek ogrodu, lekko zniekształcone przez wypukłe oko wizjera. Na wprost stał Tom Kennedy i z uporem maniaka naciskał guzik. Francis odruchowo się cofnął. Co się stało? Jakim cudem ten facet tutaj trafił? Przecież prędzej należało spodziewać się policji, a nie tego nieudacznika.

Dlaczego w ogóle zależało mu na własnym synu?

Francis odsunął się od drzwi. Nie musiał nikogo wpuszczać. Kennedy w końcu sobie pójdzie. To niemożliwe, żeby sterczał przed domem dłużej niż parę minut.

Niestety, dzwonek nie przestawał brzęczeć.

Francis przypomniał sobie wyraz twarzy Toma Kennedy'ego. A co jeśli temu facetowi naprawdę odbiło? Przecież stracił dziecko, i chociaż bardzo je zaniedbywał, jednak mogło się to odcisnąć na jego psychice.

Niewykluczone, że Francis źle ocenił sytuację.

Oparł się czołem o drzwi. Od namolnego intruza dzieliło go zaledwie kilka centymetrów. Poczł lekkie mrowienie z tyłu głowy. Czy to możliwe, że mimo wszystko Jake był kochany? Że jego ojciec martwił się o niego i za

wszelką cenę chciał go odnaleźć? Przez chwilę Francis miał wrażenie, że jest całkowicie bezradny. To nie mogła być prawda. Świat nie był aż tak niesprawiedliwy. Przecież nikt nie przejmował się losem małych chłopców. Kiedyś jedynie podejrzewał, że nic nie znaczą, lecz teraz był tego pewien. Zasługiwali tylko na...

Znowu zadzwonił dzwonek.

– Już idę! – krzyknął.

Kennedy z pewnością go usłyszał, ale nie przestał naciskać guzika. Francis szybkim krokiem poszedł do kuchni, wziął z suszarki mały ostry nóż i wsunął go do kieszeni szlafroka. Dzwonek wreszcie ucichł. Mężczyzna zebrał się w sobie i poczuł, że znowu ogarnia go złość. O to właśnie chodziło. Musi tylko dobrze to rozegrać.

Pozbądź się go, pomyślał.

Zajmij się chłopcem.

Zrobił przyjazną minę i ruszył w stronę drzwi.

Rozdział 63

– Już idę!

Kiedy usłyszałem jego głos, byłem zaskoczony i nie przestawałem dzwonić.

Straciłem już nadzieję, że mi otworzy. Nie dawałem jednak za wygraną, ponieważ i tak nie miałem dokąd pójść i czym się zająć. Straciłem rachubę czasu i nie wiedziałem, jak długo sterczę pod tymi drzwiami. Naciskałem dzwonek, licząc, że w ten sposób jakoś pomogę Jake'owi.

Zrobiłem krok do tyłu, odwróciłem się i spojrzałem na Karen. Czekwała w samochodzie z telefonem przyciśniętym do ucha i obserwowała mnie z niepokojem. Uparła się, że skontaktuje się z policją i porozmawia o mojej teorii z komisarz Beck. Teraz mierzyła mnie wzrokiem i z niedowierzaniem kręciła głową.

Nie miałem pojęcia, co się może wydarzyć. Od momentu, gdy zacząłem myszkować w Teczce z Ważnymi Rzeczami, w mojej krwi buzowała adrenalina i działałem instynktownie. Nie wiedziałem, co powiem i jak zareaguję, gdy w progu stanie George Saunders.

Usłyszałem zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

Przypomniałem sobie mojego ojca leżącego wczoraj wieczorem na podłodze w kałuży krwi. Doznał bardzo poważnych obrażeń, chociaż był przecież silnym wysportowanym facetem. Jego przeciwnik nie miał jednak większych problemów, żeby go obezwładnić. Co prawda, Pete był nieuzbrojony i napastnik go zaskoczył, ale czy w takiej sytuacji ja byłbym w stanie przeciwstawić się agresorowi?

Chyba nie najlepiej to wszystko przemyślałem.

Zaskrzypiały drzwi.

Podejrzywałem, że są zamknięte na łańcuch i zobaczę tylko oczy

Saundersa, które będą spoglądały na mnie z trwogą. Myliłem się. Drzwi otworzyły się na oścież. Kiedy zobaczyłem stojącego w progu mężczyznę, byłem całkowicie zbity z tropu. Wyglądał pod każdym względem przeciętnie i chociaż miał dwadzieścia kilka lat, wydawało mi się, że patrzę na nastolatka. Było w nim coś delikatnego, wręcz dziecięcego. Chyba nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z kimś, kto sprawia tak niegroźne wrażenie.

– George Saunders? – zapytałem.

Powoli skinął głową, a potem owinął się jeszcze szczelniej połą szlafroka. Jego czarne włosy sterczały w nieładzie na wszystkie strony, a z wyrazu twarzy wywnioskowałem, że właśnie wstał z łóżka. Był jednocześnie zaskoczony i lekko poirytowany.

– Pracuje pan w szkole Rose Terrace, prawda?

Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek.

– Tak, zgadza się.

– Wydaje mi się, że uczy pan mojego syna.

– Jestem tylko asystentem.

– Trzecia klasa. Nazywa się Jake Kennedy.

– Aha, owszem, kojarzę. Rzeczywiście mam go wśród swoich podopiecznych, ale powinien porozmawiać pan z nauczycielką. – Zmarszczył czoło, jednak nie dlatego, że coś podejrzewał. Po prostu był zaspany. Nagle o czymś sobie przypomniał. – Takie sprawy lepiej załatwiać w szkole. A tak w ogóle, to skąd pan ma mój adres?

Zmierzyłem go wzrokiem. Miał bladą twarz i lekko się trząsł, chociaż było bardzo ciepło. Naprawdę wyglądał na chorego. Niespodziewana wizyta wyraźnie go zaniepokoiła. Miałem wrażenie, że nie do końca wie, z kim rozmawia. Po prostu czuł się skrępowany nagłą wizytą podenerwowanego rodzica.

– Nie chodzi o jego postępy w nauce – dodałem.

– A o co?

– Jake zniknął.

Saunders pokręcił głową, jakby nic z tego nie rozumiał.

– Został porwany – wyjaśniłem. – Tak jak Neil Spencer.

– O Boże... – Zrobił przerażoną minę. – Tak mi przykro. Kiedy to się stało?

– Wczoraj w nocy.

– O Boże... – powtórzył, a potem zamknął oczy i zaczął rozmasowywać skronie. – To naprawdę straszne. Nie znam Jake’a zbyt dobrze, ale sprawia wrażenie bardzo sympatycznego chłopca.

Owszem, pomyślałem, to miłe dziecko.

Zauważyłem, że Saunders użył czasu teraźniejszego. Miałem jednak wątpliwości. Moje podejrzania były oparte na wątpliwych przesłankach, a sądząc po wyglądzie, Saunders nie skrzywdziłby nawet muchy. Poza tym sprawiał wrażenie przejętego sytuacją. Wiadomość, że Jake został porwany, naprawdę go zasmuciła.

Pokazałem mu obrazek z motylem.

– Czy pan to narysował?

Saunders spojrział na kartkę papieru.

– Nie. Nigdy wcześniej tego nie widziałem.

– Na pewno?

– Tak.

Drżała mi ręka i próbowałem podetknąć mu rysunek pod sam nos. Zrobił krok do tyłu. Zachowywał się bardzo naturalnie. Dokładnie w taki sposób powinien zareagować. W progu jego domu stał w końcu niestabilny emocjonalnie, obcy facet.

– A chłopiec mieszkający w podłodze? – zapytałem.

– Co takiego?

– Chłopiec mieszkający w podłodze.

Wbił we mnie przerażony wzrok. Chyba zaczął rozumieć, że próbuję obarczyć go winą za to, co się stało. Jeśli udawał, to był fenomenalnym aktorem.

To błąd, pomyślałem.

Nie miałem jednak nic do stracenia.

– Jake! – krzyknąłem, pochylając się do przodu.

– Co pan wyrabia?

Oparłem się o framugę, niemal dotykając Saundersa, i wrzasnąłem na całe gardło.

– Jake!

Żadnego odzewu.

Po kilku sekundach ciszy Saunders głośno przełknął ślinę. W tym dźwięku było coś tak nieprzyjemnego, że aż się wzdrygnąłem.

– Panie... Kennedy?

– Tak?

– Rozumiem, że jest pan zdenerwowany. Naprawdę potrafię sobie to wyobrazić, ale pańskie zachowanie budzi we mnie lęk. Nie wiem, co się dzieje, ale lepiej, jeśli zostawi mnie pan w spokoju.

Zmierzyłem go wzrokiem. Nie udawał: w jego oczach zobaczyłem strach. Zastygł w bezruchu, czekając na moją reakcję. Był nieśmiałym facetem, który bał się własnego cienia. Gdybym tylko głośniejszy krzyknął, na pewno by się skulił.

Saunders nie kłamał.

W jego domu nie było Jake'a, a ja...

Pokręciłem głową i zrobiłem krok do tyłu.

Przegrałem. Poniosłem klęskę na całej linii. W ogóle nie powinienem tutaj przyjeżdżać. Popełniłem błąd. Należało posłuchać komisarz Beck i wrócić do domu Karen, zanim dojdzie do kolejnej katastrofy. Naprawdę spieprzyłem już wystarczająco dużo.

– Przepraszam.

– Panie Kennedy...

– Przepraszam. Lepiej sobie pójdę.

Rozdział 64

– Poczekaj.

Co mógł zrobić? Nic.

Siedział na łóżku, kurczowo ściskając pościel. George wyszedł z pokoju i zamknął drzwi na klucz. Cały czas dzwonił dzwonek. Dopiero po minucie zrobiło się cicho. Jake uznał, że George wpuścił gościa do domu i teraz pewnie ze sobą rozmawiają. Inaczej wróciłby na górę, by go ukarać.

Może zmieni zdanie, jeśli będę się grzecznie zachowywał, pomyślał.

Wystarczy wykonywać polecenia i George znowu będzie dla mnie miły.

– Wiesz, że to nieprawda, Jake.

Odwrócił głowę. Obok niego siedziała mała dziewczynka. Zrobiła poważną minę i chociaż wciąż była przestraszona, sprawiała teraz wrażenie niezwykle zdeterminowanej.

– To zły człowiek – oznajmiła. – Chce cię skrzywdzić i zrobi to, jeśli mu na to pozwolisz.

Jake miał ochotę wybuchnąć płaczem.

– W jaki sposób mogę go powstrzymać?

Lekko się uśmiechnęła, jakby oboje dobrze znali odpowiedź na to pytanie. Nie, nie, nie! Jake spojrzał w róg pokoju, gdzie znajdowały się schody. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł zejść na dół. Nie byłby w stanie sprostać temu, co go tam czeka.

– Nie zrobię tego!

– A co, jeśli przyszedł tutaj twój tata?

Jake nie miał w sobie wystarczająco dużo odwagi, żeby dopuścić do siebie taką myśl. Ale ojciec na pewno go szukał i wcale niewykluczone, że stał teraz na dole i próbował dostać się do środka.

Chłopiec nie chciał sobie jednak robić zbyt wielkich nadziei.

– Tata przyszedłby na strych, żeby mnie uratować.

– Owszem, ale musiałyby mieć pewność, że tu jesteś. Niestety, na razie jest zdany wyłącznie na domosły. – Na chwilę zamilkła. – Może powinieneś wyjść mu naprzeciw?

Jake pokręcił głową. Zbyt wiele od niego wymagała.

– Nie ma mowy. Nie zejdem po tych schodach.

Dziewczynka pogrążyła się w myślach.

– Opowiedz mi swój koszmar – poprosiła cichym głosem.

Jake zamknął oczy.

– Ten, w którym znajduję leżącą na podłodze mamusię?

– Tak. Nikomu o tym nie mówiłeś, prawda? Nawet tacie. To dla ciebie zbyt straszne, ale ja chętnie cię wysłucham.

– Nie potrafię.

– Potrafisz – wyszeptała. – Trochę ci pomogę. Zagładasz do salonu i masz wrażenie, że w domu jest pusto. Tata jeszcze nie wrócił. Został chwilę dłużej, żeby zrobić coś przy samochodzie. Przechodzisz na drugą stronę pokoju.

– Przestań – wtrącił Jake.

– Przez okna wpada słońce.

Zacisnął powieki, ale na nic to się zdało. Ciągłe pamiętał, jak promienie słoneczne padały na podłogę.

– Idziesz powoli, ponieważ wydaje ci się, że coś jest nie w porządku, że czegoś brakuje. Przeczuwasz jakąś tragedię.

W tym momencie zobaczył drzwi wychodzące na mały korytarz, ścianę z białą tapetą i drewnianą poręcz.

Z każdym krokiem widział coraz więcej.

Aż wreszcie...

– Wtedy to się stało – powiedziała dziewczynka. – Prawda?

To nie był żaden koszmar, więc nie mógł się obudzić i wyrzucić z pamięci tych strasznych obrazów. Mamusia leżała na podłodze, tuż przy schodach, z głową przekrzywioną w jedną stronę. Jej policzek spoczywał na dywanie.

Miała bladą, lekko siną twarz i zamknięte oczy. Tata wyjaśnił później, że dostała ataku serca. Jake nie chciał w to uwierzyć, ponieważ takie rzeczy przytrafiały się tylko starszym ludziom. Ojciec twierdził jednak, że młodzi również mogą mieć zawał, szczególnie jeśli ich serce jest...

Wtedy zawiesił głos i obaj się rozplakali.

Ta rozmowa miała jednak miejsce znacznie później. Teraz Jake stał obok ciała i nie był w stanie zrozumieć, co się stało. Miał kompletny mętlik w głowie.

– Widziałem ją – powiedział.

– No i?

– To była moja mama.

Mama, a nie żaden potwór. Kiedy dotarło do niego, co właściwie ma przed oczami, poczuł się strasznie. Wydawało mu się, że jakaś jego część również umarła i leży na podłodze. Nie był w stanie opisać zalewającej go fali potężnych emocji. To było jak Wielki Wybuch, który stworzył nowy wszechświat.

Wiedział jednak, że nic mu nie grozi. Nie musiał się bać własnego rodzica.

– Musimy zejść na dół – oznajmiła dziewczynka i położyła rękę na jego ramieniu. – Nie masz powodów do niepokoju.

Otworzył oczy i na nią spojrział. Stała obok i wyglądała bardzo realnie. Miał wrażenie, że wcale jej sobie nie wymyślił. Poczuł, że nikt go tak bardzo nie kocha jak ona.

– Pójdiesz ze mną?

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście, mój wspaniały chłopaku.

Wstała z łóżka, wzięła go za rękę i pomogła się podnieść.

– Jacy jesteśmy? – zapytała.

Rozdział 65

– Przepraszam. Lepiej sobie pójdę.

Nie byłem pewien, przed kim tak naprawdę się kajam. Chyba przed Saundersem za to, że pojawiłem się w jego domu i wysuwam bezpodstawne oskarżenia. Chodziło jednak o coś więcej. Prosiłem o przebaczenie również Jake’a i Rebeccę. Oraz w pewnym sensie samego siebie. Czułem, że zawiodłem wszystkich.

Spojrzałem na Karen. Nadal trzymała telefon przy uchu. Kiedy zobaczyła, że na nią patrzę, znowu pokręciła głową.

– Nic się nie stało – powiedział Saunders spokojnym głosem. – Rozumiem, że jest pan zdenerwowany. Trudno mi sobie wyobrazić, przez co pan teraz przechodzi, ale...

Zawiesił głos.

– Wiem.

– Chętnie porozmawiam z policją. Mam nadzieję, że szybko odnajdą pańskiego syna. Całego i zdrowego. Może to wkrótce się wyjaśni.

– Dziękuję.

Przytaknąłem, odwróciłem się i już miałem ruszyć w stronę samochodu, kiedy usłyszałem za plecami jakiś hałas. Zamarłem w bezruchu. Wydawało mi się, że ktoś wali w drzwi i krzyczy, ale nie byłem w stanie zrozumieć poszczególnych słów.

Saunders również zorientował się, że coś jest nie tak. Wyraz jego twarzy zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kiedy znowu na niego spojrzałem, nie wyglądał już na nieszkodliwego fajtlapę, który zмага się z przeziębieniem. W mgnieniu oka przestał być przyzwoitym człowiekiem i nagle stałem naprzeciwko kogoś zupełnie obcego i niezwykle niebezpiecznego.

Szybko zamknął drzwi.

– Jake!

Rzuciłem się przed siebie i w ostatniej chwili wetknąłem nogę do środka. Drzwi z impetem uderzyły w moje kolano i poczułem przeszywający ból. Chwyciłem jedną ręką za futrynę i napałem całym ciałem na klamkę. Saunders stał w korytarzu i głośno stękając, starał się wypchnąć mnie na zewnątrz. Byłem jednak wyższy i cięższy, a adrenalina dodała mi sił.

Nie miałem cienia wątpliwości, że Jake tu jest i jeśli nie przyjdę mu z pomocą, Saunders go zabije. Zdawałem sobie sprawę, że muszę się pospieszyć. Porywacz znalazł się w pułapce, ale jeśli mnie powstrzyma, to będzie miał czas, żeby zrobić krzywdę mojemu synowi.

– Jake!

Opór nagle ustał, a drzwi niespodziewanie się otworzyły.

Wpadłem do środka, z trudem utrzymując równowagę, i niemal staranowałem Saundersa, który najwyraźniej opadł z sił. Rzuciłem się na niego, a on uderzył mnie pięścią w bok, ale cios nie należał do najmocniejszych. Po chwili obaj upadliśmy na podłogę. Udało mi się znaleźć na górze. Jednym ramieniem przycisnąłem jego przekrzywioną głowę do parkietu, a drugim unieruchomiłem prawą rękę. Próbował się podnieść, ale byłem cięższy. W pewnym momencie zrozumiałem, że mam nad nim przewagę i już mi się nie wymknie.

Nie dał jednak łatwo za wygraną. Jeszcze raz się poderwał i poczułem jego dłoń mniej więcej w tym samym miejscu, w które wcześniej mnie uderzył. Przeszył mnie ból, początkowo niezbyt ostry, ale trudny do zniesienia i promieniujący na resztę ciała. Zrobiło mi się niedobrze. Coś było nie tak. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że Saunders cały czas przyciska pięść do mojego boku, a jego biały szlafrok zaczyna nasiąkać krwią.

Ścisnął w dłoni nóż, którego ostrze tkwiło głęboko w moim ciele. Znowu próbował się wyswobodzić, a z jego ust wydobył się dziki wrzask. Pociemniało mi przed oczami.

Jake!

Nie byłem pewien, czy krzyknąłem, czy tylko mi się wydawało.

Twarz Saundersa znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od mojej.

Czułem na skórze kropelki jego śliny. Wyszczrzył zęby i próbował mnie ugryźć. Przycisnąłem go mocniej do podłogi, ale w pewnym momencie oczy zaszyły mi mgłą. Saunders napiął mięśnie i ponownie podskoczył. Poczułem, że ostrze się przesunęło, i ból zrobił się trudny do zniesienia. Jeśli odpuszczę, Saunders szybko pośle mnie do piachu, a potem zabije Jake'a. Napałem na niego jeszcze mocniej. Nóż znowu się poruszył. Zobaczyłem gwiazdy, które po chwili eksplodowały oślepiająco białym światłem. Wiedziałem, że nie mogę dać za wygraną. Nie pozwolę mu wstać, prędzej padnę trupem.

Jake.

Na górze ktoś ciągle walił w drzwi i krzyczał. Teraz byłem w stanie zrozumieć poszczególne słowa. To był mój syn i wzywał mnie na pomoc.

Jake.

Gwiazdy zniknęły i miałem przed oczami tylko obezwładniającą jasność.

Przepraszam.

Rozdział 66

Adrenalina potrafi postawić człowieka na nogi.

Francis Carter, pomyślała Amanda.

Albo raczej David Parker, czy jeszcze jakoś inaczej, w zależności od tego, jakim nazwiskiem się obecnie posługiwał.

Wcześniej pojechała do komisariatu i gruntownie zlustrowała wszystkich pracowników szkoły Rose Terrace. Szukała mężczyzny dobiegającego trzydziestki. Wśród personelu było jedynie czterech facetów, w tym dozorca, ale tylko jeden spełniał jej kryterium. George Saunders miał dwadzieścia cztery lata, a Francis Carter dwadzieścia siedem, ale przecież wiek nie musiał się dokładnie zgadzać.

Policjanci rozmawiali z Saundersem po zaginięciu Neila Spencera, ale młody asystent nie wzbudził żadnych podejrzeń. Amanda uważnie przeczytała jego zeznania. Był bardzo przekonujący i sprawiał wrażenie erudyty. Nie miał alibi na czas, kiedy doszło do porwania, ale to nikogo nie zaniepokoiło. Ten człowiek nigdy nie był notowany i wydawał się całkowicie niegroźny. Nie mieli żadnego punktu zaczepienia.

Później okazało się jednak, że prawdziwy George Saunders zmarł trzy lata temu.

Kiedy Amanda wjechała na ulicę, przy której mieszkał, poczuła rosnące napięcie. Zaparkowała przed opuszczonym budynkiem, w pewnej odległości od posesji Saundersa. Po chwili zaraz za jej autem zatrzymała się furgonetka, a dwa inne samochody nadjechały z naprzeciwka i wyhamowały u stóp wzgórza. Żaden z pojazdów nie był widoczny z okien domu podejrzanego. Gdyby Saunders wyjrzał teraz na zewnątrz, nic nie wzbudziłoby jego niepokoju. To było bardzo ważne. Nie chcieli, żeby się zabarykadował. Ostatnie, czego teraz potrzebowali, to odbijanie zakładników.

Raczej do tego nie dojdzie, pomyślała. Jeśli Saunders rzeczywiście znajdzie się w potrzasku, od razu zabije Jake'a Kennedy'ego.

Przez całą drogę dzwonił jej telefon. Cztery nieodebrane połączenia. Pierwsze trzy z nieznanego numeru, a czwarte ze szpitala. Pewnie przysłali nowe informacje o stanie zdrowia Pete'a.

Poczuła, że coś się w niej wypaliło. Jeszcze wczoraj wieczorem była w bojowym nastroju. Postanowiła, że zrobi wszystko, żeby ocalić swojego kolegę i odnaleźć zaginionego chłopca. Teraz wydawało jej się to zupełnie bez sensu. Powinna myśleć realistycznie. Miała przecież wpływ wyłącznie na jedną z tych rzeczy.

Nie pozwolę, żeby podczas mojej służby zginęło kolejne dziecko.

Wysiadła z samochodu.

Na zewnątrz panowała kompletna cisza. Można było odnieść wrażenie, że nikt tutaj nie mieszka, a pogrążona w letargu dzielnica powoli dogorywa. Nagle Amanda usłyszała zgrzyt otwierających się za jej plecami drzwi furgonetki, a potem stukot butów na asfalcie. Spojrzała w drugą stronę: u stóp wzgórza policjanci wysiadali właśnie z samochodów i ustawiali się na chodniku. Zgodnie z planem najpierw miała sama zapukać do drzwi i przekonać Francisa, żeby wpuścił ją do środka. W tym samym czasie zadaniem reszty funkcjonariuszy było okrążenie terenu i błyskawiczne aresztowanie podejrzanego.

W pewnym momencie Amanda zobaczyła jednak zaparkowany na ulicy samochód Karen Shaw, a potem zauważyła, że drzwi do domu George'a Saundersa są szeroko otwarte. Zerwała się do biegu.

– Zaczynamy akcję!

Wpadła do ogrodu, pomknęła ile sił w nogach w stronę wejścia i po chwili stała już w korytarzu. Zajrzała do salonu. Na podłodze leżały poskręcane ciała i wszędzie pełno było krwi. Na początku nie mogła się zorientować, kto jest ranny. Podeszła bliżej.

– Pomocy!

To krzyczała Karen Shaw. Przyciskała kolanami rękę Francisa Cartera, próbując ją unieruchomić. Carter i tak nie był w stanie się ruszyć, ponieważ leżał na nim jeszcze Tom Kennedy. Mimo to zacisnął mocno powieki i robił

wszystko, żeby się wyrwać, choć nie miał żadnych szans.

Gdzieś z góry dochodziło walenie w drzwi i desperackie krzyki:

– Tato! Tato!

Do salonu wbiegło kilkunastu policjantów. Wyminęli Amandę i zajęli miejsca w różnych częściach pokoju.

– Nie ruszajcie go! – krzyknęła Karen. – Został ugodzony nożem.

Amanda zauważyła kałużę krwi wsiąkającą w szlafrok, który miał na sobie Carter. Tom Kennedy w ogóle się nie ruszał. Trudno było stwierdzić, czy jeszcze żyje.

Jeśli również on umrze przez jej opieszałość...

– Tato! Tato!

Przynajmniej z tym mogła coś jeszcze zrobić.

Rzuciła się biegiem w stronę schodów.

Część szósta

Rozdział 67

Pete słyszał kiedyś, że kiedy człowiek umiera, całe życie przelatuje mu przed oczami.

Teraz wiedział, że to prawda, ale równie szybko mijają wszystkie inne chwile naszej ziemskiej egzystencji. Czas płynął bardzo szybko. Kiedy był chłopcem, dziwił się, że jętki i niektóre motyle żyją zaledwie kilka dni, a nawet parę godzin. Nie mógł sobie tego wyobrazić. Później zrozumiał jednak, że ta zasada dotyczy wszystkich stworzeń: to tylko kwestia perspektywy. Kolejne lata mijaly jak z bicza strzelił. Wspomnienia kumulowały się jak ludziki, które łapią się za ręce, żeby stworzyć jak najdłuższy łańcuch. A potem następował koniec.

I wszystko cofało się jak puszczonej od tyłu film.

Teraz mógł to sobie obejrzeć.

Spoglądał na chłopca, który smacznie spał w swoim pokoju. Ciemność rozjaśniało jedynie blade światło padające z korytarza. Chłopiec leżał na boku, z kosmykiem włosów założonym za ucho. Obie dłonie trzymał złożone przy twarzy. Panował absolutny spokój. Dziecko otoczone było miłością i nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Na podłodze leżała otwarta, lekko zniszczona książka.

„Twój tata lubił tę historię, kiedy był dzieckiem”.

Potem zobaczył cichą wiejską drogę. Było lato i wszystko kwitło. W pewnym momencie zamrugał i rozejrzał się dookoła. Po obu stronach rozgrzanego asfaltu rosły tętniące życiem żywopłoty, a wysokie drzewa tworzyły nad jego głową gęsty baldachim z liści. Świat mienił się różnymi odcieniami zieleni i żółci. Nad polem fruwały motyle. Było naprawdę pięknie. Wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Był zbyt zajęty czymś innym. Niby patrzył, ale niczego nie widział. Jak mógł być tak rozkojarzony,

żeby nie zauważyć niezwyklej urody tego miejsca?

Nagle coś błysnęło i przed jego oczami pojawiła się przerażająca scena. Nie chciał tego oglądać, ale umysł nie dawał mu większego wyboru. Usłyszał brzęczenie much, które bezmyślnie krążyły nad zalaną krwią podłogą, a potem zobaczył rozgniewane słońce spoglądające z góry na dziecięce zwłoki w różnych stadiach rozkładu. Na szczęście czas zaczął biec szybciej. Pete błyskawicznie się wycofał i zamknął za sobą drzwi na kłódkę.

Nikt nie powinien oglądać tego piekła.

Nie ma potrzeby więcej tu przychodzić.

Po chwili znalazł się na plaży. Poczuł pod stopami piasek, miękki jak jedwab i nagrany przez stojące wysoko na błękitnym niebie, palące słońce. Miał przed sobą lekko spienione srebrzące się morze. Obok siedziała kobieta, tak blisko, że czuł, jak delikatne włoski na jej ramieniu lekko łaskoczą jego skórę. W drugiej ręce trzymała aparat fotograficzny i próbowała zrobić im wspólne zdjęcie. Starał się uśmiechnąć, mrużąc oczy w ostrym świetle. W tym momencie był naprawdę szczęśliwy, chociaż chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Bardzo ją kochał, ale z jakiegoś powodu nie potrafił tego wyrazić. Może tym razem mu się uda. Nie było to przecież takie trudne. Kiedy zrobiła zdjęcie, obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, i powiedział, wkładając w to całe swoje serce:

– Kocham cię.

Na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech.

Potem przeniósł się do domu, niskiego, brzydkiego i przepełnionego nienawiścią, zupełnie jak mieszkający w nim mężczyzna. Nie chciał wchodzić do środka, ale nie miał wyboru. Znowu był małym dzieckiem, które wraca po południu ze szkoły. Zaskrzypiały drzwi wejściowe, a znad dywanu uniósł się kurz. W szarym powietrzu czuć było niechęć. Zajrzał do salonu. W fotelu przed kominkiem siedział zgorzkniały, starszy facet. Miał na sobie brudny sweter, a tłusty wystający brzuch wylewał się na jego uda. Tak jak zawsze, na jego ustach błąkał się szydery uśmiezek.

Chłopiec nigdy nie spełniał jego oczekiwań. Był bezużytecznym robakiem, który nie jest w stanie niczego osiągnąć.

To nie była jednak prawda.

Nie znasz mnie, pomyślał.

I nigdy nie znałeś.

W dzieciństwie nie potrafił go zrozumieć. Był dla Pete'a jak przybysz z odległej krainy posługujący się zupełnie innym językiem, ale z czasem to się zmieniło. Wtedy nie wiedział, dlaczego ojciec tak bardzo pragnie go zmienić. Czuł się zagubiony. Upłynęło jednak wiele lat i teraz potrafił czytać w nim jak w otwartej księdze. Okazało się, że wcale nie chodziło o nieudanego syna. Byli przecież dwoma zupełnie niezależnymi bytami. Od samego początku powinien być po prostu sobą, ale niestety, zrozumienie tej zasady zajęło mu dużo – być może nawet zbyt dużo – czasu.

Staął w swojej sypialni, małym pokoiku bez okien, w którym mieściło się niewiele więcej poza pojedynczym łóżkiem.

Położył się i zaczął wdychać znajomy zapach prześcieradeł i poduszki. Między materacem a drewnianym stelażem znalazł kocyk pochodzący jeszcze z jego starego łóżeczka. Instynktownie po niego sięgnął. Poczul w dłoni miękką tkaninę i przysunął ją bliżej twarzy, a potem zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze.

Zdał sobie sprawę, że to już koniec. Miał wrażenie, że splątana materia jego życia została spruta i utkana na nowo. Teraz leżała przed nim jak piękny gobelin. Wszystko było jasne i proste. Z perspektywy czasu przeszłe wydarzenia wydawały się oczywiste i nieuniknione.

Szkoda, że nie może spróbować jeszcze raz.

Nagle otworzyły się drzwi. Z zaniedbanego korytarza padł na jego twarz promień światła, a po chwili do pokoju wszedł mężczyzna. Ostrożnie stawiał kroki i lekko kulał, jakby był ranny albo cierpiał na jakąś chorobę. Zbliżył się do łóżka i uklęknął.

Przez pewien czas patrzył na śpiącego Pete'a, niepewny, co powinien zrobić. Wreszcie podjął decyzję. Pochylił się i mocno go przytulił.

Pete był już pogrążony w głębokim śnie, ale poczuł, że jest czule obejmowany, albo przynajmniej tak mu się wydawało. Uświadomił sobie, że ktoś go rozumie i wszystko mu przebacza. Miał wrażenie, że coś się właśnie dopełniło.

Odnalazł brakującą część samego siebie, którą zgubił bardzo dawno temu.

Rozdział 68

Kiedy wróciła do domu, znalazła w skrzynce list, ale postanowiła na razie go nie otwierać.

Na kopercie widniała pieczęć zakładu karnego Whitrow, więc podejrzewała, co może znajdować się w środku. Nie miała jednak siły, żeby stawić temu czoło. Frank Carter prześladował Pete'a od dwudziestu lat: na różne sposoby go prowokował i próbował wytrącić z równowagi. Nie miała najmniejszej ochoty czytać jego chorych wynurzeń, a już szczególnie w dniu, w którym Pete odszedł z tego świata. Rzecz jasna, pisząc list, Carter nie mógł jeszcze o tym wiedzieć, ale ten człowiek miał chyba jakiś szósty zmysł.

Pieprzyć to, pomyślała. Mam przecież ważniejsze rzeczy na głowie.

Zostawiła kopertę na stole w jadalni, naląła sobie spory kieliszek wina i wzniosła toast.

– Twoje zdrowie, Pete – powiedziała. – Bezpiecznej podróży na drugą stronę.

A potem, zupełnie wbrew sobie, zalała się łzami. Wiedziała, że zachowuje się absurdalnie. Nigdy nie przejawiała skłonności do płaczu. Zawsze była dumna z tego, że potrafi panować nad emocjami i zachowuje spokój w każdej sytuacji. Ostatnie śledztwo bardzo ją jednak zmieniło. Poza tym nikt jej teraz nie widział, więc uznała, że może przynajmniej na jakiś czas stracić nad sobą kontrolę. Poczwała się lepiej. Po chwili zrozumiała, że nie chodzi tylko o Pete'a. Najważniejsze było to, że wreszcie dała upust uczuciom gromadzącym się w niej przez kilka ostatnich miesięcy.

Pete. Neil Spencer. Tom i Jake Kennedy.

Wszystkie te straszne historie.

Miała wrażenie, że od wielu tygodni wstrzymywała oddech i wreszcie mogła głęboko zaczerpnąć świeżego powietrza, którego tak bardzo

potrzebowała.

Wypiła wino i nalała sobie następny kieliszek.

Rozmawiała z Tomem i dowiedziała się sporo nowych rzeczy na temat swojego zmarłego kolegi. Podejrzewała, że upicie się nie przypadłoby mu do gustu, ale chyba ją zrozumiał. Wyobraziła sobie, że patrzy na nią teraz z pobłażaniem. W końcu często przyglądał się jej właśnie w ten sposób, jakby chciał powiedzieć: Sam tak robiłem, więc wiem, co czujesz, jednak nie będę tego komentował, dobrze?

Mimo to nie miała wątpliwości, że wykazałby się empatią. Sprawa Szeptacza pochłonęła dwadzieścia lat jego życia. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, bała się, że czeka ją podobny los. Musiała więc zachować należytą ostrożność. Niewykluczone jednak, że pewnych rzeczy nie da się uniknąć. Tak już po prostu musi być. Niektóre śledztwa zostają z tobą do końca życia. Wczepiają się w ciebie pazurami i ciągniesz je za sobą, niezależnie od tego, jak bardzo chciałabyś się ich pozbyć z pamięci. Wcześniej zawsze uważała, że dobrze sobie z tym radzi. Kiedyś wydawało jej się, że jest podobna raczej do ambitnego karierowicza Lyonsa, a nie do dręczonego wyrzutami sumienia starego gliny, Pete'a Willisa. Ostatnio poznała siebie trochę lepiej i wiedziała, że łatwo nie pozbędzie się ciężaru związanego ze sprawą Szeptacza. Wyszło na to, że nie jest wcale tak zdroworozsądkowa i mało wrażliwa, jak wcześniej sądziła.

Trudno. Niech już tak będzie.

Wypiła duszkiem wino i nalała trzeci kieliszek.

Nie mogła zapominać, że w tym wszystkim było kilka pozytywów. Odnaleźli i uwolnili Jake'a Kennedy'ego. Francis Carter siedział w więzieniu, a Amanda już zawsze będzie policjantką, która doprowadziła do jego aresztowania. Pracowała w pocie czoła i zrobiła, co w jej mocy, żeby doprowadzić sprawę do szczęśliwego zakończenia. W godzinie próby dała z siebie wszystko.

Wreszcie zebrała się na odwagę i otworzyła list. Była wystarczająco podchmielona, żeby nie przejmować się tym, co miał do powiedzenia Frank Carter. W końcu jakie to miało znaczenie? Ten dupek może sobie pisać, co tylko zechce. Jego słowa spłyną po niej jak po kaczce. Niezależnie od wszystkiego on nadal gnije w więzieniu, a ona prowadzi szczęśliwe życie na

wolności. Jej sytuacja wyglądała inaczej niż Pete'a. Carter nie miał nad nią żadnej władzy i nie był w stanie jej skrzywdzić.

W kopercie znajdowała się prawie pusta kartka papieru.

Na samej górze widniało napisane odręcznie pojedyncze zdanie:

Jeśli Peter nadal cię słyszy, przekaz mu moje podziękowania.

Rozdział 69

Francis siedział w swojej celi i czekał.

Przebywał za kratami już od dwóch tygodni, ale dopiero dziś poczuł, że w jego otoczeniu coś się zmieniło. Wiedział, że nadszedł czas na to, czego nie dało się uniknąć. Kiedy zgasły światła, nie zdjął ubrania, tylko usiadł na łóżku, położył ręce na udach i wbił wzrok w szorstką ścianę z cegły. Wytężył słuch i skupił się na rozbrzmiewających echem metalicznych łomotach oraz pokrzykiwaniach współwięźniów.

Wiedział, że musi cierpliwie czekać.

Był dorosłym mężczyzną i nie odczuwał lęku.

Oczywiście personel i inni osadzeni robili wszystko, żeby go zastraszyć. Pierwszego dnia strażnicy zachowywali się profesjonalnie, ale nie potrafili – albo nie chcieli – ukryć swojej nienawiści. W końcu Francis zamordował małego chłopca oraz – co w ich oczach było chyba jeszcze gorsze – doświadczonego policjanta. Kontrola osobista była wyjątkowo dokładna i nieprzyjemna. Na razie przebywał w areszcie, więc zgodnie z przepisami musiał zostać odseparowany od pozostałych więźniów, ale i tak często ktoś walił pięściami w drzwi albo syczał nienawistnym głosem wulgarne groźby. Strażnicy starali się panować nad sytuacją, ale zbyt mało się angażowali. Sprawiali nawet wrażenie znudzonych. Najwyraźniej zamieszanie wokół Francisca im się podobało.

Trudno.

Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać. W celi było ciepło, ale cały się trząsał i swędziało go skóra. Nie chodziło jednak o strach.

Był w końcu dojrzałym facetem i niczego się nie bał.

Pierwszy raz widział ojca tydzień temu. Spotkali się w więziennej stołówce. Nawet podczas posiłków Francis był oddzielony od pozostałych

skazańców i siedział przy stole jedynie w towarzystwie strażnika, który bacznie go obserwował. Dostawał do jedzenia straszne pomyje i podejrzewał, że obsługa specjalnie wybiera dla niego to, co najgorsze. Jeśli tak było, to z pewnością nieźle się bawili. Francis był jednak przyzwyczajony do podłego żarcia i doświadczył w swoim życiu dużo gorszego traktowania. Przełykając kolejną porcję zimnej papki z tłuczonych ziemniaków, przekonywał sam siebie, że to tylko kolejny test. Niezależnie od tego, co dla niego przygotowali, on wszystko wytrzyma i zasłuży na...

W pewnym momencie odwrócił głowę i zobaczył ojca.

Frank Carter wszedł do stołówki takim krokiem, jak gdyby to miejsce należało do niego. Lekko się garbił, ale i tak wypełniał przestrzeń swoją ogromną posturą. Był wielki jak góra. Większość strażników sięgała mu raptem do szyi i trzymała się na dystans. Po chwili otoczyła go grupka współwięźniów. Wszyscy mieli na sobie pomarańczowe drelichy, ale bez wątpienia to Carter tu rządził. Prawie wcale się nie zestarzał. Dla Francisa ojciec zawsze był kimś obdarzonym ponadludzką siłą. Gdyby tylko chciał, mógłby przebić się przez mury więzienia i wyjść po drugiej stronie, strzepując z siebie kurz.

Był zdolny do wszystkiego.

– Pospiesz się, Carter. – Jeden ze strażników szturchnął Francisa w plecy.

Dokończył paskudny posiłek z myślą, że ten klawisz wkrótce pożałuje swojego zachowania. Miał przecież do czynienia z synem Franka Cartera, faceta, który był królem tego pierdolnika. Przełykając kolejne kęsy, ukradkiem obserwował, jak ojciec bryluje przy swoim stoliku. Więźniowie co chwila wybuchali śmiechem, ale Francis siedział za daleko, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają. W pewnym momencie zorientował się, że od czasu do czasu spoglądają w jego stronę, ale co ciekawe, Frank nie brał udziału w ogólnej wesołości i nie zwracał najmniejszej uwagi na swojego syna. Patrzył przed siebie i zamyślony pałaszował obiad, nieraz wycierając brodę serwetką. Sprawiał wrażenie, jakby miał na głowie wiele ważnych spraw.

– Powiedziałem, że masz się pospieszyć – powtórzył strażnik.

W kolejnych dniach Francis widział ojca jeszcze przy kilku różnych okazjach, ale zawsze sytuacja wyglądała dokładnie tak samo. W oczy rzucały się przede wszystkim jego wysoki wzrost i potężna budowa ciała. Zawsze

górował nad swoimi kolegami. Był jak gigant otoczony wianuszkiem krasnoludków, ale w odróżnieniu od swoich kumpli nigdy nie zwracał na Francisa najmniejszej uwagi. Traktował go jak powietrze, jednak syn cały czas czuł jego obecność. Kiedy w nocy leżał na swoim łóżku, wydawało mu się, że ojciec czai się gdzieś w ciemności, za grubymi drzwiami i stalowymi kratami.

Napięcie rosło, aż wreszcie Francis zrozumiał, że to się stanie właśnie dzisiaj.

Jestem dorosłym facetem, pomyślał.

Niczego się nie boję.

W więzieniu zapanował dziwny spokój. W oddali wciąż słychać było jakieś hałasy, ale w celi zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Nie miał wyboru.

Musiał czekać.

Wreszcie rozległy się kroki. Ktoś się zbliżał. Szedł ostrożnie, ale jednocześnie w jego ruchach można było wyczuć radosne podniecenie. Francis wstał z łóżka, a w sercu obudziła się nadzieja. Zorientował się też, że w korytarzu stoi więcej niż jedna osoba. Usłyszał stłumiony śmiech, a potem ciche syknięcia i brzęk kluczy. Nie był wcale zdziwiony. Jego ojciec miał przecież dostęp do każdego pomieszczenia w budynku.

W tym hałasie było jednak coś niepokojącego.

Nagle ktoś wyszeptał jego imię.

– Fraaaaaancis...

W zamku zazgrzytał klucz.

Otworzyły się drzwi.

W progu stanął Frank Carter. Zza jego pleców wpadało do środka wystarczająco dużo światła, żeby syn od razu go rozpoznał. Głową sięgał prawie do futryny.

Gdy tylko go zobaczył, znowu był jak...

Małe dziecko.

I poczuł, że umiera z przerażenia.

Doskonale pamiętał ten wyraz twarzy. Ojciec zawsze robił taką minę, kiedy przychodził w nocy do jego sypialni. Kazał mu wstawać z łóżka i schodzić na dół, żeby oglądał specjalnie przygotowany spektakl. Jego oczy pałały nienawiścią, która z konieczności skierowana była na innych chłopców, teraz jednak nie musiał się już hamować.

Pomocy, pomyślał Francis.

Nie mógł jednak liczyć na żadne wsparcie. Tak samo było w dzieciństwie. Nikt go nigdy nie obronił.

Był zdany tylko i wyłącznie na siebie.

Szeptacz powoli ruszył w jego stronę. Francis złapał drżącymi rękami dół swojego T-shirtu.

A potem podciągnął koszulkę do góry i zasłonił twarz.

Rozdział 70

– Dobrze się czujesz, tatusiu?

– Co takiego?

Potrząsnąłem głową. Siedziałem przy łóżku Jake’a i trzymałem na kolanach *Power of Three* Diany Wynne Jones. Książka była otwarta na ostatniej stronie, a ja gapiłem się przed siebie pustym wzrokiem. Najwyraźniej odpłynąłem gdzieś myślami.

– Tak, wszystko w porządku.

Z wyrazu jego twarzy wnioskowałem, że mi nie wierzy. Oczywiście miał rację: wcale nie czułem się dobrze. Nie chciałem mu jednak opowiadać o tym, że wcześniej tego dnia byłem w szpitalu i po raz ostatni spotkałem się z moim ojcem. Kiedyś pewnie się o tym dowie. Na razie nie miał pojęcia o wielu różnych sprawach, ponieważ wydawało mi się, że nie potrafię dobrać właściwych słów, żeby mu wszystko wytłumaczyć.

Nic się pod tym względem nie zmieniło.

– To przez tę opowieść. – Zamknąłem książkę i pogładziłem dłonią okładkę. – Nie czytałem jej od dzieciństwa i teraz trochę się rozczuliłem. Wydaje mi się, że znowu mam tyle lat co ty.

– Nie wierzę, że kiedyś byłeś w moim wieku.

Głośno się roześmiałem.

– Naprawdę tak trudno to sobie wyobrazić? Chcesz się przytulić?

Odłożyłem książkę, a Jake wygrzebał się spod kołdry i wdrapał na moje kolana.

– Tylko ostrożnie.

– Przepraszam, tatusiu.

– W porządku. Po prostu ci przypominam.

Prawie dwa tygodnie temu zostałem ugodzony nożem przez George'a Saundersa, mężczyznę znanego wcześniej jako Francis Carter. Chyba nie do końca zdawałem sobie sprawę, jak byłem wtedy blisko śmierci. Zresztą nie pamiętałem większości tamtego poranka. Strach i buzująca w żyłach adrenalina sprawiły, że wszystko spowiała mgła i nie byłem w stanie przypomnieć sobie żadnych szczegółów. Podobnie wyglądał pierwszy dzień w szpitalu, jednak potem powoli budziło się we mnie życie. Teraz chodziłem z obandażowanym bokiem i musiałem uważać, żeby nie przenosić ciężaru ciała na jedną nogę. Poza tym miałem w głowie kilka niewyraźnych obrazów przypominających senne majaki. Pamiętałem krzyki wzywającego pomocy Jake'a, moją rosnącą desperację i świadomość, że muszę zrobić wszystko, żeby go uratować.

Wiedziałem, że jestem gotowy dla niego umrzeć.

Poczułem, że bardzo delikatnie mnie obejmuje. Mimo to porządnie się starałem, żeby nie syknąć z bólu. Całe szczęście, że nie musiałem wnosić Jake'a na górę po schodach. Po ostatnich wydarzeniach bałem się, że jego fobie jeszcze się nasilą i będzie wymagał ciągłej uwagi. Okazało się jednak, że poradził sobie z koszmarem dużo lepiej, niż sądziłem. Wiele wskazywało na to, że był w lepszym stanie psychicznym ode mnie.

Odwzajemniłem jego uścisk, wkładając w to całą swoją miłość. Tylko tyle mogłem dla niego zrobić. Potem Jake wrócił do łóżka, a ja stanąłem w progu i jeszcze trochę go obserwowałem. Wyglądał bardzo spokojnie i nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Na podłodze leżała Teczka z Bardzo Ważnymi Rzeczami. Nie powiedziałem mu, że do niej zaglądałem i co znalazłem w środku. Nie wyjaśniłem również, kim tak naprawdę jest mała dziewczynka. To kolejna sprawa, o której nie potrafiłem z nim rozmawiać.

– Dobranoc, kolego. Kocham cię.

Ziewnął, a potem wymruczał pod nosem:

– Ja też cię kocham, tatusiu.

Schodzenie po schodach sprawiało mi kłopoty, więc najpierw wyłączyłem światło i poszedłem do swojego pokoju, żeby poczekać, aż Jake zaśnie. Usiadłem na łóżku, uruchomiłem laptop, otworzyłem plik, nad którym ostatnio pracowałem, i zacząłem czytać:

Droga Rebecca!

Doskonale wiem, co byś myślała o tej sytuacji, ponieważ zawsze byłaś o wiele bardziej praktyczna niż ja. Uważałabyś, że powinienem prowadzić normalne życie i być szczęśliwy...

I tak dalej. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, co napisałem. Nie zaglądałem do tego dokumentu od feralnej nocy spędzonej w policyjnym mieszkaniu. Teraz wydawało mi się, że minęły całe wieki. Tematem listu była w gruncie rzeczy Karen. Miałem wyrzuty sumienia, dlatego że darzyłem ją czymś więcej niż sympatią. Z dzisiejszej perspektywy miałem wrażenie, że nasza randka odbyła się w innej epoce. Odwiedzała mnie w szpitalu, odprowadzała Jake'a do szkoły i pomagała mi w opiece nad synem podczas mojej rekonwalescencji. Spędzaliśmy ze sobą coraz więcej czasu. Tragiczne wydarzenia niewątpliwie bardzo nas zbliżyły, ale jednocześnie nasza relacja w znacznym stopniu utraciła swój romantyzm. Do tej pory się ze sobą nie całowaliśmy. Czułem jednak, że to jeszcze będzie możliwe...

Powinienem być szczęśliwy.

Tak.

Skasowałem wszystko z wyjątkiem imienia żony.

Wcześniej chciałem opisać swoje życie z Rebeccą, skupiając się na smutku, który odczuwałem po jej śmierci, i wpływie, jaki to miało na moją osobowość. Nadal planowałem to zrobić, ponieważ wiedziałem, że Rebecca będzie ważną częścią każdego tekstu, który kiedykolwiek napiszę. Chociaż odeszła z tego świata, nadal przecież w jakiś sposób była wśród nas obecna i nie chodziło wcale o to, że jest duchem. Wiedziałem, że to wygląda zupełnie inaczej. W pewnym momencie zrozumiałem jednak, że mam do powiedzenia znacznie więcej. Chciałem opowiedzieć o wszystkim, co mi się przydarzyło.

O panu Nocy.

O chłopcu mieszkającym w podłodze.

O motylach.

O małej dziewczynce ubranej w dziwną sukienkę.

I oczywiście o Szeptaczu.

Zdawałem sobie sprawę, że temat może mnie przerosnąć. Wątki były poplątane, a o wielu rzeczach w ogóle nie miałem pojęcia i być może nigdy

się o nich nie dowiem. Czy to był jednak rzeczywiście tak wielki problem? Prawda o jakimś wydarzeniu może kryć się w uczuciach, a nie w faktach.

Wbiłem wzrok w ekran.

Droga Rebecca.

Zaledwie dwa słowa, ale ciągle coś mi nie pasowało. Wprowadziłem się z Jakiem do tego domu, żeby zacząć wszystko od początku i chociaż Rebecca była integralną częścią tej historii, to właśnie zrozumiałem, że powinienem zmienić główny temat. Należało skupić się na czymś zupełnie innym.

Skasowałem jej imię, przez chwilę się zawahałem i zacząłem stukać w klawiaturę:

Jake.

Jest tak wiele spraw, o których chciałbym ci powiedzieć, ale chyba zgodzisz się ze mną, że rozmawianie zawsze przychodziło nam z trudem.

Postanowiłem więc do ciebie napisać.

Wtedy usłyszałem szept.

Zamarłem w bezruchu. Zaległa cisza, która wydawała się rozbrzmiewać złowieszczo w całym domu. Mijały kolejne sekundy i już miałem uznać, że jednak mi się wydawało, kiedy znowu to usłyszałem.

Jake był w swoim pokoju po drugiej stronie korytarza i po cichu z kimś rozmawiał.

Odłożyłem laptop i ostrożnie podniosłem się z łóżka, a potem wyszedłem z sypialni, starając się nie robić hałasu. Serce we mnie zamarło. Przez ostatnie dwa tygodnie mała dziewczynka i chłopiec mieszkający w podłodze nie dawali znaku życia. Rzecz jasna, chciałem, żeby Jake zawsze był sobą i zachowywał się swobodnie, ale po zniknięciu wyimaginowanych przyjaciół wyraźnie mi ulżyło. Musiałem przyznać, że perspektywa ich powrotu nie przypadła mi do gustu.

Stanąłem w korytarzu i zacząłem nasłuchiwać.

– Okay – szepnął Jake. – Dobranoc.

A potem cisza.

Czekałem jeszcze dłuższą chwilę, ale najwyraźniej Jake skończył

rozmowę. Upłynęło kilka kolejnych sekund. Zrobiłem krok do przodu i wszedłem do jego sypialni. Z korytarza wpadało do środka dość dużo światła i zobaczyłem, że Jake leży spokojnie i nie ma przy nim nikogo obcego.

Zbliżyłem się do niego.

– Jake?

– Tak, tato? – odpowiedział zaspanym głosem.

– Z kim właśnie rozmawiałeś?

Nie zareagował. Zobaczyłem, że kołdra unosi się miarowo w górę i w dół, a mój syn spokojnie oddycha. Być może był pogrążony w półśnie i rozmawiał sam ze sobą.

Przykryłem go i już miałem wychodzić, kiedy znowu się odezwał.

– Twój tata czytał ci tę samą książkę, kiedy byłeś dzieckiem – powiedział.

Stanąłem jak wryty i wbiłem w niego wzrok. Leżał na plecach, ale nie wiedziałem, czy śpi. W pokoju zrobiło się nagle chłodniej i przeszedł mnie dreszcz, a cisza aż dzwoniła w uszach.

Niewykluczone, pomyślałem. Pewnie tak właśnie było.

Jake nie zadał jednak pytania, tylko stwierdził fakt, chociaż nie mógł wiedzieć, co Pete czytał mi do poduszki. Sam tego nie pamiętałem. Powiedziałem mu kiedyś, że ta powieść była moją ulubioną lekturą w dzieciństwie. Pewnie założył, że w takim razie musiał mi ją czytać mój tata. Całkiem rozsądny wniosek. Nie byłoby w tym chyba nic dziwnego.

– Masz rację – potwierdziłem i rozejrzałem się po pustym pokoju. – Skąd o tym wiesz?

Jake jednak nie odpowiedział, ponieważ zapadł w głęboki sen.

Podziękowania

Mam ogromny dług wdzięczności wobec wielu osób, przede wszystkim wobec mojej wspaniałej agentki Sandry Sawickiej, jej koleżanki Leah Middleton oraz wszystkich pracowników agencji literackiej Marjacq. Chciałbym również podziękować redaktorowi Joelowi Richardsonowi z wydawnictwa Michael Joseph za cierpliwość i przydatne rady, których udzielał mi w trakcie pisania książki. Pragnę także wyrazić wdzięczność Emmie Henderson, Sarah Scarlett, Catherine Wood, Lucy Beresford-Knox, Elizabeth Brandon i Alexowi Elamowi za ich ciężką pracę i wsparcie; Shan Morley Jones za staranne wyłapanie moich błędów oraz Lee Motleyowi za zaprojektowanie pięknej okładki. Jestem pod wielkim wrażeniem waszych talentów i nigdy nie zapomnę, jak bardzo mi pomogliście.

Powszechnie wiadomo, że pasjonaci literatury kryminalnej to niezwykle przyjazne i zżyte ze sobą środowisko. Jestem niesłychanie szczęśliwy, że mogę cieszyć się przyjaźnią i wsparciem tak wielu cudownych pisarzy, czytelników i blogerów. W tym, co robicie, jesteście naprawdę mistrzami! Specjalny toast wzniesiony wielkim kielichem należy się The Blankets. Oni już wiedzą, o kim mowa.

Na koniec pragnę podziękować Lynn i Zackowi za wszystko, a szczególnie za to, że ze mną wytrzymują. Dedykuję Wam tę książkę. Pamiętajcie, że bardzo Was kocham.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz